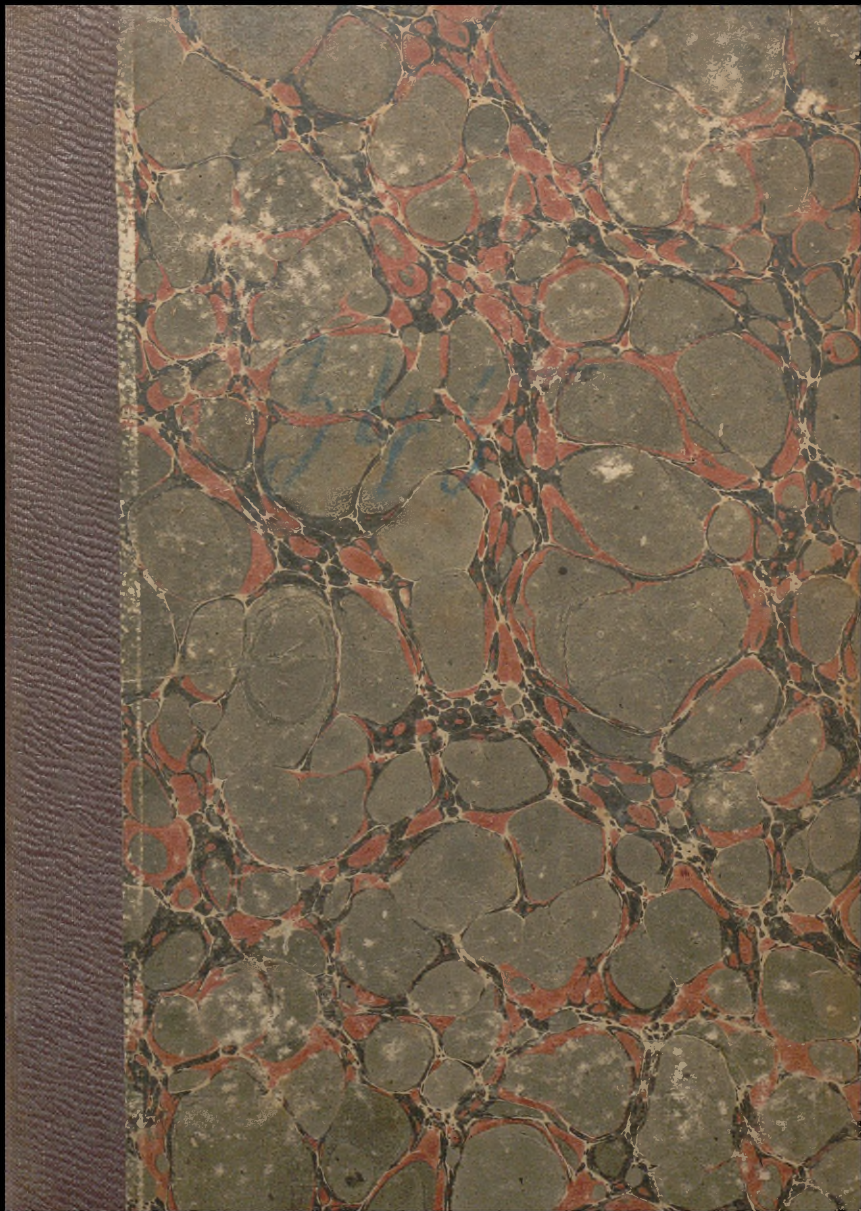


DANES
 PICTA
 .COM



ZACNI LUDZIE,

ICH POŻYCIE, ROZMOWY, LISTY

ⁱ
NAUKI.

283

KSIĄŻKA DO CZYTANIA DLA MŁODZIEŻY

wiejskiej i miejskiej.

L. 605.



Ułożył: J. Starkel

Jullusz Starkel.

N° 345.
1876.

J. Starkel



WE LWOWIE,
NAKŁADEM KAROLA WILDA.

1874.

884-4



12967

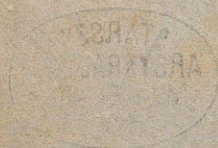
WYDZIAŁ KRAJOWY

W A K K

WYDZIAŁ KRAJOWY

Wydawnictwo i drukarnia

Drukiem J. Rosenheima w Brodach.



Dr. Dyb. Loeuwski

356/38/39
A.K. Nr. 1
B.

ROZDZIAŁ I.

Jaś idzie na wędrownkę.

W jednym z naszych miasteczek podgórskich mieszkał stolarz, imieniem Tomasz Rawicz. Był to człowiek zacny i uczciwy, pracą swych rąk zarabiał na życie i dorobił się na tyle, że miał już swój dom i ogród, a warsztat jego stolarski był najpierwszym w mieście. Nie było też nikogo, chyba jaki zły człowiek, pijak lub próżniaczyna, ktoby nie wspominał o Tomaszu z przyjaźnią i uszanowaniem. Wszyscy cenili w nim prawość i cnoty dobrego człowieka i rzemieślnika, chętnie zasięgali u niego rady i pomocy, a jeszcze chętniej oddawali mu stolarską robotę, bo gdy się podjął jakiej roboty, to ją wykonał na urząd, i w terminie się stawił i słuszną położył cenę. Szczególniej zniewalała ludzi słowność Tomasza, o którą między rzemieślnikami tak trudno; gdy raz powiedział, że robota będzie na ten i na ten dzień gotowa, to żeby się tam i świat walił, musiała dnia naznaczonego być oddana. To też warsztat

Tomasza nigdy nie był bez zamówień i zawsze kilku czeladników znalazło w nim zajęcie.

W warsztacie kierował robotą pan Tomasz, domem i ogrodem zarządzała jego żona. Cała gospodarka szła jak w zegarku, we wszystkiém był jak największy ład i czystość. Dom nie rozlegał się od krzyków i łajdań, jak to nieraz bywa, czeladzi nie poszturkiwano i nie głodzono, lecz owszem Tomaszowie obchodzili się z nią po ludzku, po przyjacielsku, żywili zdrowo i obficie. Każda twarz była rumiana i uśmiechnięta, i niechby kto się był na chwilę zasmucił, zaraz Tomaszowa wypytała, pocieszyła, a jeśli można było pomódz, to i pomogła. Zamiast kłótni i krzyków, dolatywał cię z warsztatu śpiew nabożny, lub wesoły, świecki, któremu wtórowało warczenie pił i stuk heblów.

Miłość i święta zgoda łączyły z sobą Tomaszów. Od niepamiętnych czasów raz tylko posprzeczcali się na chwilę, a to z powodu syna. Trzeba bowiem wiedzieć, że Tomaszowie mieli dwoje dzieci: syna Jasia i córkę Teklusię, znacznie młodszą od brata.

Jaś był tęgim chłopakiem, rósł jak na drożdżach na pociechę rodziców, i był dobrém i posłuszném dzieckiem. Gdy skończył lat siedm, posłali go rodzice do szkoły miejscowej. Nie miał on wielkich talentów i zawsze wolał sobie coś dłubać i majstrować, niż siedzieć nad książką; nie lenił

się jednakże, chodził pilnie i uczył się dobrze. Po czterech latach umiał dobrze czytać, pisać i rachować, wiedział jak ziemia polska wygląda, jakie na niej rzeki, góry i miasta, jakie płody i zwierzęta, wiedział jacy w niej byli królowie i sławni mężowie i wiele innych rzeczy.

Otóż wtedy to, gdy Jaś ukończył miejscową szkołę ludową, powstała między Tomaszami sprzeczka, co z nim dalej począć. Tomaszowa pragnęła koniecznie, żeby Jasia posłać do wyższych szkół i wyuczyć go na księdza lub urzędnika, Tomasz zaś obstawał przytém, żeby go uczyć stolarskiego rzemiosła.

— Nie będzie to nam łatwo — mówiła Tomaszowa — utrzymywać go wszkołach z daleka od siebie, lecz mamy cokolwiek gotowego grosza, a zresztą i ręce zdrowe, aby zarobić na tyle, co mu będzie potrzeba na stancję i utrzymanie.

— Nie chodzi tu o pieniądze — odparł Tomasz — ale o to, w jakim stanie Jaś może być najszczęśliwszy.

— Jużci lepiej będzie Jasiowi być księdzem lub urzędnikiem, niżeli stolarzem! — przerwała Tomaszowa.

— Otóż to nie bardzo jest pewne! — zawołał Tomasz. — Alboż to nam źle jest w naszym stanie? Alboż to my nie jesteśmy szczęśliwi? Zdrowie chwala Bogu sprzyja nam, jeść nam nigdy nie braknie, wśród pracy czas mija chyżo i wesoło,

ludzie nas kochają i szanują — i czegoż nam więcej potrzeba?

— Więc nie chcesz, aby Jaś nabył więcej rozumu od nas?

— I owszem! każdy powinien rozum swój oświecać, i ja chciałbym, aby Jaś kształcił się coraz więcej aby był mądrzejszym odemnie i od każdego w naszym mieście. Lecz czyż to rzemieślnik, który umie czytać i pisać dalej się kształcić nie może? czyż nie może udoskonalać swego rzemiosła, a przez czytanie książek nabierać coraz więcej wiadomości? Jeżeli przytém zachowa cnotę w sercu, uczciwość w sumieniu i miłość dla bliźnich, to może być ludziom równie pożyteczny jak nie jeden co ukończył i najwyższe szkoły.

Pani Tomaszowa mruknęła coś na to i chciała dalej przy swoim obstawać, lecz pan Tomasz nie dał sobie przerwać i tak dalej mówił:

— Czy myślisz, że byłoby dobrze na świecie, gdyby każdy chciał iść na księdza lub urzędnika? Któżby wtedy uprawiał rolę, ktoby się oddawał rzemiosłu? Jeżeli społeczeństwo ludzkie ma się ostać i być zdrowe, to ludzie powinni w niem w równej mierze oddawać się różnym zajęciom. Te zajęcia są jakby różne części w domostwie: są w nim i legary i słupy i belki i krokwie i dach. Z samych krokwi nie byłby dobry dom, pierwszy lepszy wichur wywróciłby go; nie byłoby też dobre i społeczeństwo z ludzi jednego zawodu, bo

dopiero ludzie rozmaitych zawodów, wspomagając się wzajemnie, stanowią dobre społeczeństwo. W takim społeczeństwie zawód rzemieślnika wcale nie jest pośledni, lecz owszem bardzo ważny, jeśli ten co mu się odda, uprawia go sumiennie i umiejętnie.

— To wszystko bardzo dobrze — odparła gniewnie pani Tomaszowa — lecz jeśli chcesz mieć Jasia stolarzem, to nie trzeba go było i do naszej szkółki posyłać.

— Ho! ho! — zawołał Tomasz — i w tym się bardzo mylisz, bo rzemieślnikowi trzeba koniecznie wykształcenia. Jaś nauczył się czytać, pisać i rachować i innych rzeczy; gdy będzie na nauce w warsztacie, będę go w wolnych chwilach napędzał do książki, żeby się dalej kształcił, a potem, gdy się wyzwoli, pójdzie na wędrowną i uzupełni swoje rzemieślnicze wykształcenie. Gdyby Jaś miał bardzo wielkie talenta, grzechby był nie posłać go do szkół wyższych, ale tak, jak ja znam jego pociąg do ręcznego zajęcia, wiem, że najszczęśliwszym będzie dla niego zawód rzemieślniczy. Wierz mi, że w dzisiejszych czasach nie jeden urzędnik zazdrości rzemieślnikowi; bo tamten przebywszy większe nauki i nawykawszy do większych potrzeb, nieraz biedę klepie przy niewielkiej płacy, a rzemieślnik zawsze sobie panem na własnych śmieciach, bo nawykł od młodu do skromnych potrzeb, a gdy się nie leni, ma zawsze pewny zarobek.

Pani Tomaszowej nie było już w izbie, gdy nasz majster słów tych domawiał. Rozgniewana nieco wyszła, i gniewała się jeszcze dni kilka, ale w końcu musiała w duszy przyznać słusność panu Tomaszowi, który też postawił na swoim. Jaś poszedł do warsztatu, a państwo Tomaszowie przeprosili się od serca. I to właśnie była ich jedyna sprzeczka od lat wielu, a po téj sprzeczce panowała znowu w ich domu jak największa zgoda.

I tak upływał rok za rokiem, aż nareszcie zbliżyła się chwila, w której Jaś, wyzwolony na czeladnika, miał się puścić na wędrowną.

Był to już chłopiec ośmnastoletni, czerstwy, poczciwy i pracowity. W warsztacie słyszał wiele od czeladników o wędrownkach i bardzo mu się uśmiechała ta myśl, że i on także pójdzie zwiedzać dalekie kraje i miasta.

Pani Tomaszowa przygotowywała mu już wszystko do drogi. Szyła kilka nowych koszul i naprawiała odzienie, a na to jój szycie padło nieraz kilka łez gorących z matczyego oka, bo smutno robiło się matce na tę myśl, że się ze synem rozłączy. Pan Tomasz uporządkował papiery dla Jasia i przygotował też nieco gotówki na pomoc w podróży, a matka wzięła dwa od panieńskich lat chowane dukaciki i przyszyła je cichaczem zamiast guzików do Jasiowego surduta, żeby też chłopczyzna mógł znaleźć ratunek w bardzo nagłej potrzebie.

Gdy już wszystko było przyszykowane i Jaś nazajutrz wyruszyć miał w podróż, zawołał go Tomasz wieczorem i tak do niego mówił głosem słodkim a poważnym:

— Masz jutro po raz pierwszy opuścić dom rodzicielski. Wiem, że jesteś bogobojny i uczciwy, boś się wychowywał w bojaźni bożej, i byłeś strzeżony od wszystkiego złego. Wiem, że choć będziesz o sto mil od nas, nie popełnisz dobrowolnie nic złego, bo będziesz o nas pamiętał i w każdej chwili będzie ci się zdawało, że oko ojca i matki spoczywa na tobie. Dobrym jesteś synem, więc miłość rodziców i bojaźń boża strzedz cię będą od grzechu; lecz i dobremu łatwo się noga pośliznie. Pójdiesz w świat obcy i między obcych ludzi, gdzie jest wiele nieznanых pokus i zasadzek, wysłuchaj więc uważnie rad ojcowskich, a pamiętaj i myśl o nich w ciągu swój wędrowki.

„Od Boga wszystko zaczynaj; pobożność niech ci towarzyszy w podróży. Wbij sobie tę uwagę głęboko w pamięć, że pobożność opiera się na pełnieniu obowiązków. Bogu pracę swoją poświęć, a i to będzie za modlitwę przyjęte. Często wznos myśl do Boga, a uchronisz się od złego“.

„Uczciwość niech cię zawsze odznacza. Najściślejsza czystość obyczajów niech będzie twoją ozdobą, a pozyskasz łaskę Boga i przychyłność wszystkich. Miło ci będzie, jak każdy powie: to prawy, uczciwy człowiek!“

„Nie jesteś bogatym, lecz ubóstwo nie uwalnia od litości. Chrystus kazał kochać bliźniego, litować się nad nieszczęśliwym. Choćbyś był prawdziwie ubogim, odłam kawałek chleba swojego dla kaleki, a Bóg przyjmie tę ofiarę, jakby dla niego była uczynioną“.

„Co czynisz, patrz końca. Uwaga i zastanowienie do każdego przedsięwzięcia potrzebne. Cokolwiek masz uczynić, namyśl się wprzód dobrze“.

„Naucz się wcześniej żyć z ludźmi, żebyś w nich znalazł przyjaciół. Zgadź się z każdym, nie chełp się i nie wynoś, każdemu w miarę możliwości nieś pomoc, a pozyskasz przychyłość“.

„Gdy przyjdiesz do stolarskiej *gospody*, zachowaj przyzwoite uszanowanie dla wszystkich obecnych i korzystaj z pomocy z wdzięcznością“.

„Gdziekolwiek obejmiesz robotę, to będzie twój dom, a kogo tam zastaniesz to domownicy. Szanuj dom, który ci Bóg na mieszkanie przeznaczył. Gospodarza uważaj za ojca, gospodynię za matkę, a współtowarzyszy za braci. Ze wszystkimi obchodź się przyzwoicie, strzeż się słów grubiańskich i płochych rozpraw, które do niczego dobrego nie prowadzą. Znoś cierpliwie zrzędność starszych, a nie pastw się nad biednymi terminatorami, którzy są tém, czém ty byłeś. Bądź uprzejmy, uczynny dla równych sobie, wdawaj się zawsze z lepszymi; gorszych nie obmawiaj, a trzymaj się od nich z daleka. Nie urażaj się o lada

co, nikomu nie dokuczaj, nie wyśmiewaj nikogo; mów w zaufaniu do tych, których dobrze poznałeś“.

„Nie psuj nigdzie domowego porządku, nie mieszaj się do interesów familijnych; nie wdawaj się w plotki, utrzymuj zgodę i spokój, niech nie powiedzą: „przyszedł obcy i zakłócił nam spokojność“.

„Sznuj zdrowia. Strzeż się wszelkiego rodzaju zbytku, pracuj wytrwale lecz z umiarkowaniem, odpoczywaj w niedzielę. Strzeż się zaziębienia, hulatyki; nie puszczaj się późną nocą w drogę. Jak się uczujesz słabym, zaradz sobie zawczasu, udaj się do lekarza, nie używaj pokątnych lekarstw, strzeż się znahorów i bab lekarek. Ruch, praca, ochędóstwo, umiarkowanie, myśl wesola: to są najlepsze środki zapobiegające chorobom.

„Zachowaj we wszystkiém porządek. *Ubogo lecz chędogo*, niech będzie twojém godłem. Czysty, ochędózny, każdego pociąga do siebie. Nie wstydz się łaty, ale wstydz się dziury i plamy, bo dziura znak niedbalstwa, a plama niechlujstwa. *Jak cię widzą, tak cię piszą*. Ujrzy kto na tobie dziurę, nazwie cię obdartusem; ujrzy plamę, nazwie pluchą; ujrzy łatę, powie tylko, żeś ubogi, ale dbały o porządek“.

„Oto są rady, zebrane z doświadczenia starszych rzemieślników. Pamiętaj o nich — kończył Tomasz — w ciągu wędrówki, wryj je sobie w sercu i pamięci.“

To powiedziawszy ucałował Jasia, któremu łzy stanęły w oczach, i udał się na spoczynek.

Pomimo, że późna już była pora, nie kwapił się Jaś do pościeli. Układał jeszcze swój tłomeczek, w którym, prócz sukni i bielizny, był jeszcze grzebień i zwierciadełko, szczotka, nożyczki, igły i nici, wreszcie książka do nabożeństwa i dobra mapka. Ułożył to wszystko bardzo ściśle, i jeszcze raz opatrzył, potem na wierzchu płaszcz, a bokiem parę ciżem przysnurował, a w końcu znużony i senny rzucił się na pościel. Nie zaraz jednak usnął. Wyczekiwanie podróży poruszyło w nim różne myśli i obrazy, rady ojcowskie krażyły mu po głowie i wypisywały się w pamięci, widział się już gdzieś na drodze, w obcych miastach i krajach, wszystkie te widoki coraz bardziej się spływały, aż nareszcie zmożył go sen pożądany.

Gdy oczy otworzył, wschodziło przecudnie wiosenne słońce. Skowronki śpiewały swój hymn Wszechmocnemu Stwórcy, rosa w dużych kroplach zdobiła trawy i zioła, orzeźwiający chłód poranka krzepił i zapraszał w podróż. Zmówiwszy pacierz, był Jaś niebawem gotów do podróży. Matka, ocierając łzy fartuszkiem, postawiła mu śniadanie. Pożywił się na drogę, spojrzął jeszcze raz po drogich kątach rodzinnego domu, zarzucił tłomeczek na plecy, pogłaskał psa brysia, który mu w oczy zaglądał; wziął kij wędrowny do ręki, aż wreszcie z płaczem rzucił się do nóg rodziców. Rodzice,

wzniosłszy oczy w niebo, błogosławili na drogę synowi, i potem tulili go długo do piersi, a dwunastoletnia Teklusia uwiesiła mu się z płaczem na szyi i nie chciała go puścić. Wśród uścisków i pożegnań wyszli wszyscy na drogę, a ojciec z Teklusią odprowadzili jeszcze Jasia do najbliższego krzyża. Tu ostatni raz się uściskali i rozłączyli; jeszcze jedném skinieniem ręki pożegnał Jaś matkę stojącą przed domem, i żwawym krokiem ruszył wzdłuż gościńca. Jak długo jeszcze dom było widać obracał się i powiewał chustką, a tłumił przemocą łzy, tak mu było przykro po raz pierwszy porzucać progi rodzinne. Nareszcie na skrawku gościńca zniknął mu poza lasem i dom i całe miasteczko. Tu więc przykląkł na murawie, pocałunkiem pożegnał swój zakątek rodzinny, westchnął gorąco do Boga, i bardziej pokrzepiony ruszył dalej w drogę. Że mu zaś trzeba było rozweselenia, więc mimowoli prawie zaśpiewał sobie idąc następującą:

PIEŚŃ WĘDROWNIKA.

Idę polem, idę lasem,
 Śpiewam piosnkę sobie,
 I głęboko westchnę czasem:
 Co ja też tu zrobię?

* * *

Niech mi tylko oko boże

Udzieli opieki,

To się niczem nie zatrwożę,

Pójdę w świat daleki.

* * *

Nauczę się kochać Boga,

Zbiore plon do domu;

Nie wyjdzie mi na złe droga:

Zdam się na co komu.

ROZDZIAŁ II.

Rozmowa Górki z Tomaszem we warsztacie.

W cichém domostwie Tomaszów uczuli wszyscy brak wesołego Jasia. Czeladź nie miała z kim pośpiewać i pośmiać się, pani Tomaszowa ocierała łzy ukradkiem i dwa razy tak wiele pieściła Teklusię, bo nie stało ukochanego syna; nawet sam pan Tomasz, choć nie chciał się poddawać smutkowi, nie mógł sobie dać rady, dryptał z kąta w kąt, wszędzie coś złego wynalazł, zrzędził i upominał. Lecz powoli wracało wszystko we właściwe karby; rodzice prosili Boga, żeby był przewodnikiem Jasia na wędrownce, i żyli nadzieją, że wnet nadejdzie list pożądany, a pan Tomasz w dodatku przesiadywał dłużej niż zwykle w warsztacie, i choć już nie młody, dobrze rąk przykładał do piły i hebla, i w pracy szukał ulgi.

Najbliższym sąsiadem Tomaszów, bo tylko o płot i miedzę, był Józef Górka, człowiek żyjący z uprawy kilkunastu morgów gruntu i pięknego ogrodu z kwiatami, warzywami i owocowemi drzewami. Był to stary bezdzietny wdowiec, przy którym żyli dwaj jego dorośli już siostrzeńcy, poma-

gający mu w pracy około roli i ogrodu. Jeżeli Tomasz można było nazwać najpierwszym rękodzielnikiem w mieście, to Górka zasługiwał na nazwę pierwszego rolnika, a raczej ogrodnika. Zasługiwał na to nie tylko z tego względu, że znał się wybornie na swjej rzeczy, lecz także i dlatego, że był jedynym ogrodnikiem, który miał zawsze na sprzedaż wczesne i piękne warzywa, śliczne kwiaty i smaczny a dorodny owoc. Gdy kto z majątniejszych szukał na targu szparagów, sałaty i t. p., znalazł je pewnie na straganie Górki, przy którym siedziała żona jednego z jego siostrzeńców; gdy studenci biegli ze szkoły, jeden i drugi stracił zawsze parę centów, żeby kupić słodkich gruszek lub rumianych jabłek ze straganu Górki; gdy dziewczęta miały składać życzenia rodzicom lub opiekunom w dzień ich imienin, przyciągały je do straganu Górki piękne bukiety i kwiaty w doniczkach.

Jaki taki dziwił się, zkąd się to wszystko bierze u Górki, bo byli tacy mieszczanie, co mieli daleko więcej i gruntu i dobytku, a bardzo miżerne wiedli życie; jaki taki podejrywał go, że już zrobił majątek na ogrodnictwie i gruby grosz dusi w skrzyni. Na takie zdziwienia i podejrzenia, zwykł był Górka odpowiadać wesoło swojemi ulubionemi przysłowiami: „*Pomagać sobie a Bóg ci dopomoże!*“ „*Czas traci, czas płaci!*“ „*Ziarnko do ziarnka, będzie pełna miarka!*“

Trzeba bowiem wiedzieć, że Górka sypał przysłowiami jak z rękawa; nikt go nigdy nie widział smutnym, wiecznie był zajęty, wiecznie w ruchu, a zawsze czerstwy i z uśmiechem na ustach. Próżniacy i darmożady nazywali go sknerą i kutwą, bo ich tylko przysłowiami częstował, gdy chcieli od niego pieniędzy; to jednak pewna, że dla ludzi uczciwych i pracowitych nie był nieuczynnym, nie ociążał się wcale z radą i pomocą.

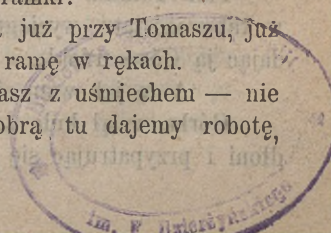
Otóż takiego to sąsiada miał pan Tomasz w Górcie. Obaj rzadni i rozsądni lubili się bardzo, często z sobą gawędzili i rozprawiali, a pani Tomaszowa chętnie widziała u siebie Górkę dla jego żywości i wesołości, i nazywała go żartem „workiem przypowiastek“. Jakoż Górka był niemal codziennym gościem u Tomaszów.

Ot i teraz widzimy go jak zdąża ku przełazowi w płocie, jak go przekroczył i zmierza wprost do warsztatu p. Tomasza, który właśnie heblował na czysto ramy do okien na inspekta Górki.

— Bóg daj zdrowie sąsiadzie! — zawołał Górka wesoło wchodząc do izby — *Praca tuczy, bieda uczy!* Już się mroczy, a pan Tomasz dłubie. Oj, utuczy się na pieniążkach, które mu trzeba będzie sypnąć za te piękne ramki!

Mówiąc to, był Górka już przy Tomaszu, już go uściskał i już trzymał ramę w rękach.

— No — rzekł Tomasz z uśmiechem — nie chwalcę się, każdemu dobrą tu dajemy robotę,



ale dla kochanego sąsiada, to już musi być jak utoczona.

— Wierzę, wierzę! zawołał Górka. — Ale w tém też i wasza sława majsterska! *Czy ze złej roboty robotnik korzysta? Raz tylko oszuka, to rzecz oczywista!* — i zaśmiał się grubym głosem ze swojego wierszyka — A drzewo czy suche, suche? — dodał oglądając ramę na około.

— Suche jak pieprz — odparł Tomasz — Takiej dębiny nie wszędzie znajdzie. Mam ją na składzie już lat dziesiątek; w dobrej porze ścięta i wiek w samą miarę. Oho, znam ją jeszcze, jak miała liście zielone.

— A nie byłoby lepiej użyć do tego sośniny? zapytał Górka.

— Dlaczego nie! I z sośniny, zwłaszcza jeżeli smolna, niezłe są ramy do okien. Ale już to zawsze lepiej wam życzę dębowe, bo to czy na dęszcz czy na słońce, dąb zawsze dębem.

— Prawda, że to nie lada drewno — rzekł Górka, pukając palcem w ramę — Dobrze to mawiali starzy, że „*nie raz siekiérą trzeba w dąb uderzyć, kto go chce wyciąć.*“ Podobno już nie ma cięższego drzewa jak dąb.

Pan Tomasz uśmiechnął się na to, poszedł w kąat warsztatu, wyciągnął kulę od kręgli, a podając ją Górcie rzekł:

— A to jak wam się zdaje?

Górka wziął kulę do ręki, a zważywszy ją na dłoni i przypatrując się jój z bliska rzekł:

— Ba, przecież to nie drzewo! Taż to lichocieżkie jak ołów, a czarne i zielonkowate jak miedź zaśniedziała!

— Otóż widzicie sąsiedzie, że i to jest drzewo, tylko że nie tutejsze. Pochodzi z Ameryki, a nazywa się *gwajak* albo drzewo święte. Ciężkie jest i ściśle, a przytém żywicą napełnione i niemal tak twarde jak metal. A ot, mimo tego wszystkiego nie na wiele przydatne, jak chyba na kule do kręgielni, bloki lub walce, bo nie jest łupkie, a nadzwyczaj kruche. Laseczką, wytoczoną z tego drzewa, dość śmignąć z zamachem, aby się w kawałki rozleciała.

— To coś tak jak dawny człowiek — rzekł z uśmiechem Górka — skruszysz go, a nie ugniesz.

— Dlatego też nie sądzcie, aby największą zaletą drzewa była jego ścisłość i ciężkość. Często lekkie drzewo stokroć więcej dla nas warte niż ciężkie, a trwałość zależy od siły i układu włókien w drzewie, zresztą od jego wieku i pory ścięcia, nie tyle od ścisłości.

Dobry cieśla, stolarz, kołodziej, a w ogóle i dobry gospodarz powinien wiedzieć, na co które drzewo najbardziej przydatne i jak go gdzie użyć. Dawnemi czasy, gdy jeszcze nie było w użyciu tyle żelaza co dzisiaj, dbano troskliwiej o trwałość drzewnego materiału. Na same koła do wozu dobierano różnorakiego drzewa; dzwona robiono z joworu, piasty z brzeziny, a szprychy z jesionu; na

osie brano dębinę, na dyszel buczynę, łoży na półkoszki, a leszczynę na drabie. Wideł nie robiono z innego drzewa, tylko z grabiny, na cepy używano jabłoni, na żłoby i koryta brano drzewo sosnowe, jednóm słowem przebierano w rodzajach drzewa i oglądano się na cel, do którego ma służyć.

Dębina, z której wam te ramy zrobiłem, leży już blisko dziesięć lat w szopie na przewiewnym miejscu. Nie mówię tego, abym się chciał chwalić, lecz Bogiem a prawdą, dość rzadcy są dziś rzemieślnicy, którzyby się starali o zapasy dobrego materiału. Każdy się spieszy, łap, cap! byle prędko, i nie wiele się troszczy o to, że robota potem spaczy się i popęka. A przecież pierwsza to rzecz, ażeby materiał drzewny był jak należy wyschnięty. W każdym drzewie jest tyle naturalnej wilgoci, że jeśli dobrze wyschnie, to go o trzecią część, a niekiedy i o połowę na wadze ubędzie. Nie wiele też znaczy ciężkość, bo surowe drzewo jest ciężkie w skutek swój wilgoci, a przecież nic nie warte. Dębowe w ośmiu latach traci swoją wilgoć; po roku wyschnienia ma jeszcze każde nasze drzewo czwartą część téj wilgoci, którą miało po ścięciu, Zróbże z takiego drzewa sprzęt jaki, to wnet się skręci i popęka, bo drzewo dalej już w spręcie wysycha. Toż samo dzieje się z suchém drzewem, gdy jest na ciągłą wilgoć wystawione; włóż klin drewniany w szparę kamienia i przemocz go do-

brze wodą, to z taką siłą będzie pęcznieć, że kamień rozsadzi.

— Ba, *nie kijem go, to pałka!* — zawołał Górka wesoło. — Weźmiesz drzewo surowe, to źle, bo się zsycha; weźmiesz wyschnięte, to znowu źle, bo pęcznieje, gdy stoi w ciągłej wilgoci. A przecież na to muszą być jakieś sposoby? —

— Zapewne, że są sposoby na to, ażeby drzewo od pęcznienia o ile możności uchronić. Przez naturalne suszenie wypędza się z drzewa i to nie ze wszystkiém wilgoć; lecz w komórkach drzewnej tkanki pozostają jeszcze inne, stałe części soków. Są to rozmaite sole, które mają tę naturę, że wilgoć z powietrza chciwie przyciągają i przyczyniają się do pęcznienia. Używają też różnych środków, ażeby te sole z drzewa wydalić. Najprostszym sposobem jest wyługowanie za pomocą zimnej wody. W tym celu kładzie się drzewo do bieżącej wody, i to odziomkiem przeciw prądowi, bo z téj strony łatwiej woda wsiąka. Przy wielkich sztukach musi takie ługowanie trwać bardzo długo, nawet i kilka lat, lecz małe belki, słupy, dyle i t. p., już po kilku miesiącach zanurzenia w wodzie mniej się kręcą i mniej pękają. Widać to i na téj staréj, zczerniałéj dębinie, którą czasem z rzék wydobywają. Rozumié się, iż po wydobyciu z wody musi być drzewo swoją drogą do brze wysuszone.

Inny sposób polega na wyparzeniu drzewa parą wodną. W tym celu układa się drzewo w do-brze spojenój i żelazem okutėj skrzyni, przez którą przepuszcza się parę wodną z kotła parowego. Kurkiem, umieszczonym u spodu skrzyni można wypuszczać skroploną parę i soki z drzewa wy-pędzone. Z początku ukazuje się tu prawie sama woda, lecz po dwunastu do piętnastu godzinach parzenia, wycieka już płyn mętny, kleisty i z mocnym zapachem drzewnym. Kolor tego płynu jest rozmaity, wedle gatunku drzewa, które parzymy; z dębu jest czarno-niebieski, z orzecha czarny, z machoniu czerwony, z wiśni czerwonawy, z lipi-ny żółtawy i t. p. Do wyparzenia grubych balów drzewa potrzeba 60 do 80 godzin; po tym czasie płynie znowu woda czysta, choć nieco zafarbowana. Takie wyparzone drzewo jest na wskrós ciemniej-szego koloru, niż przed wyparzeniem; dąb robi się ciemno-brunatny, buk brunatny, gruszka bru-natno-czerwona, klon czerwonawy, sosna i jodła brunatno-żółta. Wyjęte ze skrzyni, gorące i mokre, daje się wyginać na wszystkie strony. Widzieliście może krzeselka z giętego drzewa, w których i no-gi i oparcie z jednego są kawałka; otóż krzeselka te są robione z parzonego drzewa, które po wy-schnięciu zatrzymuje kształt, nadany mu za go-rąca. I w naszym Beskidzie górale rozumieją się cośkolwiek na tém, gdyż za pomocą parzenia wy-ginają swoje "obody" do kół, i każdy może się

przekonać, że wyparzone drzewo w tych obodach znacznie jest trwalsze od zwykłego, skoro góral kołami temi bez okucia po krzemienistych drogach wywija.

Wyparzenie drzewa na meble chroni je także od czerwi. Chcąc je skutecznie zabezpieczyć przeciw butwieniu i gniciu, nasycają je także olejami, *kreozotem*, a często także *koperwasem miedziowym*. Odbywa się to w ten sposób, że roztwór koperwasu we wodzie wciska się za pomocą tłoczącej pompy w pień drzewa, co idzie wcale prędko, bo roztwór, wtłoczony w pory drzewne przy odziomku, wypycha zaraz naturalne soki, i już za kilka godzin wierzchołkiem wycieka. Drzewa rdzenne jak dąb, wiąz, akacja, wymagają kilku dni do zupełnego nasycenia się płynem.

Ale, pominąwszy już wszystkie sztuczne sposoby, potrzeba mieć przedewszystkiém rozum na to, aby sobie umieć materyał wybrać i nie dać się wywieźć w pole. Najpierwsza reguła jest ta, że drzewo powinno być ścinane w zimie, bo wtedy soki w niem nie krążą, więc nie tak łatwo pęka, nie zsycha się, i czerw się go nie chwyta. Zresztą są różne oznaki dobrego drzewa, o których wiedzą ludzie doświadczeni. . . .

Tutaj przerwał pan Tomasz, a spojrzawszy na Górkę z uśmiechem, dodał:

— Ot, rozgadałem się tak szeroko, jak gdybyście mieli do terminu wstępować, i chcieli się

uczyc stolarki. Darujcie! Ale jak człowiek wpadnie na swoje, toby rozpowiadał choć do jutra...

— I owszem, panie Tomaszu, za małoście powiedzieli — przerwał Górka. — *Od przybytku głowa nie boli...* Co się nauczysz to twoje! I ja też się uczę z chęcią przy każdej sposobności, i żałuję żeście waszą naukę w najciekawszym miejscu przerwali, gdyż dobrzeby mi było wiedzieć, jako gospodarzowi, po których to oznakach dobre się drzewo poznaje.

— Ba, mój sąsiedzie — rzekł Tomasz — do każdego znanstwa potrzeba nie tylko wiadomości, lecz i doświadczenia! Trzeba tak zjeść zęby na kupnie materiału, jak ja zjadł, żeby wiedzieć, który dobry, a który nic potem. Z chęcią jednak powiem wam, na co się patrzę i po czém sądzę.

Oto, gdy kupuję drzewo miękkie, jak sosnę lub jodłę, to patrzę naprzód na to, aby słoje drzewa były jak najwęższe i niewidoczne, gdyż to oznacza jego ścisłość i moc, bo gdy są zbyt szerokie, wtedy drzewo jest gębczaste i nie trwałe. Dalej uważam na to, aby włókna na bokach desek szły równo do powierzchni nie zaś ukośnie, bo to jest znakiem drzewa skręconego, przydatnego tylko na bardzo pospolite roboty. Sztorc drzewa nie powinien być popękany, a kolór ma być coraz ciemniejszy ku środkowi, bo to jest oznaka zdrowia. Drzewo na przemiany białe i czerwone jest chorobliwe. Jeżeli pień w sztorc uderzę, powinien mi

pięknie zadźwięczeć; zresztą, co się już samo przez się rozumie, unikam sęków, zwłaszcza głęboko wrośniętych.

Prawie to samo stósuje się i do twardych gatunków drzewa. Kora na nich nie powinna być spróchniała i nie mieć dziur od mrozów lub narośli. Gdy sobie w lesie drzewo wybieram, wtedy baczę na to, aby kłoców odrazu z całej kory nie obdzierano, lecz owszem zostawiono ją w pewnych odstępach, bo w takim razie drzewo schnie dobrze, a nie tak łatwo pęka jak zupełnie z kory ogołoczone. Chcąc sztorce kłoców uchronić od pęknięcia, smaruję takowe smołą lub oklejam papierem.

Kupując deski, wybieram przedewszystkiem rdzenne, gdyż te mniej podlegają paczeniu niż *bielaste*, t. j. deski pochodzące z najmłodszych warstw drzewa, czyli z biela, znajdującego się tuż pod korą; nie biorę także desek z północnej strony kłoca, bo tu zwykle drzewo na pniu najmniej jest wykształcone i najchorobliwsze. Nakoniec nie spieszę się z wyrabianiem zakupionego drzewa, lecz składam w szopie, gdzie sobie schnie do woli.

— A jakiegoż wy drzewa najwięcej potrzebujecie? — zapytał jeszcze ciekawy Górka.

— Jakiego? — powtórzył p. Tomasz — Różnorakiego, bo każde ma swoje oddzielne zalety. Z miękkich drzew najmniej mi jest przydatne świerkowe, bo wydaje ze siebie silny zapach terpentyny, a w ciepłe wypaca ze siebie żywicę;

oprócz tego nie gładko się hébluje. Jedliny i sośniny używam dosyć na proste ramy, drzwi, szafy, i t. p. Jedlina jest najmiększa ze wszystkich drzew iglastych; drzewo jój dość ściśle i nie łatwo się kręci, w suchości lub ciągle pod wodą dość trwałe, daje się łatwo i równo łupać. Trzeba się jednak wystrzegać sęków w jedlinie, gdyż te po wyschnięciu wypadają z desek. Klei się bardzo dobrze. Żywiczna sośnina jest bardzo wytrzymała na wpływ wilgoci. Najlepsza jest biała, o drobnych słojach i z gruntu chudego. Hébluje się dobrze i klój chwytą łatwo.

Najmocniejsze z naszych drzew są: buczyna, dębina i grabina; najtrudniej je rozerwać lub złamać. Próby wykazały, że chcąc rozerwać pręt z tych gatunków drzewa, pręt nie gruby, bo mający tylko cal w kwadrat, potrzeba przywiesić około 19000 funtów, podczas gdy do zerwania takiegoż pręta z drzewa jaworowego, jesionowego lub świerkowego wystarczy 15000 funtów, a na pręt z drzewa gruszkowego, sosnowego lub mahoniowego dość jest 90 cetnarów. Tęgie to więc gatunki drzewa, ale nie w równej mierze przydatne. Buczyna np. jest twarda, ściśła i łupka, ale krucha; kręci się więcej niż dąb; podlega łatwo rozbiciu i wilgoci, choć w suchości dobrze się zachowuje. Na roboty zwyczajne, ławki, stoły warsztatowe wyborna, lecz do robot wykwintniejszych użyć jój nie można, bo ma nie ładne wejście

i nie przyjmuje politory. Grabina jest doskonała na śruby, na oprawy do narzędzi, na różne części maszyn, boki i t. p., lecz nie na meble, bo trudna do obrobienia i trudno wysycha, a łatwo się paczy.

Największą ulubienicą dobrych stolarzy będzie zawsze dębina. Twarda, mocna i trwała na zmiany powietrza, trudno wprawdzie schnie i pęka gdy nie wyschnięta, lecz za to, gdy raz wyschnie, warto ją pocałować! Nie przyjmuje pięknej politory, to prawda, ale czy też nie piękna i bez politory, gdy dobrze wygładzona? Ot, ławki w naszym kościele! Nie chcę ich chwalić, bo to moja robota, lecz czy byłyby ładniejsze, gdybyśmy je politerowali? Są one z dębu letniego czyli szypułkowego, który daje drzewo nie tak twarde jak dąb zimowy czyli bezszypułkowy, ale za to mocniejsze, sprężystsze i bardziej łupne. Dawniej — ot patrzcie na tę starą komodę — używali jęj prawie wyłącznie jako ślepe drzewo do pięknych mebli pod *forniry* orzechowe, mahoniowe i inne; dziś biorą do bardzo wykwintnych sośninę i jedlinę, bo każdemu miła w robocie wygoda. Nie spracuje się przy sośninie i bodaj siekięią ją obrobi, a przy dębinie trzeba się było nie mało pocić. Ale za to — patrzcie na tę szufladę — deseczki cieniutkie, a jak ze stali, mają dziś pewnie ze sto lat i niejednen nowy mebel przeżyją; suwają się po listewkach jak po maśle i nigdzie się tam nie zdrze jak sosnowa deska.

Bardzo użytecznym dla stolarza drzewem jest jawor. Ścisły, twardy, mocny, wychodzi z pod hebla gładki i lśniący jak atlas. Mało się kręci i pęka, Często daje flader podobny do marmuru, a wtedy nazywają go pawiem drzewem. Meble z niego bardzo są dobre i ładne, a odznaczają się od innych jasno-żółtawą barwą. Z jesionu cennie są bardzo piękne fladry. Najwięcej dzisiejszych tuzinkowych mebli wyrabiają z olszyny. Drzewo to, pochodzące zazwyczaj z wilgotnych nizin, bardzo jest trwałe w wodzie i wilgoci, lecz w suchości często się kręci i pęka. Da się łatwo bajcować, przyjmuje dobrze kolor i politurę, i dlatego tak chętnie robią z niego tańsze meble politerowane. Orzecha używają dziś prawie wyłącznie na cienkie płatki fornerowane do okładania mebli i na łożyska do strzelb.

Z innymi gatunkami drzew krajowych mało mamy do czynienia, lecz używają ich inni majstrowie. I tak: świérka, dlatego, że ma drzewo sprężyste, używają na instrumenta muzyczne; z lipiny, bukszpanu i gruszkowego drzewa wyrabiają piękne rzeczy tokarze i rzeźbiarze; w cisowe drzewo oprawiają ołówki; z twardego drzewa dereniowego robią zęby do kół, młotki drewniane i tym podobne narzędzia; korzeni bzu czarnego i jałowcu używają na główki do fajek, a równych prętów wiszni na cybuchy; leszczyny, tarniny i jałowcu na laski i t. p.

Mnóstwo jest jeszcze i drzew zamorskich, tak jak oto ten gwajak, których używają w stolarstwie szczególnie na fornery i wykiadania do wytworzonych sprzętów, lecz gatunków tych drzew, sprowadzonych okrętami, nawet bym nie zdołał wyliczyć. A zresztą na co by się wam to przydało? — dodał pan Tomasz z uśmiechem — i tak już bardzo dużo mówiłem, a między tém pewnie i takich rzeczy wiele, o których wiedzieliście bardzo dobrze.

— Mój panie Tomaszu — odrzekł Górka — o wielu rzeczach się wie i mówi, ale tak piąte przez dziesiąte; wie człowiek, jak to mówią, że w jakimś kościele dzwoniono, tylko nie wie w którym. Dobrze więc czasem posłuchać człowieka doświadczonego w swoim rzemiośle, ażeby mieć przecież wyobrażenie o różnych zawodach życia. Nie odbiorę ja wam chleba, bo nie mógłbym jeszcze zostać stolarzem po tém, com od was słyshał, ale przecież nie będę już mówił o stolarstwie jak o żelaznym wilku. Dotychczas tyłem wiedział o drzewie, że pod korą rośnie biel czyli łyko, że to łyko twardnieje, i w młode drzewo się zamieniwszy, do reszty drzewa przyrasta; że stąd powstają słoje w drzewie, i że co roku tworzy się jeden słój czyli pierścień. Teraz zaś z ła ski waszój, wiem już znacznie więcej o użytku

drzewa na różne wyroby. Co się zaś tyczy drzew owocowych, ich życia i pożytku sadowniczego, to już znowu wiem o wiele więcej od was, bo to moja sprawa. Gdy kiedy zechcecie, to wam o tém będę rozpowiadać, bo co ludzkiego, to każdemu człowiekowi wiedzieć się przyda. Dobrze to ludzie mówią, że *„nie trzeba żadnej rzeczy się odrzekać, chyba kraść, a nosa sobie odkąsić!... .*

Pan Tomasz roześmiał się mimowoli na to staroświeckie przysłowie i zapewnił Górkę, że z wielką chęcią będzie go kiedyś słuchał, jak to się ogród uprawia i drzewa w sadzie hoduje. Górka podziękował ze swéj strony jeszcze raz i za piękne ramy do inspektów i jeszcze piękniejsze wiadomości, i już obaj starzy mieli sobie na pożegnanie uściskać pracowite dłonie, gdy w tém wpadła do warsztatu Teklusia, a za nią wnet pani Tomaszowa i obie wołały z radością:

— List! list!

Obejrzał się pan Tomasz, nie wiedząc co to znaczy, tém bardziej, że nigdzie nie ujrzał żadnego listu; lecz w téjże chwili otworzyły się drzwi od ulicy i wszedł do warsztatu listonosz, którego Teklusia z matką już z okna dojrzały. W ręku listonosza znajdował się w istocie list z Krakowa, który pani Tomaszowa pochwyciła skwapliwie i do ust przycisnęła, bo serce macierzyńskie przeczuło list od Jasia.

Widząc to pan Górka, nie kwapił się już z pożegnaniem; i owszem z chęcią usłuchał wezwania Tomaszów i wraz z nimi przeszedł do oświetlonéj izby, gdzie zaraz zabrano się do czytania listu.



ROZDZIAŁ III.

Piérwszy list Jasia. — Opisanie Krakowa.

Najukochańsi Rodzice!

„Nie umiem Wam wyrazić, jak mi było przykro, gdym, puściwszy się w drogę, stracił z oczu nasze kochane miasteczko. Smutek i obawa ogarnęły mnie całego, przez chwilę myślałem, czyby nie wrócić do domu, lecz wnet się pokrzepiłem i przyspieszywszy kroku szedłem już śmiało w świat szeroki. Na ochotę zaśpiewałem sobie tę piosnkę, którą i ty najdroższy Ojczye śpiewałeś, gdyś był na wędrowce, a wtedy wydało mi się, że ty idziesz wraz ze mną, i czułem się pewny i bezpieczny.

Czas był przesłiczny, Bóg mię wiodł szczęśliwie, więc bez żadnego przypadku i bez zbytecznego znużenia zaszedłem po trzech dniach drogi do Rzeszowa. Tu zatrzymawszy się tylko dzień, tak jak mi najdroższy Ojczye radziłeś, wsiadłem na kolój i pojechałem wprost do Krakowa, gdzie teraz przebywam i zkaąd ten list piszę.

Na dworcu kolejowym taki był ścisk ludzi, przytém taki gwar i zakrętanina, że stracił głowę i nie umiałem sobie dać rady. Dopiero jakiś dobry staruszek, widząc, że nie wiem gdzie czego szukać i gdzie się obrócić w pośród tłumu, wskazał mi, poradził i pomógł. Inaczej byłbym się pewnie zapóźnił do wsiadania. Tu więc zaraz na wstępie przekonałem się, co to znaczy być w każdym położeniu życia przytomnym i nie tracić głowy! Kto nie działa sprężysto, śmiało i przytomnie, ten zawsze przychodzi za późno!

Miałem trochę strachu, gdym siadł do wagonu i pociąg ruszył, bo to leci jak z wichrem. Najbliższe przedmioty koło drogi, zboże, krzaki, drzewa tak prędko przemykają przed oczyma, że trudno je rozpoznać. Przypomniałem sobie wtedy, co nam mówił nauczyciel, że jadąc koleją najlepiej można się przekonać, że nie słońce krąży koło ziemi, lecz ziemia koło słońca. Pomimo że w jednym miejscu stoi, zdaje się sunąć po niebie od wschodu na zachód; tak i owe krzaki wzdłuż kolei biegają, i przysięgłbyś, że one biegają a wóz stoi na miejscu, gdybyś nie wiedział, że krzaki biegać nie mogą. Oczywiście, że biegają nie razem z wozami, ale w przeciwnym kierunku, znowu tak samo jak słońce, które dlatego od wschodu swój bieg niby rozpoczyna, że ziemia od zachodu na wschód około swój osi się kręci.

Jużto kolej żelazna, to wielki wynalazek! Nie mogłem się wydziwić, jak wszystko sztucznie i porządnie zrobione. W wagonach stolarska robota czysta i trwała, wszystko prawie z wyborniej dębiny, pięknie wylakierowane. Ale co tam wagony, kiedy najsztuczniejszy jest ten pierwszy wóz, czyli *lokomotywa*, który ciągnie inne za sobą. Nie chce się wierzyć człowiekowi, że to para wodna ma taką siłę, że swoim prężeniem porusza koła lokomotywy, a tymczasem nie ma tam nic innego prócz wodnej pary. Cóż to za tęgą musi być ten kociół na lokomotywie, że nie pęknie. Siły bo też nie lada jakiej potrzeba, żeby uciągnąć taki pociąg, jak ten którym jechaliśmy, a który, jak mi mówiono wazył dwadzieścia kilka, a może i 30000 cetnarów. Do tego pomyślcie sobie, że ciężar ten leci z taką szybkością, że przebiega pięć mil na godzinę, a łatwo sobie wyobrazicie, że huk przytém nie mały i ziemia trzęsie się pod kołami wozów.

W czterech godzinach i 30 minutach przebyliśmy 22 mil drogi i stanęliśmy w Krakowie. Był to już późny wieczór; tyle więc tylko miałem czasu aby się dopytać do gospody i dopiero na drugi dzień oglądałem to piękne, królewskie miasto.

Przez dwa dni chodziłem sam, i nieraz się zbłąkałem w ulicach. Pierwszy mój krok był do kościoła Panny Maryi, gdzie podziękowałem Panu Bogu za szczęśliwą podróż. Wstępowałem i do kilku innych kościołów, przyglądałem się pięknym

kamienicom i pałacom, byłem na pięknym moście nad Wisłą i przyglądałem się pysznemu zamkowi, lecz nie mogło mi się to wszystko w głowie uporządkować, gdyż byłem jak gdyby odurzony. Dopiero wczoraj, przy niedzieli, zmówiwszy się z dwoma porządnymi towarzyszami w gospodzie, zwiedzałem wszystko prawie, co było godne zwiedzenia, a że mnie na każdym kroku pokazywali, tłumaczyli i opowiadali, więc dopiero potem mogłem sobie powiedzieć, że poznałem nasz piękny Kraków.

Dużo, bardzo dużo musiałbym spisać papieru, gdybym wam chciał dokładnie opisać wszystkie osobliwości. Spróbuje więc opowiedzieć wam choć o najważniejszych, bo wiem, że Was to jako Polaków będzie zajmowało.

Otóż Kraków liczy dziś około 50,000 mieszkańców, t.j. 8 razy więcej niż w naszym miasteczku. Położenie miasta jest bardzo ładne; rozsiało się ono na lewym brzegu Wisły, poza którą wznosi się pasmo pięknych wzgórz, zwanych *Krzemionkami*. Pod tém pasmem gór, na prawym brzegu Wisły leży miasteczko, które bardzo trafnie *Podgórzem* się zowie. Rzeka Wisła opasuje Kraków od południa; od zachodu wznosi się także jedno ramię Krzemionek, od północy zaś i od wschodu rozciągają się urodzajne płaszczyny, zasiane gęstemi wioskami.

Gdy tylko wejdiesz do miasta, uderza cię przedewszystkiem wspaniały rynek. Jestto dokładny czworobok, którego powierzchnia wynosi 9216 sążni kwadratowych, t. j. niemal sześć morgów. Rzędy pięknych, trzypiętrowych kamienic tworzą ściany tego czworoboku, a ściany te poprzeczynane są w dwunastu miejscach, gdyż dwanaście głównych ulic wbiega do rynku. W dawnych czasach bywał ten rynek widownią świetnych uroczystości, gdyż tu królowie polscy, odbywszy koronację, zasiadali na wyniosłym tronie, i odbierali przysięgę na wierność od różnych książąt i większych miast. W pośrodku rynku wznosi się wspaniały gmach, przeznaczony na liczne sklepy i kramy, który się zowie *Sukiennicami*, a to ztąd, że wiele w nim bywało sklepów ze sukniem. Wewnątrz sukiennic, pomiędzy dwoma szeregami sklepów, ciągnie się jak gdyby sklepiona ulica, czy też ogromna sala, której długość mierzy 180 łokci, a szerokość 18. Może się w niej pomieścić około 7000 ludzi. Kraków był dawnemi czasy opasany wysokimi murami, tak jak wszystkie większe miasta. Była to niezbędna obrona ze względu na częste napady nieprzyjaciół. Z owych murów są jeszcze w Krakowie znaczne szczątki, a najwspanialszym ich zabytkiem, jest jedna z ośmiu bram, któremi dawniej wchodzono do miasta. Brama ta nazywa się bramą Floryańską; jest ona jak gdyby zamek upiększona wieżyczkami i strzelnicami, tj. waziut-

kiemi okienkami, przez które strzelano na nieprzyjaciela. A potrzeba było niemałej temu miastu obrony, bo je napadali wiele razy i niszczyli różni nieprzyjaciele Polski jak Tatarzy, Szwedzi a nareszcie i Moskale.

Wielką ozdobą Krakowa są liczne jego kościoły i królewski zamek. Wiecie, że Kraków przez długie wieki był siedzibą królów Polskich, mieli więc oni tutaj swoje gniazdo, swój zamek, który założyli na skale Wawelu nad Wisłą i przez długie wieki go przebudowywali, rozszerzali i upiększali.

Jedną część zamku zajmuje katedra; jest to najwspanialsza ze wszystkich świątyń krakowskich. Nie odznacza się ona okazałością w budowie i wielkością, lecz przepychem ozdób wewnętrznych i tém, że mieści w sobie bardzo wiele pamiątek, drogich sercu każdego Polaka. W pośrodku głównej nawy wznosi się kaplica, czyli grób św. Stanisława, którego kości, złożone w srebrnej trumnie, spoczywają pod kopułą wyłaczaną, wspartą na brązowych słupach. W głębi jest wielki ołtarz z pięknym obrazem Pana Jezusa na krzyżu, w około głównej nawy ciągnie się 17 kaplic z wspaniałymi posągami, nagrobkami i ołtarzami. Wszystkich ołtarzów prócz wielkiego jest 25. Pomiedzy okazałemi, marmurowemi pomnikami są pomniki królów: Władysława Łokietka, syna jego Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły, który się był ożenił z wnuczką Kazimierza Wielkiego, Jadwigą,

Każmierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta, Zygmunta I. i Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i innych. Prócz tego spoczywają w podziemiu w marmurowych grobowcach szczątki sławnych wojowników polskich, a mianowicie króla Jana Sobieskiego, który Wiedeń od Turków obronił, Tadeusza Kościuszki, walecznego wodza w wojnie z Rosyą, i księcia Józefa Poniatowskiego.

Uroczysta cisza panuje w tej świątyni pańskiej, przed oczami stają bohaterskie postacie królów i wodzów, i z głębi duszy płynie modlitwa za ojczyznę. A jeśli jeszcze zabrzmie z wieży dzwon katedralny, zwany *Zygmuntem*, największy dzwon w całej Polsce, to się wydaje, że wraz z pięknym jego głosem wznoszą się modlitwy aż do nieba, aż przed tron samego Boga.

Tadeusz Kościuszko ma tu jeszcze wspanialszy pomnik, niż ową marmurową trumnę w podziemiu, gdyż na cześć jego usypano pod Krakowem na górze Bronisławy, ogromną mogiłę, czyli kopiec. Mogiłę tę sypano przez trzy lata, od roku 1820 do roku 1823, i sypało ją mnóstwo ludu, czém kto miał, taczkami, workami; nawet w poły odzieży brano ziemię i znoszono na kopiec, tak drogim dla wszystkich i ukochanym był generał Kościuszko. Mogiła jest na ośmnaście sążni wysoko, a że do tego usypano ją na górze, więc widok z niej na okolicę bardzo rozległy i wspaniały. Oprócz mogiły Kościuszki, jest jeszcze na Krze-

mionkach pod Krakowem mniejsza mogiła, usypa-
na na cześć Krakusa, który w bardzo odległych
czasach Kraków miał założyć, a w okolicy mogiła
Wandy, córki Krakusa, która wskoczyła do Wisły
i utopiła się, żeby tylko nie oddać swęj rękę nie-
mieckiemu rycerzowi.

Lecz wracam do kościołów krakowskich.

Drugim po katedrze, a może równie pięknym
jest kościół Panny Maryi, wznoszący się po wscho-
dniej stronie rynku. Stoi ten kościół przeszło 600
lat i jeszcze nie jeden wiek przetrwa, gdyż z po-
tężnych gładów złożone są jego mury. Takiego
materiału i takiej wybornęj roboty mularskiej,
trudno dziś gdzie znaleźć. Oprócz trwałości, od-
znacza się budowa tego kościoła okazałością i pię-
knością. Wysokie i śmiało rzucone sklepienie głów-
nęj nawy kościoła opiera się na dziesięciu fila-
rach, a bokiem, poza filarami są na około kaplice.
Rzeźby rozliczne w kamieniu i w marmurze są
wspaniałą ozdobą ścian i ołtarzów, których jest
32; w środku kościoła, na wysokim łuku wznosi
się aż pod olbrzymie sklepienie wielki krzyż
z Chrystusem. Znaczną ozdobą głównego gmachu
są dwie wspaniałe wieże, z których wyższa liczy
232 stóp od dołu do szczytu. Najbardziej mnie
zajął wielki ołtarz, cały z drzewa, który już ma
trzysta lat z okładem. Otwiera on się jak szafa i
przedstawia zaśniećie Najświętszję Panny w pośród
apostołów przed jęj wniebowzięciem. Jestto pł-
skorzeźba, wykonana bardzo sztucznie w drzewie

przez polskiego rzeźbiarza, nazwiskiem Wit Stwosz. Skrzydła owęj szafy są także pokryte sześciu mniejszemi płaskorzeźbami, wystawiającemi niektóre chwile z życia Chrystusa Pana i jego Matki najświętszój. A nie była to mała robota wyźłobić z drzewa tak wielki ołtarz, bo jest on wysoki na 44, szeroki zaś na 34 stóp, a figury w nim pomieszczone znacznej są wielkości, bo mają po 4 i 4 i pół łokcia. Bardzo mnie to zastanowiło, że w dawnych czasach umiano tak dobrze przyrządzać i dobierać drzewo, kiedy oto ten ołtarz stoi tak długie lata, a nie uległ zniszczeniu.

Radbym wam jeszcze najdrożsi rodzice i o tych i innych kościołach, które zwiedzałem, jak najwięcej napisać, lecz już i papieru i światła nie staje, a do późna w nocy zaciągnęło się z pisanem. Wspomnę chyba tylko, że i patron śp. mojego dziadka a waszego ojca, św. Wojciech, także ma swój osobny kościółek. Jest on tak mały, że prędzej na kaplicę niż na kościół wygląda, a stoi nieopodal Sukiennic, w pośród rynku. Pomimo swój niepokażności, jest to przecież najstarsza świątynia w Krakowie; była ona wprawdzie już kilka razy przebudowywana i odnawiana, lecz koniec końców na tém samym miejscu co dzisiaj stoi już przeszło 800 lat, gdyż wystawili ją pobożni mieszkańcy Krakowa na cześć św. Wojciecha, niebawem po chwalebny męczeństwie tegoż. Mówili mi, że jeszcze św. Jacek i św. Jan Kapistran mie-

wali kazania w kościółku św. Wojciecha, albo z pod onego kościółka do zgromadzonej na rynku rzeszy.

Mój Boże, ile to rzeczy widział ten krakowski rynek! I jak tu nie kochać takiego miasta i takiej ziemi, po której tyle świętych i sławnych ludzi stąpało! Ja też chodzę po całym mieście jak po świątyni i z uszanowaniem spoglądam na każdą narodową pamiątkę, z którymi się tu co krok łatwo można spotkać.

Na przyszłą niedzielę i święta wybieramy się jeszcze zwiedzić niektóre sławne miejsca w okolicy Krakowa jak np. piękny klasztor na Bielanach, wieś Łobzów z letnim pałacem dawnych królów polskich, a może się będziemy mogli wybrać i do Wieliczki, gdzie są cudowne kopalnie, czyli żupy solne, o których nam nauczyciel wiele opowiadał. Gdy co ciekawego zobaczę, to Wam znowu napiszę, bo to jest największa moja przyjemność, jeżeli się z Wami podzielić mogę temi wszystkimi osobliwościami, na które tu patrzę; ale na dziś to już musi być dosyć, bo świeca dogorywa i po ciemku trzeba się będzie rozbierać. A zatem polecam Was opiece boskiej, całuję Wasze ręce najdrożsi Rodzice i ściskam Was od serca razem z drogą Teklunią, a wszystkim znajomym i sąsiadom przesyłam pozdrowienie.

kochający wasz syn

JAN.

Wszyscy zgromadzeni słuchali z wielkiem zajęciem pięknych opisów w liście pocziwego Jasia, a gdy p. Tomasz skończył, to pani Tomaszowa ocierała łzy z oczu, tak ją ten list syna wzruszył i tak ucieszył serce macierzyńskie.

— Pocziwe dziecko! — zawołała — Jak on to wszystko ślicznie opisuje! To tak, jak gdyby się człowiek żywcem na to patrzył. A jakie to serce dobre! I nas tak żywo ma w pamięci, a nawet i nieboszczyka ojca sobie przypomniał.

Teklusia, która siedząc trzymała głowę na kolanach u matki, podniosła na nią oczy, a westchnąwszy rzekła:

— Ach! mamuniu droga, jakbym to ja była szczęśliwa, gdybym mogła ten śliczny Kraków zobaczyć!

— A mnie się zdaje, — przerwał pan Tomasz — że się nasz chłopak z tym świętym Wojciechem trochę przerachował. No, proszę ja kogo, 800 lat! To nie żarty! Gdzieby zaś taka kapliczyna tak długo wytrzymała! Kto wie nawet, czy już 800 lat minęło od zamordowania św. Wojciecha!

— Oj, podobnoś, że już i więcej minęło, mój sąsiedzie — odezwał się Górka — nie od razu Kraków zbudowano! Ale zresztą nie chcę się sprzeczać. Najlepiejby było coś gdzieś o tém przeczytać.

— To prawda sąsiedzie — rzekła Tomaszowa — Gdybyście przynieśli jaką książkę ze szkoły, tobyśmy na przyszłą niedzielę przeczytali. Ja wiem, że mój Jaś bajki nie napisał, bo on to bierze na rozum i dowie się a dobrze rozważy, gdy ma co powiedzieć lub napisać.

— Ha no, niechże i tak będzie — rzekł Górka. — I z tém przyrzeczeniem odszedł, że na przyszłą niedzielę przyniesie jakąś książkę o św. Wojciechu.

ROZDZIAŁ IV.

Zarębski, nauczyciel miejscowy, czyta żywot św. Wojciecha, i opowiada o dawnych czasach.

Szkoła, która była w miasteczku, należała do najlepszych szkół w powiecie. Dom szkolny, wprawdzie drewniany i stary, ale przestronny, dzieliła się na dwie połowy; po jednej stronie były dwie izby obszerne, wypełnione ławkami dla dzieci szkolnych, po drugiej stronie było pomieszkание nauczyciela. Od schludności i czystości aż się świecił cały budynek; wylepiony i wybielony starannie, z oknami czysto umytemi, zdawał się zapraszać przechodniów. Ganek na słupkach, ozdobiony ładnie wyrzynaną galeryjką, występował naprzód i dźwigał na przyczółku sporą tablicę z napisem: „Szkoła“; w tyle ciągnął się ogród, otoczony dobrym płotem, a w ogrodzie widziałeś starannie uprawne grządki z warzywem, całe rzędy szczepków owocowych i morw dla jedwabników, w jednym rogu kilka pni pszczół, a pod samymi oknami parę grządek ślicznych i woniących kwiatów.

Przez długie lata był tam nauczyciel kochany i szanowany przez wszystkich. Kochał on dzieci, wychował parę pokoleń, a zgrzybiawszy na swym nauczycielskim urzędzie, zmarł w spokoju ducha jako człowiek, który do grobowej deski pełnił sumiennie swoje obowiązki. Śmierć starego nauczyciela nappełniła żalem całe miasteczko; pochowano go uczciwie, a potem zaczęto radzić, komuby nadal miała gmina powierzyć obowiązki nauczycielskie. Proszono władzy szkolnej, ażeby rozpisała konkurs, a gdy się zgłosiło kilku nauczycieli, zastanawiała się rada miejska, kogoby na nauczyciela przedstawić. I rozstrzygnięto sprawę sumiennie i po obywatelsku, tak jak ją rozstrzygnąć należało; nie pytano, który swat, a który brat, który ma przyjaciół lub krewnych w miasteczku, lecz przedstawiono tego, który miał najlepsze świadectwa i najwięcej nauki.

Otóż mijało jakoś pół roku, odkąd przybył do miasteczka nowy nauczyciel. Był to człowiek miłego oblicza, przyzwoitego obejścia, skromny i uprzejmy, liczył około lat trzydziestu i nazywał się Franciszek Zarębski. Prowadził on drugą i trzecią klasę w jednej z izb szkolnych; w pierwszej klasie uczył dzieci podwładny mu i młodszy od niego pomocnik.

Ponieważ Zarębski był człowiekiem skromnym, mało gdzie się pokazywał, a nadewszystko pilnował szkoły i nauki, więc nie wielu jeszcze

mieszkańców miasteczka miało sposobność go poznać. Lecz różne dobre rzeczy już sobie o nim rozpowiadano; mówiono, że dzieci kocha i po ojcowski się z niemi obchodzi, że pokazuje im różne ciekawe przyrządy i obrazki, i że przywiózł ze sobą cały kuferek książek, a dołożywszy je do tych, które zastał po starym swym poprzedniku i otrzymując ciągle nowe od chętnych ludzi w stolicy, zbiera i układa cały księgozbiorek szkolny.

Otóż wiedziała już o tém pani Tomaszowa, gdy prosiła Górki, ażeby przyniósł ze szkoły jaką książkę o św. Wojciechu, i była pewna, że sąsiad nie zapomni o swém przyrzeczeniu. Jakoż w niedzielę wrócili Tomaszowie z niesporów prosto do domu i czekali na Górkę, a pani Tomaszowa przygotowała nawet dobry podwieczorek, żeby było czém przyjąć kochanego sąsiada. Właśnie kładła na stole chleb wonny, świeżutki i żółte jak wosk majowe masło, gdy wtém drzwi się otworzyły i wszedł do izby Górka, ale nie sam. Przybył z nim jakiś wysmukły, miłego oblicza mężczyzna, który powitał Tomaszów przyjacielskiém słowem i ukłonem.

— Chcieliście książki, miła sąsiado — rzekł z uśmiechem Górka — a ja zamiast książki prowadzę wam książkę wraz z nauczycielem. Wiem, że mu będziecie radzi, bo *gość w dom, to Bóg w dom*.

— Witamy, witamy całym sercem! — zawołał Tomasz podnosząc się z ławy; uściśnął dłoń nauczyciela i zaraz go za stołem sadowił.

— Jesteśmy bardzo wdzięczni sąsiadowi za tak miłą znajomość — odezwała się Tomaszowa — i tylko to mi markotno, że nie mam czém przyjąć tak zacnego gościa.

— O, tylko się nie kłopotcie — zawołał nauczyciel — Skromna strawa, jest najlepsza i najzdrowsza, a najcenniejszą przyprawą, droższą od wszelkich specyałów, jest szczere serce gospodyni i nasza starodawna gościnność.

— Tak, tak, *czém chata bogata, tém rada* — dodał po swojemu Górka — nie róbcie sobie zachodu, bo jak mówi przysłowie: *dobry się wszędzie pożywi*, gdyż nie zwykł patrzeć na miskę, ale na serce.

— Proszę, proszę, siadajcie — zachęcał pan Tomasz; i wszyscy zasiedli i spożywając skromny podwieczorek, zabawiali się przyjemną rozmową.

W ciągu téj rozmowy, nowy nauczyciel przypadł Tomaszom bardzo do serca, to też gdy Tomaszowa stół uprzątnęła, a nauczyciel wyciągnął z zanadru książeczkę, wszyscy się ucieszyli, czekając tylko na to, żeby się rozpoczęło czytanie.

— Mówił mi sąsiad Górka — odezwał się nauczyciel — żeście pragnęli wiedzieć coś więcej o świętym Wojciechu, i żądał, żebym mu pożyczyl książki z jego żywotem. Mam ja w biblio-

tecze szkolnej dość książek i chętnie je pożyczam; ale żem się chciał sam z tak szanownymi ludźmi zaznajomić, więc przyszedłem razem z książką, i teraz, jeśli pozwolicie, będę wam i opowiadał i czytał o św. Wojciechu.

— Prosimy, prosimy — rzekli Tomaszowie.

Więc po tych słowach zachęty rozłożył nauczyciel książkę, i przedtém, nim zaczął czytać, tak w krótkości opowiadał o początkowych latach życia św. Wojciecha:

— Św. Wojciech pochodził z zamożnej i poważanej rodziny w Czechach. Zdolnościami, naukami i cnotami doprowadził do tego, iż go wyniesiono na stolicę biskupią w Pradze. Jako biskup miał wiele do czynienia w poskramianiu swawoli i naprawie zepsutych obyczajów między swoimi rodakami. Gdy jednak gorliwością, z jaką się brał do dzieła, naraził sobie był wielu mieszkańców Pragi, musiał niebawem opuścić to miasto. Odbывał tedy św. Wojciech podróże i przebywał dłuższy czas w jednym z klasztorów w Rzymie, oddając się modlitwie, pracy i dobremu uczynkom. Lecz Ojciec św. rozkazał mu, ażeby powrócił na stolicę biskupią do Pragi. Poddał się więc temu rozkazowi św. Wojciech, lecz znowu nie długo mógł wytrzymać pośród rozlubowanych w swawoli mieszkańców Pragi. Po raz wtóry opuścił też to miasto, a odbywszy podróż po Węgrzech dla utwierdzenia ludzi w wierze chrześcijańskiej, po-

wrócił znowu do ciszy klasztornej. I jeszcze raz polecono św. Wojciechowi, ażeby jechał do Pragi; więc jeszcze raz udał się w podróż do swego rodzinnego kraju. Gdy jednak, zbliżając się do Czech, otrzymał wiadomość, że Czechowie, napadłszy na zamek jego braci, jednych wymordowali, a drugich wzięli w niewolę, zaniechał zamiaru dalszej podróży i udał się na dwór księcia polskiego Bolesława Chrobrego, dokąd się był także schronił uratowany w czasie napadu brat jego najstarszy, imieniem Poraj. “

Podawszy taką wiadomość wstępną o życiu św. Wojciecha, otworzył nauczyciel przyniesioną książkę i tak dalej czytał:

„Było to z końcem października r. 996, gdy św. Wojciech z towarzyszem swym kapłanem Radzymem w bliskości Krakowa się zatrzymali. Choć maż święty skromnie podróżował i ani się nie odznaczał ubiorem, ani nie miał licznej drużyny, przecież zwrócono na niego uwagę, i rozeszła się szybko wiadomość, że wielki sługa boży, apostoł narodów słowiańskich, Wojciech, do miasta się zbliża. Więc lud i duchowieństwo przyjęli go z wielką radością, a ciekawość i szczerą pobożność narodu polskiego zgromadziła coraz to większe tłumy. Korzystał z tego żarliwy opowiadacz słowa bożego, i zatrzymawszy się w mieście, począł miewać kazania na rynku krakowskim, gdzie do dziś kościółek ku jego chwale zbudowany stoi.

W czeskim języku przemawiał Wojciech, lecz nasi bardziej podówczas mówią do Czechów zblizeni, rozumieli wszystko i całym sercem pokochali biskupa za jego złote słowa. I z wielkim smutkiem żegnali go, gdy ich opuszczał, ku *Gnieznu* do Chrobrego zmierzając.“

— A więc to prawda, co nasz Jaś napisał — przerwała z radością pani Tomaszowa — Prawda, że to od tego czasu stoi kościółek św. Wojciecha na rynku Krakowskim? — dodała zwracając oczy na nauczyciela.

— Tak jest — rzekł nauczyciel — zaraz po jego śmierci wybudowano kościółek, więc będzie temu przeszło ośm wieków.

— No, no, niechże będzie na twojem! — odezwał się Tomasz do żony z uśmiechem — I mnie to bardzo cieszy, że nam Jaś plotek w liście nie popisał.

— Ot, gadu, gadu, a czas jak strzała pomyka — zawołał Górka — Nie przerywajcie czytania!

Gdy się uciszyło, nauczyciel tak dalej czytał:
„W zimie, pod sam koniec grudnia, przybył Wojciech św. do Gniezna, gdzie podówczas książęta polscy przemieszkiwali. Z większą jeszcze niż w Krakowie czią i radością witano tutaj męża świętego. Bolesław Chrobry przyjmował go na czele rycerstwa i panów przedniejszych, bo ccił w Wojciechu nietylko gorliwość opowiadacza nauki Chrystusowej, lecz miał także w sercu swoim

wrodzone ku niemu przywiązanie, jako bliski krewny, gdyż matka Bolesława Dąbrówka i matka Wojciecha Strzeżysława były siostrami.

Więc tu rozpoczął znowu mąż święty swoje nauczanie: kazał i nawracał, wszystkich za serca porywając, a Chrobry prosił go najusilniej, żeby już na zawsze w Polsce pozostał. Lecz inny los i koniec życia wypisany był św. Wojciechowi w bożej księdze przeznaczeń.

Na wschodzie i północy krain polskich, nad morzem Bałtyckim, był podówczas kraj niezmiernie dziki, gdyż światło wiary Chrystusowej jeszcze tam nie było zagładnęło. Między błotami i borami mieszkał tam łupieżki naród Prusaków. Religia ich pogańska była *barbarzyńską*: bożków swoich umieszczali na odwiecznych dębach i lipach, a pod nimi palili *znicz*, t. j. ogień, który osobno do tego przeznaczone dziewice wiecznie świeżem paliwem podsycali. Bałwanom tym czynili także ofiary ze zwierząt, a nieraz trafiło się, iż zabijali na ofiarę rycerzy w niewolę zabranych. Ofiary te, sprawowali w obec ludu pogańscy kapłani.

Z tymi poganami ścierała się nieraz Polska, dlatego znał książe Bolesław i jego rycerstwo zwyczaję Prusaków, a ztąd dowiedział się też o nich i św. Wojciech. Zajmowało to bezustannie jego umysł, aż w końcu, rozżalony niewdzięcznością

Prażan, przedsięwziął iść ze słowem wiary świętej pomiędzy dzikie Prusaki.

Było to prawie u schyłku zimy. Chrobry, dowiedziawszy się o zamiarze św. Wojciecha, usiłował zrazu odwieść go od téj myśli, przedstawiając mu trudy i niebezpieczeństwa tak dalekiej drogi; lecz czém więcej mówił książę o niebezpieczeństwach, tém większym weselem i niecierpliwością płonęło serce Wojciechowe, tak iż Chrobry ujrzał wnet, że myślą tą Pan Bóg go natchnął, i że od zamiaru apostołowania między poganami nic go już nie odwiedzie.

Minęła zima; śniegi po polach topniały, a po rzekach i stawach puszczały lody pod oddechem wiosny. Żadna siła ludzka nie zdołała już dłużej utrzymać św. Wojciecha. Więc w marcu już ruszył z miejsca i szedł przez Wielkopolskę ku Prusom, nauczając po drodze, mszę świętą odprawiając i wiele dobrego świadcząc ubogim ludziom. Wszędzie przyjmował go też lud z czcią nie małą jako swego ojca i nauczyciela i wszędzie ślady przechodu i czynów jego aż po dziś dzień w powszechnem są poważaniu. Tak idąc i żegnając się z ludźmi przybył Wojciech św. nad Wisłę, a tu znalazł już Łódź, którą Bolesław umyślnie dla apostoła Chrystusowego przysposobić kazał. Jeszcze raz więc pobłogosławił krainę, w której nie długie wprowadzie lecz szczęśliwe przepędził chwile, a potem wsiadł na statek z bratem Ra-

dzymem i kapłanem Benedyktem i na usilne prośby wiernych wziął też trzydziestu żołnierzy, których mu Chrobry ku obronie i bezpieczeństwu przeznaczył. Zaigrały fale wiślane, plusnęły wiosła, i łódź sunęła się szybko, a Wisła szumiała cicho, niby z radości, że tak wielkiego męża nurty jej dźwigają.

Płynęli szczęśliwie nasi podróżni i przyплыnęli do Gdańska, miasta zbudowanego nad morzem, gdzie wysiedli z łodzi dla zaopatrzenia się w żywność na dalszą drogę. A mieli się w co zaopatrzyć, gdyż Gdańsk, był już i podówczas wielce handlowém i majątném miastem. Lecz między mieszkańcami Gdańska trwało, jeszcze wielu w pogaństwie; więc Wojciech święty ogłaszał słowo Boże i nawracał lud, a potem odprawił jeszcze mszę świętą, po której, pożegnawszy nowo nawróconych, wrócił z towarzyszami do łodzi i wypłynął na otwarte morze. I tak płynęli i płynęli kilka dni na wschód, aż wreszcie przybili do brzegów pruskich, w okolicy dzisiejszego miasta Królewca. Ztąd odesłał święty Wojciech owych trzydziestu żołnierzy nazad do Polski, a sam w kościelne szaty odziany z dwoma towarzyszami wstąpił na ziemię nieznaną.

I byli ci trzej apostołowie jakby poza światem: morzem od ojczyzny oddzieleni, a przed nimi obce okolice, obcy i dzicy mieszkańcy. Nie przemocą ani postrachem, tylko miłością i poświęce-

niem przyszli oni wiarę świętą w poganach zaszczeptać; więc nie mieli żadnej broni, prócz serc miłości pełnych, prócz nadziei, którą w Panu swoim Jezusie Chrystusie pokładali. A Wojciech święty modląc się, powtarzał z psalmistą pańskim:

— Pan pomocnikiem moim: nie będę się bał, coby mi uczynił człowiek. Pan pomocnikiem moim: a ja gardzę nieprzyjaciołmi moimi!... Pan oświecenie moje i zbawienie moje, kogóż się będę bał? Pan obrońca żywota mego, kogóż się będę lękał? Choćby stanęły przeciwko mnie wojska, nie będzie się bało serce moje! —

Przebywszy pobliską rzekę weszli apostołowie w głąb kraju. Było to w sobotę. Najstarszy z pierwszej osady przybliżył się do nich około wieczora, a gdy mu Wojciech święty opowiedział, po co na ziemię pruską z dalekich krajów przybywa, zaprosił go wraz z towarzyszami do siebie. Rozeszła się wnet po osadzie wieść, że jacyś dziwni podróżni przybyli. Zebrał się tedy liczny tłum ciekawością zdjęty, co to za goście w ich siole. Więc Wojciech święty wyszedł do ciekawej gawiedzi i rzekł:

— Przybywam z ziemi polskiej, którą chrześcijański Bolesław sprawuje. Jestem sługą tego, który stworzył niebo i ziemię i wszystko co się znajduje. Z natchnienia tego Wszechmocnego Boga chcę zostać apostołem waszym, chcę, abyście porzuciwszy głuche i nieme bałwany, poznali Stwórcę

waszego, Boga jedynego, abyście umyć chrztem świętym w Chrystusie się odrodzili i osiągli przezeń królestwo niebieskie.

Na te słowa powstała wielka wrzawa między poganami: jedni jęli się odgrażać, a drudzy wyśmiewać ze słów świętego apostoła, ale nikt się palcem nie tknął ani jego ani towarzyszy, choć byli tacy, co pałkami wywijali wołając:

— Wasze szczęście, że wam dotąd jeszcze uszło bezkarnie; ale jeżeli się nie uratujecie szybką ucieczką, to niechybnie zginiecie.

Ze spokojem i pokorą słuchał Wojciech namiętnych pogroźek, a gdy się tłumy wśród dzikich okrzyków rozeszły, powrócił z towarzyszami do łódki i odpłynął. Płynęli, i była już późna noc gdy przypłynęli do jednej wioski i tam na ląd wyszli. Wszyscy się czuli znużeni wiosłowaniem, więc dostawszy się tylko do brzegu, rzucili się na trawnik i zasnęli mocno.

Za ukazaniem się jutrzeńki powstał Wojciech święty wraz z towarzyszami, i znowu śpiewając psalmy, ruszyli w głąb pogańskiego kraju. A szła im droga przez las, gdzie jeszcze śniegi leżały od zimy i wiatr dał chłodny, a nie było suchego miejsca, gdzieby spocząć. Więc szli dalej i dalej śpiewając pieśni nabożne. Aż około południa wyszli przecież na równe pole, gdzie tylko w oddali widać było dąb niezwykłej wielkości i znowu las. Więc tu brat Radzym odprawił mszę świętą, przy

której Wojciech ciało i krew Pańską przyjął, jak gdyby na śmierć się gotując. Potem dla posilenia się wypił odrobinę miodu i przydybawszy cokolwiek suchego miejsca spoczął, a towarzysze jego także, na rzut kamienia odeń oddaleni. Drogą i niewczasem strudzeni, usnęli wnet wszyscy.

Nie wiedział mąż święty, że spoczął w *Romowe*, w gaju, pogańskim bogom poświęconym, którego nikomu z obcych pod karą śmierci nie wolno było przestąpić. To też ledwie zasnęli apostołowie nasi, wypadła z lasu gromada ludzi, a widząc trzech mężów spiących na polu, bogom poświęconém, rzucili się na nich i skrępowali sznurami. Gdy się ocknął Wojciech święty, ujrzał już towarzyszy skrępowanych i poznał, że się przelękli; więc jął ich pocieszać, mówiąc:

— Nie smućcie się bracia! Wszak wiecie, że to ponosimy dla imienia Pana, a cóż może być szczęśliwszego jak umierać za Niego?

I mówiąc to był spokojny i jakby jaśniejący czystością sumienia. Więc to rozgniewało jeszcze bardziej owego poganina, który ich podpatrzył: z wściekłością wypadł z tłumu i utopił włócznię w piersiach świętego Wojciecha... krew niewinna plusnęła z głębokiej rany, a na jój widok wypadła rozjuszona zgraja i siedmiu włóczniami przeszła ciało męczennika. A Wojciech święty zebrawszy ostatek sił, wzniosł rozwiązane ręce z kornającym wzrokiem ku niebu i błagał Zbawiciela

o swoje i swych zabójców zbawienie. Potém padł rozkrzyżowany na ziemię i Bogu ducha oddał. . . . A stało się to w rok po przybyciu Wojciecha do Polski.

Podczas téj zbrodni leżeli Radzym i Benedykt opodal skrępowani. Poganie, zabiwszy świętego apostoła, jęli się pastwić nad jego ciałem, i zapomnieli o skrępowanych towarzyszach Wojciecha. Więc Radzym i Benedykt skorzystali z zamieszania: uwolnili się z więzów i poczęli uciekać, i tak się pan Bóg nimi w drodze opiekował, iż uciekli, a przez całą pruską ziemię się przedarłszy, po tysięcznych trudach do Polski przybyli.“

Na tém zakończył nauczyciel czytanie, i wszyscy byli przejęci historią męczeństwa św. Wojciecha. Ponieważ zaś nawiązała się rozmowa o czasach wcześniejszych i późniejszych, a pani Tomaszowa chciała się dowiedzieć, co się stało z ciałem św. Wojciecha, które gdzieś podobno na polskiej ziemi spoczywa, więc nauczyciel tak jeszcze dalej rozповідаł:

— Bolesław Chrobry dowiedziawszy się o śmierci św. Wojciecha, wykupił ciało jego z rąk pogan. Z wielką okazałością przewieziono je do Gniezna, gdzie zostało w bogatej trumnie złożone. Panował podówczas w Niemczech cesarz, imieniem

Otto, który zasmucił się wielce, gdy go doszła wieść o męczeństwie św. Wojciecha, i postanowił grób jego w Gnieźnie odwiedzić. Bolesław dowiedział się o tym zamiarze cesarza, zgromadził w koło siebie co najprzedniejsze rycerstwo, i z tym poczetem powitał cesarza na granicy ziem polskich. Powitanie było uprzejme i obaj władzcy udali się do Gniezna, do którego to miasta wchodził cesarz pieszo dla uczczenia zwłok świętego męczennika. Przyszedszy tu, padli obaj mocarze na kolana i zasyłali modły do Boga, poczem Chrobry zaprosił cesarza do siebie na wspaniałe goody.

Otto i jego rycerze nie mogli się wydziwić bogactwom, jakie przed nimi księżę polski rozwinął; przez trzy dni trwały uczty, a przy każdej było podostatkiem złotych i srebrnych naczyń. Bolesław hojnie obdarował swych gości, co widząc cesarz, także wystąpił z upominkami, a przy uczcie pożegnalnej zdjął z głowy cesarską koronę i włożył ją na skronie Bolesławowe, mieniąc go królem i bratem.

Hojnemi były też dary tak Ottona jak i Bolesława, któremi przyozdobili ostatni przytułek zwłok świętych, katedrę Gnieźnieńską. Jakoż do dziś dnia spoczywają w tej świątyni zwłoki św. Wojciecha, a spoczywają na osobnym ołtarzu w srebrnej, kosztownej trumnie, głowa zaś świętego oddzielnie w starożytniej skrzynce złocistej. Do świątyni prowadzą wielkie podwoje spiżowe,

na których cała historia św. Wojciecha pięknie jest wyrzeźbiona. —

Pani Tomaszowa była zadowolona tém zakończeniem powieści o św. Wojciechu. Słuchała z uwagą słów nauczyciela, a gdy skończył, rzekła:

— Jak to pięknie, że potężni monarchowie nie wstydzieli się oddać czci cnotom i poświęceniu męża świętego! Zapewne potem i ci Prusacy przyjęli wiarę chrześcijańską i żałowali swęj zbrodni!

— Nie tak to wnet nastąpiło — odezwał się nauczyciel — długi czas trwali jeszcze w pogaństwie i Prusowie i Litwini, i nie mało jeszcze krwi pociekło, nim się i po ich ziemi rozeszła światłość wiary Chrystusowej. Za panowania Bolesława Chrobrego popadał jeszcze i w ziemiach polskich gdzie niegdzie lud w pogaństwo, i potrzeba było jeszcze długiej pracy duchownych, nim się wiara chrześcijańska w sercach naszych pra-ojców należycie utrwaliła. Trzeba bowiem wiedzieć, że Bolesław Chrobry był dopiero drugim z kolei chrześcijańskim księciem w Polsce, a ojciec jego Mieczysław I, był jeszcze w pogaństwie wychowywany i dopiero jako panujący chrzest św. przyjął i wiarę chrześcijańską w Polsce zaczął rozkrzewiać.

— Jeżeli się nie mylę — przerwał Tomasz — to ci książęta pochodzili podobno z kmiećj rodziny.

— Tak jest — rzekł nauczyciel — pochodzili z rodu Piasta, który był kmieciem i kołodziejem

i uprawiał rolę w Kruszwicy nad jeziorem Gopłem. Każdemu znana jest piękna powieść o Piaście, który objął rządy po złym księciu Popielu; ja nawet umię na pamięć ładny śpiew historyczny o tym praojcu królewskiego rodu.

— A to prosimy i z nami się podzielić — zawołał wesoło Górka — bo to jak mówią: *uszy słuchając, język mówiąc, ręce zgarniając a serce pożądając, nigdy się nie nasycą.*

Uśmiechnął się nauczyciel na to stare przysłowie, a że zawsze był chętnym wszystkim się dzielić z innymi, więc i teraz na zakończenie powiedział następujący wiersz o Piaście.

PIAST.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu
Karząc zbrodni doświadczał prawicy,
Naród, chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruszwicy.

Stały nad Gopłem Sławiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerzy staliste;
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.

Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody;
Na głośnych sprawach czas upływał drogi;
Głód się czuć dawał, a obce narody
Szerzyły w Polsce najazdy i trwogi.

Ale Bóg dobry spojrział na Polaków,
 Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował.
 W pośród Kruszwicy spokojnych wieśniaków
 Był Piast, co bogów i ludzi miłował.

Znaną sąsiadom była na około
 I dobroć jego i gościnna hojność;
 Znajdował, lemiesz prowadząc wesoło,
 W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł świetny dla skromnej drużyny,
 Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
 Pierworodnego syna postrzyżyny
 Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
 Od rana całym trudnią się obchodem:
 Stół zastawiają tłustemi mięsami,
 I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody.
 Pierwszemi dary już uczczone bogi,
 Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
 Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem pochyloném
 Proszą, by miejsca chcieli zasiać swoje;
 Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
 Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
 A lud zgodnemi zawował głosami:

„Piast luby bogom — pocóż czekać więcej?
Niech będzie królem, rządzi Polakami! „

„Większej — mąż rzeczy — potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludzi woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwej mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli.“

Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparłszy, siedział pod jaworu cieniem;
Znów przed dom jego ciż sami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promieniem.

Postać ich niebian mieszkańców wskazuje:
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekli do Piasta: „Pan, co mieszka w niebie,
Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
Aniołów swoich przysyła do ciebie
Z rozkazem, żebyś wziął Polską koronę.“

„Szanuj z pokorą świętą jego wolę;
Wielkie on Polsce zakreśla zawody,
Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
Da wam zwycięstwa, chwałę i swobody.“

„Z plemienia twego dzielni wojownicy,
Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,

Na wschód i zachód kres państwa granicy
 Naznaczą w rzekach żelaznemi słupy.“

„Przez dziewięć wieków ród wasz istnieć będzie,
 A po was inni tron Piastów osiedlą,
 Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rządzie,
 A cne książęta hołdować jej będą.“

„Ale pomyślność przywiedzie zepsucie
 Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,
 Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie,
 I kraj ten obce rozszarpia narody.“

„Dnia ostatniego głos trąby straszliwy
 Zagrzmie już dla was w pośród gromów bicia,
 Gdy Bóg wszechmocny, zawsze litościwy,
 W oziębłych zwłokach wskrzesi iskrę życia.“

Tu znikły męża w światłości powodzi —
 A Piast zdziwiony pozostał samotnym;
 Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
 Jak woń fiołków po dészczu wilgotnym.

Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzeńki blaskiem
 Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi;
 Wita go panem z radośnym oklaskiem,
 I na królewskie komnaty prowadzi.

Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
 Świetną koroną uwieńczył swe skronie,

A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić na tronie.

„Ziomkowie — rzeczce — kiedy mam panować,
Gdy wy i same nieba tak zrzędziły,
Zaklinam, chciejcież rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły.“

ROZDZIAŁ V.

Rozmowa w ogrodzie u Górki.

Prześliczny był to poranek wiosenny i już nie wiem co za dzień świąteczny, gdy pan Tomasz otworzył furkę do ogrodu sąsiada i wszedł do środka. Słońce niedawno co było wstało z pościeli różowych obłoków, na trawach świeciły się krople rosy, cały ogród był napełniony wonnym, orzeźwiającym powietrzem. Górka i dwaj jego siostrzeńcy uwijali się to między grządkami warzywnymi i kwiatowymi, to w sadzie. Pan Tomasz ruszył ścieżką, wysadzoną agrestowemi i pożyczkowemi krzakami, i zmierzał wprost do Górki, który z wielkiej ogrodowej konewki polewał właśnie rozsądę karfiolową w inspektach.

— Daj Boże szczęście! zawołał pan Tomasz już z pewnej odległości.

Dopiero wtedy spotkał go Górka; obrócił się więc, a uchylając kapelusza słomianego z dużemi kryszami odrzekł: — Daj Panie Boże! Dobry dzień sąsiedzie! — i przywitali się obaj serdecznie.

— Czy święto, czy nie święto, rychło się do pracy zabieracie — zauważył pan Tomasz — i pewnie najpierwsi jesteście na nogach.

— Ba, a od czegoż byłbym tu gospodarzem? — rzekł Górka nie przerywając swego podlewania — Gospodarz powinien pierwszy wszystkiego doglądać. Wiedzieli o tém nasi ojcowie, skoro mawiali: „*W tém się polu dobrze rodzi, po którém gospodarz chodzi.*“ i wiedzieli także, że czém wcześniej się do tego gospodarz zabiera, tém lepiej, bo mawiali: *Kto nierychło chodzi, ten sam sobie szkodzi — a kto rano wstaje, temu pan Bóg daje.*“ Co zaś do święta, kochany sąsiedzie, to już takie nasze zajęcie, że święta znać nie chce. Czy niedziela czy poniedziałek, moje rośliny dopominają się: pić! i nie mogę im tego odmówić, chyba wtedy, gdy mnie pan Bóg dęszczykiem wyręczy. Nie myślę jednak, żebyśmy dzień świąteczny obrażali tém, że pracujemy godzinę poranną, podlewając nasze roślinki. Wszakże i one także, jak i najdrobniejszy robaczek, są w opiece bożej, a tę opiekę Bóg przez nasze ręce wykonuje; nie gniewa się téż za to, że im nie pozwalamy ginąć w dniu świątecznym. Nim zadzwonią na mszę, już ja dawno będę po robocie, i ubrany w niedzielną bekieszę posunę z wami do kościoła. —

Pan Tomasz przyznał, że w ogrodnictwie robota nie może świętować, i przypatrywał się pięknej rozsadzce, i spoglądał z pewną dumą na

swoję robotę, na porządne ramy okien inspekto-
wych. Tuż obok leżały zsunięte z okien słomiane
maty, kroplisty pot okrywał szyby z wewnątrz,
ramy, dopiero co podniesione i wsparte na koł-
kach, przepuszczały do środka ogrzane już nieco
powietrze.

— Ależ tym waszym karafiołom to tu tak
jak w parowej łaźni! — rzekł z uśmiechem pan
Tomasz.

Najprzód — odparł Górka jak gdyby z urazą —
nie same ja tu mam karafioły! Ot, jest i sałatka
i rzodkiewka, które już wnet pójdą do gruntu,
prosto za selerami, które tu także były zasiane;
będą smaczne melony i kawony, a tu wylézą z zie-
mi ogóreczki, dopiero na św. Stanisława zasiane;
tu zaś, pod tém oknem, są różne piękne kwiaty,
z których nie jedna dziewczeczka wielką będzie miała
uciechę . . .

— No, to wszystkim tym dobrym rzeczom —
przerwał Tomasz — bardzo tu przyjemnie, bo aż
para osiadła na oknach, takie ciepło bije od ziemi.

— Ba, od czegoż byłyby inspekta, gdyby nie
było ciepło? — zawołał Górka. — Nie mało mnie
to pracy kosztowało, nim je założyłem, alem so-
bie powiedział: *Pana Boga prosz, a ręki przykła-
daj* — i przyszedłem do dobrych inspektów.

Najprzód jednej jesieni pojechałem do lasu,
a ukopawszy tam ziemi nie kwaśnej z dołków,
do których wiatr namiótł liści, a te się obróciły

w pruchnicę, przerzuciłem ją przez rafe, aby była jak najdrobniejsza, i przywiozłem ją do ogrodu. Leżała tu przez cały rok, a w ciągu tego czasu przerabiałem ją kilka razy, przesypując co nieco popiołem, wygrzebanym z pieców w ciągu zimy. Kopczyk téj ziemi, którą ciągle dowożę i przerabiam, widzicie tu obok. Z rzeczy na pozór nic nie znaczących, bo z różnorakich odpadków, z próchna i popiołu, który kto inny wyrzuca, wygrzebuje ja złoto, którego mi zazdroszczą, i które każdy mógłby wygrzebywać, gdyby tak jak ja nie żałował ręki. Grzebię więc i mówię sobie: „*Na co kura grzebie? na to, ażeby coś wygrzebała.*“

Ale wracam do inspektów! Otóż mając ziemię przygotowaną, wykopałem tu w jesieni rów na sążeń szeroki a z półtora łokcia głęboki, i ziemię z niego wyłożyłem na około, bo i ona przyczynia się do ochrony mych grządek inspektowych. Potem uzbierałem liścia, opadłego z drzew i napełniłem nim rów przed nadejściem zimy, ażeby dno i boki rowu nie zostały przejęte mrozem, któryby wiele przeszkadzał do utrzymania ciepła. Przygotowałem téż nad rowem gnój przetrawiony i masy, ułożywszy go w kupę półkulistą, aby najmniej stygł i ubiwszy go mocno, aby się zagrzał.

Gdy nadszedł luty, zabrałem się do założenia inspektów. Wyniosłem tę mocną skrzynię o pięciu oknach, aby była pod ręką, zrzuciłem z nad rowu górny, nastroszoną warstwę liści wraz z śniegiem,

resztę zaś liści tak mocno ubiłem, że zajęły tylko spód rowu. Na ten pokład zrzuciłem przygotowany gnój, wypełniłem nim rów po brzegi i także go dobrze ubiłem. Uczyniwszy to, postawiłem na gnoju skrzynię, a to jak widzicie w ten sposób, że tylna jej ściana, znacznie wyższa od przodowej, zwrócona jest ku północy, niższa zaś frontowa ku południowi, w skutek czego nakrywa z okien zawsze na słońce jest wystawiona. Do tak ustawionej skrzyni nasypałem mój przerobioną, pruchnicową ziemię na wysokość dziesięciu cali, boki skrzyni obłożyłem jeszcze dobrze gnojem, a z wierzchu nakryłem ją oknami. Z temi oknami miałem największą biędę, bo dopókiście mi nie zrobili tych pięknych i tak dobrze przypasowanych ram, była to najdziwaczniejsza i rozmaicie połatana zbieralnina różnych starych okien i okienek. I otóż inspekt był gotowy. To tylko jeszcze zapomniałem dodać, że się postarałem o te sute maty z długiej i dobrze myłconej słomy żytniej. Bez tych mat nicby mi się nie udało, bo one są ochroną i przed mrozem i przed słońcem zbytym; bardzo też roztropnie trzeba się z niemi obchodzić.

W takich świeżo założonych inspektach bywa czasem zbytym gorąco; trzeba zatem uważać, żeby ziemia zanadto nie parzyła. Nie powinno być więcej nad 40 stopni ciepła. Gdyby się zaś do marca zanadto ochłodziła, trzeba skrzynię świeżym obłożyć gnojem. Roślinkom w inspektach po-

trzebne jest także świeże powietrze. Trzeba więc okna podnosić i przewietrzać, ale z wszelką ostrożnością, wtedy mianowicie, gdy zewnętrzne powietrze dość jest ocieplone.

— Gdyżby inaczej roślinki pomarżyły — odezwał się niespodziewanie jakiś głos poza plecami Górki i Tomasza.

Z zdumieniem odwrócili się obaj i dopiero spostrzegli nauczyciela Zarebskiego, który ich uprzejmie powitał. Od chwili wszedł on już był do ogrodu i zbliżył się do inspektów, wysłuchał nawet z połowę opowiadania Górki, lecz obaj nasi sąsiedzi tak byli zajęci rozmową, że go nie spostrzegli, dopiero wtedy, gdy z poza ich pleców przemówił.

Zarebski oglądał także szczegółowo inspekta, chwalił ich założenie i podziwiał jak bardzo flance podrosły, gdyż je był przed trzema dniami oglądał.

— Nie dziwota — rzekł z uśmiechem pan Tomasz — że tu wszystkie roślinki takie są zdrowe i tak prędko rosną, bo czują nad sobą gospodarza i ojca, który je zna dobrze i umie im dogodzić. Ręczę, że nasz Górka to nawet słyszy jak trawa rośnie.

— Ba, tej sztuki to podobno jeszcze nikt nie dokazał — zawołał wesoło Górka — choćby miał niewiedzieć jak dobry słuch!

— Zapewne, że słyszeć jak rośliny rosną, to rzecz niemożliwa — przerwał Zarebski — lecz widzieć jak rosną, to wcale nie sztuka.

— A to jakim sposobem? — zapytali na raz obaj sąsiedzi, zwracając się do nauczyciela.

— Jakim sposobem? — rzekł Zarebski. — Bardzo prostym. Oto takim, jak to ja w tej chwili uczyniłem. Widziałem te roślinki przed trzema dniami i spojrzawszy na nie dzisiaj i widzę, że znacznie urosły. Gdybym miał delikatną miarę i gdybym był nią zmierzył listeczki roślin przed trzema dniami i dzisiaj, to byłbym nawet się dowiedział o ile urosły, a gdybym to robił co dzień tobym nawet wiedział o ile ich co dzień przybywa.

Obaj starzy roześmieli się na to tłumaczenie.

— A to nas zażył z mańki! — zawołał śmiejąc się Górka.

— Prawda, że tak to nie trudno widzieć, jak roślina rośnie — rzekł Tomasz — każdy to potrafi. Lecz żeby dojrzał jakim sposobem się rozszerza i przyrasta, żeby na samo rośnięcie się patrzył — tej sztuki nie dokaże.

— Owszem — rzekł nauczyciel — i to można widzieć!

— Chyba nie gołym okiem! — rzekł niedowierzająco p. Tomasz, który przeczuwał znowu jakieś zgręczne wyjaśnienie.

Lecz Zarebski nie myślał wcale żartować so-

bie ze starszych od siebie ludzi. Nie żartem więc lecz całkiem poważnie tak rzecz tłumaczył:

— Goleń okiem nie wiele można dojrzeć wewnątrz rośliny. Gdy weźmiemy miazgę łodygi lub liścia, wydaje się nam wilgotną masą i nie więcej. Lecz wcale inaczej wygląda ona, gdy się na nią patrzymy przez szkło powiększające, zwane drobnowidzem, czyli *mikroskopem*. Jestto delikatna tkanka, złożona czy to z drobnych komórek, nito plaster miodu, czyto z dziwnie utworzonych i pozwijanych rurek, zwanych naczyniami. Jeżeli więc przez taki drobnowidz spojrzymy na drobniutką cząstkę wodorostu w kropli wody, t. j. na jedną z tych roślin, które to tak prędko w naszych stawach się rozmnażają, to możemy widzieć jak obok jednej komórki tworzą się inne, czyli jak roślinka rośnie.

Będąc na naukach w stolicy, patrzyłem nieraz przez mikroskop na rośliny i zwierzątka, a widząc cudowną ich budowę wewnętrzną, tém więcej korzyłem się przed mądrością i potęgą Stwórcy, który zdołał w najdrobniejszej rzeczy świat nasz tak cudownym uczynić. Pod dobrym mikroskopem można widzieć przedmioty trzysta i czterysta razy powiększone. Nic, wygląda wówczas jak lina okrętowa; szczyłek motylego skrzydła jak dach pokryty barwnymi dachówkami, z których każdą z osobna można dokładnie rozróżnić; włos wełny wydaje się grubym jak ramię rogiem, komar wyra-

sta do łokciowej długości. Gdybyśmy przez taki mikroskop mogli patrzeć na całego człowieka, mierzącego pięć i pół stóp, to wydawałby się nam na 366 sążni wysokim, a piersi jego mierzyłyby 83 sążni. Otóż pod takim to mikroskopem wydaje nam się komórka roślinna mniej więcej taką, jak komórka w plastrze miodu; możecie więc sobie wyobrazić, jak małą jest w rzeczywistości, i jak wiele tych komórek musi w każdej chwili roślinie przyrastać, kiedy na każdej niemal roślinie, zwłaszcza na wiosnę, można codzien spozrzędz przybytek! Obliczono w przybliżeniu, że w wielkich grzybach, które czasem w ciągu jednej ciepłej nocy wyrastają, tworzy się w każdej minucie po 20000 nowych komórek!

— Ba! — przerwał Górka — niedarmo też mówią, że *„wyrósł jak grzyb po deszczu“*.

— Komórki — ciągnął dalej Zarębski, widząc, że go z zajęciem słuchają — utworzone z cieniutkiej, elastycznej błonki, przybierają rozmaite kształty. Jużto są sześciokątne, jużto wyglądają jak kulki lub woreczki, jużto wreszcie jak niteczki, co widzimy w lnieniu, konopiach, w bawełnie, w łyku drzewnym czyli bieliu i t. p., które nie są złożone z niczego innego, tylko z długich komórek o grubszej i mocnej błonce komórkowej. Gospodynie nasze są nieraz w wielkim kłopotcie nie mogąc rozróżnić, czy w jakiej tkaninie len z bawełną, lub wełna z bawełną są pomieszane.

Dla człowieka mającego mikroskop i znającego się na tém, nie jestto żadną trudnością; łatwo pod nim rozróżni każdą niteczkę z osobna, gdyż każda choć cieniutka, przecież inaczej jest zbudowana. Tak samo można pod mikroskopem rozróżnić rozmaite gatunki drzewa, choćby niewiedzieć czém były napojone, a to po kształcie i układzie komórek drzewnych.

Komórki korzenia wysysają z ziemi pożywienie dla całej rośliny, a wysysają je tylko wtedy, gdy takowe rozpuszczone jest w wodzie, czyli w wilgoci, którą ziemia w sobie zawiera. Ztąd też potrzebne są deszcze i podlewanie roślin, gdyż jeśli pożywienie nie jest płynne, t. j. w wodzie rozpuszczone, natenczas nie może przesiąkać przez komórki, nie może się rozchodzić po całej roślinie i dostarczyć materiału do budowy nowych komórek, czyli do rośnięcia, kwitnięcia, wydawania owocu i t. d. Gdy wilgoci roślinie zabraknie, natenczas usycha, ginie; komórki jej skurczają się i są próżne, przez co cała roślinka staje się znacznie lżejszą od żywej, której komórki pożywną cieczą są napełnione.

W drzewach nie wszystkie komórki przewodzą żywność z ziemi, od korzenia, aż do liści i kwiatów. Gdy pień drzewa zgrubnieje, natenczas wewnątrz pnia grubnieje coraz bardziej błona komórek, tkanina staje się coraz mniej przydatną do przewodzenia soków pożywnych i zamięra niejako, drewnieje, zachowawszy

tylko pewną część wilgoci. Natomiast w zewnętrznych warstwach drzewa, a mianowicie pod korą, w bielu krążą soki z nadzwyczajną żywością, dostarczając środków do wytwarzania coraz to nowych warstw komórek, z których się składa łyko. Przekonał się o tém nie jeden pastuszek, nacinając np. korę brzozy, z pod której, zwłaszcza na wiosnę, cieknie pożywny sok słodki jak z beczki. Jakoż w bielu zbiega się całe życie drzewa; widzimy to najwyraźniej na brzozach, z których odarto korę dla wyrobu dziegiu, i na wierzbach staruszkach. Pierwsze cierpią wprawdzie, jeśli je całkowicie pozbawiono kory, lecz nie przestają żyć, bo nie zdarto z nich bielu; stare wierzy zaś są częstokroć tak wypróchniałe, że się do środka całkiem schować można, a mimo to żyją, bo życie ich utrzymuje się głównie w bielu pod korą, a nie w rdzeniu drzewa. Jeżeli jednak obrąbiemy pień drzewa na około w ten sposób, że wraz z korą wyłupiemy i biel aż do twardej rdzeni, wtedy drzewo niezawodnie uschnie, bo zabraknie na pewnej przestrzeni komórek, które ciec pożywną od korzeni do gałęzi i liści przewodziły.

Oprócz cieczy znajdujemy czasem w komórkach także i stałe ciała. I tak w komórkach liści znajdują się drobnutkie zielone kuleczki, od których pochodzi ta piękna zielona barwa wszystkich traw i drzew. Gdy te kuleczki pożółkną i zoczerwienieją, żółte i czerwone stają się liście

w jesieni. Barwa kwiatów pochodzi także od podobnych kuleczek, jak np. w żółtych kwiatach, lub od barwistych soków w komórkach. W innych znów komórkach osadza sok roślinny drobne kryształki i ziarneczka różnych soli; w komórkach nasion lub kartofli chowają się liczne kuleczki krochmalu, który nam w mące tak bardzo jako pożywienie jest potrzebny. Nie jedna żniwiarka dziwiła się, skąd to pochodzi, że przy żyznaniu zboża sierp tak prędko się tępi. Pod mikroskopem łatwo dociec przyczyny. Oto w zewnętrznych komórkach słomy zbożowej, trzciny, sitowia i wielu traw osadza sok roślinny drobniutkie, ostre a twarde kryształki krzemionki, téj krzemionki, która w ziemi znachodzi się jako piasek i po odrobinie wraz z innymi częściami ziemi do soku roślinnego przechodzi. Też same kryształki służą także stolarzowi lub blacharzowi, gdy skrzypem delikatne drzewo lub cynę polerują, bo w komórkach łądyg skrzypiu są one także całemi kupkami nagromadzone.

— Z tych ciekawych rzeczy, które nam opowiadacie — rzekł poważnie Górka, gdy Zarębski przerwał na chwilę — zdawałoby się, że rośliny całe swoje życie tylko z ziemi czerpią, gdy tymczasem ja wiem z doświadczenia, że choćby miały i najlepszą ziemię, nie zdołałyby żyć bez powietrza i światła.

— Bardzo słuszna uwaga! — odezwał się nauczyciel — Tylko przy pomocy wilgoci, światła i

powietrza mogą rośliny korzystać z tego pokarmu, który jest w ziemi złożony. Trzeba bowiem wiedzieć, że podczas gdy korzenie ciągną pokarm ze ziemi, liście rośliny, oddychając niejako, sprawiają dopiero to, że sok roślinny przetwarza się w komórki i nowe części rośliny.

Wiedziecie o tém, że powietrze jest mieszaniną różnych gazów, a szczególnie dwóch, t. j. *azotu i kwasorodu* czyli *tłenu*. Ten ostatni gaz, jest prawdziwym gazem życia; bez niego nie mógłby człowiek żyć, gdyż jest mu niezbędnie do oddychania potrzebny; bez tlenu ustałoby wszelkie palenie, gdyż on podnieca palenie, czyli *tlenie*, od czego téż go nazwano. Wiedziecie także, bo można się o tém z palenia przekonać, że składową częścią roślin, drzew, ciała zwierząt, czyli jedném słowem wszystkich żyjących, tak zwanych *organicznych* ciał, jest węgiel. Otóż ten węgiel, złączony z tlenem czyli kwasorodem, tworzy także gaz, który od kwasowatego smaku kwasem węglowym się zowie, i także w małej części w powietrzu się znajduje. Przypatrzmy się teraz do czego te gazy w powietrzu roślinom, a do czego człowiekowi i zwierzętom są przydatne.

Człowiek i wszelkie zwierzę oddychając, wciąga wraz z powietrzem kwasoród, który się tam spotyka z ciepłą, czarną krwią, i łączy się chciwie z cząsteczkami węgla, zawartemi we krwi. Z tego połączenia powstaje kwas węglowy, który płuca na

zewnątrz wydychają. I tak każdym odetchnięciem wzięwa człowiek kwasoród, a wyzięwa kwas węglany.

Zupełnie na odwrót odbywa się oddychanie u roślin. Przez niewidoczne dla gołego oka szparki na powierzchni liści wciągają one chciwie kwas węglowy z powietrza, gdyż węgiel jest im do budowy komórek potrzebny, wyzięwiają zaś niepotrzebny kwasoród. Trzeba jednak wiedzieć, że to wyzięwanie kwasorodu i przyswajanie sobie węgla może się tylko odbywać pod wpływem promieni słonecznych. W nocy, gdy słońca nie ma na widokregu, zasypia niejako roślina (z wyjątkiem grzyba, który w nocy ukradkiem wyrasta), i nie tylko przestaje wzięwać kwas węglowy i przyswajając sobie węgiel, ale nawet wyzięwa niezużyte w ciągu dnia zapasy węglowego kwasu. Tym to sposobem oddychania roślin możemy sobie bardzo jasno wytłumaczyć, dlaczego n. p. powietrze w lesie jest w ciągu pięknego słonecznego dnia dziwnie orzeźwiająca, a w nocy nieco duszna; w dzień znajduje się w nim dużo wyzioniętego z roślin, a dla płuc bardzo pożądanego kwasorodu, w nocy zaś, miesza się z powietrzem wyzięwany przez rośliny a dla płuc zabójczy kwas węglowy.

Oprócz gazu wyzięwiają także rośliny znaczną ilość pary wodnej, a to pod wpływem ciepła, które wodę ich soku roślinnego w parę zamienia. Im większe jest ciepło, tém więcej pary wyzięwa

roślina, a wskutek tego tém więcej wilgoci wyciąga ze ziemi i tém prędzej wytwarza komórki i tkaninę. Jakoż widzimy, że w inspektach, gdzie się zawsze utrzymuje znaczną ilość ciepła, roślinki bardzo prędko rosną; w gorących krajach, gdzie nie ma długich jesieni i zim, a słońce mocniej niż u nas dogrzewa, wyrastają rośliny prędko do niewidzianej u nas wysokości; na wiosnę, gdy wczesne zawitają ciepła, wszystko rośnie jak na drożdżach, bo w ziemi dość jest wilgoci, więc soki prędko parują. Zupełnie inaczej w jesieni i zimie. W zimnym powietrzu, pod zachmurzonym niebem, przestają rośliny parować; krążenie soków i wytwarzanie komórek staje się coraz powolniejsze. Do liści na drzewach nie dochodzi już pożywienie, więc żółkną i opadają, a gdy mróz pociśnie, przycicha życie i w pniu, drzewo po nad ziemią zasypia i zdaje się jak martwe. Tylko głęboko, w ciepłych i wilgotnych warstwach ziemi, czuwają korzenie, z których znowu życie po całym drzewie się rozchodzi, gdy minie sen zimowy.

A więc żyznej ziemi, wilgoci, ciepła, słońca i powietrza potrzeba roślinie do życia, t. j. tego wszystkiego, o co tak dobrze dba nasz pan Górka w inspektach. Roślinki rosną wtedy na pożytek i pociechę ludzi, a gdyby wcale na ziemi nie rosły, toby zwierzęta i człowiek marnie zginąć musieli, nie tylko dlatego iżby im pożywienia zabrakło, lecz także i dlatego, iżby nie stało czy-

stego powietrza. Takto bowiem cudownie urządził Wszchemocny Stwórca, że co zwierzę wydycha, to wziewa roślina, zaś co ona wyziewa, zwierzęciu do wdychania niezbędnie potrzebne, z kąd też powietrze zawsze jest w miarę czyste i zdrowe. —

Tomasz i Górka słuchali z zajęciem słów nauczyciela, bo choć obaj byli bardzo roztropni i doświadczeni w swoich zawodach, przecież, nie posiadając gruntownej nauki, nie umieli sobie tajemnicy wielu rzeczy wyjaśnić. Skoro też Zarebski zamilkł, uściskał Górka dłoń jego serdecznie i rzekł:

— Dziękuję wam serdecznie! Mówicie jak książka i stary wasz rozum, chociaż młoda głowa. Kocham ja mój ogród i moje roślinki jak rodzone dzieci; lecz od dzisiejszego poranku będę je stokrót więcej kochał, gdyż lepiej rozumiem ich życie, i tak mi się zdaje, że się będę mógł z nimi rozmówić, a pana Boga tém więcej czcić i podziwiać. Wielka to prawda w tém co mówili starzy: „*Dobry gospodarz Pan Bóg, wie czego komu potrzeba.*“

Gdy słów tych domawiał Górka, odezwał się dzwon kościelny, zwołujący wiernych na nabożeństwo. Głos dzwonu przerwał rozmowę i nasi znajomi przypomnieli sobie, że mają w dzień świąteczny oddać cześć temu Bogu, który tak cudownie cały świat urządził. Więc Górka wstąpił prędko do domu, oczyścił się i wdział świąteczną kapotę, a gdy wrócił na ogród, aby się z swymi

przyjaciołni połączyć i razem z nimi udać się na nabożeństwo, trzymał w rękę jakąś skrypturkę, zapisaną niekształtnymi literkami i zatłuszczoną od częstego używania.

— Chciałbym wam coś dać do przejrzenia — rzekł, zbliżając się do Zarebskiego i podnosząc rękę ze skrypturką — ale doprawdy nie mam odwagi.

— No, proszę — odezwał się nauczyciel ośmielająco — przecież nie zasłużyłem na waszą niełaske?

— Jestto — mówił nieśmiało Górka, wskazując skrypturkę — jestto książeczka, zawierająca skazówki o uprawie warzywa i o sadownictwie. Uczyli się z niej moi siostrzeńcy. Napisałem ją dla nich, aby korzystali z długoletniego doświadczenia, a napisałem jak umiałem: niewyraźnie, koszlawo i w takich pytaniach i odpowiedziach jak katechizm. Gdybyście byli łaskawi przejrzeć to, poprawić i pododawać co potrzeba, to możeby to i innym na co się przydało. Spostrzegłem ja dzisiaj, że wy więcej o życiu roślin wiecie niż ja, więc ta pisanina może i z waszych poprawek dużo skorzystać.

Zarebski przyjął skrypturkę z rąk Górki, a chowając ją rzekł:

— Dziękuję wam za zaufanie, choć przeceńnicie moje wiadomości. Ja wiem rzeczy ogólne z książek i badań, lecz wy panie Górko, macie takie doświadczenie i taką praktykę, jakiej ja dopiero przez długie lata musiałbym nabywać. Biorę

więc tę książeczkę dlatego, aby się z niej nauczyć czegoś o ogrodnictwie i sadownictwie, a także i moim uczniom coś o tém opowiedzieć. Gdyby potrzeba było gdzie pisownię lub styl poprawić, to chętnie poprawię, lecz treści nie tknę, bo wyście w niej majster a ja terminator. —

Rozmowa ta toczyła się już w drodze do kościoła, do którego tłumnie spieszyli pobożni. A gdy Zarewski podziękował Górcę i książeczkę schował do kieszeni, przechodzili właśnie popod dzwonicą. Żwawi chłopcy ciągnęli za sznury; dzwięczny, srebrny głos rozkołysanych dzwonów rozlegał się szeroko w przczystém powietrzu wiosenném, wnikał aż do duszy, i usposabiał umysł człowieka do pobożnych rozmyślań i modłów.

R O Z D Z I A Ł VI,

w którym jest wydrukowana pierwsza po-
łowa ogrodniczo-sadowniczego katechizmu
Górki, poprawionego przez nauczyciela.

- P. Co uprawiamy w warzywnym ogrodzie?
- O. W warzywnym ogrodzie uprawiamy rośliny, służące człowiekowi za pokarm i przyprawę. Są nimi: kapusta, buraki, marchew, pietruszka, rzodkiew, sałata, ogórki, cebula, czosnek i inne. Nazywamy je warzywami.
- P. Jak dzielimy rośliny warzywne?
- O. Rośliny warzywne dzielimy na liściaste, korzeniowe, cebulowe, strąkowe, dyniaste, przysmakowe i przyprawowe. Dzielimy je także na roczne, dwuletnie i trwałe, a to wedle tego, czy już po roku giną, czy przez dwa lata trwają, czy też przez dłuższy czas z korzenia się odnawiają.
- P. Wymień mi warzywa liściaste i wskaż odrazu, które są roczne, dwuletnie i trwałe.
- O. Liściaste warzywa roczne są: sałata, szpinak i rzerzucha ogrodowa; dwuletnie: kapusta głowiasta, kapusta czerwona, kapusta włoska, jar-

muż, kalarepa, endywia, kalafior; trwałym jest szczaw.

P. Wymień mi warzywa korzeniowe.

O. Rzodkiewka, która jest roczną; dwuletnie: brukiew, rzepa, rzodkiew murzynka, marchew, pasternak, pietruszka, selery, burak czerwony, burak biały, kartofle; trwałemi są bulwy.

P. Jakie są warzywa cebulowe?

O. Rocznych warzyw cebulowych nie ma. Dwuletnie są: pory, cebula, czosnek; trwałe: cebula zimowa czyli siedmiolatka, szczypiorek.

P. Jakie są warzywa strąkowe?

O. Strąkowe warzywa są wszystkie roczne; jako to: groch zwyczajny, groch cukrowy, groch karlik; fasola i jej odmiany, jak fasola piechota, fasola tyczkowa, fasola perłowa i bukietowa; bób wielki, bób mały, groch szparagowy.

P. Wymień mi warzywa dyniaste.

O. Ogórki, melon, dynia i kawon — wszystkie roczne.

P. Które warzywa nazywamy przysmakowemi?

O. Pomidory, które są roczne; karczochy, dwuletnie; truskawki i szparagi — trwałe.

P. Wymień mi nareszcie warzywa przyprawowe.

O. Warzywa przyprawowe roczne są: czarnuszka rzymska i ogrodowa, gorczyca biała i czarna, koper pospolity, kolender, anyż, trybulka, kmin,

- pieprz turecki, majeranek; dwuletni koper włoski; trwałe: chrzan, piołun, estragon.
- P. Czy prócz tych warzyw, które wymieniłeś, nie ma już innych?
- O. Są jeszcze inne, bardziej zbytkowe i mniej używane.
- P. Czy oprócz warzyw nie uprawiają jeszcze innych roślin w ogrodach warzywnych?
- O. Uprawiają także rośliny lekarskie, przydatne w każdym porządnym gospodarstwie na pomniejsze dolegliwości mieszkańców i choroby zwierząt domowych.
- P. Wymień mi najważniejsze z tych roślin.
- O. Mięta pieprzowa, mięta kędzierzawa, rumianek rzymski, szalwia, tymianek, lewanda, rozmaryn, malwa, ruta, boże drzewko. Uprawiają także tytoń.
- P. Jakięj ziemi trzeba pod warzywa?
- O. Ponieważ rośliny warzywne pochodzą po większej części z krajów południowych, więc potrzeba im starannęj uprawy i ziemi bardzo żyznej, głębokiej, pulchnej i z natury dostatecznie wilgotnej. Grunt ciepły z łokciową warstwą urodzajnej i umiarkowanie spojnej ziemi, mający w dolnej warstwie glinę, jest najlepszy.
- P. Jak można poprawić ziemię, jeśli z natury tych warunków nie posiada?
- O. Można ją poprawić przez dokładne obrobienie, a to w sposób następujący: — Podzieliwszy

ogród na kwatery, dla ułatwienia pracy, kopie się przy drodze rów na łokieć głębokości i ziemię z rowu wyrzuca się na drogę. Obok tego rowu kopie się drugi rów i ziemię z niego wrzuca się w pierwszy, tak, że wierzchnia warstwa téj ziemi idzie na spód, a spodnia na wierzch. Rzucając ziemię warstwami, należy ją przekładać gnojem i dobrze ubijać, ażeby się nie porobiły jamy, gdy gnój zupełnie zgnije. Wypełniwszy rów ziemią i gnojem aż do pełna, kopie się trzeci rów, którego ziemia służy do wypełnienia drugiego i tak dalej przez całą kwaterę. Ostatni rów wypełnia się w ten sposób ziemią z rowu pierwszego. Jeżeli grunt jest przenikliwy i nie ma z natury gliniastego podkładu, można sypać glinę na spód rowów: toż samo można go poprawić dodatkiem gliny, gdy jest zanadto piaszczysty. Do gliniastego gruntu należy dodawać piasku, do kwaśnego wapna lub popiołu.

- P. Dla czegoż wierzchnią warstwę ziemi rzucasz na spód rowu, a spodnią na wierzch?
- O. Dlatego, że spodnią warstwę ziemi przysposobię lepiej do żywienia roślin przezto, że ją wystawię na powietrze, a potem dlatego, że wierzchnia warstwa najwięcej jest zanieczyszczona chwastami. Oczyszczenie ziemi z kamieni i chwastów jest pierwszym zadaniem ogrodnika.

P. Jak urządzać grzędy w ogrodzie?

O. Grzędy powinny być do dwóch łokci szerokie, a między grzędami bruzdy na pół łokcia, ażeby osoba pieląca mogła siedzieć i nie uszkodzić grzędy. Jeżeli grunt jest z natury mokry, natenczas należy robić bruzdy głębokie; w razie gdy grunt jest suchy, mają być grzędy wklęsłe, a bruzdy wypukłe.

P. Do czego służy nawóz w ogrodowej ziemi?

O. Nawozem czyli gnojem pomnażamy ubywkającą w gruncie pruchnicę, krzepimy i użyźniamy ziemię od roślin wycieńczoną.

P. Jaki nawóz na jaką rolę najbardziej jest przydatny?

O. Świeży gnój koński dobry jest na grunt gliniasty, tęgi; bydłocy zaś czyli wołowy na grunt lekki czyli piaszczysty. W ogóle do uprawy ogrodowej lepiej jest używać gnoju końskiego, z tej przyczyny, że bydłocy sprzyja robactwu i jeśli głęboko w gruncie się znajduje, trudno się zamienia w próchnicę. Trzeba wreszcie uważać na porę roku i rodzaj gnoju. I tak: na gnoju świeżym można uprawiać rośliny liściaste; na przetrawionym w kupach, przeszłorocznym rośliny korzeniowe: na trzyletnim, najstarszym rośliny strąkowe.

P. Czy tylko nawozy zwierzęce mogą być używane do wzmacniania ziemi w ogrodach?

O. Ogrodnicy robią także nawóz, nazywający się

kompostem, a to w następujący sposób: W jamę na ustroni wykopaną wrzucają wszelkie śmiecie, liście, zioła, wypielane chwasty, w których jeszcze ziarno nie dojrzało, i do tego dodają gnój ze starych inspektów. Gdy ta mieszanina przez parę lat poleży, a czasami przewrócona i gnojówką polewana będzie, zamieni się w ziemię ogrodową, która jest wybornym nawozem. Dodają także popiołu i wapna niegaszonego; to ostatnie przyspiesza bardzo rozkład części roślinnych. W ten sposób wyciąga ogrodnik niemałą korzyść z ostatnich odpadków, które się marnują u niezapobiegliwych gospodarzy. Kompost dobry jest pod szpinak i cebulę na gruncie piaszczystym, pod marchew, pory i bób na gruncie gliniastym, pod kalarepę, cebulę, pory, sałatę i szpinak na gruncie wapiennym.

P. Czy gnój świeży, słomiasty, w dużych węzłach, nierozdrobniony, jest w ogóle dobry dla ziemi ogrodowej?

O. Nie.

P. Dlaczego?

O. Dlatego, że przeszkadza roślinom w rośnięciu a nie wiele przyczynia się do użyźnienia gruntu. Rośliny korzeniowe nabierają złego smaku od takiego nawozu. Świeży gnój owczy, ptasi i t. p., także nie jest dobry dla roślin ogrodowych.

P. Czy ziemia ogrodowa dużo gnoju wymaga?

O. Zależy to od jakości gruntu i gnoju, lecz zawsze wymaga go wiele; ze trzy razy tyle niż zboże.

P. Jak najlepiej ogrody nawozić?

O. Najlepiej nawozić je miernie a corocznie; w porze jesienniej, jeżeli gnój jest świeży, na wiosnę zaś lub w lecie, gdy przegniły. Gnój wywożony na ogród w zimie składa się na jedną kupę, a później się go taczkami rozwozi i widłami rozrzuca, ażeby wszędzie jednostajnie był rozdzielony. W gruncie piaszczystym powinno się gnój znajdować płytko, w gruncie gliniastym głębiej.

P. Czy jeden i ten sam rodzaj warzywa można długo na jednym miejscu uprawiać?

O. Nie. Na jednym miejscu należy warzywa zmieniać, gdyż rozmaite rośliny wymagają rozmaitego pożywienia w ziemi, więc dobrze się po sobie udają, podczas gdy jedna roślina z roku na rok w tym samym miejscu uprawiana, wycieńcza ziemię z tych właśnie soków, które jej najbardziej do życia potrzebne.

P. Na co należy uważać przy kopaniu?

O. Należy uważać na to, ażeby ziemię spulchnić, mieszać jej części z sobą, oczyścić z chwastów, gniazd owadów, robaków i poczwerek. Korzenie pórzu trzeba wybierać starannie. Dobrze jest skopywać ogród w jesieni, szczególnie gdzie ziemia tęga, gliniasta, gdyż przez

zine wymarza wiele zarodów chwastów i ro-
bactwa, które rydel na wierzch wyrzucił. Głę-
bokość sztychów rydlowych powinna wynosić
od 8 do 12 cali.

P. Do czego się używa grabi?

O. Grabi używa się do równania ziemi kopanej, do
wygrabywania z niej chwastów i do zagraby-
wania nasion zasianych. Najlepsze grabie są
drewniane z żelaznymi zębami.

P. Do czego służy motyka?

O. Motyką okopujemy niektóre warzywa, jak np.
kapustę, ażeby większą ilość pulchnej ziemi
zbliżyć do jej korzonków i pokrzepić tem jej
wzrost. Najkorzystniejszym jest okopywanie
przed deszczem. Motyka służy także do wy-
tępienia chwastów czyli pielenia grząd, jeżeli
warzywa są uprawione rzędami; w razie gdy
rośliny siane są siewem rzutnym, trzeba płeć
chwasty rękami.

P. Kiedy najlepiej podlewać rośliny?

O. W lecie najlepszą porą do podlewania są ranki
i wieczory; gdy dzień jest chłodny, można
podlewać o każdej porze. Podlewanie w po-
łudnie w czasie upałów, zwłaszcza gdy woda
jest zimna, bardzo jest roślinom szkodliwe.
Podczas przymrozków wiosennych i jesien-
nych najlepiej podlewać rośliny przed wscho-
dem słońca.

P. Jakie są główne roboty przy pielęgnowaniu warzywa?

O. Sianie i sadzenie nasienia; sadzenie i rozsadzanie roślin; obłamywanie liści i obcinanie; przechowywanie roślin i opatrzenie ich na zimę; nareszcie zbieranie ogrodowiny i jej rozmaitych plonów.

P. Co wiesz o sianiu i sadzeniu nasion?

O. Nasiona sieją się albo prosto na gruncie, na którym ma roślina rosnąć aż do zebrania, albo na osobnych grzędach, w inspektach, z kądem się podrosłe flance do gruntu przesadza.

P. W jakich razach używamy tego drugiego sposobu?

O. Gdy chcemy mieć warzywa wcześniej, niż na otwartym miejscu być może, lub gdy hodujemy rośliny, którym przesadzanie do lepszego ukształtowania się pomaga, albo gdy siejemy nasiona roślin delikatnych, które wymagają szczególniejszego przygotowania gruntu i troskliwego pielęgnowania, i które w otwartym polu nie miałyby dość czasu i ciepła do wzrostu i dojrzewania.

P. Jakie są sposoby siania?

O. Nasiona sieją się albo szerokim rzutem z ręki tj. rzutnym siewem, albo rzędami, albo też sadi się ziarno miejscami jak np. buraki. Dobrze jest grzędy zasiewać siewem rzutnym, a boki obsadzać, np. burakami.

P. Jak gęsto i jak głęboko należy siać ziarna?

O. Jeżeli rośliny mają być przesadzone, natenczas można je siać gęsto, bo mniej wymagają miejsca, mając w młodości wzrost szczupły; gdy zaś mają pozostać na tém samym miejscu aż do wydania plonu, należy je siać rzadziej. Co do głębokości siewu, należy mieć oko na wielkość ziarn i na jakość gruntu. Im ziarna są większe, tém głębiej w ziemi trzeba je zagrzebywać, jak np. bób lub fasolę, których ziarna nawet na półtora cala mogą być ziemią pokryte; ziarno buraka dość ma na cal głębokości, inne nasiona pół cala, bardzo drobne zaś niemal na samym wierzchu. Zresztą na gruncie tęgim siew powinien być płytszy, na gruncie pulchnym głębszy. Fasolę tyczkową sadi się w kółko na około tyczek, buraki koniecznie pojedynczo w każdy dołek sadzić trzeba.

P. Jaki jest najlepszy czas do siewu?

O. Czas zasiewania jest różny dla różnych roślin. Jedne udają się lepiej, gdy są wcześniej siane, jak np. kapusta, pietruszka, marchew; inne zaś, kiedy są zasiewane później, jak np. brukiew, rzepa i rzodkiew murzynka. Czas zasiewu zależy zresztą od położenia gruntu i od stanu pogody. Na gruntach wzniosłych, które wcześniej obsychają, wcześniej też siać można, niż na gruntach niskich; toż samo tém wcześniej siać

można, im wcześniejsze ciepła i pogody na wiosnę nastaną.

P. Na co trzeba uważać przy przesadzaniu warzywa z inspektów?

O. Na naturę gruntu, do którego się przesadza, na dobroć rozsady, i na odległość w jakiej mają być rośliny obok siebie sadzone.

P. Jaki ma być grunt pod rozsadę?

O. Grunt powinien być dobry, głęboki i mający dostateczną ilość wilgoci; w takim razie przesadzanie jest łatwe i roślinki wnet się przyjmują. Jeżeli zaś ziemia jest sucha, natenczas robi się w niej za pomocą motyki rowki, i dopiero w tych rowkach sadi się roślinki. Ze względu na to, iż wilgoć jest dla rozsady nadzwyczaj potrzebną, najdogodniej przesadzać ją w dniu chłodnym, przed deszczem, z rana i wieczorem.

P. Jaką powinna być rozsada?

O. Rozsada powinna być stósownie wielką, t. j. ma mieć od 4 do 8 listków; wybiera się też z grzędy najprzód roślinki najteższe, przyczem trzeba uważać, aby nie były uszkodzone przez owady lub ślimaki, i miały korzeń cały i zdrowy. Mają być zresztą foremne i dobrze rozwinięte, bo z takich najlepszego się spodziewać plonu.

P. W jakiej odległości na być rozsada sadzoną?

O. Zależy to od gatunku warzywa, od jego wzro-

stu i objętości, do której rosnać dochodzi. Im szczuplejsze, tém gęściej mogą być sadzone, im bardziej się rozrastają, tém rzadziej. I tak: roślinki cebuli, jako mającej szczupły wzrost, mogą być sadzone w odległości 4 do 5 cali jedna od drugiej, toż samo pory; selery zaś jeden od drugiego o 12 cali, a to z powodu rozłożystych liści, jakie później dostają.

P. Na co jeszcze trzeba uważać przy przesadzaniu roślin?

O. Najprzód na to, aby rozsadę ostrożnie z ziemi wyjmować i znowó ostrożnie i dobrze ją sadzić. Przy wyjmowaniu należy unikać obrywania korzeni, jeżeli zaś susza długo trwa, a czas do przesadzania największy, wtenczas trzeba grządy z rozsadą dobrze kilka razy skropić, bo wtedy roślinki łatwiej się dadzą wydobywać. Wydobywszy roślinki dobrze jest maczać je po kilka razem, w wodzie, w której rozrobiono trochę gliny i krowieńca; po umaczeniu składa się je tak jak rosły w drewniany cebrzyk i przenosi na grunt, w który mają być przesadzone. W ten sposób przyrządzona rozsada może się utrzymać do 24 godzin. Przy sadzeniu używa się tylko albo rąk, albo też kołka, którym się robi jamki. Uważać należy, aby po wpuszczeniu roślinki do jamki, ziemia obok niej była przyciśnięta, czy to dwoma palcami, czy kołkiem.

- P. Co to jest rozsadzanie?
- O. Rozsadzania używa się przy roślinach trwałych, jak truskawki, szczypiorek i inne, chcąc je rozmnożyć. W tym celu rozbięra się roślinę w zagęszczonych miejscach i rozsadza się odrostki korzeniowe jako rośliny oddzielne. Najlepiej czynić to na wiosnę.
- P. Dlaczego obcinamy czasem łodygi roślin lub obłamujemy ich liście?
- O. Robimy to dlatego, (mianowicie przy roślinach korzeniowych i cebulowych), ażeby pędziły więcej w korzeń, niż w liść i łodygę, i w skutek tego wydały plon obfity. W tym celu można zrywać liść kartoflom po okwitnieniu, selerom pod jesień; można gnieść liście i łodygę u cebuli i rzepy, wiązać je u czosnku przed puszczeniem główek łodygowych i tp.
- P. Jak zimujemy rośliny dwuletnie i trwałe?
- O. Zimujemy je albo na gruncie, albo wydobyte z gruntu w miejscach ochronnych. W pierwszym przypadku należy uważać, ażeby grzęda, do zimowania roślin przeznaczona, była sucha, wolna od zalewów i przed zimą dobrze udeptana, gdyż inaczéj mogą zimujące rośliny wymoknąć, lub wymarznąć. Przytém trzeba rośliny sadzić wcześnie przed zimą, ażeby się należycie przyjęły i wzmocniły, a jeśli są delikatne, chronić od mrozu mchem, słomą, gnojem lub garbowinami. Szparagi i karczochy nakrywają daszka-

mi na porę zimową. Rośliny nie zimujące na gruncie, przechowuje się po lochach, piwnicach i tp. miejscach, zabezpieczonych od mrozów. Cebulę drobną zawieszają w worku koło pieca; na przyszły rok wsadzona w ziemię dorasta należytej wielkości.

P. Co to są wysadki?

O. Wysadki są to rośliny przechowywane w zimie z korzeniem, i to najdorodniejsze sztuki roślin dwuletnich, które następnie sadzimy na wiosnę, aby z nich otrzymać nasiona. Wysadki ustawia się w piasku w ciemnych, nie wilgotnych i nie zbyt ciepłych piwnicach. Po nadejściu wiosny przesadza się je do gruntu, na działanie słońca wystawionego; gdy do pewnej wysokości podrosną, obtycza się je kołkami i przywiązuje do nich. W czasie wzrostu należy je ochraniać od robactwa, czy to polewając odwarem z tytoniu lub kory czeremchowej, czyto kadząc smrodliwymi rzeczami.

P. Jak się zbiera nasiona?

O. Nasiona zbiera się w miarę ich dojrzewania, zważając na to, aby wcześniej dojrzewające nie wysiewały się, gdyż one są doskonalsze, wcześniej wschodzą i lepszy plon wydają. Zazwyczaj więc zbiera się nasienie przed zupełnym tegoż dojrzewaniem. Stosuje się to szczególnie do nasienia kapusty, brukwi, buraków, marchwi, które się zbiera wraz z łodygami a potem

wiesza na ścianach od strony południowej, aby do zupełnej doszły dojrzałości.

P. Jak należy przechowywać nasiona?

O. W miejscu suchém, przewietrzném, lecz nie na mrozy wielkie wystawioném. Szczególniej nasiona ogórków i melonów łatwo przemarzają i tracą moc wschodzenia. Najlepiej chować nasiona w woreczkach z rzadkiego płótna, które się na gwoździach u belek pułapu zawiesza.

P. Jak zaś należy przechowywać warzywa, przeznaczone do użytku?

O. Najlepiej w piwnicach, w dobrze wysuszonym piasku, układane tak, aby miały przewiew. Piwnica powinna być przez całe lato przewietrzana; w czasie mrozów zatyka się otwory piwnicy, lecz należy je natychmiast otwierać, gdy nastąpi odwilż. Zresztą przechowuje się ogrodowiny, jak np. kartofle i buraki, w kopcach, obłożonych słomą i ziemią na 12 cali. Kopce te mają być stawiane na suchych, piaszczystych wzgórzach, i należy w nich ustawiać pęk słomy lub chrustu dla odchodu wylizów. Ogrodowina, którą chcemy przechowywać, ma być przedtem należycie na powietrzu obsuszona.

ROZDZIAŁ VII.

Zarębski z Górką odbywają podróż.

Pocziwi ludzie czują jakiś mimowolny pociąg do siebie. Nic też dziwnego, że i Górka, spotkawszy się kilka razy z Zarębskim, chętnie chwycił każdą sposobność, ażeby się z nim zejść i rozmawiać. Z rozmów z nim przekonał się, że Zarębski, choć dość młody, miał wiele gruntownych wiadomości, i że z każdej rozmowy z nim odnosił jakiś pożytek. A więc i teraz, oddawszy Zarębskiemu swój rękopis, ciekawym był, co on też z nim zrobił i korzystając z spokojnej wieczornej godziny skierował swe kroki ku szkole.

W całym budynku szkolnym panowała cisza i zmrok zapadającej nocy. Z jednego tylko okna biło światło, i już z ulicy można było widzieć nauczyciela siedzącego przy stole i czytającego, czy piszącego przy lampie naftowej. Górka wahał się chwilę, czy wejść do sieni czy nie, widocznie obawiał się, czy nie przeszkodzi Zarębskiemu w pracy; lecz chęć rozmowy przemogła, uchylił drzwi do izby nauczyciela i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — zawołał Zarebski, zerwawszy się z siedzenia i ściskając dłoń Górki — Jak to pięknie, że mnie witacie tém pocziwém staropolskiém pozdrowieniem! Co raz rzadziej niestety można się już z niém spotkać! Wielka to szkoda, bo dobrze jest jeżeli już pozdrowienie wiąże imieniem bożem gościa i gospodarza; odsuwa ono już z góry myśli i chęci bezbożne.

Gdy to mówił Zarebski, miał twarz rozjaśnioną i widać było, że z całej duszy rad swemu gościowi. Ośmielił też i Górkę, który oddając przyjacielski uścisk, za całą odpowiedź wymówił poważnym głosem przysłowie:

— „*Kto z Bogiem, Bóg z nim*“.

Rozmowa rozpoczęła się oczywiście o rękopiśmie Górki. Zarebski mówił, że go dopiero do połowy przeczytał i poprawił, lecz że właściwie nie ma w nim nic do poprawienia, chyba, że tu i owdzie inaczéj zdanie podzieli lub wyrazy poprzerzuca. Chwalił jasność i zwięzłość układu w owym katechizmie i twierdził, że dla dzieci w szkole, szczególnie dla starszych, może być do czytania bardzo pożyteczny.

Górkę ucieszył bardzo taki sąd człowieka, którego wiadomości cenił; obawiał się tylko, czy to nie przesadna pochwała.

— Jak widzę nie ganiecie, aby mnie nie martwić — rzekł. — Nicby w tém dziwnego nie

było, gdyby cała robota na nic się nie przydała, bo ręce moje nie do pióra, lecz do rydła i motyki. „*Nie tak jak chcemy, ale jak możemy*“ — mówi przysłowie.

— Wierzcie mi — rzekł Zarebski — że wstydzilibym się chwalić nie szczerze. I tu więc szczerą mówię prawdę, że praca wasza bardzo wiele warta. Poprawiam ją w ten sposób, że całą przepisuję, a spodziewam się, że mi pozwolicie zatrzymać sobie odpis, gdyż będę miał w nim pomoc do szkolnej nauki. Gdy wszystko przepiszę, zwrócę wam rękopis.

Górka przystał na wszystko i nie posiadał się z radości, że przecież wiadomości jego mogą być i nauczycielowi przydatne. A nie mała to była pociecha, bo Zarebski dużo nad sobą pracował. Dość było spojrzeć po jego izdebce, aby się o tym przekonać. Z zaszklonej szafki wyglądało kilka rządów książek i kilkanaście ptaków wypchanych; na szafce stał spory globus i przyrząd, wyobrażający krążenie ziemi koło słońca i księżyca koło ziemi. Na ścianach wisały mapy i tablice, wyobrażające dzikie, zagraniczne zwierzęta, rasy bydła, koni i owiec, osobno zaś w ramkach pod szkłem piękny zbiór motyli, a w drugich ramkach ładnie ułożone kłosa najrozmaitszych gatunków zboża. Trudno to było Górcę objąć wszystko jednym rzutem oka; lecz gdyby był dobrze przeszukał izdebkę, byłby jeszcze koło szafy zobaczył tekę, w której się znaj-

dywały obrazki, przedstawiające różne narzędzia, maszyny, parowozy, fabryki, byłby znalazł w szafce cały szereg słoików, w których się mieściły różne rodzaje ziarna, próbki wełny, oprzędy jedwabnicze, byłby znalazł grubą paczkę, gdzie były pięknie w arkuszach bibuły zasuszone rośliny i szkatułkę z ładnemi, świecącemi się minerałami.

Na stole koło lampy leżała rozłożona mapa, od której wstał był właśnie Zarębski, gdy Górka wszedł do izby. Ta mapa zwróciła na siebie uwagę Górki; zbliżył się więc do stołu, a usiadłszy na prośbę Zarębskiego, rzekł:

— Przerwałem wam robotę. Zdaje mi się, żeście siedzieli nad tą mapą?

— Tak jest — rzekł nauczyciel, wyjmując książkę z pod rozłożonej mapy. — Przed parą dniami otrzymałem tę mapę ze Lwowa i wyszukiwałem na niej te wsie i miasta, które są opisane w tej książce.

— Ładna to nauka, ta geografia! — zauważył Górka. — Jaka to szkoda, że nas dawniej w szkole tego nie uczono! — dodał z westchnieniem. — Jeżeli kto starszy z nas mieszczan lub rzemieślników wiedział co o bożym świecie, o swojej ziemi rodzinnej i o cudzych krajach, to chyba z wędrowek czeladniczych, lub z odległych marszów, gdy go wzięto do wojska.

— Czyście nigdy nie odprawiali dalszych podróży? — zapytał Zarębski.

— Wyjeżdżalem tu i owdzie, lecz nie daleko — odparł Górka — Zresztą siedzę jak grzyb na jedném miejscu, a teraz jużem za stary, aby iść na wędrowkę. Żal mi tego, że się trochę po świecie nie wytarł. Mówią to wprawdzie, że *kamień na miejscu porasta*, czegom doświadczył na sobie, bom się dorobił skromnej fortunki, ale inni mówią znowu, że *„kto obce kraje zwiedzi, domaki w rozum wyprzedzi.“*

Zarębski widząc ciekawość i żal Górki, rzekł:

— No, niekoniecznie trzeba jeździć, aby poznać świat boży. Jeżeli macie ochotę, zrobimy sobie podróż po ziemiach Polski przy tym oto stoleku.

— Z największą chęcią — rzekł Górka — lecz jakże to można?

— Bardzo łatwo — odpowiedział nauczyciel — mamy przed sobą mapę jak gdyby ziemię rozłożoną. Jest tu na niej i nasze miasteczko. W górze mamy północ, w dole południe, po prawej ręce wschód po lewej zachód. Wyjdziemy z naszego miasteczka i użyjemy palca jak gdyby wozu. Jak się o jeden cal palcem posuniemy, to tak, jak gdybyśmy ośm mil ujechali. Będziemy tak jechać po całej Polskiej ziemi, a gdzie co ciekawego napotkamy, to wam opiszę podług tej książeczki. No, przysuńcie się bliżej do stołu i jedźmy! — dodał Zarębski kładąc palec na mapie.

Uśmiechnął się Górka na takie zaproszenie do podróży, lecz przybliżył się do stołu i wlepił oczy w mapę, poczem nauczyciel tak swoją podróż rozpoczął.

— Oto najprzód puszczaemy się na południe i wnet napotykamy na pasmo gór, do którego nasze miasteczko przypiera, i na które się co dzień patrzymy. Są to *Karpaty*. Pasmo Karpat, mające jak widzicie kształt łuka, wygiętego grzbietem ku północy, ciągnie się na 120 mil wzdłuż i ma 20 do 30 mil szerokości; zajmuje ono 3000 mil kwadratowych i dzieli się na kilka pomniejszych gniazd i gałęzi. Karpaty stanowią południową granicę Galicyi i odgraniczają ją od Węgier, tak, że północne stoki do nas należą. Jadąc tym pasmem gór od nas ku zachodowi natrafiamy za miastem Nowym Sączem i na południe od miasteczka Nowego Targu najwyższe gniazdo Karpat, nazwane *Tatrami*. Tatry ciągną się od wschodu ku zachodowi na 7 do 8 mil, od północy zaś ku południowi na 2 do 3 mil, zajmują obszar 15 mil kwadratowych i są od reszty Karpat ze wszech stron rzekami i dolinami odgraniczone. Są tu najwyższe szczyty całego pasma gór, jak np. szczyt Gerlachowski i Łomnica, które liczą przeszło 8000 stóp wysokości, Krywań, mający 7900 stóp i t. p. Na tych szczytach nie ma już żadnej roślinności, tylko mchy i porosty czepiają się szarych skał, a w urwistych parowach leży śnieg od zimy do zimy. Nigdzie indziej w górach, tylko tutaj, i to na naj-

dzikszycb urwiskach, żyje małemi stadkami czyli kierdelami dzika koza czyli kozica, zwierzę bardzo ładne i zgrabne, a nadzwyczaj płochliwe. Do osoblivości tatrzańskich należą także jeziora znajdujące się na wysokości 4—5000 stóp, z których największe, tak zwane *Morskie oko*, zajmuje obszar przeszło 56 morgów.

Resztę Karpat zowią *Beskidem* i to Beskidem zachodnim na zachód od Tatr, zaś na wschód Beskidem szerokim. Od tego Beskidu rozchodzą się rozliczne gałęzie na północ, sięgając daleko w głąb kraju, i spadając w coraz lżejszych wyniosłościach, jak gdyby falami.

W samych Karpatach, zwyczajnie jak w górach, mało jest urodzajnej gleby. Chociaż więc górale trudnią się rolnictwem, wystarcza im to zaledwie na wyżywienie siebie i rodziny. Wypasają zato na górskich łąkach, zwanych halami lub poloninami, stada owiec i bydła, wyrabiają sérki owcze i bryndzę, zajmują się wyrobem drewnianych sprzętów i t. p. Mają jednak Karpaty swoje i to bardzo znaczne bogactwa w soli, żelazie, siarce, węglu, nafcie i wosku ziemnym, w źródłach mineralnych czyli leczniczych, nareszcie w nieprzejrzanym lasach, w których wyrabiają gonty, drewnianka na zapalki i zasłony do okien, gdzie trą tar-cice, wypalają potaż i t. p.

Sól kamienną kopią w Wieliczce i Bochni. w miastach, które ot, tutaj na mapie widzicie, a

wywarzają takową ze źródeł solnych w Stebniku, w Drohobyczu, w Lacku, w Bolechowie, w Kałuszu, w Dolinie, w Delatynie i Kossowie. Mnóstwo jest zresztą źródeł solnych, które wydobywają się z głębi gór karpackich. Siarkę kopią w Swoszowicach, rudę żelazną wytapiają i przekuwają w Maniówce, w Zakopanem, w Suchej, w Makowie, w Mizuniu, w Wędrzynie, w Skolem i innych miejscach. Źródło, z których nafta wytryska, lub przynajmniej ślady jej się znajdują, jest także bardzo wiele w Karpatach. Naliczono ich już dotąd 150. Najwięcej nafty wydobywają w Bóbrce i w Boryslawiu, gdzie się także i wosk ziemny znajduje.

Najsławniejsze, uzdrawiające wody mineralne są w Szczawnicy i w Krynicy, także w Iwoniczu w Truskawcu i w Lubieniu, gdzie woda ma w sobie wiele siarki. Na zdrową, szumiącą wodę kwaśną, czyli szczawę, napotyka się w górach bardzo często.

A skóro już mówimy o źródłach, więc zobaczymy teraz, jakie to rzeki z Karpat wypływają. Więc najprzód z zachodniego krańca Karpat z ośmiu źródeł zachodniego Beskidu, wypływa najpierwsza z rzek polskich Wisła. Puśćmyż się z jej prądem tak, jak gdybyśmy na tratwie płynęli. Otóż płynie ona najprzód na wschód i pod pływa pod Kraków, potem bierze się z lekka ku północy i stanowi północno-zachodnią granicę

Galicji aż do Sandomierza; ztąd płynie już nie tylko prosto w północnym kierunku, lecz skręca się nawet na wschód, i tocząc swe coraz potężniejsze nurty w tym wschodnio-północnym kierunku, przybywa pod Warszawę, a z tamtąd pod Toruń, od Torunia zaś rzuca się znowu ku północy, i na 8 mil od ujścia rozdzieliwszy się na dwie główne odnogi, wpada pod Gdańskiem do morza Bałtyckiego. Cała długość téj matki rzek naszych wynosi 141 mil; szerokość jój wzrasta coraz bardziej w skutek coraz potężniejszych przypływów, tak, że gdy pod Krakowem około 280 stóp wynosi, dochodzi już pod Warszawą do 3000. Od Krakowa aż po Gdańsk służy Wisła za bardzo ważną drogę handlową. Tratwy czyli spławy drzewa, zbijane z pni okrągłych, galary, skutury, berlinki i innego rodzaju statki szybują bezustannie po falach wiślanych, spławiając drzewo, węgiel, sól, zboże, owoce, jaja i t. p. rzeczy. W dawniejszych czasach była to najważniejsza droga handlowa, za pomocą której utrzymywała Polska handel z krajami zachodnimi, spławiając do Gdańska bardzo znaczne ilości drzewa i zboża. Dziś, gdy koleje żelazne przecinają kraj w różnych kierunkach, mniejsze ma ona znaczenie, choć zawsze znacznie jój używają dla taniości przewozu.

Ważniejszymi rzekami, które z Karpat wypływają i wpadają do Wisły od prawego jój brzegu, są następujące: *Biała*, stanowiąca część zacho-

dniej granicy Galicyi; *Soła*, wpadająca do Wisły pod miastem Oświęcimem; *Skawa*, wpadająca do Wisły powyż miasta Zatora; *Raba*, która przepływa nieopodal Bochni, i wpada do Wisły na granicy Galicyi, w miejscu, zowiącém się Ujście solne; *Dunajec*, który zasiliwszy się bystrym Popradem płynie po pod Nowy Sącz, a przybrawszy jeszcze i rzekę Białą koło Tarnowa, łączy się z Wisłą na przeciw miasteczka Opatowa, zbudowanego na lewem jój brzegu; *Wisłoka*, która wita w swym biegu miasta Jasło, Brzostek, Pilzno i Mielec; nareszcie poważny *San*, który minawszy Sanok, Dynów, Dubiecko i inne miasteczka, a zasiliwszy się *Wiarem* pod Przemyślem i *Wisłokiem* powyżej Jarosławia, wpada do Wisły między Sandomierzem a Zawichostem, miastami, pobudowanemi na lewem brzegu Pod Zawichostem porzuca już Wisła granicę Galicyi i przedziera się prosto ku północy na niwy Mazowieckie.

Lecz jak tu na mapie widzicie, są jeszcze inne rzeki, które nie wypływają z Karpat, a wpadają od prawego brzegu do Wisły. Ot najprzód *Wieprz*, który poczyna się ze źródeł leżących już w Królestwie Polskiem, pomiędzy miastami Tomaszowem a Zamościem, uchodzi zaś do Wisły pod Dęblinem, w połowie nurtu Wiślanego na przestrzeni od Zawichosta do Warszawy. Dalej *Bug*, rzeka spokojna i szeroka, a na 150 mil długa, której źródła biją w Galicyi, we wsi Werhobużu w Zło-

czowskiem. Bug, przepłynawszy koło miast Buska, Kamionki i Sokala w Galicyi, przekracza jej granicę, a dotknawszy jeszcze w swym biegu Horodła, Brześcia litewskiego i innych miasteczek, łączy się pod Serockiem z Narwią, i niebawem wpada z nią razem do Wisły powyżej Warszawy, koło Nowodworu. *Narew* jak widzicie jest także rzeką znaczną. Bierze ona początek z bagien, leżących powyż Brześcia litewskiego, przepływa północną część wielkiej lesistej puszczy, zwaney Białowiejską, pomija miasta Tykocin, Wiznę, Łomżę, Pułtusk i inne, i tak płynąc w kierunku południowo-zachodnim, łączy się z Bugiem i wpada do Wisły.

Tyle to przybytku ma Wisła od prawej strony, nie licząc już wiele drobniejszych przypływów. Lecz nie mało ma też ich od lewej strony. A najprzód jest tu *Nida*, płynąca popod Pinczów i Wislicę, gdzie przed pięciuset laty król Kazimierz Wielki nadał prawa narodowi Polskiemu; i wpadająca do Wisły powyżej ujścia Dunajcowego; dalej *Pilica*, która wytryska powyżej miasta Piłicy, ót, tu nad Krakowem, a uchodzi do Wisły poniżej miasta Czerska; dalej *Bzura*, wpadająca już powyżej Warszawy, i wiele innych drobniejszych. Całe dorzecze Wisły liczy około 120 rzek mniejszych i większych.

Lecz porzućmy już Wisłę, a zacznijmy podróż po innych rzekach, także nielada jakich.

Oto, jak widzicie tu na mapie, idąc od Beskidu pomiędzy Dobromil a Chyrów, pomiędzy Sądową Wisznią a Gródek, pomiędzy Janów a Jaworów i ponad Lwów, krzywą linią na wschód przez Galicyę, znajdziemy dział wód, tj. pas wzgórzy, wzniesień i pagórków, przy którym różnią się w swym biegu wszystkie rzeki, potoczki i strumyki. Te, co po lewej ręce tego działu leżą, spływają do Wisły, a z nią do morza bałtyckiego; te zaś co leżą po prawej ręce, spływają do drugiej wielkiej rzeki, która znaczną część Galicyi przepływa, tj. do *Dniestru*, a z nim do morza Czarnego. Wyobraźmy sobie teraz, żeśmy siedli na tratwę na wodach Dniestru, i puścimy się z ich biegiem. Nie wypadnie nam tak długo płynąć jak Wisłą, lecz zawsze nie wnet się dostaniemy do Czarnego morza, bo 110 mil przepłynąć nam potrzeba. Dalej więc płyniemy. Otóż spuszczaemy się z wyżyn Beskidu w powiecie Staromiejskim i bieżymy szparko ku północy po pod Stare miasto, ztąd zmieniamy kierunek na północno wschodni, wnet mijamy Sambor i dalej w tymże samym płyniemy kierunku. Dniestr jeszcze dotąd niewielkim jest strumieniem, lecz wnet ma mu przyjsć pomoc. Oto poniżej Rudek wpada do niego od lewej strony *Strwiąż* i tak jak gdyby potężnym szturchańcem wygina łożysko Dniestru w południowo-wschodni kierunek. Z pomocą *Strwiąża* urósł już Dniestr i umie już dźwigać niewielkie spławy. Płyniemy więc dalej na spławie, mijamy

Rozdół i niedaleko Żydaczowa dostajemy znowu pomoc od prawego boku. Jest to rzeka *Stryj*, która zasiliwszy się *Oporem* i opłynawszy miasto Stryj, wpada tutaj jako jeden z najpotężniejszych dopływów Dniestru. Płyniemy powoli, gdyż tu brzegów prawie nie ma, więc wody się rozlewają i ciekną przez podmokłe łąki, tak, że gdy trafi na słotne lato, to się tworzy niby jedno jezioro na obszarze około 12 mil kwadratowych.

Lecz płyniemy dalej! Minęliśmy Żurawno i przybył nam świeży dopływ od prawego boku: *Świca*; jeszcześmy nie dopłynęli do Halicza, a już mamy *Zomnicę*, nową rzekę, która także od prawego boku do Dniestru uchodzi. Nie zbyt daleko, bo przed Mariampolem, wpada również od prawej strony *Bystrzyca*, która w swym biegu popod Stanisławów się przewinęła. Płyniemy coraz szybciej, bo wody coraz więcej, a brzegi podnoszą się coraz wyżej, i jakgdyby w skałe wykute do 250 i 300 stóp wysokości, kępują nurt Dniestru i nie pozwalają wodom rozlewać się szeroko. Płynąc tak między skałami, wykręcamy się w różne strony, lecz kierujemy się coraz bardziej ku południowi, a przyjąwszy od lewego boku dopływ *Złotej Lipy*, która od Brzeżan przyplywa i *Strype*, która w swym biegu Buczacza dotyka, zbliżamy się do Zaleszczyk, gdzie już Dniestr stanowi granicę między Galicyą a Bukowiną. Na tój przestrzeni mamy znowu dwa znaczne dopływy od lewego boku, tj. *Seret*, który

opływa w swym biegu Tarnopol, Trembowłę i Czortków, i *Zbrucz*, który stanowi wschodnią granicę Galicyi i oddziela ją od Podola, będącego pod berłem Rosyjskiem. Od Zaleszczyk idą już po Dniestrze większe statki. Przesiadźmy się więc na większą tratwę i ruszajmy dalej!

Od Zaleszczyk aż po Mołyłów, przerznawszy się pomiędzy Chocim z prawej, a Kamieniec podolski z lewej strony, gdzie się Dniestr Smotryczem zasila, płyniemy znowu w czysto wschodnim kierunku. Dopiero od Mołyłowa wykręca się Dniestr znowu na południe ku Czarnemu morzu. Brzegi jego znowu się tu zniżają, wody rozlewają się szerzej, dochodząc do 100 sążni szerokości, stają się za to płytsze i prąd ich wolnieje. Płyniemy dalej i mijamy granice dawnych ziem polskich. Górskiego Dniestru już tu i nie poznasz, brzegi jego okrywają się piaskami, miejscami przechodzą w rozległe trzęsawiska, okryte wysokimi oczeretami, aż niedaleko ujścia rozlewa się Dniestr w rodzaj szerokiego jeziora, czyli w tak zwany liman, z którego powoli wyciekają wody do Czarnego morza. Nad limanem stoi miasto, zowiące się Akerman czyli Białogród.

Nie możemy tak powoli jeździć wszystkimi rzekami, gdyżbyśmy i do jutra nie skończyli; wskażę wam więc pokrótce inne ważne rzeki na obszarze ziem dawnej Polski.

Jest ich jeszcze pięć, a to najprzód *Dźwina*, *Niemen* i *Odra*, które wpadają do morza Bałtyckiego, a dalej *Dniepr* i *Boh*, które tak jak Dniestr do morza Czarnego uchodzą.

Dźwina powstaje z wód bagnistych i jeziornych, które leżą w Rosyi, w gubernii Twerskiej. Płynie najprzód w kierunku południowo-zachodnim, lecz minawszy miasto Witebsk, zwraca się ku północnemu zachodowi i zatrzymuje już ten kierunek aż po ujście do morza Bałtyckiego, t.j. do zatoki Rygańskiej, noszącej to miano od miasta Rygi, które tu nad brzegiem morza zbudowano. *Dźwina* w biegu swym dotyka *Suraza*, *Witebska*, *Połocka*, *Dynaburga* i innych miast, które należały dawniej do królestwa Polskiego, a mianowicie do połączonej z Polską Litwy.

Niemen wypływa z okolic bagnistych w dzisiejszej gubernii Mińskiej. Aż do miasta litewskiego *Grodna* płynie w kierunku zachodnim i ma brzegi niskie, piaszczyste lub błotniste; od *Grodna* zwraca się wprost ku północy, a płynąc głębokim wąwozem, zatrzymuje ten kierunek aż niemal do miasta *Kowna*. Za *Kownem* wolnieje bieg rzeki, która się rozrasta do szerokości 100 sążni, i przybiera kierunek czysto zachodni, którego się już trzyma do samego ujścia. Nim dojdzie do morza Bałtyckiego, płynie jeszcze popod miasto *Tylżę*, po za którym wody *Niemna* rozlewają się aż do szerokości 600 sążni i płynąc nadzwyczaj leniwo, ucho-

dza do zatoki morskiej, zwanéj Kurońską, gdzie jest zbudowane miasto Kłajpeda, czyli Memel, od którego i Niemen przy ujściu Memlem nazywają. Długość Niemna wynosi 115 mil; bierze on 21 dopływów od prawego boku, a między temi Sułę, Merczanke, Wiliję, nad którą leży Wilno, główne miasto Litwy, Niewiażę, Dubisę i Mitawę, od lewego zaś boku równie 21 dopływów, a między temi Szczarę, Świsłocz, Hańczę i inne.

Odra wypływa z gór Morawskich, a płynąc przez pruski Szląsk i Prusy i uchodząc pod Szczecinem do morza Bałtyckiego, stanowiła poniekąd zachodnią granicę dawnéj Polski. Czysto polską rzeką jest najgłówniejszy przypływ Odry t. j. rzeka *Warta* wraz z rzekami *Prosną*, którą od lewego i *Notecią*, którą od prawego boku przybiera. Źródła Warty leżą niedaleko źródeł Pilicy, powyżej Krakowa i Olkusza; długość jéj biegu, który jest zrazu północny a potem zachodni i znowu północny i znowu zachodni, wynosi 93 mil. Pływie ona po pod Częstochowę, gdzie jest klasztor na Jasnej górze, po pod Sieradz, Konin, Pyzdry, nareszcie po pod Poznań, który był dawniej główném miastem Wielkopolski, a dziś jest stolicą Wielkiego księstwa Poznańskiego. Nad Prosną leży Kalisz, jedno z większych miast polskich.

Jak Odra od zachodu, tak *Dniepr* stanowił poniekąd od wschodu granicę ziem dawnéj Polski. Jestto rzeka bardzo wielka, gdyż długość jéj bie-

gu wynosi 270 mil, a szerokość dochodzi do sześciuset sążni i więcej. Nad Dnieprem leżą wielkie miasta: Smoleńsk, Mohylew i Kijów, zdobyty po raz pierwszy przez Bolesława Chrobrego. Dniepr uchodzi szerokim limanem do morza Czarnego pod miastem Oczakowem.

Najważniejszymi przypływami Dniepru od prawego boku są rzeka *Berezyna*, nad którą leży miasto Mińsk i rzeka *Prypec*, płynąca od wschodu na zachód przez lesiste i błotniste okolice Polesia, a następnie zwracająca się na południe ku Dnieprowi, do którego wpada na dziesięć mil powyżej Kijowa. Długość biegu Prypeci wynosi około 60 mil. Znacznej ilości wód dostarcza jej *Styr*, który poczyna się poniżej Brodów, płynie po pod Łuck i w pośród bagien Pińskich łączy się z Prypecią. Prócz Styru uchodzą jeszcze do Prypeci pomniejsze rzeki jak Pina, Jasiołda, Horyń i inne. Dalszemi przypływami Dniepru są: od prawego brzegu Teterów, nad którym leży Żytomierz, dalej Irpeń i Roś, od lewego brzegu Wiazma, Desna, Suła i inne.

Boh, którego źródła leżą nieopodal wschodniej granicy Galicyi i źródeł Zbrucza, płynie zrazu we wschodnim kierunku, a potem we wschodnio-południowym, dotyka w swym biegu miast Winnicy i Braclawia, a wpadłszy niedaleko Oczakowa do Dnieprowego limanu, uchodzi z nim razem do morza Czarnego. Płynie on prawie wy-

łącznie równinami i stepami i zasila się pomniejszemi wodami stepowemi.

— I oto przepłynęliśmy wszystkie rzeki, wijące się po ziemiach dawniej Polski — zawołał nauczyciel, podnosząc palec z mapy. — Mój panie Górko, pewnie was ta podróż umęczyła — dodał z uśmiechem — więc trzeba się będzie posilić. Oto moja gosposia, która już do nas kilka razy zaglądała i pewnie chce nam podać wieczerzę.

Ocknął się Górka z zajęcia, z którem śledził bieg polskich rzek na mapie, oglądnięty i ujrzawszy 13 do 14 letnie, schludnie ubrane dziewczętko, które trzymało czysty obrus w ręce i czekało na skinienie Zarebskiego. Pora była już dość spóźniona, więc Zarebski zebrał czémprędzej książki ze stołu i mapę położył na ławie, a dziewczynka, nakrywszy stół zręcznym rzutem, zastawiła go w okamgnieniu dobrym nabiąłem i kaszą na sypko. Wymawiał się Górka od wieczerzy, przeproszał, że i tak już długo siedzi i chciał odchodzić, lecz gdy mu nauczyciel z uśmiechem powiedział, że jeszcze nie skończyli podróży, pozostał i z wielkim smakiem zjadał mléko z kaszą.

Podróż nie była istotnie ukończona, gdyż nauczyciel miał jeszcze nie jedno dodać do tego, co pokazywał na mapie. Jakoż, spożywając wieczerzę rozmawiał jeszcze ciągle z Górką o ziemiach dawniej Polski i tak mówił między innymi:

-- Jadąc rzekami, poznaliśmy nietylko ich bieg lecz i najważniejsze miasta dawniej Polski, gdyż budowano je chętnie nad znacznymi rzekami lub ich dopływami, jużto dla zdrowego położenia miejsc nadrzecznych, jużto dlatego, że rzeki w dawnych czasach stanowiły sieć najważniejszych dróg handlowych. Płynęliśmy więc popod Kraków, Warszawę i Gdańsk, popod Wilno, Grodno i Kowno, popod Kalisz i Poznań, popod Braclaw i Kijów, i z ważniejszych nie spotkaliśmy tylko Gniezna, Lwowa, Lublina, Nowogródka i kilka innych, które nie leżą nad rzekami, lecz chyba nad mało znacznymi potokami.

Jakście widzieli, płyną wszystkie rzeki nasze albo do morza Bałtyckiego, albo do Czarnego, a prądy ich rozdzielone częstokroć wazkami działami, niebardzo daleko od siebie się znajdują. Ponieważ zaś handel przez morze Bałtyckie jest wcale odmienny od handlu przez morze Czarne, choć oba są równie ważne, powzięto myśl sztucznego połączenia niektórych rzek, które do odmiennych mórz uchodzą, a tém samém połączenia za pomocą drogi wodnej morza Czarnego z Bałtykiem. I została myśl ta z wielkim pożytkiem dla handlu w trzech miejscach urzeczywistniona; przekopano drogi wodne czyli kanały, z których jeden wiąże Niemen z Dnieprem przez ich dopływy Jasiołdę i Szczerę, drugi wiąże Dniepr z Wisłą, również przez ich dopływy, trzeci zaś wiąże Dniepr z Dźwi-

ną, a to za pomocą Berezyny i Uły, która jest dopływem Dźwiny. Są także kanały, łączące Niemien i Odrę z Wisłą.

Prócz właściwych gór, gdzie role są skąpe, chude i kamieniste i gdzie góral walczyć musi z długą zimą, burzami i potokami, ażeby jaki taki plon wydobyć z ziemi, gleby na dalszym obszarze ziem polskich są przeważnie urodzajne. Najurodzajniejszym jest tak zwany czarnoziem podolski, przeważający na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Są to żyzne gleby pszeniczne, nie wymagające mierzalnego nawożenia, a wydające obfite plony. Prócz pszenicy, udają się tu wszelkie inne rodzaje zbóż, warzywa jak dynie i kawony pastewne; tutaj też uprawiają wiele kukurudzy i tytoniu, który tylko na dobrej ziemi się udaje. Na najwznioślejszych grzbietach wyżyn podolskich szkodzi tym glebom często dłuższa posucha; mniej tej kłesce ulegają gleby dolin i stoków tej krainy, lecz wymagają zato staranniejszej uprawy. Orka czarnoziemiu, tłuściego i twardego, jest bardzo uciążliwa; do jednego pługa trzeba zaprzęgać po dwie a czasem i więcej par wołów.

Drugi obszar odmiennój, lecz także bardzo urodzajnej gleby ciągnie się po lewym brzegu Wisły, od Olkusza, powyżej Krakowa, aż po Sandomierz. Ciągłą się te żyzne role wzdłuż podnóża gór, zwanych Świętokrzyskiemi, albo Łysogórami, które się tu rozsiadły. W samych górach znajdują

się kopalnie rudy żelaznej, ołowiu, miedzi i galmanu, w Olkuszach dobywano nawet srebro; w nizinach zaś ku Wiśle rodzi się cenniejsza od srebra pszenica, słynna ze swej wagi i dobroci i znana od wieków pod nazwą pszenicy sandomierskiej. Jęj to poszukiwali niegdyś skwapliwie kupcy Gdańscy i odróżniali jęj ziarno na pierwszy rzut oka od innęj pszenicy. Ztąd też sprowadzali sobie dobry gospodarze nawet w odległe strony pszenicę na zasiew, gdy im się własna wyradzać poczyniała.

Do trzeciego rzędu gleb urodzajnych należą role, znajdujące się na wyżynach i płaszczynach bałtyckich, t. j. role żmudzkie, kurlandzkie i niektórych okolic Litwy. Nie rodzi się tu już wprawdzie taka pszenica jak podolska lub sandomierka, lecz rolnik ciągnie za to znaczną korzyść z rozpowszechnionęj uprawy lnu, którym też zasila się handel miast portowych Memla i Rygi. Ziemia wymaga już znacznego nawozu aby wydała plon obfity.

W Galicyi, prócz części Podola, mamy też tłusty czarnoziem na rolach nadbużańskich w ziemi bełzkiej, zresztą role glinkowate, pomieszane z piaskiem i rumosze, które wedle głębokości, położenia i uprawy w różnym stopniu są urodzajne, nareszcie mamy też i miejsca szczerego piasku, tu i owdzie podmokłe łąki i trzęsawiska.

Właściwą krainą błot i trzęsawisk są porzezcza Prypeci, Narwi, a częścią i Warty. Na wio-

snę, gdy rzeki szeroko się rozleją, a łąki staną pod wodą, tworzą się tu nieprzejrzone jeziora, po których się ludność łódkami uwija. Na Polesiu uprawiają konopie w znaczniejszej ilości niż gdzie indziej, bo też nie brak wody, ażeby je dobrze wymoczyć. Oprócz przepastnych kniei w Karpatach, gdzie często i ludzka noga nie powstała, są jeszcze nie przebyte puszcze na Polesiu i Litwie. Powyżej Brześcia litewskiego rozsiadła się sławna puszcza białowieska, której długość siedm a szerokość sześć mil wynosi. Nad brzegami Bohu i Dniepru, aż po Czarne morze, rozlegają się nieprzejrzone stępy, na których szumi bujna trawa, a miejscami oczerety i bodiaki tak wysokie, że i chłop na koniu się schowa i jest do czego konia przywiązać.

No, a teraz zdaje mi się, żeśmy odbyli prędką podróż po wszystkich ziemiach dawnej Polski — rzekł Zarebski odkrzając.

— I choćby człowiek rad podróżować jak najdłużej — dodał Górka — to podobno już dosyć na dzisiaj, bo wyście się samem opowiadaniem umęczyli, a noc się na dobre rozsiadła. Gotowi myśleć moi, że mi się co złego przytrafiło, bom już dawno o tak późnej porze do domu nie wracał.

— Więc was już nie będę zatrzymywał — rzekł z dobrocią Zarebski, podnosząc się ze stołka. — Jeżeli was umęczył lub znudził, to darujcie!

— I do czego to tak mówił! — ofuknąć się Górka, zabierający się do wyjścia — Mnie to potrzeba was przeprosić a od serca podziękować za te piękne wiadomości o ziemiach polskich, któreście tak ładnie opisali, nie żałując dla mnie drogiego czasu.

— Przyjemne to i dla mnie spędzenie czasu — odparł nauczyciel — i gdyby nie spóźniona pora, chętniebym z wami i poza granice ziem polskich powędrował.

— „*Co się odwlecze to nie uciecze*“ — wtrącił Górka.

— Zapewne, jeszcze się znajdzie sposobna chwila — rzekł Zarębski — a wtedy puścimy się na zachód i zwiedzimy Szląsk, Morawę, Czechy i kraje niemieckie, pojedziemy na południe zobaczyć Węgry, Multany i Turcyę, puścimy się na wschód i przejedziemy rosyjskie i tatarskie ziemie, a wreszcie i na północ w dalsze rosyjskie kraje, aż po Sybir, gdzie niemało Polaków zasłano. . . .

Przy tych słowach dziewczeczka, co sprzątnęła od wieczerzy i przysłuchiwała się rozmowie Górki z nauczycielem, oglądnęła się i popatrzyła na nich jakimś smutnym, jak gdyby łzami napełnionym wzrokiem.

Zwróciło to uwagę Górki; zapytał się Zarębskiego co by to była za dziewczyna i dlaczego taka smutna, choć młoda.

Biedne to dziecię — rzekł Zarębski — jest sierotą. Matka ją dawno odumarła, a ojciec kto wie czy żyje. W ostatniej wojnie, w której bronił kraju, nie wiedzieć czy zginął, czy też został zabrany do niewoli. Może być, że go zapędzili na Sybir. . . . Tém się pocieszamy; lecz koniec końców od kilku lat nie ma już o nim żadnej wiadomości. A był to mój przyjaciel od serca, choć znacznie starszy odemnie; dałem więc schronienie Marysi, która razem z moją siostrą prowadzą skromne gospodarstwo.

Przy tém opowiadaniu, Marysia smutniała coraz bardziej, nareszcie nie mogąc się wstrzymać, zaczęła łkać po cichu i fartuszek do oczu podniosła.

— Nie płacz Marysiu — rzekł nauczyciel, głaszcząc jej główkę — w Bogu nadzieja!

— W Bogu nadzieja! — powtórzył Górka, a odwracając się do Zarębskiego, dodał półgłosem: — Jeślibym mógł być w czém pożytecznym téj sierotce, to z duszy serca, jak najchętniej. — I mówiąc to ścisnął dłoń zacnego Zarębskiego, i żegnali się obaj jak starzy przyjaciele, polecając się boskiej opiece.

Gdy Górka wyszedł na ulicę, była już noc głęboka; opodal odezwała się świstawka nocnego stróża, a potem gruby, głęboki głos, nucący starodawną pieśń:

„Hej panowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze!

Strzeżcie ognia i złodzieja,

A w Bogu nadzieja!"

Ostatni wiersz tój śpiewki usłyszała i Marysia. Kłęcząca ona przed obrazem Najświętszj Panny i polecała Jój w gorących modłach nieszczęśliwego ojca, pokładając ufność w Bogu, że jój go jeszcze powróci.

ROZDZIAŁ VIII,

**w którym jest wydrukowana druga połowa
ogrodniczo - sadowniczego katechizmu Górki,
poprawionego przez nauczyciela.**

P. Co hodujemy w ogrodzie owocowym czyli w sadzie?

O. W sadzie hodujemy drzewa i krzewy owocowe, któremi są: jabłonie, grusze, trześnie, wiśnie, śliwy, morele, brzoskwinie, pigwy, orzechy włoskie, orzechy laskowe, winorośl, maliny, porzeczki, agrest i tp.

P. Jak dzielimy drzewa i krzewy owocowe, t. j. sadownicę?

O. Dzielimy je na ziarnowe, któremi są jabłonie i grusze; na jagodne, do których należą: winorośl, agrest, maliny, porzeczki; na pestkowe, jako to: trześnie, wiśnie, śliwy, morele, brzoskwinie; wreszcie na łupinowe, któremi są: orzech włoski i orzech laskowy.

P. Jakiego gruntu wymaga sadowina?

P. Sadowina w ogóle wymaga gruntu dobrego, żyznego, spójnego i głębokiego. Chude i lekkie grunta należy poprawiać i to wcześniej pod zimę.

- P. Jakim sposobem przychodzimy do drzew owocowych?
- O. Wyprowadzamy je albo z nasienia, albo z gałązek i przez odkładanie, a uszlachetniamy przez szczepienie.
- P. Jak i kiedy zasiewa się ziarna drzew owocowych?
- O. Ziarna owocowe można siać w jesieni i na wiosnę, lecz zasiew jesienny jest znacznie lepszy, zwłaszcza już pod same mrozy. Wiśnie i czereśnie dobrze jest siać w lecie, przyczem się używa pestki wraz z mięsem; pestki śliwek można trzymać przez zimę na dworze na ziemi, a sadzić zaraz na wiosnę. Skopawszy, wyczyściwszy i przysposobiwszy należycie grzędę, sieje się na niej ziarna owoców ziarnowych w ten sposób, że wyciągnąwszy wzdłuż grzędy sznur i wykopawszy wzdłuż niego motyką rowek na cał głąkoki, rzuca się weń ziarna, tak, aby jedno od drugiego na pół cala leżało. Jeżeli ma trzy stopy szerokości, natenczas można na niej pięć rowków w równej od siebie odległości wykopać, które po wrzuceniu ziarna naraz grabiami się zarównuje. Chcąc ziarna siać na wiosnę, przechowuje się takowe w piwnicy zmieszane w garnuszku z ziemią lub piaskiem nieco wilgotnym, i wysiewa się je w marcu. Zasiew wiosenny wschodzi później i wydaje słabsze siewki. Grządkę w jesieni zasianą przykrywa się na zimę przegniłym gnojem bydlęcym

na parę cali wysokości i przyrzuca liściem, ażeby ziarna ubezpieczyć od mrozów. Wcześniej na wiosnę zgartuje się liść, zostawiając część gnoju na grządce. Pestki sieje się podobnie jak ziarna, lecz czém większe pestki, jak np. śliwek lub brzoskwiń, tém głębiej się je wsadza, na cal lub więcej od siebie oddalone. Orzechy wysadza się na wiosnę, gdyż dotkliwsze są na mrozy i łatwiej bywają od myszy zniszczone, gdy się je sadi w jesieni. Przez zimę przechowuje się je w piwnicy, w piasku, wybrawszy na zasiew takie, które mają silne ziarno, tj. wielkie, podługowate a z cienką łupiną.

P. Którąto sadowinę rozmnaża się w inny sposób?

O. W inny sposób, a mianowicie przez gałązki i odkłady rozmnażamy porzeczki, agrest, winorośl i maliny. Używa się do tego młodych gałązek, czyli pędów, wybiegających od korzenia tych krzewów. Odczosnąwszy, tj. odjąwszy ostrożnie taki odrostek od pnia macierzystego, przycina się go z góry okołonie ponad pełnym zdrowym oczkiem, tak jednak, aby długość pędu wynosiła jeszcze do dwunastu cali, i wsadza się go w ziemię tak głęboko, ażeby tylko dwa lub trzy cale ponad ziemię wystawało. Dziurę do zasiażenia odrostku trzeba wprzód zrobić kołkiem i potem ziemię dobrze w koło obcisnąć. Przez odkłady rozmnaża się pomienione krzewy owocowe, jakoteż winorośl i morele w ten sposób.

że się bierze długie latorośle i nie ucinając takowych przegina się je ku ziemi, przytwierdza drewnianemi haczkami i przykrywa w tém miejscu lekką, żyzną ziemią. Latorośl taka wypuszcza zaraz w pierwszym roku korzonki, więc może być potem od pnia macierzystego odcięta i przesadzoną. Śliwki i maliny wypuszczają pędy od korzenia tak, że już same są po części korzonkami zaopatrzone; te się więc tylko wydobywa i na dowolne miejsce przesadza. Rozmnażanie przez gałązki i odkłady należy przedsiębrać wcześniej na wiosnę, jeszcze w marcu, jeżeli już mrozy puściły.

- P. Jak się postępuje z siewkami, tj. z temi roślinkami, które z ziarna i pestek na wiosnę zejda?
- O. Chodzi się koło nich starannie, podlewa się gdy sucho, porusza się i spulchnia ziemię na cał głęboko, gdy jest tęga i zeskorupiała, piece się zresztą pilnie z chwastów przez cały rok pierwszy. Na zimę nie potrzeba siewek ochraniać od mrozu, gdyż tylko niektóre, jak śliwki, wiśnie, brzoskwinie i morele wymarzają od tęgich mrozów, i to wtedy, gdy zima jest bez śniegu, a jesień była mokrą. Chcąc zapobiedz wymarznieniu tych siewek, nakrywa się je gałęziami świerkowemi lub sosnowemi. Nakrycie takie lub ogrodzenie chroni też siewki od zajęcy. W przeciągu roku wyrastają siewki do półtory, a nawet do dwóch stóp.

P. Cóż się robi z siewkami po roku lub po dwóch latach?

O. Te siewki, które są najsilniejsze, do półtory stopy wyrosły i mają pieńek grubości pióra gęsiego, należy w jesieni przesadzić. Inne pozostają na grzędzie przez dwa lata. Ziemię, do której siewki mają być przeniesione, należy dobrze na dwie stopy przekopać, starannie z wszelkiego chwastu oczyścić, a podzieliwszy ją na grządki czwórstopowej szerokości, pięknie i równo ugrabać. Rozumie się samo przez się, iż ziemia ta powinna być dobrze sprawiona i żyzna. Chcąc siewki z grędy wydobyć, podważa się je rydłem, tak, ażeby łatwo i bez obrażenia drobnych korzonków dały się z ziemi wyciągnąć. Przed wsadzeniem do przygotowanego gruntu, obcina się każdej siewce niewielką część środkowego czyli serdecznego korzenia; skraca się także i pieńek z góry o tyle, ażeby pozostała reszta mierzyła jeszcze do dwunastu cali. Na grzędach, do których mamy siewki przesadzać, należy tymczasem równemi szeregami pod sznur pokopać dolki na ośm cali głębokie, a na dwaście szerokie, w odległości półtory stopy jeden od drugiego. Otóż do tych dolków wsadza się siewki, a to w ten sposób, ażeby o cal głębiej ziemią były okryte, niż w grzędzie siewnej, i ażeby korzonki nie były zduszone,

lecz owszem rozszerzone, przyczem się je miałką, rafowaną ziemią przesypuje. Wypełniwszy dołek ziemią i naprostowawszy pieńek, uciska się zlekka ziemię na około niego. Przesadzanie siewek może się także odbywać wcześniej na wiosnę. Czy to w jesieni, czy na wiosnę, obierać trzeba do téj czynności dzień pochmurny, mglisty, cichy a nie mroźny, ażeby włókna korzonków jak najmniej obsychały. Obcinanie powinno iść szybko; cięcia mają być gładkie i równe. Jeżeli siewki nie mają być zaraz po ich wydobyciu przesadzone, natenczas należy je kłaść warstwami, pochyło, w rowie na półtory stopy głębokim i przysypać miałką ziemią tak, ażeby i korzonki i większa połowa pieńków były w niej zagrzebane. W rowie takim, gdzieś przy górcie w zaciszu, mogą być w ten sposób przechowane siewki przez zimę, jeśliśmy je wydobyli w jesieni, a dopiero na wiosnę posadzić zamierzamy. W razie przesadzania na wiosnę, należy drzewka od czasu do czasu obficie podlewać. Grzędy z takimi należycie przesadzonemi siewkami nazywamy „szkółką drzewek owocowych.“

- P. Jakie miejsce należy wybierać na szkółkę drzewek owocowych?
- O. Na szkółkę trzeba wybrać miejsce otwarte, nie w dolinie, wystawione na słońce, a zasłonięte od północy i zachodu. Grunt szkółki powinien

być na dwie stopy urodzajny i raczej tęgi niż lekki. Uprawę tego gruntu przedsięwzię się na rok naprzód, pod zimę; i w lecie przekopuje się go parę razy. Jeżeli na tém samym miejscu był już przedtém sad, to trzeba pierwej przekopać grunt aż do trzech stóp, dobrze go ugnoić i przez dwa lata to kapustę, to marchew, to kartofle sadzić. Toż samo i na grzędzie siewnej nie można zaraz po wydobyciu siewek siać nasiona drzew owocowych, lecz pierwej grunt na półtory stopy uprawić, przetrawionym gnojem bydłęcym nawieźć i najmniej przez dwa lata to buraki to kartofle sadzić.

P. Na czém polega pielęgnowanie przesadzonych siewek czyli dziczek w pierwszych dwóch latach?

O. Trzeba ziemię z chwastu rydelkiem lub motyką czyścić, a pod jesień i na wiosnę nieco ją spulchnić, tak atoli ostrożnie, ażeby nie zranić korzeni ani pieńków. W razie posuchy należy dziczki mocno podlewać. U schyłku zimy, już w lutym i w marcu, oczyszcza się pieńki dziczek z tak zwanych *wilków*, t. j. z wszystkich pobocznych gałązek, które powyrastały niżej nad ośm cali od ziemi.

P. Czy z dziczek w szkółce można się spodziewać dobrych i smacznych gatunków owocu?

O. Nie.

P. A to czemu?

O. Albowiem wszystkie najwytworniejsze owoce są tylko sztucznymi odmianami jednych i tych samych plemienników, i drzewka z ziarna ich wyprowadzone, znowuby po największej części naturę swych plemienników przybrały. Wszystkie dobre gruszki są odmianami leśnej gruszy, wszystkie dobre jabłka odmianami dzikięj, cierpkiej jabłoni, i choćbyśmy ziarna z najwytworniejszych wzięli odmian, wyrosłe drzewo da nam znowu cierpki i kwaśny owoc.

P. Cóż więc na to poradzić?

O. Trzeba dziczki w szkółce uszlachetniać, a to za pomocą szczepienia, łączenia, czyli kopulizowania i oczkowania.

P. Na czémże te wszystkie czynności polegają?

O. Polegają na tém, że roczne gałązki, czyli zrazy z szlachetnych i już rodzących drzew owocowych tak łączymy z dziczką, że biel szlachetnego zrazu zrasta się z białem pnia dziczki, i potem sam już w szlachetne drzewo na pniu dziczki się rozrasta.

P. Opiszże mi szczepienie.

O. Szczepienie jest dwojakiego rodzaju: albo szczepienie w szparę, albo szczepienie w korę czyli kożuchowanie. Chcąc się zabrać do szczepienia, trzeba mieć w pogotowiu zrazy nacięte z drzew szlachetnych, piłkę ogrodniczą, nóż prosty i mocny ze szerokim grzbietem, nożyk wązki czyli scyzoryk, młotek drewniany, dwa małe i

gładkie klinki z drzewa, maść ogrodniczą i kit, płatki płócienne i łyko.

Szczepienie w szparę odbywa się w następujący sposób: Pieniek (lub gałąź) mający na cal średnicy, zrżyna się piłką na sześć cali ponad ziemią i powierzchnię ucięcia gładzi się starannie nożykiem, tak, aby nie było strzępków kory ani zadziorów. Następnie robi się w pieńku przez środek rdzenia rozszczep czyli szparę za pomocą noża o szerokim grzbiecie, poczem się w nią zakłada przygotowany klinik, pobijając go cokolwiek młotkiem drewnianym. Gałązka zaś, którą chcemy szczepić czyli zraz ma być tak przygotowany, ażeby miał od góry trzy zdrowe oczka czyli pączki, w dole zaś, od grubszego końca, ma być zaciętym w klinik, którego grzbiet przypada pod najsilniejszym oczkiem i ma mieć gładko odciętą i nienaruszoną korę. Ten klinik zrazu powinien być na cal długi, i tak z reszty gałązki wystający, ażeby takowa zupełnie do odciętej powierzchni przystawała, żadnej nie tworząc szparki, gdy klinik zapuścimy w uczyniony rozszczep. Tak przysposobiony zraz wkłada się zatem w rozszczep pieńka, przyczem należy baczyć, ażeby nie zedrzcć kory ze zrazu i żeby biel tegoż zetknął się należycie z białem dziczki. Uczyniwszy to, wyjmujemy ostrożnie zabity wprzód klinek drewniany, zalepiamy spojenie należycie

ogrodniczą maścią, obwijamy płóciennym płatkim i lekko obwiązujemy je łykiem. Gałązka zaszczepiona powinna już być przedtém i z góry czysto obcięta, a obcięcie ma być zasmarowane ogrodniczą maścią. Gdy pieńek płonki jest grubszy niż na cal, natenczas można dwa zrazy na nim zaszczepić, t. j. po jednym na obu końcach rozszczepu. Na grubszych znacznie gałęziach, np. na drzewach starszych, można czynić dwa rozszczepy na krzyż i cztery zrazy w nie wsadzać, albo téż nie chcąc drzewa zbyt ranić, wycina się z boku tylko taką szparę, jakiej potrzeba na wsadzenie zrazowego klinka. Najlepszą porą do szczepienia są dni od połowy marca do końca kwietnia, gdy soki w drzewo wstępować zaczynają, co się poznaje po nabrzmiewaniu oczek. Dnie należy wybierać suche a nie mroźne.

Szczepienia w korę czyli kożuchowania używa się na gałęziach i pieńkach grubszych, na drzewach starszych, jeśli szczepimy w ich koronie. Szczepienie to różni się od zwykłego tém, że zamiast w szparę pieńka, wtyka się zraz pod korę, którą się w tym celu na pieńku lub gałęzi uciętej na cal z góry na dół gładko przecina, a podważwszy delikatnie korę na obu skrzydłach nacięcia, wkłada się szlachetną gałązkę. Przystosowanie téj gałązki czyli zrazu polega na tém, iż pozostawiwszy od góry trzy

zdrowe oczka, zestruguje się dolny koniec w języczek coraz cieńszy, z którego się brunatna kora brzegami zdejmuje, a to tak delikatnie, ażeby nie uszkodzić leżącej pod nią zielonej kory i bielu. Zasuńawszy ów języczek gładko pod rozwarte skrzydła nacięcia, tak głęboko, ażeby wierzch gałązki, dokładnie przystając, spoczął na wygładzonym ścięciu pieńka, obwiązuje się łykiem i oblepia dokładnie kitem.

- P. Jakież powinny być gałązki na zrazy i kiedy należy je zbierać?
- O. Zrazy są to jednoroczne gałązki, czyli latorośle drzew szlachetnych, wyrosłe w przeszłym roku przed św. Janem, za pierwszym soków poruszeniem. Powinny być dobrze wykształcone, trzeba je więc zrzynać z tych gałęzi drzewa, które są do słońca, t. j. na wschód lub na południe obrócone. Mają być grubości pióra gęsiego, pojedyncze nie widełkowate, z dużemi, żywemi, nie bardzo od siebie oddalonymi oczkami czyli pączkami liściowemi. Należy je zbierać z drzew zdrowych, rodzajnych, jędrnych, i nie starych, ale też nie z bardzo młodych i bujno rosnących. Z wierzchołka drzewa są zrazy najlepsze. Tak zwane wilki i pijawki są do szczepienia wcale nie przydatne. Zrazy zrzyna się przy końcu lutego lub na początku marca, ale nie później, w dzień pogodny, nie mroźny, i w godzinach południowych. Naścinawszy zra-

zów, zakopuje się je w ziemię albo wiązkami albo pojedynczo, grubszym końcem na dół i do większej połowy ich długości. Przed użyciem należy je obmyć miękką wodą i na powietrzu obsuszyć. Zrazy nieco przywędle, a nawet przysuche są lepsze jak zbyt soczyste, gdyż chciwiej w siebie soki z pnia wciągają i lepiej się przyjmują.

P. Cóż to jest kopulizacja?

O. Kopulizacją czyli łączeniem w sarnią nóżkę, nazywamy taki sposób uszlachetniania płonek, przy którym pieńki (lub gałązkę) i zraz ukośnie się ścina, i te ścięte płaszczyzny tak ze sobą spaja, że kora styka się z korą, biel z białym, drzewo z drzewem i rdzeń z rdzeniem. Przystosowawszy w ten sposób oba skośne ścięcia zrazu i płoński, obwija się je półłokciowym i maścią ogrodniczą nasmarowanym skrawkiem płótna, przezco rana otrzymuje ochronę od wiatrów i wilgoci, a przytwierdzenie zrazu jest utrwalone. Dla lepszego utrzymania zrazu na płonce w jednakowym położeniu, robi się w pośrodku ściętych płaszczyzn, tak zrazu jak i płoński, odwrotne zacięcia czyli karby w ten sposób, że zraz utrzymuje się sam na płonce bez pomocy ludzkiej ręki. Trzeba przytém uważać, aby zrazy były piękne i téj grubości jak pień lub gałązka, które chcemy kopulizować. Najlepsze są zrazy z drzew kar-

łowych. Cięcie na zrazie ma się poczynać od strony najniższego oczka i o pół cala niżej od tegoż; wierzchołek jego ścięty ma być także maścią zasmarowany. Gdy zraz jest cieńszy od pieńka, można je bokiem kopulizować. Przy obwiązywaniu należy na to baczyć troskliwie, ażeby się cięcia nie rozemknęły. Porą najlepszą do kopulizacji jest druga połowa kwietnia; po św. Janie zdejmuje się z drzewka obwiązki. Tak przy szczepionych jak i kopulizowanych drzewkach trzeba starannie obcinać wszystkie pędy, któreby się pojawiły na pieńku poniżej szczepionego lub kopulizowanego miejsca.

P. Jakże się przeprowadza oczkowanie?

O. Oczkowanie jest szczepieniem samych oczek ze zrazów, a nie całych gałązek. Ponieważ zaś oczkowanie w lecie się odbywa, więc jako zrazów używa się do tego gałązek, które tego samego lata, przed św. Janem wyrosły i są soczyste, gdyż tylko z takich oczka się dobrze odłączają. Uciawszy zraz, pozostawia się na nim po kawałku listków, lub przynajmniej szypułki, i na około oczka, z którego listek wyrasta, wycina się ostrym nożykiem kawałeczek kory wraz z białem we formie małej tarczy, w skutek czego wycięty kawałek wraz z oczkiem od rdzeni drzewa się odłącza. Trzeba przytém pilnie uważać, żeby rostek czyli tak

zwany korzonek oczka na gałązce jako sęczek nie pozostał. Jeżeli oczko jest przeźroczyste i dołeczek się w niem widzieć daje, należy go odrzucić na stronę, bo jest zepsute i nie przyrośnie; dalsze zaś trzeba ostrożniej od gałązki odejmować. Wyjąwszy oczko, przytrzymuje się go wargani za listek lub szypułkę, a tymczasem na pieńku, który ma być oczkowanym, na gładkiej i zdrowej części kory od północy lub zachodu robi się dwa zacięcia: jedno poprzeczne, a drugie od środka tegoż ku dołowi podłużne, tak, że oba nacięcia wyglądają jak litera T. Nacięcia te, wykonane ostrym nożykiem, powinny przecinać korę i biel aż do drzewa. Uczyniwszy je, podnosi się skrzydełka nacięcia z lewej i prawej strony delikatnie nożykiem i wsuwa się pod nie tarczę z oczkiem tak głęboko, ażeby dobrze pod korą pieńka utkwiała, i ażeby wierzch jój zrównał się z poprzecznym zacięciem. Przy oczkowaniu należy się zwiżać, ażeby wykrojone oczka nie wysychały na powietrzu; obierać też trzeba stosowny czas, t. j. poranek lub wieczór w dzień pochmurny, cichy, bez wiatru, nie zaś gdy słońce przypieka, wiatr suchy wieje lub deszcz pada. Najlepiej jest okulizować po ciepłym deszczu, gdy drzewa z rosy obeschną. Gdy się już oczko na pieńku osadziło, owija się cięcia delikatnie lipowym łykiem, tak, ażeby tylko

samo oczko z szypułką z pomiędzy owicia wystawało. Na młodych drzewkach okulizuje się zwykle na sześć cali a czasem i tuż nad ziemią, na grubszych w koronie. Jeżeliby się po oczkowaniu nowe pędy pod oczkiem pokazywały, natenczas należy je zrzynać lub w zarodzie przygniatać i przytłumiać. Oczkowanie można już rozpocząć na płonkach w drugim roku po przesadzeniu ich do szkółki, jeżeli pieńek ma na pół cala w średnicy.

- P. Jakież są dalsze roboty w szkółce?
- O. Jeżeli są drzewka oczkowane ubiegłego lata, to się w kwietniu zdejmuje obwiązkę z oczek, a w razie gdy te przyjęte, zrzyna się ukośnie dziki pieńek na kilka cali ponad oczkiem, i cięcie smaruje się maścią. Zresztą daje się wszystkim drzewkom paliki i podpórki i czyści się grunt z chwastów. W czwartym roku na wiosnę ogląda się szczepione i oczkowane drzewka i jeśli ich młode pędy powypuszczały boczne gałązki, to się takowe do dwóch cali od głównego pieńka obcina, nie tykając wierzchołka szczepku. W piątym roku obcina się wszystkie boczne gałązki od dołu aż do tej wysokości, gdzie pieńek jest przeszło na pół cala gruby, inne gałązki skraca się cokolwiek. Gdyby się trafiały gałązki z pączkami owocowymi, należy je gładko tuż przy pieńku odjąć, gdyż one odbierają siłę szczepkom.

- P. Jak długo pozostają szczepki w szkółce?
- O. Cztery i pięć lat, wedle tego, czy są silne czy słabsze. Gdy się szczepki dłużej w szkółce trzymają, natenczas rozrastają się one zanadto i późniejsze ich wyjmowanie jest połączone z trudnościami, a często i na szkodę im wychodzi.
- P. Cóż się dzieje z szczepkami po pięciu latach?
- O. Przesadza się je w jesieni lub na wiosnę do gruntu, na którym mają już pozostać jako drzewa owocowe. Przy téj pracy trzeba zarówno wykopywanie jak i wsadzanie z należyłą przedsiębrać troskliwością. Wydobywając szczepki, należy je szeroko rydłem lub motyką okopać, broń Boże ranić korzenie lub korę, i nie pierwój podciągać ku górze, dopóki korzenie około nie są należycie od ziemi pooddzielane. Po wykopaniu nie trzeba drzewkom dawać długo leżeć na powietrzu, lecz poprzycinawszy cokolwiek korzonków i ukróciwszy gałązek na 3 do 4 oczek, wsadzać zaraz do przygotowanych dołków. Dół pod taki szczepkę ma być na trzy stopy głęboki i tyleż stóp szeroki. Należy go najprzód na stopę drobno posiekaną murawą zasypać, a potem dobrą ziemią potrząść. W środek dołka zatyka się prosty i mocny palik, tuż obok niego wpuszcza się drzewko do dołka, a rozłożywszy należycie korzenie tegoż, obsypuje się je dobrą ziemią. Wreszcie wyrównywa się dół ziemią najpłonniejszą, którą

z samego spodu dołka na wierzch wydobyto. Korzenie szczepu nie powinny być głębiej ziemią przykryte jak pierwój w szkółce, i ziemia ma być w około tylko lekko udeptana. Po wsadzeniu drzewka usypuje się zresztą na około pieńka na stopę odeń odległy okopek z ziemi, podobny do miski, w którejby się mogła zatrzymać woda i dostarczać drzewku požądanej wilgoci. W tymże samym celu okopuje się też i starsze drzewa w jesieni, robiąc pod pniem rowki i dołki, w które się kładzie co nieco przegniłego gnoju, dostarczającego drzewu dobrej żywności, gdy go śpływająca woda przeluguje.

- P. Jak należy czyścić starsze drzewa?
- O. Należy na wiosnę grąką lub tęym nożem oskrobać z pni mech i porosty, a w czasie dżzystym czyścić je wiechciem z pérzu lub twardą szczotką; obrzynać piłką ogrodniczą suche gałęzie, a szczególnież nożycami lub widełkami żelaznemi zbierać gniazda gąsienic i zaraz je palić, aby się gąsienice z nich nie rozłaziły. Czyszczenie kory i oskrobywanie jój warstw chropowatych jest także głównie dlatego potrzebne, że w tych warstwach mieści się dużo zawiązków szkodliwych owadów, które należy tym sposobem wyniszczyć.
- P. Jakich ma nieprzyjaciół sadownik?

- O. Sadownik ma tych samych nieprzyjaciół, co i ogrodnik warzywny i kwiatowy, a mianowicie wyprawiają mu szkody: kruczki czyli podjadki, pędraki, glisty, ślimaki, mszyce, mrówki, zające. Nieprzyjaciół tych powinien starać się niszczyć lub czynić ich nieszkodliwymi. Sadownik ma nadto jeszcze nieprzyjaciół w łakomych na owoce osach i szerszeniach, których gniazda powinien wyszukiwać i niszczyć.
- P. A w kim ma sadownik przyjaciół?
- O. Szczerych i pożytecznych przyjaciół ma sadownik w śpiewających ptakach, jak sikorki, słowiki, jaskółki, zięby i wiele innych, które tępią niesłychaną ilość wszelkiego robactwa. Więcej przyjacielem niż nieprzyjacielem jest także kret, gdyż wprawdzie przyprawi on czasem roślinę o uschnięcie, gdy jój korzenie podkopie, lecz zato, nie jedząc wcale korzonków, a pożerając mnóstwo glist, pędraków i innych robaków, niszczy także potężnie nieprzyjaciół sadów i ogrodów.
- P. Jakie są szlachetne gatunki owoców, z których warto brać zrazy do szczepienia?
- O. Bardzo jest wiele gatunków szlachetnych owoców, lecz tych, które u nas najłatwiej i najlepiej się udają są następujące. Z jabłek: Atłasówki zimowe i czerwone, Borsztówki cebulkowate i zimowe, Cebulki letnie, Matówki białe i brunatne, Renety w różnych odmianach, Szte-

tyny białe i czerwone, Szampańskie winiówki, Gołąbki czerwone zimowe, Rozmarynowki i inne. Z gruszek: Bernardynki, Bergamoty w różnych odmianach, Bery rozmaite, Cukrówki, Cytrynowki, Muszkatelki, Panny, Pomarańczówki, Salisburskie i inne. Ze śliwek: Błękitne, Czerwone, Damascenki, Morełówki, Żółte cesarskie, Węgierki i takie, które wymagają zakrytego miejsca jak małe Mirabelki i soczyste Rengloty.

- P. Dlaczego u nas tak mało zajmują się ogrodnictwem i sadownictwem?
- O. Dlatego, że w ogóle brak pracowitości. Temu i owemu tylko tyle chce się pracować, ażeby z głodu nie umarł, lecz ani mu to w myśli, ażeby z ziemi swój tyle wyciągnął korzyści, ile się tylko da z niej wyciągnąć. Zapewne, że krzątanie się około ogrodu i sadu wymaga troskliwości, ruchliwości i pamięci, nie jest jednakże taką wielką pracą, ażeby gospodarz, zajmujący się uprawą roli, nie mógł się i jej również oddać. Mówi przysłowie, że „*człowiek spi a drzewo nań pracuje*,” i w istocie dochód, jaki można mieć z ogrodu, wynagradza sownie tę odrobinę pracy, którą się mu poświęci. Szczególniej w sąsiedztwie miast większych, gdzie warzywa i owoce dobrze można sprzedawać, nie jeden już zrobił majątek na ogrodzie lub sadzie.

P. Czy i w innych krajach tak mało się zajmują drzewami owocowymi?

O. Przeciwnie, we Francji np. lub w Niemczech, w każdej niemal osadzie bywają piękne sady, które dostarczają owocu i dla domu i na sprzedaż. I nie tylko w sadach pielęgnują drzewa owocowe, lecz obsadzają nimi gościńce i drożyny, tak, że one nietylko wskazują podróżnym drogę wśród śnieżnych zamieci, i krzepią pożądanym cieniem wśród skwaru letniego, lecz nadto dostarczają smacznego owocu. U nas usiłują także tu i owdzie obsadzać drogi owocowymi drzewami, lecz trudno je utrzymać, bo krąbrne, dzikie, źle wychowane dzieci, łamią gałęzie i podcinają pnie, a gdy się owoc na drzewach pokaże, to zrywają jeszcze zielony wraz z liśćmi i niszczą w jednej chwili pracę i zabiegi zacnych gospodarzy, same zaś nabawiają się najstraszniejszych chorób.

P. Jakiż pożytek można mieć jeszcze z owoców, prócz tego, że się je na świeżo spożywa?

O. Można je suszyć i suszkami handlować; z jabłek i gruszek można robić sérki owocowe, które są bardzo smaczne, a z węgierek smażyć powidła. Węgrzy przywożą do nas dużo suszu i powideł, i wywożą za nie nie mało pieniędzy z kraju, dlatego tylko, że naszym gospodarzom nie chce się drzew owocowych pielęgnować i potem ciągnąć korzyść z handlu

suszem i powidłem. Z jabłek wyrabiają we Francyi rodzaj smacznego i zdrowego wina, czyli jabłeczniku, którego i u nas dawniej dość wyrabiano i pijano, zamiast się zakrapiać gorzałką i piwem.

Właśnie kładł pióro Zarębski, tylko co poprawiwszy powyższą część katechizmu ogrodniczo-sadowniczego, gdy wpadł do niego terminator stolarski z warsztatu Tomasza, wołając, że przyszedł długi list od Jasia z Krakowa. Zachęcony pierwszym listem, ciekawy był, co tam Jaś dalej pisze. Zebrał się więc zaraz i poszedł, a gdy przybył do Tomaszów, zastał tam prócz nich i Górkę. Zasiadli więc wszyscy i zaczęli z zajęciem czytać drugi list Jasia.

ROZDZIAŁ IX.

Drugi list Jasia.

Najdrożsi Rodzice!

Najprzód donoszę Wam, że z łaski Boga jestem zdrów i wesół; a że i pracy mam dosyć i chleba dostatkiem i przychylność ludzi uczciwych, więc śmiało mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy. Cóż bowiem człowiekowi więcej do szczęścia potrzeba, gdy przy zdrowiu i pracy przyjaźń ludzką posiadał?

Nie pisałem do Was długo, gdyż chcąc sobie przysporzyć funduszów do dalszej podróży, pilnowałem warsztatu. A o wielu, wielu rzeczach mam Wam napisać, i dlatego całe pół niedzieli dziś na to poświęcam, a Wy się przygotujcie na list bardzo długi.

Otóż najpierw powiem Wam, że się spełniły moje najgorętsze życzenia, bo zwiedziłem kopalnie w Wieliczce. Tydzień temu zebrała się tu liczna kompanja, pragnących oglądać Wielickie żupy, więc i ja do nich się przyłączyłem i wyruszyliśmy rano

koleją do miejsca przeznaczenia. Po półgodzinnéj podróży stanęliśmy w Wieliczce, a nim się urząd górniczy do przyjęcia gości przygotował, zwiedzi-
liśmy miasteczko. Jestto miasteczko czyste i schludne choć jeszcze mniejsze od naszego, bo liczy wszystkiego około 6000 mieszkańców, między którymi bardzo wielu górników żyjących z pracy w kopalni. Leży ono pomiędzy piaszczystymi wzgórkami, i jest prawie całe podkopane. Jest tu i szkoła porządna, bo ma cztery klasy, i czterech nauczycieli, a nie trzy klasy o dwóch nauczycielach jak u nas.

Gdy nareszcie przygotowano wszystko do przyjęcia gości w kopalni, zebraliśmy się w urzędzie, ażeby wraz z górnikami spuścić się do podziemi. Jedna część udała się do otworu kopalni czyli *szybu*, zwanego Daniłowice i tu spuściła się na linach, druga część zeszła po schodach przez szyb, zwany *Leszno*. Ja byłem razem z pierwszymi, i trzymając się liny zleciałem jak na skrzydłach do kopalni, przebywszy w oka mgnieniu przepaść trzydziesto-sążniową. Nie jest to zresztą podróż niebezpieczna; i owszem bardzo wygodna i przyjemna. Lina potężna okręcona jest na walcu, który obracają konie za pomocą kieratu; na linie znajdują się węzły, a do tych węzłów przyczepia się rodzaj szłów, w których człowiek trzymając się liny rękami, bardzo wygodnie siedzi. Najprzód chwyciło się liny trzech chłopców z kagańcami, ażeby nam oświecić podziemną pieczarę, a wraz z niemi gór-

nik z laską, który pilnował, żeby lina nie potra-
cała o ściany szybu, lecz samym środkiem szła
na dół. Nas umieszczono dopiero nad niemi. Tak
więc przez ten szyb, nito przez komin olbrzymi,
wpadliśmy na pierwsze piętro kopalni.

Przybywszy tutaj, czekaliśmy na naszych towa-
rzyszów, którzy się spuszczała przez szyb Leszno,
ci bowiem musieli przebyć 470 drewnianych schodów,
więc podróż ich trwała znacznie dłużej. Wszyscy
wyglądaliśmy jak gdyby z grobu powstałe niebo-
szczyki, gdyż nas przyodziano w długie, białe
koszule, które chronią suknie od szkodliwego im
pyłu solnego i wilgoci. Uszykowawszy się razem,
mając przed sobą i za sobą górników z kagańcami,
puściliśmy się w podróż ciemnymi kruzgankami,
i niebawem przybyliśmy do kaplicy św. Antoniego,
która była już na nasze przyjęcie oświetlona. Cała
ta kaplica, dość obszerna, wykuta jest w soli, i
wszystkie w niej przedmioty jak ołtarz, posągi
świętych, kolumny, ambona i wszystkie najdro-
bniejsze ozdoby są również misternie z soli wyro-
bione. Znajduje się tu statua wielkości natu-
ralnej, przedstawiająca króla polskiego Augusta II.,
z jednej przeźroczytą sztuki soli. Wszystko to
przy oświetleniu przedziwnie pięknie wygląda;
kryształki soli iskrzą się i połyskują i tak ci się
zdaje, jakbyś wszedł w jakieś zaczarowane gmachy
z lodu.

Idąc dalej kruzgankami i po schodach w soli kuty, spotykaliśmy co chwila coś zajmującego — gdy wtém, jakby za uderzeniem laski czarnoksiężkiej, otworzyła się przed nami brama i w ogromnej pieczarze ujrzeliśmy cały dworzec kolejowy, oświetlony różnokolorowemi lampami, a z góry, jak gdyby z obłoków, rozległy się tony pięknej muzyki. Oniemiałem z podziwu; nie chciałem wierzyć własnym oczom, zdawało mi się, że to jakiś pałac królewski z bajki, a nie rzeczywistość. Lecz wtém wyrwał mnie z zadziwienia dosyć mocny turkot i odgłos dzwonka na dworcu. Postąpiłem kilka kroków, stanąłem obok dworca, spojrzałem w bok, a oto z jednego z ciemnych kruzganków, jak gdyby gdzieś z samój piekielnej otchłani, wytoczyła się bardzo szybko para wózków kolejowych po żelaznych szynach i zatrzymała się przed dworcem. Tu wam zaraz muszę wyjaśnić, że wozów tych nie ciągnie parowa maszyna, lecz konik nie wielki ale tłusty i mocny, tak jak wszystkie te konie, które do robót w kopalni chowają, a które tylko wzrok powoli tracą, lecz zresztą wcale dobrze się wypasają. Ta cała kolej służy do przewożenia soli w te miejsca gdzie ją ładują, lub do tych szachtów, gdzie ją na wierzch wyciągają. Gdy tylko wozy pod dworcem się zatrzymały, zaraz wiele osób z naszego towarzystwa posiadało do środka, poczem odezwał się dzwonek, konik ruszył z k-

pyta i cały pociąg znikł znowu w ciemnym kruzganku.

W ciągu całego tego przejazdu odzywała się bezustanku piękna muzyka, którą nie wnet spostrzegłem, bo była umieszczona na wysokości galerijce pod jedną ze ścian pieczary. Jestto muzyka złożona z górników, bardzo dobrze urządzona i występująca zawsze przy podobnych uroczystościach.

Odpucawszy w pięknym dworcu kolejowym i napatrzywszy się tu wszystkiemu do syta, ruszyliśmy w dalszą drogę, a idąc chodnikami i schodami, spuszczaaliśmy się jeszcze ciągle na dół. Trzeba Wam bowiem wiedzieć, że w kopalni Wielickiej, licząc z góry na dół, jest głównych pięter trzy, i że chcąc się dostać na spód ostatniego piętra trzeba przejść przeszło tysiąc schodów, z czego widać, że jestto otchłań, mająca przeszło tysiąc stóp czyli 170 sążni głębokości. Mówią górnicy, że samych kruzganków i galerij, wykutych w celu wydobywania soli jest tyle, że gdyby je wszystkie zebrał w jedną prostą linię, toby się utworzyła droga na 60 mil długa. Idąc więc coraz niżej, znowuśmy zostali zdjęci wielkim podziwem, gdyż przyszliśmy na brzeg obszernego jeziora, w którym jak w zwierciadle odbijały się liczne kagańce. Jezioro to, zwane *Przykos*, utworzyło się w skutek ścieku wód, pojawiających się w kopalni, które to wody górnicy do niego sprowadzają. Leży

ono na 86 sążni pod ziemią i ma do 7 sążni głębokości. Woda w niem tak jest przesycona solą, że już więcej soli nie może w sobie rozpuszczać, i dlatego nie podmywa solnych brzegów. Na Przykosie urządzony jest wygodny prom, na którym przebyliśmy wodę, a dostawszy się na drugi brzeg podziwialiśmy olbrzymie sklepienia i te różne drabinki i schodki, po których się zwinni górnicy z kagankami w rękę wspinali. Gdym schodził do kopalni, ani mi to przez myśl nie przeszło, że będę pod ziemią koleją jeździł i statkiem jezioro przepływał! Ale też takich cudów jak w kopalni Wielickiej nikt sobie nawet wyobrazić nie może; trzeba je widzieć, aby im dać wiarę.

Jest to kraina tak cudowna i tak odmienna od zwykłych widoków na powierzchni ziemi, że ci się zdaje, iż się czarami dostałeś nagle na jakiś inny świat. Panuje tu zawsze jednostajny, miły chłód; powietrze czyste, zdrowe, nigdy nie zakłócanie wichrami; nie znają tu jest różnica czterech pór roku: w lecie nie dokucza skwar słoneczny, w zimie nie pociska mróz, wszystkie pieczary napełnione ciemnością, grobowa cisza panuje do koła, a gdy zawołasz, to w porozdzielanych czeluściach tysiączne echa głos powtarzają.

Dla utrwalenia sklepień budowano dawniej wielkie stopy czyli *kaszty* z drzewa w ten sposób, że układano kłoce, a raczej całe pnie w czworobok, i przysypując je solą, wznoszono jedne na drugich,

aż pod samo sklepienie. W różnych komorach wspiera się sklepienie na takich kasztach, które, pomimo że w bardzo dawnych czasach zbudowane, wcale się nie psują, bo sól wsiąkając w pory drzewa, chroni je od zepsucia i niemal w kamień tkaninę drzewną przemienia. Ile drzewa potrzeba było na te kaszty, dość powiedzieć, że np. jeden, wybudowany właśnie od Przykosa, mieści w sobie 10732 kłoców! Można więc powiedzieć, że całe lasy zakopano w tej cudownej kopalni! Dziś nie używają już drzewa na podpory, lecz wykuwając nowe komory, pozostawiają w nich olbrzymie filary z samężce soli jako oparcie sklepieniu.

Oglądając, co się dało oglądać, wracaliśmy powoli na górę, a gdyśmy już wyszli na pierwsze piętro, sprawiono nam znowu piękną niespodziankę. Oto zaprowadzono nas do wielkiej i pięknie ozdobionej sali, która jest wyłożona dobrą podłogą i ma galeryę dla muzyki. Liczne światła w pająkach i przezroczyste kolorowe ołsnily nas, muzyka górnicza poczęła wygrywać ochocze tańce, więc jako taki, kogo jeszcze łażenie po schodach nie umęczyło, puszczał się w tany. Rozpoczął się istny bal pod ziemią, który jednakże nie trwał zbyt długo, bo wędrówka po olbrzymiej kopalni tak już równała się hulance.

Po sześciu godzinach podziemnej wędrówki wróciliśmy nareszcie na powierzchnię ziemi. Gdy ujrzał nagle jasne słońce i świat żywy, zielony,

gwarliwy, pełen zwierząt i roślin, przetarłem mimowoli oczy, bo mi się zdawało, że mi się nagle ocknął ze snu czarownego, że wrócił z krainy duchów, gdzie wszelkie życie zamarło.

Teraz jeszcze muszę wam coś opowiedzieć o robotach w Wielickiej kopalni.

Robotnicy, których jest razem wzięwszy prawie do tysiąca, dzielą się na właściwych górników i na wyrobników dodanych do pomocy; do tego liczą się tu także rozmaici rzemieślnicy, przy tak wielkiej kopalni potrzebni. Dobywanie soli jest rodzajem roboty kamieniarskiej. Górnik odrywa sól od ścian całemi sztukami, które *ławami* czyli *kłapcami* nazywa, a odrywa je za pomocą kilofów, drągów, klinów, i innych narzędzi żelaznych, albo rozsadza skałę solną za pomocą prochu strzelniczego, który w otwory wykute w soli nasypuje, a przybiwszy go mocno ziemią ilowatą za pomocą knota podpala. W takim razie pęka skała pośród przerażającego łoskotu i od ściany odpada bryła soli, ważąca do 40 cetnarów.

Lawy czyli kłapcie dzieli górnik na sztuki i robi z nich tak zwane *bałwany* t. j. obrebuje je na kształt beczek; jeden bałwan waży 5 do 6 cetnarów. Mniejsze bryły tłuką na okruchy i pakują je w beczki i półbeczki, które znają wszyscy pod nazwą solówek lub półsolówek. Robota odbywa się przez ośm godzin dziennie przy świetle kagańców. Robotnicy co dzień rano spuszcza ją się do kopalni,

a wieczór z niej wychodzą i wracają do swoich domów i rodzin. Wynoszenie soli z sobą jest surowo zabronione; oglądają też każdego robotnika przy wychodném, czy się solą nie obładował.

Gdy już znaczne zapasy soli do wywozu są przygotowane, gromadzą ją u jednego szachtu, i tam dopiero windują na górę za pomocą lin i kieratu. Tutaj ważą ją przysięgli urzędnicy, zapisują do ksiąg i przechowują na składzie. Różne są odmiany soli i wedle tego po różnej cenie; najgorsza sól i najciemniejsza, dla bydła przeznaczona, jest najtańszą, lepszym gatunkiem jest tak zwana *sól zielona*, lecz jeszcze lepszym *sól szybikowa*, a najlepszą i najdroższą, sól przejrzysta jak białe szkło, którą nazywają *oczkową* albo *perłową*. Pość soli wydobywaną corocznie z tych bezdennych pieczar dochodzi do miliona cetnarów; były nawet lata w których wyrób soli wynosił 1200000, a nawet 1700000 cetnarów. Jak więc widzicie nie małe to jest źródło krajowego bogactwa!

Lecz oto cały list zapisałem wiadomościami o Wieliczce. Nie byłbym mógł tego zrobić, gdybym nie pamiętał zawsze na Twoją wyborną radę, najdroższy Ojczy. Gdzie tylko przybędę na jakie miejsce ciekawe, to chętnie wypytuję się o wszystko, a co mi opowiedzą, spisuję króciutko w podróźnej książeczce, tak, jakęś mi to najdroższy Ojczy polecił, i dlatego niebrak mi dziś treści do listu.

Lecz choćby tam nie wiedzieć jak ciekawe były te Wielickie kopalnie, trzeba już o nich raz skończyć, a skończyłbym na tém i cały list, gdyby nie jedna jeszcze osobliwość, o której chcę Wam donieść.

Tego czwartku, czyli w oktawę Bożego ciała, wyszła procesya z kościoła Panny Maryi i obchodziła rynek. Właśnie już była przy piątym ołtarzu, a kapłan błogosławił miastu najświętszym Sakramentem, gdy wtém włóczkowie, t. j. ludzie, którzy się trudnią spławem drzewa na Wiśle, rozwinęli czerwoną chorągiew z białym orłem, chorążego otoczyli inni, trzymający włócznie i laski z orzełkami, i tak zdążali ku ulicy Wiślnój, a za nimi tłum ludu, zgromadzony na rynku. I ja też ciekawy pobiegłem za innymi, i ujrzałem Tatarą, na szczęście udanego, a nie prawdziwego, który przybywszy od Żwierzyńca rozbijał tłum buławą z sierci udzianą. Był to jeden z włóczków przebrany za Tatarą; miał na głowie turban, odziany był strojem tatarskim i siedział na koniu drewnianym, a raczej biegał na swoich nogach, będąc okryty kolorowym czaprakiem, z którego na przodzie wychylała się sztuczna głowa końska. Skoro tylko Tatar spotkał się z tłumem i włóczkami, chorąży okrzykiem nad nim trzy razy chorągiew, i oto Tatar zwyciężony uderzył czołem przed pałacem biskupów. Potém powiodły go ze sobą tłumy na harce, rzucając mu tu i owdzie pieniądze, i tak wśród krzyków, hałasu

i zabawy odprowadziły go znowu na Żwierzyniec, t. j. na jedno z przedmieść nad Wisłą, gdzie jest wielki i wspaniały klasztor.

Cała ta zabawa, którą Wam tu opisałem, odbywa się jak mi mówiono na tę pamiątkę, że gdy raz za dawnych, bardzo dawnych czasów, Tatarzy na Kraków napadli, to mężni wólczkowie pierwsi stawili opór i odpędzili nieprzyjaciela. Przebranego wólczka nazywają „*konikiem Żwierzynieckim*.”

Kończę już na tém mój list, i tylko tyle Wam jeszcze donoszę, że może za tydzień albo za dwa wybiorę się w dalszą wędrowkę. Żal mi będzie piękny Kraków opuszczać, ale mój zawód tego wymaga, żeby i inne miasta i inne warsztaty oglądnąć. Całuję Wasze ręce i nogi najukochańsi Rodzice, Teklusię ściskam od serca i wszystkim znajomym przesyłam pozdrowienie.

Szczerze Was kochający syn

JAN.

Po przeczytaniu tego listu klasnął w ręce nauczyciel i rzekł: — Chwat jest wasz Jaś! Taki list piękny napisał, że aż miło słuchać. Widać że ma olej w głowie, umie się na wszystko dobrze patrzeć a jeszcze lepiej opisać. Pożyczcie mi panie Tomaszu ten list; przeczytam ja go dzieciom w szkole, żeby się także czegoś nauczyły i

przekonały, jak to pięknie może pisać ten, co się w szkole dobrze uczył.

— A już najpiękniejszym, to jest ten konik moja mamó! — zawołała Teklusia.

— Mnie tylko dziwi — przerwał Górka — że się też chce dorosłemu chłopu przebierać za Tatarą i harce po rynku wyprawiać! Ale to już tak: *co kraj to obyczaj, co wieś to inna pieśń!*

— Tak jest — rzekł nauczyciel — co kraj to obyczaj, i ten obyczaj powinien być szanowany, bo w każdym z nich leży jakaś pamiątka narodowa, jakaś myśl, którą nasi praojcowie w obrzędzie i obchodzie nam przekazali. Cóż tam złego, że po odbyciu procesyi i modłów ludzie się trochę zabawią! Lepszą jest ta zabawa niż wiele innych; lepiej że święcą pamiątkę narodową w przebranym Tatarze, niż gdyby mieli n. p. siedzieć gdzieś w brudnym szynku przy kieliszku i zaćmiewać głowę napitkiem. Każdy, kto się przypatrzy takiemu obchodowi, to sobie zaraz przypomni, jakto nieraz mężny naród odpędzał nieprzyjaciela, i zaraz mu ta myśl stanie przed oczami, że bronić ojczyzny i odpędzać wrogów to święty każdego obowiązek.

— Więc to istotnie jest na pamiątkę obrony Krakowa przed Tatarami? zapytał Tomasz.

— Tak jest — rzekł nauczyciel — miało to być około roku 1280, gdy w Polsce Leszek Czarny panował. Umieć nawet jeden ładny wiersz, który tę obronę opisuje — dodał Zarębski.

— A to prosimy go nam powiedzieć! zawołali wszyscy chórem.

Nasz nauczyciel nie dawał się długo prosić, co wiedział, to zawsze chętnie powiedział, więc i tym razem, namyśliwy się chwilę, tak zaczął deklamować o Żwierzynieckim koniku:

W oktawę Bożego Ciała, lat temu nie mało,
Gdy po rynku obnoszono Chrystusowe ciało,
Lud się modlił, giął kolana, bo klęski rozliczne
Najechały jak szarańcza nasze łany śliczne.

Lud się modlił, między tłumy straszna wieść przy-
padła,
Z rozwianymi na wiatr włosy, splakana, wybladła,
I wrzasnęła w serca mężów i w serca niewieście:
„O! bieda nam, wielka bieda, goreje przedmieście!
Srogi Tatar, chciwy łupu, w Żwierzynku plądruje,
Krwia się poi i na zdobycz jako wilk poluje.“

Ale prędzej dęby w lesie zegnie oddech burzy
I na wióry je rozniesie, nim Krakowiak stchórzy.
Przypadł włoczek od Żwierzynca, rękę podniósł
w górę,

Jakgdyby chciał zażegnawać piorunową chmurę.
„Za mną bracia na tych zbójców, niechaj zginą marnie!
Nie dozwólmy ziemi naszej najeżdzać bezkarnie!“

Na wiatry czerwoną chorągiew rozwinął,
A z chorągwi orzeł, jak anioł wypłynął.

Zanim w warkocz nocy słońce włosy zwiło,
 Na wiślanym brzegu Tatarów nie było.
 Odbiegli zdobyczy i duszy odbiegli,
 I trupów taborem Żwierzyniec zalegli.

W tatarskiem ubraniu, na tatarskim koniu,
 Przypatrz się jak włoczek harcuje po błoniu.
 Jak wtedy harcował, do dziś dnia harcuje,
 Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje;
 Każdy z nas szanuje — a kto się zapiera
 Pamiątki swych ojców — tym wiatr poniewiera.

Wiersz o koniku Żwierzynieckim bardzo się
 wszystkim podobał; rozpoczęła się też rozmowa o
 dawnych czasach i zwyczajach i o napadach Tatarów,
 a gdy się pokazało, że mało kto miał dokładniejsze
 wiadomości o tych dawnych wrogach Polski, więc
 nauczyciel znowu głos zabrał i tak rozpowiadał o Tatarach:

— Tatarzy zamieszkiwali ziemie, leżące na pograniczu
 Europy i Azji, za rzekami Dnieprem i Donem. Są to
 po większej części niezmierne stepy, porośnięte bujną
 trawą, a mało uprawne. To też Tatarzy prawie wcale
 się nie trudnili rolnictwem, ale prowadzili życie
 przeważnie koczownicze; stadami bydła i koni
 wypasali stepy i przenosili się z miejsca na
 miejsce. Tu i owdzie uprawiali proso, z którego
 piekli placki i wywarzali napój gęsty i upajający.

Ubiorem Tatara bywała biała opończa i kożuch barani; bronią szabla krzywa, łuk i kołczan na strzały, nóż u pasa, a czasem i strzelba. Wyprawiając się na wojnę, każdy Tatar miał także ze sobą troki rzemienne, któremi przytracał zdobywcę do konia, lub wiązał jeńców, pędzonych w jassyr czyli w niewolę.

Głównem ich pożywieniem było końskie mięso, które krajali na kawałki i umieszczali na koniu pod siodłem. Uważali je za najlepsze wtedy, gdy przeszło końskim potem. Każdy Tatar zaprawiał się od dzieciństwa do konia, do wytrwałości w trudach, dzikiego sposobu życia i wojennego rzemiosła. Strzelanie z łuku było głównem ćwiczeniem pacholąt. Jadło przywiązywano im do gałęzi drzew, i chłopak tak długo musiał strzelać, dopóki jadła strzałą nie odciął; inaczey był głodnym. W sztuce jeżdżenia na koniu mało kto Tatarom dorównał; siedzieli niezgrabnie lecz bardzo mocno i pomykali bardzo spieszenie.

Dzikość Tatara malowała się już w jego twarzy. Są oni zupełnie odmiennęj rasy ludzkiej. Wzrost ich zazwyczaj średni, budowa ciała silna, twarz śniada, okrągła, szeroka, z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi; oczy małe podługowate, wklęsłe i nieco ukośne, nos płaski, usta małe, a włosy czarne i twarde.

Celem wojennych wypraw Tatarów było tylko zabranie jak największej ilości zdobyczy. Wpa-

dali na Ruś i do innych ziem Polski, zabierali było cichaczem i wszelkiego rodzaju dobytek, obdzierali kościoły i bogate dwory z kosztowności, zabierali też wiele jeńca, a resztę, co się wziąć nie dało zabijali, niszczyli i palili. Obłowieni łupem nie czekali spotkania ze zbrojnemi hufcami nieprzyjaciela, lecz czempredzój uciekali ku swoim stepom. Polskie wojska napadały ich też zazwyczaj już w odwrocie, a pobiwszy i rozpuściwszy, odbijały zdobycz i uwalniały jeńców.

Hordy Tatarskie, które wpadały do Polski, bywały nieraz bardzo wielkie, liczyły do 80 tysięcy ludzi i więcej, a ponieważ każdy Tatar prowadził z sobą najmniej dwa konie, więc liczba koni dochodziła do 200000. Taka gromada nie szła razem, lecz stanawszy na granicy dzieliła się na kilka oddziałów, które dopiero w głąb kraju się zaganiały. Gdy napad był wcale niespodziewany i wojsko do oporu nie przygotowane, to owe zagonny tatarskie ciągly się bardzo daleko, nawet aż do Szlązka. Wszystko co żyło, umykało wówczas przed rabusiami, kryjąc się po warownych grodach, niedostępnych borach, lub w jaskiniach podziemnych. Za hufcami tatarskimi ciągnęły się szlaki pożarów, krwi i rozbojów.

Najwięcej od napadów tatarskich ucierpiały ziemie, leżące najbliżej ich siedzib, t. j. Ukraina, Wołyń i Podole. Niejeden chrześcijanin, zabrany ztąd w jassy, zakończył życie w okrutnej nie-

woli na stepach tatarskich. Jeszcze dzisiaj spiewają tamtejsi ludzie smutne piosenki o napadach i rozbojach Tatarów; jeszcze dzisiaj ukazują podziemne jaskinie i grotty, gdzie lud szukał schronienia przed rozjuszonym poganinem. Później gdy nad Dnieprem i Donem utworzono osady zawsze do wojny gotowych kozaków, wyprawy tatarskie stawały się rzadsze, bo natrafiały natychmiast na opór hufców kozackich. Dużo jednak krwi polskiej wyciekło pod ich krzywymi szablami, dużo dobytku i owoców pracy puścili z dymem, dużo łez wypłynęło za biednymi jeńcami, których powlekli w jassy.

Da Bóg doczekać — dodał nauczyciel — przyniosę wam przyszłej niedzieli książkę, w której jest piękna i dziwna historia o pewnej matce zapędzonej w jassy. Płakać się chce na te męczarnie, które tam są opisane.

— Bardzo będziemy wdzięczni — odrzekł p. Tomasz — boć to przyjemne jest każde wspomnienie dawnych czasów. Słyszałem ja wiele opowiadań o Tatarach od starych ludzi, lecz któż tam wie, czy to wszystko prawda, skoro tacy dawno wymarli, co się własnymi oczami patrzyli na zagony tatarskie.

Jeszcze nie skończył mówić pan Tomasz, gdy wtém od tententu licznych koni zadrzała ziemia i szyby zabrzęczały w oknach. Mała Teklusia zbla-

dła, krzyknęła, a ukrywszy twarz na kolanach u matki zawołała z trwogą:

— Matusiu! matusiu! Tatarzy!

Głośnym śmiechem odpowiedzieli obecni na ten mimowolny okrzyk dziewczęcia. Pan Tomasz wziął ją za ręce, a postawiwszy na oknie rzekł wskazując palcem:

— Patrz, patrz, znasz podobno tego Tatara! widzisz jak tego siedzi na koniu!

Teklunia roześmiała się także, wstydąc się swego przestachu, gdyż to był chłopak z plebanii, pędzący z końmi od wody.

Na szczęście, nie ma już dziś obawy przed tatarskimi zagonami. Potęga ich złamana na zawsze, jest dziś tylko krwawym wspomnieniem przeszłości.

ROZDZIAŁ X.

**Powieść, którą nauczyciel odczytał następną
niedzieli.**

Koleje życia.

W jednym z zamków obronnych, które ster-
czały niegdyś w okolicach Przemyśla, mieszkali
Małachowscy. Mąż, żona i syn jedyny składa-
li tę małą, w liczbę lecz zamożną w szczę-
ście i cnoty rodzinę. Małachowski żadnego nie
piastował urzędu, ale siła zbrojna, którą utrzymy-
wał, pospiech, z jakim niósł pomoc będącym w po-
trzebie, waleczność i meztwo tyle razy doświad-
czane, serce otwarte dla przyjaciół i włości-
an, zjednały mu dobre imię, wziętość, szacunek po-
wszechny i miłość poddanych.

Do pozyskania i utrzymania tych drogich skar-
bów, do zapewnienia słodszej nad wszystko pomyśl-
ności domowej, niemało się przyczyniała Mała-
chowskiego żona. Świat w domu widząc, prawie
nigdy za progi jego nie wyszła; oddana gospodar-
stwu czuwała troskliwie, aby nie marniały dawne
dochody, aby nowych przybywało; często pierwsza
w zamku całym zrywała się rano z pościeli, chcąc

dojrzyć licznej czelački i pracować z nią wspólnie; często, przędząc przy świetle wielkiego ogniska w długie wieczory zimowe, wyprzedzała najbiegłejsze prządki, a pochwała męża i miłość domowych były dla niej zupełną nagrodą.

I syn ich jedynak, Janek ośmioletni, już umiał szczęścia przysparzać. Wprawdzie nie było w nim ducha rycerskiego ojca, ale każdy upatrywał słodycz i łagodność matki, jej smak w pracy; każdy uwielbiał posłuszeństwo dziecięcia dla rodziców i starszych, jego rozsądek i dobroć; każdy go też kochał, a ojciec i matka nad życie.

Lecz któż to, gdzie i kiedy, doznał w szczęściu stałości? Nikt i nigdzie, zwłaszcza też Polak w pierwszój połowie siedemnastego wieku. Panował wtenczas Zygmunt III, który słabością i uporem wiele nieszczęść zgotował Polsce. Między niemi pierwszém i najokropniejszém była sroga dzicz tatarska, ta powódź krwawa, od lat tylu śmierć i spustoszenie nieszczęsnej Polsce niosąca. Tatarzy najeżdżali polskie ziemie, a szczególniej bliższą nich Ruś czerwoną. Tam niszczyli i palili wszystko, zabijając mieszkańców, lub biorąc ich w ciężką i wieczną niewolę.

Rok 1623 najokropniejszym był dla téj krajiny; wpadli Tatarzy nagle w niezwyčajnej liczbie, rabując, paląc, pustosząc wszystko. Uciekał lud strwożony jak trzoda spłoszonych owiec, a potężny i okrutny nieprzyjaciel dopiero w okolicach Prze-

myśla, w zamkach warownych szlachty, pierwszy znalazł opór. Lecz i ten nie mógł być długim i skutecznym. Cóż podola odwaga kilku przeciw krociom? I mężny Małachowski w grodzie swoim za ledwie jeden opierać się zdołał. Już prawie wszyscy jego żołnierze śmierć ponieśli, już w środku ciemnej nocy podpalone bramy runąć miały i otworzyć wejście krwi chciwym najeźdźnikom, a on jeszcze uchodzić z domu ojców nie chciał, z tego domu, gdzie lat tyle był panem, dokąd tyle razy powracał zwyciężcą! Siadł na krześle w izbie, w której zwykle wydawał rozkazy, wsparł głowę na rękę i zdawało się, że żadna moc ludzka z tego miejsca go nie poruszy. Napróżno klęcząca przed nim żona, kilka sług starych i włościan zaklinali go, aby w szaty włościańskie przebrany uszedł wraz z nimi tajemnym wyjściem zamkowym i pozwolił się przeprowadzić do Przemyskiej cerkwi; nie ulegał bynajmniej ich prośbom, sądzić nawet było można, że ich nie słyszy. Wtedy nieszczęsna żona syna przed jego oczy stawiała.

— Ojczy — rzekła — chcesz, aby to niewinne dziecię łupem ich się stało? Chcesz, aby od wyznania prawego Boga odbiegło, ażeby życie ledwie zaczęte w niewoli spędziło?

Na ten widok, na te słowa, powstał Małachowski, strój rycerski okrył grubą siermięgą, na mężne czoło czapkę kmiecią nasunął, a porywając syna na dzielne barki, jedną rękę podał żonie,

drugą szablę uchwycił i tak poszedł w milczeniu za idącą przed nim czeladką. Jednak w ciągu drogi słaba i drżąca małżonka ciągnąc go nieraz z całych sił musiała, tak nie nawykły był do ucieczki, taką miał ochotę wracać do zamku, skoro go doszły głosy i krzyki radosne tryumfujących nieprzyjaciół....

Nareszcie doszli szczęśliwie do murów Przemysła, a dzięki ciemności nocy, dowcipowi i wierności przewodników, weszli do świątyni. Ogołoconą była z ozdób i ludzi; ale wnet napełniły ją uciekające z poblizszych ulic osoby, rozeszła się bowiem wieść straszliwa, że wszystkie zamki zdobyte zostały, że może téj samej jeszcze nocy nieprzyjaciół na miasto uderzy.

Małachowski na widok nowych niebezpieczeństw, obudzonego czując w sobie ducha, obrał się wodzem strwożonej rzeszy w świątyni i w niej do ostatniego bronić się umyślił. Gdy już napełniła się zupełnie, zawarł mocno drzwi, za wielki ołtarz ukrył żonę, syna, ile się zmieścić mogło niewiast, starców i dzieci; sam zaś z kilkunastą zbrojnymi stanął na stopniach, na wszystko bacząc mając oko, ażeby i słyszeć co się działo i wrzawą nieprzyciągnąć nieprzyjaciela.

Nie łatwo było utulić krzyk tylu dzieci, płacz tylu niewiast, jęk i narzekania tylu strwożonych; ale przecież następowała właśnie chwila zupełnej cichości, kiedy przerwały ją nagle tentent i rżenie koni,

szczęk zbroi, krzyki i odgłos okropny siekier i toporów we drzwi kościelne bijących. Ten sam oddział Tatarów, który zamku Małachowskiego dobył, w najsroźszym gniewie, iż nie zastał wodza, odkrywszy niewątpliwe jego ucieczki poszlaki, ruszył pędem do cerkwi Przemyskiej.

Wnet runęły z gromowym łoskotem ciężkie drzwi świątyni i powaliły będących przy nich blisko. Zwycięzcy uradowani wstąpili hurmem na leżące podwoje, miecze i rozpalone trzymając kagańce. Torują sobie drogę przez środek kościoła i dążą ku wielkiemu ołtarzowi, domyslając się, iż tam zastaną Małachowskiego.

Po stosach zemdlonych i rannych, zabitych i konających, wśród jęków, bólu, rozpacz i trwogi, doszli do celu swego. Tu dopiero wszczął się bój zacięty. Małachowski i wszyscy jego zdawali się nadludzką siłą wzmocnieni, tak dzielnie przystępu bronili. Ale nareszcie jeden ze starszych tatarskich, boleśnie przez bohatera skaleczony, z całą wściekłością nienawiści, zemsty i bólu, doparł go, uchwycił za ramię jedną ręką, a drugą chciał mu już cios zadać śmiertelny...

Wtem wśród téj wrzawy, tego jęku, tych krzyków, daje się słyszeć głos potężny, głos naczelnego wszystkich Tatarów wodza, wspaniałego niekiedy Giereja:

— Zaprzestańcie mordów — woła — bo śmierć was czeka! Gdzie tu Małachowski? ocalić go! —

Na pierwsze to wołanie, wściekły Tatarzyn trzymający walecznego Polaka, wstrzymał raz swój zabójczy, ale posłyszawszy dalsze, nie chcąc by uszła zemsty jego ofiara, uderzył — i gdy przybiegł Gierej do wielkiego ołtarza, już Małachowski w samo serce ugodzony leżał bez duszy, już nie słyszał łkań i krzyków wybiegłej z za ołtarza żony, nie widział płaczącego syna, a zabójca jego skrył się w natłoku.

Wódz naczelny, który posłyszawszy o nadzwyczajnych cnotach Małachowskiego, z unysłu spiesźnie do Przemyśla przybył, ażeby życie jego ocalić, widząc go zabitym, wpadł w gniew srogi na ten oddział żołnierzy własnych, i będącym przy boku swoim katować ich kazał. Nowe zatem powstało w świątyni zamieszanie, nowa okropność i wrzawa. Przy niepewnym świetle kagańców trudno było rozpoznać Tatarów od mieszkańców Przemyśla; każdy się bronił, każdy zabijał, każdy nadewszystko chciał ujsć z kościoła i co mógł unosił. Synowie brali ciała poległych ojców, mężowie niesli zemdlące żony, matki porywały dzieci.

Dwaj pozostali wierni słudzy Małachowskiego, widząc go bez duszy, choć z żalem zostawili ciało jego, a wzięwszy zemdlącą żonę i syna, wynieśli je ze świątyni. Chcieli przez boozne ulice zanieść je pod jaką ubogą strzechę, tam potrzebnego udzielić ratunku, a nazajutrz odwołać się do wspaniałego Giereja. Lecz w ciągu drogi napadł ich liczny

poczet nieprzyjaciół; napróżno usta ich wymówić chciały na obronę imię Małachowskiego, oszczerpy zabójcze przerwały im mowę... polegli, drogo sprzedając swe życie.

W lat trzydzieści po tym okropnym Tatarów napadzie, po téj krwawej powodzi, która aż bramy Lwowa zboczyła, za panowania Jana Kazimierza, biskup czyli władyka Przemyski, w licznym duchownych i dworzan orszaku, wracał do pałacu swego po nabożeństwie w cerkwi odprawioném. Modlił on się gorąco, jak zawsze zwykł był czynić, za dusze rodziców, których w dziecinnym będąc wieku utracił, a których zgon okropny dotąd pamiętał. Niedawno zasiadł stolicę przemyską, bo też w młodym jeszcze był wieku. Powołany został do téj godności odgłosem powszechnego szacunku; miły, łagodny, światły, prawdziwie pobożny i dobroczynny, godzien był tak wysokiego urzędu.

Wchodząc we drzwi pałacu swego, spostrzegł opartą o ścianę w szczególnej odzieży kobietę. Głowa jęj okryta była zawojem, a z pod niego śnieżne wymykały się włosy; twarz może niegdyś piękną zorało nieszczęście, nędza zczerniała, podarta i wypełzła katanka wisiała na ciele tak osłabioném, że wyglądać tylko należało, kiedy opuści ją dusza.

— Miłosierdzia! miłosierdzia! — te jedyne słowa z wielką trudnością zsiniałe jój usta wyrzec potrafiły i padła bez czucia.

Biskup, litością przejęty, kazał natychmiast służącym i dworzanom wziąć nieszczęśliwą, wszelkie dać jój wygody i nadwornego przywołać lekarza. Dwa dni niewiasta bez żadnej była przytomności, lubo czucie wnet wróciło; ale trzeciego odzyskała zupełnie zmysły i mowę, tylko bez sił żadnych, a lekarz osądził, że ten powrót przytomności był znakiem rychłej śmierci. Oświadczył to więc biskupowi, a ten powiedział, że sam ją chce przysposobić do śmierci.

— Bóg przeznaczył jój oczywiście — rzekł — dom mój na ostatnią w tém życiu gospodę, muszę więc sam ją opatrzyć w daleką podróż, w którą się wybiera.

I poszedł natychmiast do umierającej, rozkazując, ażeby ich zostawiono samych.

Przejęta taką dobrocią i łaskawością niewiasta dziękować mu chciała, uniąc się przednim, ale on powiedział:

— Powinnością to jest moją; byłżebym sługą tego Boga, któremu żywot poświęciłem, gdyby kto wzywał na próżno miłosierdzia mego?

— Ach, Panie — zawołała umierająca — jakąż to dobroć wasza! Jaki głos i mowa miła! Jakże dawno uszy moje nie podobnego nie sły-

szwały! O Boże! Jakaż opatrność Twoja, że mi dozwalaś na łonie chwalących Ciebie umierać! —

I tu krople łez potoczyły się po jej bladych licach, złożyła wychudłe ręce i modliła się cicho.

— Któż jesteś, i gdzie byłeś dotąd? — spytał jój zdziwiony biskup.

— Nie jestem, a przynajmniej niegdyś nie byłam, czém się dziś być zdaję — wyrzekła. — Wiosna dni moich spłynęła w szczęściu, bogactwie, wolności; byłam panią, byłam żoną, byłam matką, lecz dalsze lata zgarnęło sieroctwo, nędza i niewola... Oto właśnie trzydzieści lat temu, w tém mieście Przemyślu, w cerkwi, poległ mąż mój!...

— Jak się nazywał twój mąż — przerwał jój z pospiechem biskup.

— Cóż pomoże, choć powiem imię jego! Już nieraz je mówiłam od czasu, jak na ruską wstąpiłam ziemię, a nikt wierzyć nie chce!

— Mów tylko spiesznie! — powiedział biskup.

— Małachowski — wyrzekła.

— Wielki Boże! — zawołał kapłan — a syna czy miałaś?

— Miałam jedynaka, i on się przeniósł do wieczności; widziałam go nieraz we śnie między aniołami. Janek mój miły! Janek mój jedyny!

— Matko! — krzyknął biskup, i uchwycił złożone ręce niewiasty, przyciskał je do ust i oblewał łzami.

— Czy to jeszcze jeden z tych snów błogich, któremi Bóg w niewoli mnie cieszył? Czyli już umarłam i w niebie jestem? — pytała przerywanym głosem niewiasta — na tę ziemię to szczęścia zanadto! Jażbym jeszcze miała syna?

— Tak jest, bez wątpienia — odpowiedział biskup — jam syn twój, tyś matką moją! I ten dobry i wszechmocny Bóg, który cię tu tak cudownie przyprowadził i mnie również cudownie zachował, udzielić ci raczy zdrowia i życia, abys jeszcze na tej ziemi szczęścia używała. —

I tak się stało; nie zawiódł Bóg ufającego w nim sługi, nagroził długie pobożnej niewiasty cierpienia.

Biskup Przemyski był owym Jankiem, ośmioletnim ongi Małachowskich synem. Tatarzy, nie widząc go może w ciemnościach nocy, lub też mając za umarłego, zostawili go w owój bocznej ulicy, unosząc tylko matkę jego zemdloną. Znaleźli go tam nazajutrz włościanie ojca, którzy i ciało pana uczciwy pogrzeb sprawili. Za ich staraniem dostał się wnet sierota do krewnych, przez nich wychowany starannie, doszedłszy do lat młodzieńczych, obrał sobie stan duchowny, a przez cnoty i światło doszedł do biskupiej godności.

Będąc bez zmysłów wtedy, gdy matkę porwano, wraz ze wszystkimi, sądził, że nie żyje, i pomnik jój nawet wspaniały obok grobu ojca wystawił. Ją zaś Tatarzy uprowadzili aż do najdalszych siedzib

swoich. Ztamtąd, pomimo najusilniejszych starań wydobyć się nie mogąc, przez lat trzydzieści żyła w ciężkiej niewoli. Nie nawykła jednak do niej, i choć już blisko sześćdziesiąt lat liczyła, gdy się jój trafiła nareszcie pomyślna do ucieczki pora, wróciła do ojczyzny. Uszedłszy mil tyle piechotą, sama, w tym wieku, nic dziwnego, że z sił opadła gdy przysła do miasta, gdy się ujrzała w miejscu, gdzie tak odmienną ludzie ją znali.

Ale radość wielka i niespodziana wróciła jój siły i życie; w niedługim czasie przysła zupełnie do zdrowia. Jeszcze przez lat dwadzieścia i kilka cieszył się nią syn ukochany. Dom jego stał się dla niej ostatnią i miłą gospodą; otoczona tkliwemi staraniami jedynaka i uwielbieniem powszechném, byłaby może i zapomniała długich lat niewoli, gdyby częste opowiadanie nie było wznawiało lich pamięci.

ROZDZIAŁ XI.

Wieczorna przechadzka.

Po przeczytaniu powieści o biednej matce biskupa Małachowskiego, toczyła się jeszcze w ciągu wieczery rozmowa o dawnych czasach, i każdy opowiadał co o nich wiedział i słyszał.

Gdy się wieczerza skończyła, a srebrne światło wschodzącego księżyca zagładnęło do izby, wstał Górka, a widząc jak pięknie jest na dworze, zachęcał do wieczornej przechadzki. Tomaszowa z Teklusią miały jeszcze gospodarskie czynności w domu, więc pozostały; lecz Tomasz i Zarębski dali się z łatwością namówić. Jakoż wszyscy trzej wyszli na gościniec i puścili się główną ulicą poza miasto i dalej drogą, która się wije wzdłuż szumiącej rzeki.

Wieczór był w istocie bardzo ładny i ciepły. Ogromna tarcza wschodzącego księżyca rozlewała na okół światło szerokimi strumieniami; niebo nie przyćmione żadną chmurką płonęło prócz tego milionem gwiazd, z których jedne świeciły spokojnie, a inne zdawały się mrugać ku ziemi. Z odległych błót dochodziło rechotanie żab, tu i owdzie

migały się jak ogniki przelatujące robaczki świętojańskie, rzeka zdawała się kołysać ziemię do snu jednostajnym szumem, a w gajach nadbrzeżnych to rozbrzmiewał to milknął czarujący śpiew słowika. Wśród takiego to wieczoru szli nasi trzej znajomi przyjacielską zajęci rozmową.

— Mogą sobie inni chwalić obce kraje — mówił pan Tomasz — dla mnie przecież nie ma nad ziemię rodzinną! Jakie niebo, jakie krajobrazy! A oto w takiej chwili jak obecna, w taki piękny letni wieczór? Aż człowiek czuje przyjemność życia i dziękuje panu Bogu, że go na tej ziemi osadził.

— Mnie się zdaje — przerwał Górka — że i swoją ojczyznę kochać można serdecznie i obcymi krajami nie gardzić. Ci co tylko obce rzeczy pod nieba wnoszą, a swojemi pomiatają, są niewdzięczni i źli. Już przysłowie mówi, że *zły to ptak, co swe gniazdo kała*. Jednakże ci, co tylko w swoim widzą wszystko dobre, a obce kraje i obcą mądrość za nic mają, są ciemni i głupi. Nieraz ja tego żałuję — dodał Górka, przypomniawszy sobie swoją podróż po mapie z nauczycielem — nieraz żałuję, że młodu wędrowki jakiej po cudzych krajach nie odbył, aby przetrzeć swój własny rozsądek, i porównać, jak jest gdzieś indziej a jak u nas.

— Toć i ja nie jestem przeciw temu — rzekł Tomasz — aby brać od obcych to, co jest dobre,

poznawać je i ćwiczyć na nich swój rozum. Wszakże coś niecoś wędrowałem i syna wysłałem na wędrowną. Myślę jednak, że gdyby gdzieindziej człowiekowi na zawsze żyć wypadło, toby nie mógł wytrzymać, i wnetby go zabiła tęsknota do ojczyzny.

— I słusznie macie — przerwał Zarębski — bo człowiek jest jak roślina, która będzie chorzeć i zginie, gdy ją w niewłaściwy grunt przesadzicie. Przecież i człowiek, ciągnąc żywność z tej ziemi, na której się urodził, czy chce czy nie chce musi się do niej przywiązać i sercem zapuścić w nią korzenie. Ba, i nie jeden już umarł, który postradał rodzinne niebo, rodzinne powietrze i ziemię! Ot, nie dalej jak górale, którzy przecież nie spią na puchu w swych górach i ciężko muszą pracować, żeby z kamieni miarkę owsa wygrzebać! A przecież, jak im to smutno i tęskno za górami, gdy przyjdzie zejść w niziny za zarobkiem! Każdy naród jest jakoby zrósnięty z swoją ziemią, z jej plodami i *klimatem*.

— Ot, lecz użyliście wyrazu — zawołał otwarcie Górka, — którego ja nie rozumię. Cóż to jest klimat?

— Prawda, że to obce słowo — rzekł nauczyciel — i chętnie go wam wytłumaczę; ale to nie tak łatwo i z daleka trzeba zaczynać.

— Choćby i o dziesięć mil, to nam się nie znuży — rzekł Górka —! a Tomasz przytaknął uśmiechem.

— Gdyby to tylko o dziesięć! — zawołał zarobliwie Zarebski — Ale tu nam trzeba zacząć od 5400 mil, t. j. od równika, którego długość właśnie tyleż mil wynosi.

Gdy Górka i Tomasz śmieli się jeszcze z nauczyciela, że od tak daleka myśli swe opowiadanie rozpoczynać, on już przybrał ton poważny i tak im rzeczy wyłuszczał:

— Ziemia jak wicie jest spłaszczoną cokolwiek kulą, podobną z kształtu do jabłka. Gdybyśmy tę kulę w największej jej wypukłości na dwie równe części jak jabłko przekroili, a potem obie części złożyli, tobyśmy widzieli na około niej linię przecięcia, leżącą właśnie po środku. Taką to linię, dzielącą ziemię naszą na dwie równe części, nazywamy równikiem. Jestto najdłuższe koło, jakie się da na kuli ziemskiej wykreślić i wynosi 5400 mil. Jeżelibyśmy powyżej i poniżej równika jak na jabłku dalsze koła na kuli ziemskiej zakreślili, to oczywiście każde z nich byłoby mniejsze i coraz mniejsze, aż w końcu przyszlibyśmy do dwóch punktów, które na kuli ziemskiej tak są położone, jak n. p. na jabłku ogonek i blizna. Te dwa, w równej odległości od równika znajdujące się punkta, nazywamy biegunami, z których jeden jest północnym a drugi południowym. Gdybyśmy przez te bieguny przetknęli oś, jak przez koło od wozu, i kulę od zachodu na wschód po osi tej okrecili, tobyśmy właśnie znaleźli ten kierunek, w którym

się ziemia z własnej mocy obraca, i który to obrót zmiany dnia i nocy sprowadza. Dla łatwiejszych obliczeń i pomiarów wykreśla się w myśli na kuli ziemskiej oprócz równika i biegunów, także koła, przecinające ziemię z góry na dół przez oba bieguny i równik, i koła opasujące kulę ziemską od równika ku biegunem. Pierwsze będące równej długości nazywają się południkami; drugie, które są coraz mniejsze, nazywają się równoleżnikami. Pierwszych i drugich wykreślamy po 180 na kuli ziemskiej; koła południkowe przecinają zatem równik w 360 miejscach i dzielą go na 360 części czyli tak zwanych stopni, z których każdy 15 mil mierzy, kół zaś równoleżnikowych liczymy 90, licząc od równika i idąc aż do bieguna, i również tyle na drugiej części kuli, gdy ku drugiemu biegunowi będziemy się posuwać.

Otóż wedle równika, równoleżników i biegunów rozróżniamy na kuli ziemskiej różne części jej płaszczyzny, które są w rozmaity sposób do słońca położone i rozmaicie też bywają od promieni słonecznych oświetlane. Na płaszczyznę ziemi pod równikiem padają promienie słoneczne prostopadle, a tém samém sprawiają, że na tych częściach ziemi panuje największe i prawie bezustanne gorąco. Czém bardziej ku biegunom, tém mniejsze już jest gorąco i znaczniejsze zmiany powietrza, gdyż promienie słońca padają coraz ukośniej i coraz mniej ziemię ogrzewają. Gdy się nareszcie zbliżymy do

bieguna, napotkamy prawie bezustanne zimno, gdyż tę część płaszczyzny ziemskiej muskają zaledwie bokiem ożywcze promienie słońca. Jakoż widzimy na ziemi pięć różnych pasów jej powierzchni, które w rozmaity sposób od promieni słonecznych bywają ogrzewane. Pasy te nazywamy strefami i rozróżniamy najprzód strefę gorącą, która leży po obu stronach równika i ciągnie się z obu stron aż do odległości $23\frac{1}{2}$ stopni, t. j. z północnej do zwrotnika Raka, a z południowej do zwrotnika Koziorożca; następnie dwie strefy umiarkowane, ciągnące się na obu połowach kuli ziemskiej od zwrotników aż do kół biegunowych; w końcu dwie strefy zimne, leżące między biegunami a kołami biegunowymi, które oznaczamy równoleżnikami w odległości $23\frac{1}{2}$ stopni od biegunów. W strefie gorącej leżą następujące kraje: środkowa część Afryki, część Arabii i Indyi, znaczna część południowej Ameryki i środkowa Ameryka wraz z leżącymi obok niej wyspami, którym dano nazwę Indyj zachodnich, nareszcie znaczna część Australii. Cała Europa, przeważna część Azji i północna Ameryka leżą w północnej strefie umiarkowanej i zachodzą aż w północną strefę zimną, a to kończynami Szwecyi i Norwegii, północnej Rosyi i Sybiru, Nową ziemią, Grenlandyą i znaczną ilością różnych wysp. W południowej strefie umiarkowanej leży znaczniejsza część Australii, południowa kończyzna Ameryki i mnogość rozmaitych wysp. Oba bie-

guny, których zresztą nie można zbadać dla niesłychanych mrozów i olbrzymich zatorów lodowych, są pokryte morzami, które od istnych gór lodu nazwano lodowatemi.

Lecz nietylko położenie powierzchni ziemi do słońca jest przyczyną większego gorąca lub zimna. Zależy to jeszcze od rozmaitych okoliczności, a mianowicie, czy kraj jaki położony jest nad morzem czy w środku lądu stałego, czy jest górzysty czy równy, czy zasłonięty od zimnych wichrów i t. p. Wszystkie te okoliczności wpływają na stan powietrza, na przebieg pór roku i na większą lub mniejszą wilgoć w powietrzu, a od tego zawisł znów ogólny całoroczny stan powietrza w pewnym kraju, czyli *klimat* tego kraju. Ztąd też pochodzi, że w strefie umiarkowanej nie jeden jest klimat, lecz różne stopnie klimatu umiarkowanego; oczywiście, że najłagodniejsze w południowym pasie strefy, a ku północnym coraz to ostrzejsze. I tak nasz kraj leży w tej samej strefie co Włochy, Hiszpania, Turcja i t. p., a przecież u nas nie rodzą się pod gołym niebem cytryny, pomarańcze, kasztany, figi i tym podobne owoce, tak jak w wymienionych krajach. Dzieje się to z tego powodu, że kraje te bardziej na południe są położone niż nasz. Ale dlaczego z tantej strony Karpat w Węgrzech udają się wybornie winogrona, i w ogóle klimat łagodniejszy jest od naszego, kiedy różnica w położeniu do słońca bardzo jest niewielka? Oto dla-

tęgo, że Karpaty zasłaniają kraj węgierski od zimnych północnych wiatrów, które w drodze do nas tylko na mniejsze przeszkody w lasach i po-
mniejszych górach natrafiając, swobodnie sobie hulają. A dlaczegoż n. p. w Anglii, która znacznie na północ od nas jest wysunięta, klimat jest dość łagodny? Oto dlatego, że woda w oceanach, rozgrzana pod równikiem, rozchodzi się prądami w zimniejsze na północ położone morza, i jeden z takich prądów, podchodząc aż pod Anglię, darzy ją ciepłem swych wód i ogrzaniem od nich wichrami.

Jak więc widzicie przeróżne okoliczności wpływają na klimat tego i owego kraju. Na nasz klimat nie mamy powodu się uzalać. Wprawdzie czasem mróz w zimie a upał w lecie dokuczy, lecz wzięwszy w ogóle stan powietrza w ciągu całego roku, mamy klimat przyjemny, bo mierny, a mierność najbardziej odpowiada usposobieniu człowieka i potrzebom jego ciała. Łatwiej to przebyć kilka mrozów i upałów, niż jak murzynom smażyć się w nieustannym skwarze, od którego aż skóra czernieje, lub jak Lapończykom kostnieć od ciągłego mrozu, i być ciągle jak niedźwiedź owiniętym w grube skóry i futra od stóp do głowy. —

Gdy Zarebski przestał mówić, odezwał się Górka w te słowa: — Z tego coście powiedzieli zrozumie każdy, dlaczego u nas chłodniej jak pod równikiem, a cieplej niż pod biegunami, nie będzie jednak wiedział, z kąd się biorą upały w lecie, a

mrozy w zimie? Czy dlatego, że się ziemia to ku słońcu zbliża, to znowu oddala?

— Nie — rzekł Zarebski — jest inny ku temu powód, a to ten, że ziemia, krążąc koło słońca ukośne doń zajmuje położenie. W rocznym swoim biegu znajduje się wprawdzie ziemia raz bliżej, to znowu dalej od słońca, ale to nie wielki ma wpływ na zmianę w ogrzewaniu ziemi, bo właśnie na wiosnę i w jesieni jest ziemia najbliżej słońca, najbardziej zaś oddaloną jest w zimie i w lecie, a przecież w lecie największe mamy upały. Wielki i stanowczy wpływ wywiera to ukośne położenie ziemi, o którym napomknąłem, a które sprawia, że promienie słońca to prostopadłej to ukośniej na ziemię padają. Co zaś znaczy ta różnica w kierunku promieni, możecie się przekonać, trzymając palec nad płomieniem świecy. Gdy go będziecie trzymać prosto nad płomieniem, natychmiast was upieczce, czém ukośniej do płomienia będziecie palec przykładać, tém mniej będzie piekło, w kierunku zaś poziomém do płomienia możecie dość długo palec trzymać, nim uczujecie dokuczliwe gorąco. Otóż ziemia, zachowując stale ukośne położenie w krążeniu naokoło słońca, wystawia swe kraje na działanie jego promieni tak, jak my palec na działanie świecy: to bardziej prostopadle, to bardziej ukośnie. Takie zaś jest owe nachylenie ziemi, że promienie słońca któregoby zawsze padały prostopadle na sam równik, gdyby nie było nachylenia,

padają w ciągu naszego lata prostopadle już nie na sam równik, ale o $23\frac{1}{2}$ stopnia wyżej ku północy t. j. na ten pas ziemi, gdzie na niej znaczymy zwrotnik Raka, a w ciągu naszej zimy o $23\frac{1}{2}$ stopnia niżej od równika, t. j. na ten pas ziemi, który oznaczamy zwrotnikiem Koziorożca. Otóż bardzo łatwo zrozumieć, że w naszym kraju, i w tych wszystkich, które leżą na północnej półkuli ziemskiej, najbardziej pionowo padają promienie słoneczne w pierwszym wypadku, w skutek czego mamy letnie gorąco, najukośniej zaś w drugim wypadku, co nam zimowe mrozy sprowadza. Na wiosnę i w jesieni, gdy promienie słońca padają prostopadle na sam równik, są u nas pory umiarkowane, bo właśnie średniem jest nachylenie promieni słonecznych ku ziemi.

Wpływem owego ukośnego położenia ziemi do słońca jest jeszcze inna bardzo ważna dla pór roku okoliczność, t. j. ubywanie i przyrastanie dni i nocy. Gdy słońce jest w znaku Koziorożca, t. j. 21 grudnia, mamy dzień najkrótszy; od téj chwili przybywa nam co dzień dnia aż do 21 marca, t. j. do chwili, gdy słońce stanie nad równikiem, i wtedy mamy dzień i noc równe. Od 21 marca przyrasta dnia jeszcze bardziej i to trwa aż do 21 czerwca, w którym to dniu noc jest najkrótszą a dzień najdłuższy, bo jesteśmy zwrócenii najbardziej ku słońcu, znajdującemu się właśnie w znaku Raka. Od téj chwili zaczyna dnia ubywać, bo ziemia, w sku-

tek swego ukośnego położenia, zaczyna odchylać północną półkulę od słońca a nachylać południową i dnia 23 września słońce stoi znowu nad równikiem, a my mamy jesień, w której przypada ponowne zrównanie dnia z nocą. Po tém zrównaniu ubywa znowu coraz bardziej dnia aż do 21 grudnia, a my tymczasem przeszliśmy napowrót z jesieni w zimę, bo słońce znowu weszło w najodleglejszy dla nas znak Koziorożca.

Dlaczego dłuższe lub krótsze trwanie dnia wpływa na pory roku, może nam znowu wytłumaczyć świeca i palec. Widzimy na niej mianowicie, że czém dłużej trzymać palec nad świecą, tém bardziej płomień jęj dopieka. Tak samo jest też ze słońcem i ziemią; czém dłużej trwa dzień i słońce dłużej świeci, tém bardziej ogrzewa się ziemia i powietrze. Jeżeli zaś w zimie, nietylko że ukośnie promienie swe rzuca, lecz nadto krótko tylko na niebie się zatrzymuje, to nie dziw, że często bardzo jasno świeci, a śniegu nawet nie stopi.

Z tego, com już wam dotąd wytłumaczył, z łatwością pojmiecie, że w strefach umiarkowańszych największe występują różnice w porach roku. W strefie gorącej tak są małe odmiany w nachyleniu promieni słonecznych do ziemi, że ciągle tam panuje lato, przeplatane tylko deszczami, burzami i wichrami. Całkiem odmiennie jest pod biegunami. Tam znowu jest tylko zima i lato, a raczěj

jedna noc i jeden dzień w ciągu całego roku. Gdy bowiem ziemia dnia 21 marca zaczyna przechylać północną półkulę ku słońcu, natenczas w północnych krajach podbiegunowych ukazuje się skrawek słońca na widokręgu, nareszcie ukaże się całe, i już nie zachodzi, ale odbywa bezustannie drogę w cokoło widokręgu, i tak krążąc i nie schodząc z nieba podnosi się ciągle aż do 21 czerwca, poczem zaczyna się znowu zniżać i nareszcie dnia 23 września zapada pod widokrąg. Te sześć miesięcy są nieprzerwanym dniem, a razem i latem dla krajów podbiegunowych. Choć przeto słońce bardzo ukośnie tylko rzuca tu swe promienie, przecież świecąc tak długo bez przerwy, pobudza ziemię do roślinności, która się bujnie i prędko rozwija. Lecz od dnia 23 września następuje dla krajów podbiegunowych jedna noc i straszna zima. Przez sześć miesięcy nie ukazuje się słońce wcale na widokręgu, i tylko prześliczna zorza północna dostarcza od czasu do czasu żywszego światła. —

Gdy tych słów domawiał nauczyciel, zbliżyli się nasi znajomi ku stosom drzewa, nagromadzonym nad brzegiem rzeki i przeznaczonym na spław. Tomasz więc zauważył, że już dość znacznie od miasta się oddalili, i że byłoby dobrze odpocząć teraz na belkach nad brzegiem rzeki, a po odpoczynku wziąć się napowrót ku miastu. Z przyjemnością przystali na to Górka i Zareński; poczem wszyscy trzej usiedli na spławach i pod gwieździstém

niebem, nad rzeką szumiącą, wiedli dalej rozpoczętą rozmowę.

— Przecież to jest ogrom, ta nasza ziemia! — rzekł pierwszy pan Tomasz siadając — Ile to części świata, mórz i lądów, któreście wyliczali! Ja za moich lat młodych dość się nawędrowałem, schodziłem ziemie niemieckie, trochę Węgier i trochę Czech, lecz dalsze kraje znam już tylko ze słuchu. Ba, byłaby to nielada podróż, gdyby je chciaść wszystkie zwiedzić!

— Zapewne! — odezwał się nauczyciel — Gdyby kto chciał tylko prostą drogą ziemię na około obejść, a miał wszędzie dobry bity gościniec, i idąc nie odpoczywał, tylko szedł po 6 mil na dobę, toby potrzebował do tego... No jak myślicie — zapytał Zarębski z uśmiechem — ileby czasu na to potrzebował?

— Ja myślę — odezwał się Górka — że potrzebowałby z pół roku, a może i rok, bo to ogrom!

— Ale gdzież tam! — zawołał nauczyciel — potrzebowałby do tego przynajmniej 900 dni, tj. półtrzecia roku, gdyż okrąg ziemi, jak wam już wspomniałem, mierzy 5400 mil, to znaczy 900 dni drogi, licząc 6 mil na dzień.

— A czy już obszedł kto w ten sposób ziemię na około? — zapytał rozciekawiony Górka.

— Obejść nie obszedł — rzekł Zarebski — bo lądy nie wszędzie się łączą i są przegrodzone niezniemiernymi morzami czyli oceanami, których pieszo nie przejdziesz; ale byli już tacy, którzy opłynęli ziemię na okrętach, trzymając się wszędzie mórz i okalając lądy, które im stały na przeszkodzie. Pierwszym podróżnikiem, który tej sztuki dokazał, był niejaki Ferdynand Magielan, portugalczyk, a raczej jego okręty, gdyż on sam, zabity w ciągu podróży na jednej z wysp, nie wrócił już do ojczyzny. Było to w roku 1519 w jesieni. Magielan wypłynął z Portugalii w celu podbicia pięknych wysp, zwanych Moluckimi, a leżących pomiędzy Australią a Indyami. Wonne korzenie gorących krajów, jak muszkat, gwoźdżiki i inne, były podówczas w Europie bardzo cenione, a wyspy Moluckie, leżące w gorącej strefie, bo pod równikiem, wydają wielką mnogość tych drogocennych przypraw. Były więc smacznym kąskiem, o który warte było się pokusić, choćby nawet przyszło odbyć drogę długą i uciążliwą. Jakoż puścił się ku nim Magielan i płynąc oceanem Atlantyckim, kierował się ciągle na zachód, skutkiem czego przybił po jakimś czasie do wybrzeży Ameryki. Tutaj zagroził mu drogę ląd stały, którego nie mógł przebyć na okrętach; spuścił się więc wybrzeżem Ameryki południowej aż na sam jej koniec, i tu wynalazłszy cieśninę morską, która jeszcze dotąd nazywa się od niego Magielańską, wypłynął na

ocean. Spokojny, którego niezmierzone wody oddzielają Amerykę od Azji i Australii. Miał zatem drogę otwartą do zamierzonego celu, i przybył istotnie do wysp Filipińskich, leżących na północ od Moluckich, lecz tu znalazł śmierć w bitwie z mieszkańcami. Towarzysze Magielana popłynęli dalej na zachód i przebywszy ocean Indyjski, dostali się do południowego cypla Afryki, czyli tak zwanego przylądka dobrej nadziei, i ztąd płynąc oceanem Atlantyckim, wzdłuż zachodnich brzegów Afryki, zawinęli niebawem znowu do Portugalii, do upragnionej ojczyzny. Wyjechali byli w pięć okrętów, a powracali na jednym, przez trzy lata przebywali różne przygody i pogrzebali swego dowódcę, lecz koniec końców opłynęli ziemię, i wszystkim niedowiarkom dali tém dowód, że ziemia jest okrągła, jak skoro zdołali wrócić do ojczyzny, jadąc ciągle w jednym i tym samym kierunku, tj. zachodnim.

— Szkoda tego Portugalczyka! — rzekł pan Tomasz zadumawszy się — to widać odważny był człowiek.

— Ale co to on tych mórz i oceanów przejechał! — zawołał pan Górka — To coś tego dużo jest na naszej ziemi — dodał, zwracając się do nauczyciela.

— O! tak, więcej niż stałego lądu! — rzekł Zarebski. — Stały ląd, t. j. wszystkie części świata, zajmują mniej niż trzecią część całej powierzchni

kuli ziemskiej, choć i tego nie mało, bo wynosi 2423000 mil kwadratowych, czyli niesłychaną liczbę 24230 milionów morgów. Reszta, t. j. przeszło dwa razy tyle powierzchni kuli ziemskiej, zalaną jest morzami i oceanami. Oczywiście, iż wraz z lądem liczą tu wszystkie pasma gór, pustynie piaskami zawiane, niedostępne bagniska, łożyska rzek i jezior i t. p. Jeżeli bowiem patrzymy na kulę ziemską jako na *jedną* całość, to się już nie zważa na pomniejsze drobiazgi. Wszakci największa góra w stosunku do powierzchni całej ziemi nie więcej znaczy niż ziarnko piasku na powierzchni sporego jabłka, tak samo, jak największa przepaść lub kopalnia tyle co dziurka w jabłku, gdy na nią łupkę szpilką przekłujemy! A cóż dopiero człowiek na takim ogromie! Niknie jak plewka, jak pyłek.

— To też nie mało musi być ludzi na całej kuli ziemskiej — zagadał znowu Górka — ciekawym, czy też to kto obliczył?

— Ba! — zawołał nauczyciel — Nie sposób byłoby obliczyć wszystkich co do jednego, bo w każdej godzinie tysiące się rodzą i tysiące umierają. Że jednak ludność w jednym kraju mniej więcej jednej miary się trzyma, więc wedle tego obliczono w przecięciu, że całą kulę ziemską zamieszkuje tysiąc milionów ludzi, między którymi jest przeszło 400 milionów chrześcian, około 4 miliony żydów, a reszta poganie, wyznający różne religie.

Rozciekawiony Górka chciał jeszcze dalej o coś zapytać, lecz wtém podniósł się pan Tomasz i rzekł:

— Dajcie już spokój, boście gotowi wypytywać do jutra, a tu już pora spóźniona i czas nam wracać do domu.

W istocie zapadła już noc głucha; więc nasi znajomi, oddaleni może o jakie ćwierć mili od miasta, powstali ze szałow, i powracali wolnym krokiem, używając miłego chłodu nocnego.

Chwilę szli w milczeniu; nareszcie Zarębski, zwróciwszy wzrok ku gwieździstemu niebu w te się odezwał słowa:

— Podziwialiśmy wielkość kuli ziemskiej, jój lądów i oceanów, a przecież cała nasza ziemia jest tylko ziarnkiem w porównaniu do tych milionów ciał niebieskich, do tych gwiazd i planet, które tak pięknym światłem płoną nad naszemi głowami. Podwładnym ziemi, jój sługą niejako, jest tylko księżyc, który nam się teraz największym i najwspanialszym wydaje; wszystkie inne ciała niebieskie, to już niezależni od niej mocarze, i to w przeważnej liczbie nierównie potężniejsi od niej. Księżyc, który okrąża w ciągu miesiąca ziemię i nie własnem świeci światłem, lecz światłem odbitych odeń promieni słonecznych, dlatego się nam większym od gwiazd wydaje, że się najbliżej ziemi znajduje. Ba, lecz nie tak bliski, jakbyśmy to mogli przypuszczać, oglądając się na rozmiary

ziemskie. Najwyższe góry na ziemi dochodzą do 28 tysięcy stóp wysokości, najwyższe chmury ukazują się w oddaleniu trzech mil od powierzchni ziemi; lecz czém dalej w niebo, tém bardziej trzeba porzucać łokieć i miłę, bo mila staje się niczém, w obec tych niepojętych odległości. Otóż do bliższego niby to księżycy liczymy 51000 mil, t. j. tyle, że ten sam podróżnik, który idąc bezustannie naokoło ziemi, musiałby półtrzecia roku strawić, nimby jąobszedł, potrzebowałby iść dzień po dniu przeszło 23 lat, gdyby miał przez powietrze bity gościniec i chciał po nim zejść do księżycy. Ale czémże jest ta odległość w obec odległości ziemi od słońca? Tu już nie można liczyć na tysiące, lecz na miliony mil. I rzeczywiście obliczyli uczeni za pomocą troskliwych pomiarów i badań przez teleskopy, że ziemia od słońca jest przeszło 20 milionów mil oddalona, t. j. tak daleko, że ten sam podróżny, o którym wspomniałem, już nie 23 lat jak do księżycy, lecz przeszło 9300 lat musiałby iść, robiąc sześć mil na dobę, nimby zaszedł do słońca, czyli, iżby mu nawet na setną część drogi życia nie starczyło, choćby szedł od urodzenia aż do śmierci. Kolej żelazna, choć bardzo prędko biegnie, musiałaby strawić około 500 lat nieustannego biegu, chcąc przebyć tę niepojętą odległość.

A przecież odległość ziemi od słońca jest tylko bardzo małą częścią odległości wielu milio-

nów gwiazd, świecących nieskończenie wyżej w przestrzeni niebios. Myśl ludzka mać się już w tém obliczeniu, rozum przestaje pojmować i wielbi tylko wszechmocnego, niepojętego Stwórcę tylu światów!...

Pomimo, że Zarebski przestał mówić na chwilę, nie przerywali milczenia Górka i Tomasz, lecz szli również zatopieni w podziwie dla niepojętych rozmiarów świata i wszechmocy jego Stwórcy. Po chwili rozpoczął znowu nauczyciel w ten sposób:

— Księżyc jest w stosunku do naszej ziemi tak małym ciałem niebieskim, że trzeba blisko 50 takich kul, ażeby z nich jedną kulę ziemską utworzyć. Dokładne oglądanie księżyca przez teleskopy przekonało zresztą, że jest to masa kamienna, martwa, nie otoczona powietrzem, nie mająca ani wody, ani roślinności, ani zwierząt. Powierzchnia jej jest poszarpana rozlicznymi przepaściami, jakgdyby wygasłymi wulkanami, i piętrzy się wielkimi górami, których kształty można rozróżnić przez dobre teleskopy, a nawet ich wysokość pomierzyć. Zupełnie odwrotnie ma się rzecz ze słońcem. Jest ono tak ogromne, iż gdybyśmy je sobie wyobrazili jako wydrążoną banię, to w tej bani dałoby się pomieścić blisko półtora miliona takich kul, jak nasza ziemia, czyli, że gdyby ziemia nasza była tak małą jak ziarnko prosa, to na utworzenie słońca trzeba użyć przeszło 140 kwart prosa. Wiedząc, jak słońce jest ogromne, dopiero sobie wyobrazimy tę niezmierną odległość, która

nas od niego dzieli, skoro się nam na oko mniejszém od księżyca wydaje. Widzimy nakoniec, że słońce jest masą roztopioną i gorejącą; na jego powierzchni palą się ustawicznie gazy, a w skutek tego darzy słońce i nas i inne planety światłem i ciepłem, bez których żyćbyśmy wcale nie mogli. Gdy słońce zajdzie i noc zapanuje nad ziemią, cała natura zapada w sen i odpoczywa, jak oto w téj chwili; skoro zaś pierwsze promienie słońca ukażą się na ziemi, już wszystko się budzi do życia i do pracy i chwali śpiewem dobroć i wszechmoc Stwórcy. —

W pośród tych opowiadań Zarebskiego weszli nasi znajomi do miasta, i ani się spotrzegli, jak prędko im droga minęła. Ulica była już pustą i głułą, srebrne światło księżyca rzucało na nią długie cienie drzew i domów; tu i owdzie płonęło jeszcze w okienku światło spóźnionych pracowników, tu i owdzie odzywało się szczekanie psów, tych poczciwych stróżów domu. Gdy przestał mówić Zarebski, zbliżali się właśnie nasi przyjaciele ku budynkowi szkolnemu, lecz nim jeszcze doszli do niego, doleciał ich miły i rzewny śpiew. Stanęli więc nad słuchując. Śpiew wychodził z otwartego okienka w mieszkaniu nauczyciela, z poza pięknych kwiatów w wazonkach, przez które aż do głębi przeciskało się księżycowe światło. Nuta śpiewu była przeciągła, smutna i dziwnie chwytająca za serce, a słowa następujące:

Nikt skarg moich nie usłyszy,
 Z cierpliwością zniosę troski:
 Bez szemrania przyjmę w ciszy,
 Co mi zesłał wyrok boski.
 Bóg na próżno nic nie zsyła,
 Mówi rozum i sumienie,
 I ta troska, choć nie miła,
 Wlewa w serce pocieszenie.

Troska wznosi myśl do Boga,
 Zaufanie w sercach nieci,
 Wskaże, gdzie jest cnoty droga,
 Gdzie Bóg czeka na swe dzieci.

Nikt skarg moich nie usłyszy,
 Z cierpliwością zniosę troski:
 Bez szemrania przyjmę w ciszy,
 Co mi zesłał wyrok boski.

— Wszak to z waszego mieszkania ten śpiew wychodzi? — zapytał Tomasz, zwracając się do nauczyciela.

— Z mojego — odparł nauczyciel, a przy świetle księżyca widać było, jak gdyby mu łzy w oczach błyszczały.

— I któż to tak rzewnie nuci? — zapytał dalej Tomasz.

— Zapewne biedna Marcysia — wtrącił Górk.

— Tak jest, ona — rzekł Zarewski. — Biedne dziewczę! Dniem i nocą myśli tylko o swoim ojcu, jakgdyby go wyczekiwała, a tymczasem kto wie, co się stało z nieszczęśliwym Stefanem! Do niedawna i ja myślałem, że go zawlekli na Sybir, że ztamtąd trudno mu co o sobie donieść, lecz że pierwój czy później uwolnią go z niewoli i że powróci. Tymczasem teraz...

— No, cóż się stało? — zapytał z niepokojem Górka.

— Pisałem przed parą tygodniami do jednego z moich znajomych, który dopiero co wrócił ze Sybiru i zapytywałem, co się dzieje ze Stefanem Garłaczem. Odpisał mi, że nie spotkał się z nim w niewoli i nic o nim nie słyszał. Zgęwne go więc tam niema, a skoro tak, to już nic innego, tylko zginął na wojnie!... Nie mam odwagi powiedzieć o tém biednej Marcysi, gdyż ona coraz większą ma nadzieję, że ojciec powróci, jak gdyby był w drodze do niej.

— Ha, może Bóg da, że jeszcze powróci! — zawołał Górka — Wszak to nie jeden przebywał tysiączne przygody, a przecież go w końcu wywiiodła z nich Boża ręka. Przecież mówi psalm: „*Ciebie on z łowczych zasadzek wyzjuje, i w zaraźliwém powietrzu ratuje!*“

— Daj Boże, — rzekł poważnie Tomasz. — A jeśli go Bóg powołał do siebie, to Marcysia nie

będzie sierotą. W was ma już dwóch ojców dobrych i troskliwych; mnie raczcie przyjąć za trzeciego.

I na znak wspólnej opieki nad sierotką po wojowniku, wszyscy podali sobie ręce, a za chwilę rozeszli się, każdy ku swemu domowi.

Lecz czy Marcysia była istotnie sierotką? Śpiew jój zabrzmiał znowu z okienka i rozlegał się echem po pustej ulicy. Cisza panowała na okół, gdy wtém, od przeciwnej strony gościńca jak szli nasi znajomi, odezwały się przyspieszone, lecz jak gdyby z trudnością stawiane kroki. Wyniosła postać z wędrownym kijem w ręku zbliżała się coraz spieszniej ku budynkowi szkolnemu, jak gdyby ją śpiew Marcysi przyciągał. Był to mężczyzna w średnim wieku o żołnierskiej postawie, poważném obliczu i siwizną przypruszonych włosach. Przybiegł prawie pod okienko Marcysi, lecz tu nagle stanął, a rzuciwszy kij wędrowny i chwytając się za serce, wyszeptał z cicha: „o Boże“. Potém, jak gdyby zbierając wszystkie swoje siły, zapukał. Drzwi wchodowe skrzypnęły i ukazała się Marcysia; księżyc wychodził właśnie z poza chmury i pełną strugą światła spłynął na obie postacie. Marcysia krzyknęła i wyciągnęła przed siebie ręce:

— Ojczy!

— Marcysiu! — zawołał wędrowny głosem pełnym miłości.

I nic więcéj nie było potrzeba dla serc ojca i córki. Marcysia tuliła się z płaczem radości do serca ojcowskiego i dziękowała Bogu, że ziścił jój najgorętsze życzenia.

ROZDZIAŁ XII.

Powrót z niewoli.

Na drugi dzień gruchnęła po całym mieście wiadomość, że Stefan Gałacz powrócił z niewoli. Jaki taki rad był go widzieć i z nim się zapoznać, bo to przecież poszanowania i znajomości godnym jest człowiek, który stawał w obronie ojczyzny i cierpiał za nią zabrany w niewolę. A już otwartym sercem i z największą radością przyjmowali go nasi znajomi. Przrzekłszy opiekować się po ojcowsku Marcysią, teraz, gdy prawdziwy ojciec powrócił, ku niemu zwrócili swoją pieczołowitość i już ojcem i córką opiekowali się jak rodzinami dziećmi.

Najprzód wyprosili sobie państwo Tomaszowie, iż będą u siebie podejmować przybyłego. Zebrali się więc wszyscy bliżsi znajomi do ich gościnnego domu i tam cieszyli się powrotem biednego Stefana i wypytywali go o różne wypadki wojny, niewoli i powrotu do kraju. On nawzajem starał się okazać wdzięczność za tak serdeczne przyjęcie, a zarzucany bezustannymi pytaniami, ciągle opowiadał i to o wielu ciekawych rzeczach.

Najweselszym ze wszystkich był stary Górka; uśmiechał się, żartował, przygadywał i sypał przysłowiami jak z rękawa.

— „*Kogo Bóg zasmuci, to go i pocieszy*“ — mówił do rozradowanej Marcysi, głaszcząc ją po twarzy — A jak to biedactwo żałośnie wczoraj wyśpiwywało! No i nie darmo pokładała ufność w Panu Bogu, bo jój ojca przyprowadził. Jużto ja byłem pewny, że nasz Stefan nie zaginie, bo zawsze mówię, że „*opuszczeni od ludzi są w opiece boskiej*.“

Stefan tymczasem, pokazując głęboką szramę przez czoło i część lewego policzka, opowiadał jak go raniono w bitwie i jak potem zemdlony leżał przez 24 godzin na pobojowisku, jak go nareszcie wzięto do niewoli, gdy się podniósł i chciał dowlec do bieżącego obok strumyka. Smutniejszą jeszcze nad przygody wojenne była jego opowieść o dniach niewoli.

— Gdy mi się rana zagoiła w szpitalu — opowiadał Stefan — okuto mnie w ciężkie kajdany i wraz z innymi jeńcami popędzono na Sybir. Szliśmy, poskuwani po kilku do żelaznych drągów. Pomiędzy tymi, którzy wraz ze mną przykuci byli do jednego drąga, znajdował się jakiś siwowłosy starzec i piętnastoletnie pacholę. Szliśmy dłużej niż przez dwa miesiące, odpoczywając na stacyach na gołej słomie, a często i na gołych deskach. Głód i zimno dokuczały nam srodze; nie

doszliśmy też wszyscy do téj sybirskiej osady, do której byliśmy przeznaczeni. Rozcherzalego starca zostawiono gdzieś po drodze w szpitalu; nieletnie pacholę, które chciało koniecznie mocą swéj duszy przewyciężyć gasnące siły wątłego ciała, zginęło po drodze, przy drągu. Było to wśród gołego stepu, zawianego śniegiem. Daremnie staraliśmy się go ratować i ocucić; oddał mężną duszę w ręce Boga. Przysypaliśmy go więc śniegiem, pomodliliśmy się nad mogilką, tak daleką od ojczyścój ziemi, i szliśmy dalej przygnębieni smutkiem.

Opowiadanie to sprowadziło słuchaczom łzy do oczu. Cisza i smutek zaległy izbę; tylko Górka, broniąc się sam przed rozrzewnieniem, przygadywał i starał się innych rozerwać.

— Ha, taka to kolej ludzkiego życia — zawołał — „*Gdyby nie przygody, byłby świat jako gody*“. Gdyby nie było smutków i cierpień, nie umielibyśmy ocenić radości i szczęścia, i wnetbyśmy zapomnieli o Bogu i o cnocie.

Stefan opowiadał dalej, jak z Sybiru powracał i jakby był nieraz z głodu umarł, gdyby nie litość Sybirskiego ludu. Przechodząc przez wsie znajdował jadło, które lud ten wystawia dla biednych skazańców i tém ich ratuje od głodowej śmierci.

— Litość — mówił Stefan — jest najpiękniejszą ozdobą serca ludzkiego. Objawia się ona i u najdzikszych narodów i u najsrozszych nie-

przyjaciół, bo w serce każdego człowieka wlał Bóg zarody miłości, i tylko żąda, ażeby je człowiek pielegnował, rozwijał i doprowadzał uczucie litości, tę cudowną roślinę, do kwiatu i do owocu, tj. do litośnych, cnotliwych uczynków. Poznawanie Boga, nauka religii i oświata, któremi człowiek wznosi się nad zwierzęta, rozkrzewiają najtrwałej w sercu ludzkim miłość bliźniego i uczucie litości. U oświeconych narodów, jeżeli nawet przyjdzie pochwycić za oręż i wdać się we walkę, litość towarzyszy wojownikom i na pole bitwy. Pośród gradu kul opatrują lekarze rannych, tamując ciekącą krew, obwiązują rany, sztuką ratują zdrowie i życie. Na wygodnych noszach każą przenosić rannych do wozów stosownie urządzonych, zwożą ich do lazaretów i tam wśród wygod ratują tych, których jeszcze można ratować. Trzeba być bardzo dzikim, ażeby się pastwić we wojnie nad nieprzyjacielem. Litość powinna hamować gniew i stawiać granice walce w obronie własnego kraju. U oświeconych narodów nie pastwią się dzieci nad zwierzętami, nie wybierają gniazd, nie wydzierają piór żywym ptakom, nie katują psów lub bydła biczami i kijami, nie męczą żab i jaszczurek; gdyż w sercu tych dzieci wczesnie już bywa wpajana litość. A cóżby się działo z opuszczonemi sierotami, gdyby ich nie przygarnęli do siebie litościwi ludzie, gdyby litość nie nakazywała budować ochronek i domów dla sierot, gdzie im dają i ży-

wność i odzież i wychowanie? Biedni chorzy, nie mający rodzin, któreby ich pielęgnowały, ginęliby na gościńcach, gdyby im litość obcych ludzi nie przychodziła w pomoc, gdyby nie było *szpitalów*, gdzie znajdują ciche zakątki, wygodne łoże, opiekę i leki. Zniechędziali starcy, nie mający nikogo na świecie, mają przecież jeszcze Boga nad sobą, a litośne serca obok siebie. Gdy im jałmużna nie dozwoli zbliżyć się spokojnie do grobu, to znajdują tu i owdzie *domy przytułku*, w których litość postara się o ich potrzeby. Każdy, jeśli nie z wewnętrznego popędu serca, to przynajmniej wtedy uczuje litość, gdy sobie pomyśli, że i on kiedyś litości może potrzebować. W czasie pożarów, wylewów rzek, nieurodzajów i innych ogólnych klęsk, spieszą mieszkańcy innych okolic na pomoc dotkniętym klęskami, bo i oni mogą być kiedyś dotknięci, a wtedy wspomocze ich wzajemna litość. W wielkich miastach są rozliczne stowarzyszenia, za pomocą których litościwi ludzie starają się ulżyć nędzy ubogich, czyto ratując ich groszem, czy też jadłem i odzieżą.

Kto przebędzie takie przygody i taką biedę, jaką ja przeżyłem, nauczy się cenić litość i sam w swoim sercu będzie ją troskliwie pielęgnować. I w istocie, gdyby nie litość ludzka, nie byłbym tu doszedł do was, nie byłbym już uściskał mojej drogiej Marcysi....

Jakoż, żywiąc się z litości, a jeszcze zarobkując tu i owdzie w rozmaity sposób, nieraz bardzo ciężko, na kawałek chleba, szedłem i szedłem bardzo długo, aż nareszcie przybyłem do Kijowa. Tu już uczułem się bliskim swoich i ucałowałem ziemię, która z dawna do Polski należała.

— Słyszałam ja, że to bardzo ładne miasto — zagadnęła Stefana jedna z przysłuchujących się sąsiadek.

— W istocie, Kijów jest miastem wielkiem i ładnem — rzekł Stefan. — Liczy około 60 tysięcy mieszkańców, posiada 52 cerkwi i 9 klasztorów pomiędzy któremi odznaczają się wielkością i pięknością kościół katedralny, św. Zofii i klasztor zwany Ławra Peczerska. Ławra słynie daleko i szeroko, gdyż pod nią znajdują się ogromne pieczary, jakgdyby jakieś miasto podziemne, gdzie z wielką czcią są pochowane ciała męczenników i świętych kościoła greckiego. Całe miasto świeci się od pozłocistych dachów i mnogich kopuł cerkiewnych; stara część miasta, pobudowana jeszcze w znacznej części z drzewa, jest z wejrzenia wielce od naszych miast odmienną. Ruchu tam dużo i handel niemały, a był on dawniej jeszcze większy, gdy Dniepr, nad którym Kijów jest zbudowany stanowił jedną z największych dróg handlowych z północy na południe. Stare to miasto jak świat, było już ogromne i bardzo bogate za czasów Bolesława Chrobrego. Wiecie bowiem o tém, że

Bolesław Chrobry, zawojowawszy w r. 1018 Ruś, zdobył także Kijów, przyczem, wjeżdżając do miasta, uderzył mieczem w złocistą bramę, tak, że się aż miecz wyszczerbił. Tego to miecza, zwanego „szczerbcem“, używali potem długo królowie polscy, przypasując go sobie w czasie uroczystości koronacyjnej. Znaczyło to, iż każdy z nich pragnie być tak walecznym i nieustraszonym wojownikiem, jak Bolesław Chrobry.

— No, a gdzieżeście się z Kijowa puścili? — zapytał pan Tomasz.

— Z Kijowa, gdzie znalazł dobrych ludzi, którzy mi byli bardzo pomocni, ruszyłem na Białącerkiew, Braclaw i Kamieniec podolski ku granicom Galicyi, i nie spocząłem już nigdzie dłużej, aż we Lwowie.

— Długoście bawili we Lwowie? — zapytał pan Tomasz.

— Kilka dni — odrzekł Stefan. — Chodziłem tam, żeby sobie przecież jakieś miejsce wyszukać, i mam nadzieję, że dostanę, bodaj czy tu gdzie nie daleko.

— Ej, musiał to się Lwów bardzo odmienić — zawołał pan Tomasz — byłem ja tam przez parę lat czeladnikiem, ale to już dawno, o, bardzo dawno; będzie temu lat blisko trzydzieści. Od tego czasu nie miałem już interesu tam jeździć, a słyszę, że miasto się bardzo wzmogło.

— Czy się bardzo zmieniło — rzekł Stefan — nie mogę wam powiedzieć, bo pierwszy raz byłem we Lwowie. Ale nie ma co mówić: miasto jest bardzo ładne.

— No, to je nam bliżej opiszcie — zawołał Górka — bo ja także we Lwowie nie byłem.

— A że i ja nie byłem — dodała pani Tomaszowa — więc chętnie posłucham, zwłaszcza że wy panie Stefanie, nie pochlebając, bardzo ładnie opowiadacie.

Takiemu wezwaniu trudno było odmówić. Późbierał więc Stefan w pamięci co widział i wiedział o Lwowie, i tak o nim opowiadał:

— Lwów, jak wiecie, jest stołecznym miastem Galicyi; rojno też w nim, obszernie i okazale. Przy licznych ulicach i placach mieści się w nim około 3400 domów, 27 kościołów i klasztorów, przeszło 80 większych i mniejszych domów zajezdnych, mnóstwo sklepów różnego rodzaju, i około 90 tysięcy ludności. Miasto rozsiadło się nad rzeczką Pełtwią, wpadającą do Bugu, i jest prawie otoczone dość znacznymi wzgórzami, z których najcelniejsze nazywa się *Wysoki zamek*, gdzie istotnie warowny zamek był przed laty zbudowany. Pomiń, iż początki Lwowa sięgają jeszcze roku 1270, przecież nie ma on tak starożytnego wejrzenia jak Kraków i niektóre inne miasta polskie. Napadane, palone i łupione wiele razy, odbudowywało się miasto często, a że było w dawnych czasach prze-

ważnie z drzewa budowane, więc nie wiele tylko zachowało starożytnych gmachów, które przetrwały napady i pożary. W kościołach też lwowskich nie mieści się tyle drogocennych pamiątek jak n. p. w kościołach krakowskich; gdyż Lwów nie był nigdy tak jak Kraków siedzibą królewską, nie odznaczał się też taką świetnością, jak dawne stolice Polski.

Najokazalszym z kościołów jest kościół katedralny pod wezwaniem Wniebowzięcia Panny Maryi. Był on po kilkakrotnych pożarach przebudowywany, i dlatego niema na nim okazałych ozdób; są jednak pozawieszane kule armatnie, z czasów oblężenia Turków i Szwedów, a te mówią przechodniom najwymowniej, dlaczego budowa kościoła nie ma tyle ozdób, co inne. Bardzo piękną, a to z powodu ładnych starożytnych rzeźb w kamieniu, jest osobno stojąca lecz do katedry należąca kaplica, zwana „Ogrojcową.“ Ufundowali ją mieszczanie lwowscy, Boimowie. W skarbcu katedralnym, obok innych przedmiotów, znajduje się sześć lichtarzy spiżowych, ulanych z dział, które zdobył na Turkach król Jan Sobieski. Tożsamo darem Sobieskiego jest przechowywane w skarbcu berło złote.

Wspaniałym i pięknie na wzgórzu położonym jest kościół katedralny ruski, czyli cerkiew św. Jura. Jadąc od północy do Lwowa, widać ją już na parę mil, jak góruje nad miastem. Piękną budową i przyozdobieniem wewnętrzném odznaczają się jeszcze kościoły: OO. Dominikanów, Bernardy-

nów, Karmelitów i Jezuitów, zresztą katedralny kościół ormiański, cerkiew zwana wołoską i inne. Wymieniłem tu trzy kościoły katedralne, gdyż trzeba wam wiedzieć, że Lwów jest siedzibą trzech arcybiskupów, t. j. łacińskiego, ruskiego i ormiańskiego.

Oprócz kościołów są jeszcze we Lwowie inne wielkie gmachy. Do tych należą najprzód akademia, czyli uniwersytet, umieszczony na wzgórzu obok kościoła św. Mikołaja, przy którym jest ogród „botaniczny“ z obszernymi cieplarniami, rzadkimi roślinami, krzewami i drzewami. Akademia ma swoją bibliotekę, która liczy przeszło 54000 tomów. Większym jednakże księgozbiorem jest „Zakład narodowy imienia Ossolińskich“, umieszczony w swoim własnym, obszernym i bardzo ładnym gmachu. Jest to zbiór książek, liczący przeszło sto tysięcy tomów, a przytém zbiór starych pism, sprzętów i ozdób, obrazów, rycin, monet, minerałów, muszli i t. p. Ten pożyteczny zakład ufundowany został w r. 1817 przez uczonego i zacnego Polaka, hr. Józefa Ossolińskiego.

Bardzo wielkim gmachem jest ratusz stojący w pośród rynku. Jestto budowa czworoboczna o trzech piętrach, z pośrodku której wystrzela wieża na 34 sążni wysoka. Na wieży tej mieści się zegar miejski; z niej także dają znać przez tubę jeśli się zacznie palić i wskazują kolorowemi latarkami kierunek pożaru, przyczém dzwon zegarowy

uderza na alarm. W gmachu ratuszowym jest 382 okien, 156 pokoi i 9 większych sal; mieszczą się też nietylko różne urzędy miejskie, lecz także dwie szkoły. Rynek lwowski ma 77 sążni długości a 68½ sążni szerokości i opatrzony jest we wszystkich czterech rogach wielkimi studniami. Do rana roi się tu mnóstwo przekupniów i kupujących; nabiału, kaszy, mąki, pieczywa, jarzyn, owoców, kwiatów, jaj, masła, kurcząt — wszystkiego możesz tu dostać. Około jedenastej przed południem ustaje ten targ i rynek się wypróżnia. Różnych wiele rzeczy widział ten rynek lwowski! Raz, a było to w r. 1624, przyprowadził tu hetman Stanisław Koniecpolski niemłą liczbę dzieci, które odbił Tatarom, a mieszczanie lwowscy rozbierali te uratowane sierotki między siebie na wychowanie.

Jednym z największych gmachów lwowskich jest gmach teatralny, wybudowany przez hr. Stanisława Skarbka, w r. 1843. Oprócz wielkiej sali teatralnej i innych pomniejszych, mieści się w tym gmachu wielka ilość pomieszkań, a na dole mnóstwo sklepów, kramów i składów. W jednej ze sal tego gmachu odbywa swoje posiedzenia sejm krajowy. —

— Co też właściwie robi ten sejm? — zapytała jedna z sąsiadek — Dużo to o nim teraz mówią, nawet było немало hałasu, gdy tu posła na ten sejm wybierano, lecz ja doprawdy nie wiem, do czego to właściwie ten sejm jest ustanowiony?

— Jestto najwyższa rada w kraju — rzekł Stefan — która ma rozmyślać nad rozlicznemi potrzebami ludności i uchwalać środki ku dogodzeniu tym potrzebom. Lecz jak to tam bliżej urządzone, tego i ja nie wiem, bo jak wiecie, nie byłem kilka lat w kraju i nie wiadomo mi, co się tu przez ten czas działo. Chyba nam opowie o tem nasz Zarebski.

I owszem — rzekł jak zwykle usłużny nauczyciel — Sejm jest najwyższą w kraju radą, czyli ciałem prawodawczém, do którego wszystkie stany całego kraju wybierają posłów, tj. ludzi, odznaczających się cnotami i rozumem, do których mają zaufanie i dlatego ich do sejmu jako swych przedstawicieli wybierają. Posłów takich jest w sejmie 151. Schodzą się oni na obrady, gdy cesarz sejm powoła, a kieruje obradami jeden z posłów, którego cesarz uczyni starszym nad innymi, czyli marszałkiem krajowym. Gdy posłowie zejdą się do sali sejmowej, a marszałek stuknie laską, natenczas zajmują wszyscy siedzenia i rozpoczynają obrady nad przedmiotami, które im ci i owi posłowie przekładają. Jeden wnosi to, drugi owo, ten tego popiera, a ten tego, każdy zaś chciałby jak najlepiej dla kraju i ludności. Więc radzą nad urządzeniem gmin, nad poprawą szkół, nad zakładaniem nowych dróg, nad krajowemi szpitalami i zakładami dobroczynnemi, i nad wielu innemi krajowemi sprawami. Jeżeli się posłowie zgodzą,

na co, natenczas okazują zgodę, albo wstając albo podnosząc ręce, i wniosek przyjęty w ten sposób staje się uchwałą. Niektóre ważniejsze uchwały sejmowe, tj. wnioski do ustaw, wedle których w tej lub owej sprawie cały kraj jednakowo ma być rządzony, posyła marszałek krajowy do Wiednia do cesarza, który albo je zatwierdza albo odrzuca. Jeżeli są przez cesarza zatwierdzone, natenczas ogłasza się je ludności jako ustawy, do których się każdy ma zastosować, a urzędnicy, sprawując swój urząd, już się muszą trzymać tych ustaw krajowych. Ustawy bywają w rozmaitych przedmiotach, i tak: jest ustawa gminna, ustawa szkolna, ustawa drogowa i t. d. Sejm wybiera z pośród siebie sześciu posłów, którzy razem z marszałkiem krajowym i pod jego przewodnictwem stanowią wydział krajowy. Jestto władza, która ma obowiązek wykonywać uchwały sejmowe i załatwiać wedle nich rozmaite bieżące sprawy, z którymi się do niej mieszkańcy kraju odnoszą. Sejm obraduje za ledwie kilka tygodni, czasem kilka miesięcy w roku, lecz wydział krajowy sprawuje obowiązki swoje bez przerwy, czy sejm jest zebrany czy też zamknięty. Również jak sejm tak i wydział krajowy ma stałą siedzibę we Lwowie. Wydział przygotowuje także wnioski do ustaw dla sejmu, sam ich jednak nie może uchwalać, bo prawo to nie służy żadnemu wykonawczemu urzędowi, lecz jedynie sejmowi krajowemu jako radzie ustawodaw-

wczój. Oprócz wydziału krajowego jest także we Lwowie najwyższy rząd krajowy czyli namiestnictwo, zostające pod zwierzchnictwem cesarsko-królewskiego namiestnika czyli gubernatora. Namiestnictwu podlegają wszystkie rządowe władze powiatowe czyli starostwa, za pomocą których sprawuje ono rządy, stosując się do ustaw krajowych, i działając w imieniu cesarza, który ma swoich doradców w Wiedniu, zwanych ministrami. Ministrowie są pierwszymi wykonawcami najwyższej rady państwa i woli cesarskiej; oni też mają moc i nad innymi krajami państwa i zwierzchnictwo nad namiestnikami. Sprawy sądowe, tj. badanie, sążenie i karanie ludzi za popełniane zbrodnie i przestępstwa, jak np. podpalenie, zabójstwo, rabunek, kradzież, pobicie i t. p., nie należą do namiestnictwa lecz do osobnych władz sądowych. Są zatem sędziowie powiatowi i jest sąd krajowy, a prócz niego jest jeszcze sąd wyższy i najwyższy trybunał w Wiedniu. Sądy, przeznaczone do sążenia zbrodni i przestępstw, nazywają się sądami karnymi, innym oddziałem sądów, są władze sądowe cywilne, przeznaczone do rozstrzygnięcia procesów cywilnych, tj. sporów o grunta, o spadek, o nieoddanie pieniędzy i t. p. Takie sądy opiekują się także sierotami, tj. czuwają nad ich majątkiem dopóty, dopóki sieroty nie dojdą do pełnoletności i nie obejmą majątku w własny zarząd. Są jeszcze we Lwowie najwyższe władze krajowe

i dla innych spraw. I tak np. dla spraw szkolnych jest rada szkoina krajowa, dla spraw podatków i innych opłat rządowych jest krajowa dyrekcyja finansowa, dla spraw wojskowych krajowa komenda wojskowa i inne.

— A to nie mało tych urzędów jest we Lwowie! — zawołała pani Tomaszowa, gdy Zarębski przestał mówić.

— No, nie darmo też Lwów jest stolicą kraju -- rzekł Stefan — dużo urzędów, lecz bo też niemało ludzi, niemało potrzeb, interesów, sporów i złości ludzkiej! Mimo tego, giną owe urzędy i urzędnicy w tłumie ludności lwowskiej, bo 90000 to gromada ludzi, którąby nie prędko przeliczył! Samych piekarzy macie 80, choć są wielkie piekarnie parowe, co tysiącami chleb wypiekają; rzeźników jest 82, krupiarzy 111, samych kielbaśników 158, fabrykantów i rzemieślników w ogóle 3000 a przeszło 1300 kupców i drobniejszych handlarzy.

— Bardzo się ten Lwów podniósł od tego czasu, jak go pamiętam — zauważał p. Tomasz.

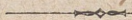
— Wszystkie nasze miasta się podnoszą — rzekł Stefan — bo się podnosi handel i przemysł, bo budują coraz lepsze drogi i koleje żelazne; bo jest w kraju coraz więcej pieniędzy.

— A gdyby było jeszcze więcej oświaty —

wtrącił Zarebski — gdyby nasi rzemieślnicy wyrabiali wszystek towar tak tanio i dobrze jak rzemieślnicy zagraniczni, gdyby się nauczyli dobrze rachować i oszczędzać a w słowie się stawiać, gdyby zakładano większe fabryki, do których potrzeba znacznego już wykształcenia, sprytu i pracowitości — toby kraj był zamożniejszy, jeszcze bardziej wzrastałyby nasze miasta i jeszcze piękniej kwitnęłyby wsie nasze.

Te słowa nauczyciela wprowadziły zgromadzonych w mimowolną zadumę. Każdy rozliczał się ze swoim sumieniem, przypominał sobie co zaniedbał i kiedy mu się pracować niechciało i przyrzekał sobie poprawę, czując, że przecieżyby to było znacznie lepiej, gdyby każdy chciał sumiennie wypełniać swoje obowiązki i z gorliwością oddawał się pracy. A więc z tego wątku toczyła się dalej rozmowa, przeplatana ciekawymi opowiadaniem Stefana, toczyła się żywo i głośno, a przerwały ją dopiero kurzące się półmiski, które pani Tomaszowa zastawiła stół na cześć gościa, przybyłego z tak dalekiej a smutnej krainy. I zaiste, wart był Stefan choćby najhuczniejszego przyjęcia, gdyż serce miał zacne, był miły, rozsądny i uczynny. W ciągu jednego wieczora zjednął sobie serca wszystkich zgromadzonych, i każdy życzył sobie tylko, ażeby Stefan albo na zawsze w miasteczku pozostał, albo gdzieś w sąsiedztwie się osiedlił.

Gdy Górka do domu odchodził, rzekł swoim
zwyczajem: — No, no, już my was od siebie nie pu-
ścimy i wynajdziemy robotę, a zaraz się do tego
weźmiemy, bo „*tylko ser odkładany jest dobry!*”



Te słowa nanczyca wprowadziły w rozmowa-
nych wzmianowaną kłótnię. Każdy rozchodził się ze
swoim sumieniem, przypominając sobie co zanadto
i kiedy mu się pracować nie chciało i przychodził
sobie poprawę, uważając że przychodziło to było za-
cznie lepiej, każdy jednak chciał sumienie wypro-
nić swoje opowiadał i z gotowości oddawał się
pracy. A więc z tego wynikało że dalszy roz-
mowa, przyglądając się każdemu opowiadaniom Stefa-
na, toczyła się żywo i głośno, a przebiegała do-
pięto krusząc się pod koniec, którym pan Tom-
kowa zastawił się na część gości, przybyłego
z tak dalekiej a smutnej krajiny. I znowu, wam
był Stefan choćby najniebezpieczniejszego przyjechał, gdyż
serce miał znowu, był nudy, rozszedł i wczyny.
W czasie jednego z nich zjednął sobie serce
wszystkich rozmawiających, i każdy wczuł sobie
tylko, żeby Stefan albo na zawsze w miasteczku
pozostał, albo gdzieś w sąsiedztwie się osiedlił.

ROZDZIAŁ XIII.

O tém jak Stefan znalazł zatrudnienie i jak obchodzono imieniny Górki.

Pracowity a sumienny człowiek łatwo znajdzie zarobek. I Stefan Garłacz nie długo czekał na przyzwoite utrzymanie. W sąsiednich dobrach ziemskich, w kluczu liczącym parę tysięcy morgów pięknego lasu, dano mu posadę leśniczego, a wraz z nią wygodny domek wśród boru na mieszkanie i parę morgów ogródu do użytku. Leśniczówka leżała nie dalej jak milkę od miasteczka, a że dawny leśniczy już był porzucił służbę, więc Stefana wezwano, aby natychmiast się sprowadził i objął swoje czynności. Wiadomość ta ucieszyła serdecznie wszystkich naszych znajomych, a Tomasz, Górka i nauczyciel nie tylko wieszowali Stefanowi dobrego obowiązku, lecz myśleli także wyprawie dla Marcysi, pomimo oporu Stefana.

— Przymierzaliśmy być ojcami Marcysi — mówił Górka wesoło do Stefana — a przymierzaliśmy jeszcze wtedy, gdy ciebie nie było, więc dziś skoro

nas córka porzuca, idąc do lasu na własne gospodarstwo, musimy jój dać wyprawę.

I nic nie pomogło, choć Stefan się bronił, mówiąc, że ani on ani córka nic nie przyjmą; wyściskali go i obcalowali od serca, przeprosili bardzo pięknie, ale zrobili swoje. Tomasz wyładował furę sprzętami domowemi, nauczyciel dał co mógł z naczyń gospodarzkiego, Górka zasypał leśniczówkę zbożem, warzywami i wysłał nawet piękną krówkę — a Stefan i Marcysia milczeli już tylko nie śmiąc się opierać i łzami wdzięczności odpłacali dobroć tych zacnych ludzi.

— A cóżbo w tém dziwnego! — tłumaczył Tomasz Stefanowi, przepraszając go za swe sprzęty — Dług święty oddajemy i nic więcej. Gdyby i nie to, żeśmy przyrzekli opiekować się Marcysią, czyżeśmy nie winni zwrócić wam to, co wam wojna zabrała. My tu siedzieli, jak u pana Boga za piecem, a wyście tymczasem walczyli w obronie ojczyzny. Wojna pozbawiła was dobytku i zarobku, sprowadziła rany i cierpienia i ledwie że was przy życiu zostawiła — a my tymczasem dorabiali się z łaski Bożej coraz większego dostatku. Czyż to więc nie jest naszym obowiązkiem powrócić wam choć w części straty, a osłodzić cierpienia?

— Jakoż wyposażyli tak we wszystkie potrzeby ładną leśniczówkę, że Stefan mógł do niej jechać jak do dawno zagospodarowanego domu; powie-

dziano sobie „darujcie“! i „Bóg zapłać!“ i już więcej nikt o tém nie wspomniał.

Nadszedł dzień 4 lipca, tj. dzień patrona Górki, któremu dano na chrzcie imię Józefa Kalasatego. Stefan, mając już wszystko przygotowane, postanowił pod noc wraz z Marcysią do leśniczówki się wybrać, lecz przedtém nie mógł sobie odmówić téj jeszcze przyjemności, aby wraz z innymi nie złożyć życzeń zacnemu Górcie.

Górka, weselszy niż kiedykolwiek, przyjmował swych gości pod wielką gruszą, w około której był piękny trawnik i wygodne ławeczki. Zastawił wczesne owoce, nabiał, miód lipiec, słowem, przyjmował czém tylko mógł, a już najbardziej swoją wesołością i żarcikami. Życzenia najserdeczniejsze składali mu przybyli, za co on znowu dziękował życzeniami i figielkami.

— Wesołość wasza — mówił Stefan do Górki — to bardzo cenny dar nieba; jest ona jak światło słoneczne, wszystkich rozchmurza, oświeca i ożywia. Musicie chyba mieć jakiś sekret na utrzymanie takiej przyjemnej i jednostajnej wesołości.

— Tak, tak — zawołał Górka z uśmiechem — mam aż trzy sekrety na wesołość, których mnie jeszcze za lat młodych nauczył pewien staruszek.

— Jakież to sekrety, jakie? — zapytano ze wszech stron.

— Posłuchajcie! — rzekł Górka — opowiem

wam całą powiastkę. — I rzekłszy to, usiadł w gro-
nie swych gości i tak opowiadał:

Wesoła poczciwość.

— Mikołaj i Małgorzata mieszkali na samym koń-
cu wsi, pod lasem. Ich maleńka chałupina chyliła się
od starości, bo było jęj prawie sto lat, tak jak i
onęj gruszy, co stała koło ogrodzenia. Poszy-
cie z czerniało i mchem porośło, gdzieniegdzie
tylko świeciły się małe kawałki, które Mikołaj
świeżę słomę naprawił. Mały ogródek przed do-
mem nie więcj miejsca zajmował jak sama chata,
wszędzie było czysto, ale ubogo; a kto tylko koło
tęj małej zagrody przechodził, nie mógł inaczęj
myśleć, tylko że tu mieszkają bardzo biędni ludzie.

A przecię Mikołaj był najweselszym czło-
wkiem nie tylko we wsi, lecz w całej okolicy.
Niejeden zamożny kmieć, u którego Mikołaj jako
najemnik na wiosnę orał, albo w lecie kosił, albo
w zimie zboże młócił, zazdrościł mu tęj wesołości.
Niejeden mówił mu nawet: „Jak ty możesz być
tak wesołym, kiedyś tak ubogi?“ A Mikołaj od-
powiadał na to: „Nie jestem ja taki biędny, jak
wam się zdaje. Mam ja bardzo bogatego ojca, któ-
ry nie dozwoli, abym nie miał czém żony i dzie-
cka wyżywić; a ten mój rodzic mieszka w samém
niebie. Pod lichą płótnianką chowam taki skarb,
którego nie dałbym za sto tysięcy: jestto spokoj-

ne sumienie. Przytém dzięki Bogu jestem zdrów i rękami tyle zarabiam, że żyć mogę. Dlaczegoż więc miałbym być smutny? “

Dobre Mikołaisko miał w spuściźnie po swoim dziadku drukowaną kartę, a ta w ramki oprawna wisiąca jak lusterko na ścianie. Z téj to karty nauczyłem ja się moich trzech sekretów. Były to trzy zdania z różnemi przydatkami z pisma świętego.

Pierwsze było: Bój się Boga! Przy bojaźni Pana nie ma żadnego niedostatku; kto ją ma, znajdzie w niej prawdziwy raj, skarb nad wszystkie skarby.

Drugie było: Żyj z pracy rąk twoich. Kto się żywi z swojej pracy i umie przestawać na małym, tego życie jest spokojne i miłe i posiada skarb nad wszystkie skarby.

Trzecie: Bądź sprawiedliwym! Czyn to, co jest sprawiedliwe, wtedy twoje zdrowie będzie stałe, twoja mowa miłą, kroki bezpieczne, sen smaczny i spokojny, bo pan Bóg będzie z tobą, twoim stróżem i obrońcą.

„Te trzy prawdy,“ mawiał często Mikołaj, „zawierają tajemnicę tego, jak być zawsze wesołym. Kto się do nich zastosuje, ten dozna, czego ja doznałem.“

Małgorzata, żona poczciwego Mikołaja, nie mogła się zrazu zdobyć na tę wesołość; będąc ubogą, kłopotala się często. Razu jednego siedział

sobie Mikołaj na progu, śpiewał i klepał kosę na jutro do siana. Małgorzata zafrasowana oparła głowę na ręce. „Ty się też o nic nie starasz,“ odezwała się do męża. — „Jakto? o co się nie staram?“ odrzekł Mikołaj wesoło, „wszakże klepię kosę na jutro, żeby mi dobrze kosila. A o cóż to więcej mam się starać i kłopotać?“ — „Ani grosza niema w domu,“ rzecze Małgorzata, „a gdyby potrzeba jaka przyszła na nas, nie wiedzielibyśmy jak sobie począć!“ — „O moja żono,“ zawołał Mikołaj, „gdybyśmy chcieli mieć grosz na wszystkie wypadki, toby nam trzeba wielkiej sumy. Bardzo mało jest takich ludzi, coby grosz na wszystkie potrzeby mieć mogli.“ — „Ach, rzekła Małgorzata zafrasowana, tyle ludzi we wsi choruje, to i my zachorować możemy.“ — „To prawda, że zachorować możemy“, odpowiedział Mikołaj, „ale troszczeniem się nie unikniemy choroby, tylko trzeźwem a pracowitém życiem, które utrzymuje przy zdrowiu.“ — „Tys zawsze jednakowy,“ rzekła Małgorzata, „a gdy umrzemy, to nic nie zostawimy naszemu Franusiowi“ — „Nic?“ zawołał Mikołaj żywo. „Hej, hej, myślę ja mu coś lepszego zostawić niż worek pieniędzy, a to jest dobre wychowanie. Nie masz na tém świecie większego skarbu jak bojaźń Boża, pracowitość, przestawianie na małym i unikanie grzechu, jak to pięknie wyrażono w moich trzech radach. Czy ty taki skarb wielki za złą cząstkę uważasz? Czy z poczciwo-

ścią nie zajdzie syn nasz dalej niż z pieniędzmi? Jak ja przy naszym ubóstwie jestem wesół i niczego mi nie brak, tak i jemu będzie. Umysł wesoly i sumienie spokojne są najlepszym z tego wszystkiego, co tylko na tej ziemi mieć możemy. Kto tego nie ma, temu i największe bogactwa na nic się nie zdadzą. Pokładajmy więc nadzieję w Bogu, pracujmy, bądźmy uczciwymi, a wtedy będziemy i szczęśliwymi.“

— Otóż tych rad starego Mikołaja i ja się trzymałem — mówił Górka kończąc — i nietylko, że byłem zawsze swobodny i wesoly, ale jeszcze ni ztąd ni z owąd dorobiłem się miernego dostatku, tak, że teraz i innym mogę w biédzie poradzić. I wam też zalecam trzy rady Mikołaja, jako niezawodne lekarstwo na smutek, a dodaje swoje przysłowie: *Spokojna myśl, najlepsze ludzkie szczęście.* —

Powieść Górki trafiła wszystkim do przekonania, bo nietylko piękne były w niej rady starego Mikołaja, ale w dodatku potwierdziła je osoba samego Górki, który przy swój wesolości był wiecznie zdrów, szczęśliwy i pocziwy.

— Wesolość — rzekł po chwili Zarebski — jest jeszcze oznaką dobrego, kochającego serca; a przy bojaźni Bożej, pracowitości, oszczędności i czystości sumienia potrzeba jeszcze miłości Boga i ludzi, jeżeli życie na tej ziemi ma być szczęśli-

wą pielgrzymką ku niebu. Co najbardziej truże życie w rodzinie? Swary, kłótnie, brak przywiązania, zawieść brata ku bratu. Co jest najśłodszym węzłem rodzinnym, dającym szczęście na całe życie? Miłość braterska. Ot, i ja wiem szczególną powiastkę o miłości braterskiej — dodał Zareński.

— A więc dalej, opowiadajcie tę powiastkę — zawołał Górka — Nic wam nie pomoże! *Kiedyś grzyb, leż w kosz!* Każdy z kolei musi coś opowiedzieć.

Uśmiechnął się nauczyciel i tak mówił:

Braterska miłość.

W dalekiej od nas krainie żyło dwóch braci, a każdy z nich miał gospodarstwo znaczne i liczne zagony. Nie zbogaciły ich ludzkie łyzy i narzekania, jeno własna praca i zapobiegliwość. Starszy brat miał żonę i czworo dzieci; młodszy sam żył jeszcze w osobnej chacie, tuż obok chaty brata. Obaj żyli w świętej zgodzie i pomagali sobie we wszelakięj pracy.

Błogosławił pan Bóg ziemi, gdzie bracia mieszkali. Po spokojnej zimie i po wesołej wiosnie nastąpiło skwarne lato i ozłociło kłosa po zagonach. Wychodzili żeńce na pola, a z żeńcami wychodzili bracia, i żęli chleb boży przy wesołych śpiewach.

A skoro ręce opadały i słońko zaszło za góry, to pracowite woły zwoziły do stodół pozłociste snopy.

I był dostatek w całej krainie i ludzie składali dzięki Najwyższemu za urodzaj i za dobrą dolę. A przecież późno w nocy nie mógł zasnąć brat młodszy; myśli, pełne troski, chodziły mu po głowie. „Ja jestem sam jeden,“ mówił on do siebie „i za wiele dla mnie tego ziarna, którem zwiózł do stodoły. Czegóż bo mnie potrzeba? Bóg widzi, majątku nie chcę, tylko tyle, ażeby wyżyć uczciwie. Ale brat mój ma żonę i dzieci, i wszystko to musi odziać i wyżywić. Gdy nadejdzie przednowek, może mu głód dokuczyć. Zaniosę mu część mej pszenicy, ale tak, żeby nie wiedział, gdyżby nie chciał przyjąć“.

I powstał młodszy brat z pościeli, poszedł do stodoły, wziął kilka snopów pszenicy na siebie i niósł do stodoły brata; a tak się sprawił cicho, że nikt tego nie widział, jeno pan Bóg na gwieździstém niebie.

W ślicznych snach przespał brat młodszy resztę nocy, a skoro na drugi dzień równo z słońkiem wstał i pacierz poranny zmówił, ruszył obejrzeć swoje gospodarstwo. A kiedy przyszedł do stodoły, zadziwił się mocno, bo oto pszenica była jakby nie ruszana i żadnego snopka nie brakło, choć w nocy kilka z nich bratu swemu zaniósł. Więc upadł na kolana i sławił Imię Pańskie, bo myślał, iż Bóg mu przymnożył pszenicy. „Będzie

dla brata," pomyślał przytém w duszy i zaniósł drugiej nocy znowu kilka snopów starszemu bratu.

I tak przez cztery nocy chodził i zanosił i nigdy snopów mu nie ubywało. Aż wreszcie piątej nocy, skoro znowu wyszedł ze snopami na plecach, ujrzał koło stodoły brata cień jakiegoś człowieka ze zbożem na plecach. Myśląc, że jaki złoczyńca podchodzi, ażeby bratu szkodę wyrządzić, rzucił snopy i przyspieszył kroku. A kiedy się przybliżył do owego człowieka, poznał w nim brata starszego który dźwigał pszenicę na plecach i zmierzał ku jego stodole. „Dokąd ty niesiesz snopy tak późno?“ zapytał. „Wybacz mi“, odrzekł starszy, „lecz myślałem sobie w nocy, że ty jesteś sam jeden i nikt ci nie może pomóc w gospodarstwie, a ja mam żonę i dzieci, które pomogą i dopilnują. Pan Bóg dał mi zebrać wiele, więc chciałem tobie zanieść kilka snopów, żeby ci nie zabrakło.“ — „A który to raz niesiesz dla mnie pszenicę?“ zapytał młodszy. — „Już piąty raz,“ odezwał się starszy brat i spuścił oczy, jakgdyby co złego uczynił. „Ale Bóg wynagrodził mi to stokrotnie, bo mi pszenicy nigdy nie ubywa.“ Wtedy ujął go młodszy brat za rękę i zaprowadził do owego miejsca, gdzie rzucił był snopy. „Patrz!“ odezwał się radośnie, „miłość to nasza przymnażała nam pszenicy. Jam tobie nosił a tyś mi oddawał w dobroci twego serca i nic nie wiedzieliśmy o tém.“

Łzy radości puściły się z oczu obydwóch braci. Padli sobie w objęcia i płakali w radośnym uścisku, a w górze cieszyli się aniołowie, że Bóg taką miłość świętą zaszczerpił w sercach braci.

— Kochajmy się bracia! — zawołał Zarebski kończąc opowiadanie. — Miłość braterska stwarza szczęście i spokój w tém życiu; miłość braterska przysparza cnót na ziemi, a chwałę niebieską gotuje w niebie!

— Pięknie ci bracia się kochali! — rzekła pani Tomaszowa — lecz aby szczęście panowało na ziemi, nie dość jest miłości między rodzonymi braćmi. Bliźni dla bliźniego powinien mieć serce braterskie, ręka powinna wspierać rękę, bogacz powinien iść w pomoc nędzarzowi. Pamiętam ja, iż moja babka nieboszczka opowiadała, że Pan Bóg przepisał to prawo ludziom za pomocą tajemniczych kwiatów, i powtarzała nieraz następującą powiastkę.

Po tym wstępie, nie czekając zachęty słuchaczy, opowiadała pani Tomaszowa powiastkę swojej nieboszczki babki następującemi słowy:

Tajemnicze kwiaty.

Dwóch aniołów z przyjściem wiosny zstąpiło na ziemię, ażeby się nacieszyć skrzętnością i pracowitością ludzi. Zatrzymawszy się przed łanem jakiegoś bogacza, który całą równinę pokrywał,

patrzyli na chwiejące się kłosa, mające wkrótce wydać plon bogaty.

Obok łanu bogacza był wązki zagon, uprawiany ręką i potem jakiegoś ubogiego rolnika. Rzadkie i chude powschodziły tam kłosa, nie obiecujące wielkiego plonu, gdyż biedny rolnik nie mając czém roli sprawić ani dobrze obsiać, zdał wszystko na opatrność bożą. Aniołowie spojrzeli po sobie i jeden odezwał się: „Powiedz, czémby można człowieka poruszyć, aby uboższemu od siebie sąsiadowi udzielił coś z darów bożych, które nań obficie spłynęły?“ — „Podsunę mu dwa godła“, rzekł drugi anioł, „dwa kwiaty zasieję w zbożu, których piękność i kształt uroczy tajemniczym i znaczącym głosem przemówią do niego. Jeden będzie niebieski jak błękit niebios, dlatego, aby oczy swoje tam zwracał, z kąd płynie wszelkie błogostawieństwo i pożytek; drugi będzie świecił jak płomyk miłości z pośród złocistych kłosów, przypominając człowiekowi, że ofiara Bogu najmiłsza jest ta, kiedy kto zbytek swych bogactw z ubogim podzieli.“

Tak mówił anioł i kazał rosnać błękitnym bławatkom i czerwonemu makowi pomiędzy złocistemi kłosa. Towarzysz jego radował się pięknosciami tych kwiatów i obaj, wzięwszy się za ręce, przebiegali wzdłuż i w szerz łany, rozsiewając mak i bławatki. Lecz kiedy przybyli nad wązki zagon

ubogiego rolnika, w te słowa odezwał się drugi anioł do swego towarzysza:

„Obdarzyłeś bogacza miłym podarkiem, teraz na mnie kolej, abym ubogim pamiątkę zostawił.“

I nachylił się ku ziemi i zasadził drobny kwiateczek, który wyglądał jak oko proszącego o litość.

Kwiatek ten nazywał się niezapominajką; przeznaczeniem jego było przemawiać za ubogimi do serc bogaczy.

Zadumawszy się patrzył pierwszy anioł na małego kwiatek, a w końcu westchnął i rzekł:

„Oby tylko syn szczęścia, przechodząc koło ubożuchnego zagonu, mógł cichą prośbę zrozumieć,

usłyszeć jęk niedostatku. Dlatego, bracie mój, dodajmy do tych kwiatków jeszcze inny, któryby

bogaczowi przypomniał, że przed Bogiem nie ma różnicy, i że Bóg chce braterstwa między swemi

dziećmi.“ Rzekłszy to pierwszy anioł, uszczknął z swego wieńca gałązkę, złączył ją z gałązką drugiego anioła i zasadził w ziemi kwiatek dwoistej

barwy, zwany powszechnie *bratkiem*. W mgnieniu oka kwiatek się rozkrzewił tak po łąkach bogacza, jak

i na zagonie ubogiego.

Owóż, kiedy ubogi rolnik przyszedł oglądać owoc rąk swoich, jakże mu się wszystko miłym wydało, jaka słodka nadzieja wstąpiła w jego serce!

Złożył ręce i wznosząc je do nieba zawołał: Chwała Ci Panie! Dziękujemy Ci za to, co nam dajesz.

Jeżeli zbiór nie wystarczy na chleb dla żony i

dziątek, wzbudzisz litość w sercach bogaczy i podzielać się z nami jak z braćmi!

Kiedy zaś nadszedł czas żniw, a bogacze oglądali obfity plon, jeden z nich zawołał, wskazując na tajemnicze kwiaty: „Zkąd się wzięło to niepotrzebne zielsko?“ I zaraz kazał wyrwać i spalić. Drugi zaś bogacz słysząc to, zadumał się głęboko i zrozumiał, co mówił do niego kwiat błękitny; a gdy czerwony spostrzegł, stanęła mn na myśli ofiara miłości. Poczém poszedł ku zagonowi ubożego i tam ujrzał niezapominajkę i bratki. Ten widok wytłumaczył mu tajemną wolę Opatrzności. Jakoż zaraz udał się do biednego sąsiada i tyle mu dał zboża, że przechodziło prawie potrzeby jego rodziny.

Opowiadanie o tajemniczych kwiatach podobało się wszystkim, lecz już najbardziej Górcę, który miał wiele z kwiatami do czynienia. Podziękował też za nie osobno pani Tomaszowej, a potem wezwał siedzącego z kolei Stefana, aby i on też jakąś powieścią uprzyjemnił zabawę.

Już wy się z tego nie wywiniecie — wołał Górcę wesoło. — *Kiedyś wleciał między wrony, musisz krakać jak i one!*

— Z ochotą — rzekł Stefan — choć nie wiem nic wesołego. Przepowiedacie tu o różnych objawach miłości Boga, miłości bliźniego; ja mogę

wam chyba opowiedzieć o jeszcze jedném, bardzo goracém uczuciu miłości, t. j. o miłości ojczyzny.

— Słuchamy, słuchamy! — zawołano w około.

Więc Stefan, pomyślawszy chwilkę, jakgdyby sobie przypominał treść swego opowiadania, tak zaczął mówić:

Miłość ojczyzny.

Na białej chmurce zlecieli trzej anieli z nieba wysokiego, i na biédnej ziemi od jednego domu do drugiego szukali człowieka najcnotliwszego. I szli od pola do pola i od drogi do drogi, i ujrzeli jak jeden żebrak ubogi zdejmował ze siebie płaszcz dziurawy i cały żalem łzawy kładł go na drugiego od nędzy aż nagiego. Więc jeden anioł się zatrzyma i smętnemi gpogląda oczyma, i łzy ociera i rzecze: „Patrzcie moi druhowie, niebiescy aniołowie, to jest człowiek najcnotliwszy.“ A drudzy dwaj mówią: „Choć z nami bracie dalej, będziemy szukali jeszcze cnotliwszych.“

I szli aniołowie od drogi do drogi i od sioła do sioła, i ujrzeli chatę w płomieniach do koła, i wielkie im zdziwienie, bo oto matka rzuca się w płomienie za swoim dzieciątkiem niebożątkiem. Więc przystaną dwaj bieli anieli, rąbkiem sukni niebieskiej czyste ocierają łezki i rzekną: „Widzisz nasz druha biały, oto niebieskiej chwały godna matka owa, jako najcnotliwsza!“ A trzeci tak się

odezwie: „Chodźcie bracia ze mną dalej, będziemy szukali cnotliwszych.“

I szli aniołowie od siola do siola i od rzeki do rzeki, i ujrzeli na ziemi człowieka z zamkniętymi powiekami: leżał kurzem odziany, w piersiach miał trzy rany, a z nich ciekła krew z serca wytoczona, a czerwona jak koral. Więc stanęli wszyscy trzej anieli, a łzy jasne w oczach mieli, i włosami je ocierając i łkając tak rzeką: „Oto na ziemię tego człowieka przypadli wrogi z daleka, i sąsiadów jego zabili i dobytek ich spalili i zabrali niewiasty i dzieci słabe. A choć on wyszedł cało i jego rodzinie i dobytkowi nic się nie stało, toć przecież zostawił dzieci i żonę, a wziął do ręki żelazo ostrzone i zwołał w imię Boga innych ludzi i poszedł na wroga. Więc z wrogiem mężnie się potykali i z ziemi go wygnali. A on, gdy najmężniej bił się za kraj kochany, otrzymał w pierś trzy rany i upadł krwią zbrzyzany. Cieszcie się bracia w niebie, to człowiek najcnotliwszy!“

I polecili trzej anieli po wodę do rzeki i obmyli żołnierzowi twarz i powieki, a gdy dusza czysta z niego wychodziła, to radośnie skrzydełkami biła i w górę leciała. A radośni anieli wzięli ją między siebie, i lecieli gwiazdami, obłokami i utonęli w niebie. Tam w niebiesiech śród anielskiego grania i śpiewania i cichego pacierza, mówiła Najświętsza Panna do duszy żołnierza: „Chwała tobie, chwała, duszo biała, bo dostępujesz zba-

wienia wiecznego. Cnotliwy człowiek co ma litość dla bliźniego, cnotliwa matka co życiem swoim broni życie dziecka swego, lecz najcnotliwszy człowiek co w każdej godzinie ojców ziemi od wrogów pierściami swemi broni i za swych braci ginie: to jako dąb między drzewami, tak między miłościami największą jest miłością święta miłość ojczyzny.“

Gdy Stefan skończył, zapanowało milczenie w gronie naszych znajomych. Każdy widział jasno jaką ma być miłość człowieka, że ma być i boska i braterska, i miłość bliźniego i miłość ojczyzny. Ten i ów myślał o tém, i pytał się swego sumienia, czy kocha jak należy Boga, bliźnich i ojczyznę i czém tę miłość okazuje. Jeżeli spostrzegł w duszy, że zawinił brakiem miłości, to sobie przyrzekał poprawę i cieszył się, iż mu okazano, w czém zaniedbał swych obowiązków. Jakoż byłaby się pewno i rozmowa w téj rzeczy zawiązała, gdy wtém skrzypnęła furtka od ogrodu i na ścieżce ukazała się niezwykła postać wędrownego kramarza z wysokim pudłem na plecach. Nie był to ani czech ani słowak, lecz poczciwy nasz mazur gdzieś z pod Babiéj góry. Podszedł bliżej ku zgromadzonym, a oddawszy im ukłon zdjął z ramion pudło z towarami i tak zaczął mówić:

Niechaj będzie pochwalony!

Z towarem przychodzę:

Mam różności z różnej strony,
Sprzedaję po drodze.

Będę próżno tyle drogi,
Dźwigał towar mój ubogi?
Kupcie, kupcie, jak Bóg żywy!
Mazur ja poczciwy.

* * *

Jak widzicie, z łaski nieba,
Są wstążki, korale,
Każdy kupi co mu trzeba
I nie drogo wcale.

Mieście wzgląd na trudy moje,
Bóg odplaci wam we dwoje.
Kupcie, kupcie, jak Bóg żywy!
Mazur ja poczciwy.

I mówiąc to, rozpiął rzemień na pudle i wypakował mnóstwo bardzo ładnych drobiazgów, które były porządnie w przegródkach poukładane i z daleka już, świecąc się, nęciły wzrok ku sobie.

Takie wesołe powitanie wędrownego kramarza zdziwiło wszystkich i zachęciło. Zarebski zapuścił się zaraz w rozmowę z mazurem, pytając go z kąd jest i jak długo już chodzi po wsiach z kramikiem. Inni obstąpili pudło dookoła i prze-

glądali szpilki, spinki, pierścionki, krzyżyki, łańcuszki i inne świecidełka z rzeszowskiego złota, obrazki świętych, igły, nici, bawełnę, wstążki, harasówki, tasiemki, podwiązki, paciorki, bursztyny, korale, książeczki do modlenia, grzebienie, szczotki, lusterka i mnóstwo innych rzeczy.

Odpowiadając co chwila na pytania dziewcząt i matek jaka czego cena, tak mówił kramarz w wolnych chwilach do Zarębskiego.

— Dziwi was to zapewne, że ja mazur, wzięłem się do wędrownego kramarstwa, gdyż z takimi pudłami uwijają się u nas zazwyczaj tylko czesi i słowacy. Otóż i ja zobaczyłem, że w ten sposób można uczciwie na życie zarobić i chwyciłem się kramarskiego handlu. Zmusiła mnie do tego bięda, a teraz niechętnie rozstawałbym się z moim kramem. bo jestem przy nim wesół i swobodny jak nigdy. Przed kilku laty jeszcze siedziałem na roli; lecz było nas troje na jeden grunt kmięcy. Gleba nieurodzajna, kamienista, słabo wydawała; więc wszystko troje klepaliśmy biędę i nieraz na przednowku trzeba było przymierać z głodu. Przyszła mi wtedy myśl, aby się puścić na wędrownego kramarza. Bratu i siostrze zostawiłem po połowie ojcowskiego gruntu tylko za to, że poręczyli u pewnego poczciwego człowieka, który mi pożyczył nie wielką sumę na zakupno towaru. Przeżegnawszy się, ruszyłem w imię Boże,

i jak wam mówię, nigdy tego żałować nie będę, bo teraz i brat mój i siostra więcej mają niż mieli, a ja także się czegoś dorobiłem, choć już przed dwoma laty spłaciłem pożyczoną sumkę. Nie jestem nikomu ciężarem, lecz owszem pomoc innym niosę, jestem szczęśliwy przy mojej pracy, więc mi wesoło i swobodnie jak mało komu!

— No, patrzcie! — zawołał Górka uradowany — macie tu żywego człowieka, kubek w kubek takiego samego jak ów stary Mikołaj o którym wam opowiadałem. No, pokaż tu swoje towary — dodał zwracając się do kramarza, i oglądał i kupował i każdemu z gości kupił jakąś drobnostkę niby to na pamiątkę swych imienin, a w rzeczy chcąc dać zarobić poczciwemu a wesołemu mazurowi. A że przytém i inni targowali i kupowali czego im było niezbędnie potrzeba, więc kramarz zgarnął dość pieniędzy i był tak uradowany, że Marcysi i Teklusi podarował po pięknym pierścionku. Podziękowawszy zabawną oracyą i zarzuciwszy pudło na plecy, pokłonił się znowu wszystkim, oddał cały dom Panu Bogu i poszedł w świat daleki.

Po odejściu kramarza ruszyło się także całe towarzystwo, bo wieczór zapadł, a Stefan chciał jeszcze przed nocą stanąć w lesniczówce. Zaprzągnął więc koniki, pożegnał obcych i wsiadł z Marcysią na wózek. Lecz gdzie im tam było jechać! Poło-

wa zgromodzonych nie chciała Stefana i Marcysi odstąpić; odprowadzono ich więc aż za miasto, i tam dopiero rozstali się wśród pocałunków, wesołych okrzyków i przyrzeczeń, że Stefana w lesie niebawem odwiedzą.

Przypływa kupiec ze Lwowa i otwiera sklep pod gołębem Kazimierza Wielkiego.

W miasteczku naszym tak jak we wszystkich
 gwałtownie miasteczku było dość kamion i skle-
 pów niedawnych z łowami nędnymi, złażym
 lub niedawnym, lecz nie było żadnego większego
 handlu w którymby można dostać dobrych towarów
 za słuszną cenę. Mieszkańcy prężyli więc z rado-
 ścią wiadomość że jakieś pomocnik ze Lwowa, na-
 myślał otworzyć sklep, postanowił otworzyć i
 nich potrzebny sklep zapobiegający w najwłaściwszym
 miejscu. W dniu 24. wiadomość pojawiła się
 niebawem wesoło wybuchającą, a w jednym
 z najgorzniejszych domów w rynku powstało tak-
 że kilka drzwi i okna dachy frontowych pokoiw
 na dachu, które kupiec na sklep wynajął. Gdy to
 robota była ukończona, a tłum wylądował, szedł
 między a obywateli, szedł, pojawili się sam
 kupiec, ze zwinianym naczyniem sklepowym i zaczęli
 sklep nędnym. To to było wspaniałe i stuka-
 nym, pękającym, tym wszystkim w ład wpro-

ROZDZIAŁ XIV.

Przybywa kupiec ze Lwowa i otwiera sklep pod godłem Kazimierza Wielkiego.

W miasteczku naszym, tak jak we wszystkich prawie miasteczkach, było dosyć kramów i sklepików żydowskich z towarem nędznym, zleżałym lub nadpsutym, lecz nie było żadnego większego handlu, w którymby można dostać dobrych towarów i za słuszną cenę. Mieszkańcy przyjęli więc z radością wiadomość, że jakiś pomocnik ze Lwowa, mający niewielki mająteczek, postanowił otworzyć u nich porządny sklep, zaopatrzone w najrozmaitsze towary. W ślad za tą wiadomością pojawiły się niebawem wysoko wyładowane bryki, a w jednym z najporządniejszych domów w rynku poczęto rozszerzać drzwi i okna dwóch frontowych pokojów na dole, które kupiec na sklep wynajął. Gdy ta robota była ukończoną, a fury wyładowały swój ciężar w obszernej, suchej szopie, pojawił się sam kupiec ze zwinnym uczniem sklepowym i zaczęli sklep urządzać. Toż to było zakrętaniny i stukaniny przez cały tydzień, nim wszystko w ład wpro-

wadzono! Ciekawi przechodnie stawali i zaglądali przez drzwi, a kupiec z chłopcem uwijali się jak muchy w ukropie, stawiając stoły, szafy i pulki, przybijając je hakami do murów, napełniając szuflady i słoje wybornemi rzeczami, znosząc wreszcie ze szopy głowy cukru, worki kawy, stopy mydła i świec, sztuczki pięknie malowanego perkalu, ryzy papieru i wiele, wiele innych rzeczy. Gdy kto z przechodniów zanadto ciekawie zaglądał, prosił go grzeczny kupiec do środka, pokazywał to i owo i prosił, żeby o nim nie zapomniano, gdy już sklep otworzy. Raz, gdy kilkoro dzieci, wracając ze szkoły, stanęło przed sklepem, wyszedł kupiec i poczęstował je odrobiną rodzyneków, migdałów i fig, czém studenci niezmiernie byli uradowani. Jakóż po całym mieście rozchodziły się coraz szerzej rozliczne wiadomości o kupcu, i jaki taki, mając do zrobienia jakiś ważniejszy sprawunek, czekał już z kupnem na otworenie nowego handlu.

Przyszła nareszcie ta upragniona chwila. Pewnego poranku stanęły otworem oszklone drzwi sklepu, poza czysto wymytemi szybami wielkiego okna ukazały się dwie głowy cukru, kawa i różne łakocie w pięknych słojach, napoje w kształtnych butelkach z ładnemi napisami, ogromna gąbka, a nad nią sznury paciorków, bursztynów i koralii, dwie sztuczki wzorzystego perkalu stały oparte w głębi, a w górze rozwieszały się pięknie sfałdowane chustki, chwytając za oczy żywemi bar-

wami tureckiego deseni. Ponad drzwiami przybitą była wielka niebieska tablica, a na niej czytali przechodnie następujący napis: *Sklep korzenny, bławatny i galanteryjny Karola Niedzielskiego*; po obu zaś stronach drzwi wisiały tablice z napisami: Cukier, kawa, korzenie, łakocie, wina, rum i t. d., na drugiej zaś: Płótna, perkale, chustki, korale, przybory do szycia, papier, pióra, ołówki, atrament i t. p. Prócz tych wszystkich napisów znajdowała się jeszcze nad głównym szyldem jedna mniejsza tablica, która najbardziej zwracała na siebie uwagę przechodniów. Była to jak gdyby tarcza owalna, a na niej widziałeś pięknie wymalowanego króla w szkarłatnych szatach z złotą koroną, trzymającego rękę na mieczu, a w drugiej wielką księgę. U spodu tej tarczy stał napis: „*Pod Kazimiérzem Wielkim.*“

Wiadomość o nowym sklepie i o kupcu zajmowała oczywiście i naszych znajomych. Najbliższej niedzieli, skoro się zebrali u Tomasza, wszczęła się o tém rozmowa.

— Ładnie on to urządził — mówił Górka — boję się tylko czy nie za wiele dbał o pokaz i czy ma fundusz, żeby wszystko na tym stopniu utrzymać. Może nie zna przysłowia że „*wedle stawu grobla,*“ i drugiego, które mówi wyraźnie: „*Im kto skromniéj zacznie, tém lepiej skończy co zaczął.*“

— Słyszałem — wtrącił nauczyciel — że to ma być człowiek obrotny i zapobiegliwy, więc dobrze się musiał obliczyć z kieską, nim się wziął do rzeczy. A że nęci przyjemną wystawą, nie widzę w tém nic dziwnego, bo kupiec więcej niż kto inny musi się oglądać na przysłowie: „*jak cię widzą, tak cię piszą*“.

— Prawda i to — rzekł Górka — a jeśli jest w rzeczy samój obrotny i zapobiegliwy, to może sobie pozwolić większego wydatku na wystawę, bo go odrobi. Nie wielkić to u nas handel, ale skrzętny kupiec zawsze potrafi i na życie zarobić, i jeszcze co w zysku na złe czasy uciułać. Mój Boże! „*Kto się nie leni, zrobi złoto z kamieni!*“

— Mnie się to bardzo podoba — odezwał się Tomasz — że ten nowy kupiec wystawił na godle wyobrażenie króla polskiego. Milój to przecież takiemu dać utargować, co o ojczyźnie pamięta i przeszłość jój szanuje, niż jakiemu tam zawłóce z za świata, co z nas zyski wyciśnie i znowu je gdzieś za granicę wywiezie.

— Prawda! — zawołał Górka — Nad sklepem jego wisi obraz Kazimiérza Wielkiego. Słyszałem ja coś o tym królu; był podobno bardzo gospodarny. Wy tam pewnie coś więcej o nim wiecie — dodał Górka, zwracając się do Zarębskiego — to może nam opowiecie.

— Jeżeli tylko chcecie słuchać — rzekł nauczyciel — z chęcią powiem co wiem.

— I owszem! — zawołali przytomni.

Więc Zarebski tak zaczął opowiadać o Kazimierzu Wielkim:

— Jest już temu lat pięćset jak panował w Polsce król Kazimierz, któremu dla rozumu, rządności i potęgi przydomek Wielkiego nadano. Był on ostatnim potomkiem królewskiego rodu Piastów, który wiódł swój początek od gościnnego kmiecia z Kruszwicy, a dał Polsce 20 królów i książąt, co przez 500 lat w Polsce panowali. Nie mając synów, naznaczył był Kazimierz Wielki na tron siostrzeńca swego Ludwika, który był oraz królem węgierskim i po śmierci Kaźmierza jakiś czas i w Polsce i w Węgrzech panował. Ludwik oddał później tron polski córce swój Jadwidze, zaślubionej wielkiemu księciu litewskiemu Władysławowi Jagielle, a od Jagielly, który przyjąwszy chrzest z całą Litwą dał początek złączeniu się Litwy z Polską i przez długie lata na tronie polskim zasiadał, rozpoczyna się drugi królewski ród w Polsce, tj. ród Jagiellonów. Lecz wróćmy do Kazimierza.

Ojciec Kazimierza Wielkiego, waleczny Władysław Łokietek, który podźwignął Polskę i z wielu ją nieszczęść wyswobodził, jeszcze za życia swego wybrał był żonę dla syna, upatrzwszy ją w Aldonie, córce księcia litewskiego Giedymina. Już same zaślubiny Kazimierza z Aldoną pociągnęły za sobą jden dobry czyn, których wiele świeci

w długoletniem panowaniu Kazimiérza; oto na wiano swéj córce odesłał Giedymin do Polski 24 tysiące jeńców polskich, których był zabrał w rozlicznych na Polskę napadach. Radość tych nieszczęśliwych była niezmierna, gdy wrócili do ojczyzny i mogli napowrót oddać się uprawie ojczystej ziemi, a radość tę zawdzięczali młodziuchnemu Kazimiérzowi. Gdy stary Łokietek, znużywszy się zwyciężką wyprawą przeciw krzyżakom, Bogu ducha oddał, wstąpił zaraz na tron Kazimiérz i koronował się w Krakowie 25 kwietnia roku 1333. Ziemie polskie potrzebowały podówczas spoczynku. Wojny Łokietkowe podniosły bardzo znaczenie Polski i uczyniły ją groźną dla nieprzyjaciół, ale też wyniszczyły ją wewnątrz, sprowadziły zaniedbanie gospodarstwa i przeredziły ludność. Spostrzegł więc Kazimiérz, że już nie wojownika, ale gospodarza potrzeba narodowi polskiemu. Jakoż rozpoczął panowanie zawieraniem pokoju z nieprzyjaciółami, a uzyskawszy pokój oddał się cały wewnętrznemu uporządkowaniu Polski, i nie na wojnach, lecz na rządém, roztrópném i sprawiedliwém gospodarowaniu przepędził 37 lat swego panowania.

Jedyną niemal wyprawą Kazimiérza Wielkiego była wyprawa wojenna w celu zajęcia Rusi, do której Kazimiérz miał prawa dziedziczne po zmarłym podówczas księciu halickim. W wyprawie tej, bez dłuższych zamieszek i większego krwi rozlewu,

zajął Kazimierz Lwów i inne miasta Rusi, odparłszy także pod Lublinem Tatarów, których niektórzy panowie ruscy na pomoc byli przywołali. Od owój wyprawy Kazimierzowej weszła Ruś w skład państwa polskiego, i odtąd już bez przerwy dzieliła z Polską chwile szczęścia i niedoli. Jak bracia rodzeni bronią odtąd Polacy i Rusini wspólnej ojczyzny, kości jednych i drugich bieją na wspólnych pobojuwiskach, rody ich mieszają się i wspólna praca nad pomyślnością Polski łączy ich coraz ściślejszemi węzłami. Kazimierz Wielki, jako dobry ojciec, który nie robi różnicy między swemi dziećmi, przygarnął Ruś równie miłościwie do serca, jak i Polskę. Pod jego panowaniem podnosiła się Ruś, zakwitała w niej możność, panował pokój i ład. Obrządek Rusinów był szanowany, bezpieczeństwo Rusinów było zapewnione mądrymi prawami.

W owych czasach, gdy Kazimierz Wielki panował, nie było w Polsce i u innych narodów tak dokładnych praw jak podziśdzień. Dzikość między ludźmi panowała większa, nie było tyle oświaty i tak łagodnych obyczajów. Jakoż własność człowieka, czy to grunt, czy dom, czy rzecz jaka nie była tak bezpieczną od napadu, zaboru i zniszczenia jak dzisiaj; samo życie ludzkie było więcej narażone na chciwość, złość i mściwość niegodziwców. Wprawdzie tu i owdzie czuwali nad porządkiem duchowni, sędziowie, urzędnicy, nareszcie i sam

król, który nieraz na surowe kary zasądzał przestępców, ale w wyrokach i karach nie było jednolitości, bo nie było jednolitych praw, lecz różnorakie przepisy, w tych dzielnicach kraju inne, a w owych inne. Działo się to więc nieraz, że złoczyńca unikał zasłużonej kary, albo niewinni cierpieli za winy drugich, że możni uciskali biednych, a biedny nie mógł znaleźć sprawiedliwości, a to wszystko dlatego, że nie było dokładnie spisanych praw, którymby wszyscy byli obowiązani ulegać, i wedle których wymierzanoby na nich karę w razie przestępstwa.

Otóż taki dobry gospodarz, jak Kazimierz Wielki, spostrzegł zaraz ten nieład w wewnętrznym urzędzeniu kraju, i postanowił mu zaradzić. Wezwał zatem rozumnych i znaczniejszych ludzi na wiec, t. j. na naradę najprzód do Piotrkowa, a potem do miasteczka Wiślicy, i z nimi razem ułożył księgę praw i przepisów, która od miejsca narady *Statutem Wiślickim* się nazywała. Łatwo sobie możecie wyobrazić, wiele się ten statut przyczynił do utrwalenia ładu i bezpieczeństwa w całej Polsce. On dał podstawę prawu i sprawiedliwości, do niego odnosiły się zawsze późniejsze rządy, czyto dokładając przepisów, czy je zmieniając. A oto i w statucie wiślickim widać, jak dobrym gospodarzem był Kazimierz; nie tylko nakazywał karać surowo zabójstwa, rabunki, podpalanie i tym podobne zbrodnie, ale zwrócił także uwagę na szkodni-

ków gospodarskich, i dotkliwe kary pieniężne kazał nakładać na tych n. p., co ule niszczyli i miód z pszczołami wybierali, bydło ranili i t. p. Sam król wchodził w sprawę ubogich włościan, cierpliwie wypytywał o ich dolegliwości, surowo karał winnych a nagradzał pokrzywdzonych, i dlatego zasłużył sobie na to, że go ojcem „królem chłopków“ nazywano.

Drugą ważną rzeczą, której potrzebę w Polsce ujrzał Kazimierz Wielki, była oświata, bo przez oświatę dochodzi człowiek do złagodzenia swych obyczajów i do poszanowania prawa. Chcąc dać temu popęd, postanowił Kazimierz Wielki ufundować w Krakowie najwyższą szkołę, czyli akademię. Nie zaraz dała się tak wielka rzecz zrobić, bo trzeba było zgromadzić wielu uczonych ludzi na profesorów; przecież jednak zamiar Kazimiérowsy dojrzewał powoli, a gdy jego nie było już na ziemi, królowa Jadwiga dokonała założenia akademii Krakowskiej, która po dziś dzień istnieje.

Mówią o Kazimierz, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną. I w istocie trudno zliczyć te gmachy, zamki, kościoły, szpichlerze, mury obronne, do których wybudowania przyczyniła się gospodarska ręka Kazimierza. W Krakowie odnowił zamek, wystawił na środku rynku pyszne „Sukiennice“, i fundował całe dzisiejsze przedmieście Krakowskie, które się od niego „Kazimierzem“ nazywa. Lwów opasał obronnemi murami i wybu-

dował potężny zamek, którego szczątki jeszcze dziś sterczą. Mocnymi murami opasał bardzo wiele innych miasteczek, między innymi Sanok, Krosno, Wieliczkę, Skawinę; toż samo nowych zamków wiele pobudował, między innymi w Sanoku, Trembowli, Haliczu, Lubaczowie i t. d. Założył też wiele wsi, szczególnie na Rusi i w Małopolsce. O miastach troskliwie pamiętał, nadawał im przywileje, zapewniał korzyści, sprowadzał zdolnych rzemieślników z Niemiec, którzy się po miastach osiedlali, opiekował się handlem i przemysłem, to też nie dziwota, że tak wielkiego króla obrał sobie nasz kupiec za godło Żydzi też za Kazimierza Wielkiego dostąpili większych swobód, bo jakkolwiek inną wiary, przecież są oni ludźmi i naszymi bliźnimi, a dobry król nie mógł tego ścierpieć, ażeby tak jak to podówczas w innych było krajach, znęcano się nad żydami jak nad bydłami.

Cały kraj za rządów króla chłopków tak się zagospodarował jak nigdy przedtém. Rozległych lasów było podówczas znacznie więcej niż dzisiaj, więc wielką część tych lasów wytrzebiono, a na korczowiskach powstawały wsie, gdzie pracowity wieśniak zapuszczał pług w urodzajną ziemię. Od wsi do wsi bito drogi dogodne. Rodzaje zbóż mnożyły się, w ogrodach zaczęto uprawiać warzywa, a drzewa szczepić szlachetnymi gatunkami owocu. Hodowano wiele koni, bo koń był towarzyszem człowieka na wojnach, lecz i innego bydła było

podostatkiem. Rozległy chów pszczoł dostarczał miodu, który plastrami stawiał na stół gościnny gospodarz, albo go sycił, wyrabiając zeń cenne napoje. Liczne barchie po lasach, bobry, żyjące nad ustronnemi wodami w puszczach lesistych, a dostarczające kosztownego futra i drogiego „stroju bobrowego,” przynosiły także nie mało pożytku. Zamożność zaglądała do pańskich dworów i do chat włościańskich; mieszkania stawały się przestronniejsze, wygodniejsze i ozdobniejsze, na odzież dobierano kosztownych futer, sukien i jedwabiów. Jednym słowem błogosławieństwo boże spłynęło z tym królem na Polskę.

Jaka była wtenczas zamożność, dość wam tylko przytoczyć Mikołaja Wierzyńka, mieszczanina Krakowskiego. Kazimiérz wydał był wnuczkę swą po jednej z córek za cesarza niemieckiego. Na ślub, który się odbywał w Krakowie, zjechało było prócz cesarza trzech królów, czterech książąt, wielu duchownych, panów świeckich i mnóstwo dobrego rycerstwa. Król dał wnuczce sto tysięcy dukatów w posagu, a gościom podarunki znacznej wartości. Uczty, igrzyska i zabawy trwały dui dwadzieścia. A jedną z najświetniejszych uczt wyprawił gościom mieszczanin krakowski i podskarbi króla, Mikołaj Wierzynek. Nie zubożał on, choć podejmował w swoim domu tyle głów ukoronowanych, książąt i magnatów, nie zubożał, choć po uczcie obdzielił gości podarunkami, które podobno

tyle były warte co cały posąg królewskiej wnuczki!

Mimo późnego już wieku, bo lat z górą sześćdziesięciu, wyprawił się Kazimierz w jesieni r. 1370 na łowy. Było to w borach sandomierskich. Nie polowano wówczas chętnie na tak drobną zwierzynę jak zając lub lis, ale na zwierza grubego, na żubry, niedźwiedzie, łosie, jelenie i t. p. Wychodziła też na łowy znaczna gromada ludzi, a ponieważ nie znano jeszcze palnej broni, więc godzono na zwierza dzidami, kordelasami, lub inną sieczną bronią. Otóż na takie to łowy puścił się król na koniu, a gdy psy wytropiły rogacza, rzucił się za nim w pogoń, lecz tak nieszczęśliwie, że w ciągu pogoni upadł wraz z koniem i potłukł się mocno. Sprowadziło to na starca obłożną chorobę, z której się już nie dźwignął. Przywieziony do Krakowa, umarł 31 listopada 1370 r. i w Krakowskiej katedrze został pochowany.

Gdy tego opowiadania Tomasz i Górka z wielkim zajęciem wysłuchali, i gdy się pokazało, że radzi byli jeszcze więcej słyszeć o tym rządym i sprawiedliwym królu, powiedział im Zarębski na pożegnanie następujący:

Śpiew historyczny

O KAZIMIERZU WIELKIM.

Przez trzy wieki z męstwa znany,
W męstwie Polak miał swe cnoty,
Na koniu, burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty;
Ugorem stały obszary:
On bił Niemcy i Tatary.

* * *

Było to widzenie nowe,
Gdy król zwołał do Wislicy
Polaków plemię bojowe;
Oni w zbrojach i przyłbicy,
Sądząc, że wojować mieli,
Licznymi hufcy stanęli.

* * *

Kazimierz rzekł im: „Nie boju
„Dziś od was żądam, Polacy!
„Czas, byście żyli w pokoju,
„I rycerze i wieśniacy.
„Niech kraje, bronią zajęte,
„Uszczęśliwią prawa święte.“

* * *

To mówiąc, spisane księgi
Z ręką doradców odbiera:
Pieczęć wisiąca u wstęgi.

„Ten zakon, rzecz, zawiera
 „Przyszłego szczęścia zarody,
 „Waszą całość i swobody.

* * *

„Nie dość obce ludy gromić,
 „Czas jest szczęśliwym być w domu,
 „Zuchwałą przemoc poskromić,
 „By nie szkodziła nikomu!
 „Gdzie sądu zwierzchność surowa,
 „Nie zapłacze nędzna wdowa.“

* * *

Jak dzień majowej pogody,
 Gdy deszcz ciepły przejmie rolę,
 Budząc uspione zarody,
 Żyzne zazieleni pole;
 Tak rządem, co mądrość dała,
 Zakwitnęła Polska cała.

* * *

Przychodzień tłumem się zbiera
 Na odgłos lubej swobody:
 Już pustynie pług rozdziera,
 Wspaniałe wznoszą się grody,
 Szereg twierdz, co granic strzeże,
 Obronne baszty i wieże.

* * *

Nieraz król po włościach chodził
 I nie raz z kmieciem rozmawiał,
 Wspierał w pracach, spory godził,
 Nagradzał, w błędach poprawiał;
 Ceny pochwały nie znano,
 Gdy go „królem chłopków“ zwano.

* * *

Już pod berło Kazimierza
 Cisną się bliskie narody,
 Zakres się państwa rozszerza:
 Ci co piją Sanu wody,
 Wołyn naówczas bezdrożny
 I Lwów i Halicz przemożny.

* * *

Szczęśliw wraca do stolicy,
 A lud go wita wesoło,
 Radne pany, wojownicy
 Otaczają go w około;
 Niosły przodem hufce mnogie
 Korony i skarby drogie.

* * *

Tam wnuczkę cudnej urody
 Z cesarzem śluby kojarzy,

Wzywa na weselne gody
Czterech potężnych mocarzy,
Królów, książąt z Niemiec całych
Mieści po gmachach wspaniałych.

* * *

Widziano przepych nieznaną
W ucztach, turniejach, gonitwach,
Gdzie dar bywa przyznawany
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach:
Kto na ostrze dzielnie godził,
Wśród oklasku z szranków schodził.

* * *

Monarchów poczet wesoły
Prosi do siebie Wierzynek:
Od srebra gięły się stoły;
Každy biorąc upominek,
Myśli: szczęśliwy kraj cały,
Gdzie mieszczanin tak wspaniały.

* * *

Kazimierz w wieku sędziwym
Doznał prac tylu nagrody.
Pod nim naród był szczęśliwym:
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdatni —
Takim był z Piastów ostatni.

ROZDZIAŁ XV.

Trzeci list Jasia i jaka była rozmowa w skutek tego listu.

Nowo przybyły kupiec nie potrzebował długiego czasu, ażeby się z całym miasteczkiem zaznajomić. Był to człowiek małego wzrostu, szczupły, a żywy i niezmordowany w pracy. Nikt go nie widział próżnującym, zawsze się za czémś kręcił, zawsze o czémś myślał, mówił prędko i dobitnie i poruszał przy mówieniu rękami, tak jak gdyby chciał jeszcze ruchami rąk potwierdzić i wytłumaczyć to, o czém mówiły usta.

Był on właśnie u Tomasza, gdy nadszedł zdawna już oczekiwany, nowy list od Jasia. A że dano znać o tém Górcie i Zarebskiemu, więc obaj ci przyjaciele domu także przyszli, aby przeczytać, co tam Jaś pisze z dalekiego świata. Skoro zaś Niedzielski usłyszał, jak piękne listy Jaś pisuje, prosił Tomasza ażeby mógł także przysłuchać się, gdy nowy list będą czytali.

— I owszem, bardzo proszę — rzekł Tomasz — jeżeli was tylko nie znuży to czytanie, i jeśli wam czas pozwala.

Niedzielski spojrzął na kieszonkowy zegarek: — Godzinkę jeszcze mogę obrócić na słuchanie i miłą gawędę, a potem, mimo że to niedziela, do roboty, bo rachunki z całego tygodnia trzeba wpisać do głównej księgi.

Nie tracąc zatem czasu wziął nauczyciel, jako najbieglejszy w czytaniu, list z rąk Tomasza, a otworzywszy go, tak czytał:

List Jasia.

Wiedeń dnia 15. lipca.

Najukochańsi Rodzice!

Dawno już nie pisałem do Was, gdyż byłem w drodze. Pomyślawszy sobie, że więcej poznam świata i ludzi, gdy będę iść pieszo, i że mi nawet przyjemniej będzie w piękny czas letni w ten sposób wędrować, puściłem się piechoto z Krakowa, i uszedłszy 58 mil w przeciągu czterech tygodni, stanąłem przed 10 dniami w Wiedniu. Nie żałuję tej podróży, bom już samym patrzeniem się coś nauczył.

Inny to już świat moi najdrożsi! Na każdym kroku widać dużo ludzkiej pracy i nauki, i żal tylko człowieka przejmuje, że u nas nie mało jeszcze brakuje, żeby wsie i miasta przyszły do

tėj zamożności i do tego porządku co tutaj. Już wszedłszy na Szląsk, ujrzałem znaczną różnicę. Wsie porządnie zabudowane, z białymi schludnymi domkami, aż wabią ku sobie. Przy domu widzisz porządne zabudowania gospodarskie, sad i ogród warzywny i podwórko należycie ogrodzone, na którym poszczekuje pies na łańcuchu, pilnujący dobytku swego pana. Wewnątrz chat skromnie, a czysto i miło. Podłoga z desek czysto umyta, toż samo stoły i ławy, skrzynie i stolki. Łóżka pozaścielane bielutką pościelą, na ścianach obrazy świętych, tu i owdzie zegar z wagami, komoda politerowana, białe, fajansowe naczynie i t. p. Porządek wzorowy panuje również w oborach, stajniach, stodołach. Prawie przy każdej chacie jest sucha piwniczka na warzywa i mleko, a w komorach zapasy gospodarskie, faski z mąką i kaszą; tu i owdzie wiszą na drążku kiełbasy, wędliny i słonina. Przy zewnętrznych ścianach chaty pod okapem suszy się drobno łupane drzewo, zapas opału, przysposobiony na zimę. Nie potrzebuję dodawać, że w każdej chacie jest porządna murywana kuchenka z kominem ponad dach wyprowadzonym. Na bydło i konie aż się miło popatrzeć, tak wykarmione i wychędożone. Pracują pewnie dwa razy tyle co u nas, a przecież dobrze wyglądają, bo gospodarz dba troskliwie o chudobę, karmi należycie, uważa przy pojeniu, nie przeciąża w upały,

chroni w czasie mrozów, dogląda, czyści i daje w miarę odpoczynku.

Myślałem, iż zamczność i obfitość, którą spostrzegłem, ztąd pochodzą, że włościanie więcej posiadają ziemi, niż nasi. Spytałem się więc jednego z bardzo porządnych gospodarzy, ileby miał gruntu. Odpowiedział mi, że ma wszystkiego 12 morgów, co mi się wydawało bardzo niedostatecznym do tak porządnego utrzymania domu i gospodarstwa. „A na cóż mi więcej“ — odrzekł zapytany. — „Kto posiada mało, a dobrze rolę obrobi i umie się rządzić, lepiej wychodzi od tego, który mając wiele, opuszcza i zaniedbuje swoje gospodarstwo. Trudniłem się dawniej furmanką i ubierałem trochę grosza; otóż teraz trafiała mi się rola do nabycia za bardzo taną cenę, a kupić jej nie chciałem, bobym się był obciążył ziemią, a przytém nie dał jej rady. *Nie ten bogaty, co dużo posiada, ale ten co nikomu nic nie winien, tylko duszę Bogu.* Nieraz się dziwuję łakomstwu ludzi, którzy pragną mieć dużo roli, ale przecież téj, którą mają, obrobić nie mogą, albo nie umieją.“

Z szczególną też troskliwością chodzą na Szląsku i tu wszędzie około roli. Wyciągają z niej bardzo wiele, lecz również wiele wracają jej przez dobrą uprawę i nawóz. Około każdej chaty jest dobrze urządzona gnojownia, z której gnojówka nie ucieka, a do której składają obornik, rozmaite

śmiecie i odpadki, namuliska ze stawów i t. p. Kupę takiego gnoju skrapia gospodarz często gnojówką lub wodą, jeżeli go orzeźwiający dészcz nie wyreczy. Takiego nawozu daje on na morg pola 50 fur parokonnnych, a czasem i więcej, a rozściela go drobno i równo, od czego, jak mi mówiono bardzo wiele zależy. Z nawozem powraca na każde pole co czwarty rok, a jeżeli ma go dosyć i starczy mu czasu, to i co trzeci. Uważa zresztą co po czém siać lub sadzić, gdyż jedna roślina rok w rok na téj saméj roli uprawiana i nie uda się i rolę wyniszczy. Jeden z gospodarzy tak mi o tém mówił: „Trzeba wam wiedzieć, że ziemia ma różne w sobie kieszenie, i nigdy z jednéj rok po rok nie sypie. Jeśli jednego roku sięgniesz do jéj kieszeni po kartofle, to drugiego szukaj w niéj grochu albo jęczmienia, ale nigdy kartofli. Jak groch zbierzesz, to drugiego roku sięgaj znowu po żyto, i tak zmieniał, iżby strączek szedł przed ziarnem ozimém, a kiedy dwa razy ziarno weźmiesz, to nie zapędzaj się bez nawozu, bo tak jak kupiec nie da ci towaru bez pieniędzy, tak ziemia twardego ziarna bez nawozu.“

Gospodynie tutejsze chodzą też staranniej i z większą rozwagą około gospodarstwa domowego. Z drobiu ciągną znaczną korzyść, wypasają wieprzki, uprawiają warzywa w dobrym gatunku, przędą len i konopie, a już najbardziej, co mi się podobało, to ta czystość w gospodarstwie mlécznym. Nabiał

stoi w piwnicy w czyściutkich polewanych garnkach, a każdy garnek przykryty, muchy tam nie powpadają ani się nie zaprószy, tak jak to u nas nieraz się dzieje. Skopce, cedzilką, maśnica czyściutkie, że aż ślinka idzie na mléko i masło, które bywa twarde, nie zarabiane i smaczne jak migdał. Patrząc się na tę czystość i porządek w chodzeniu około nabiału, przypomniałem sobie ciebie, najdroższa matko, która tak troskliwie dbasz zawsze o czystość i ład gospodarski.

— Co to za pocziwe dziecko! — zawołała pani Tomaszowa, przerywając czytanie — przy każdej sposobności przypomina sobie dom i rodziców.

— A ten tam gospodarz, co to przyrównał ziemię do kupca, który nic nie da za darmo, to jakiś rozumny człowiek! — zawołał z uśmiechem Niedzielski.

— No, i to jego przysłowie nie głupie, że człowiek wtedy bogaty, gdy nikomu nic nie winien tylko duszę Bogu — zawołał Górka ucieszony i zdziwiony, iż znalazło się przysłowie, którego on dotąd nie słyszał.

Tymczasem Zarębski, poprosiwszy o spokój, tak dalej czytał z Jasiowego listu:

„Lecz dość już o gospodarstwie! Należałoby raczej napisać wam coś o tym wielkomijskim hukku i stuku, który mnie tu we Wiedniu otoczył. Wielkie miasto, to jest istny ul, w którym się

roją pszczoły na wszystkie strony. Ten spieszy za zarobkiem jak pszczoła za miodem, tamten zarobiwszy, powraca uśmiechnięty z zarobkiem do rodziny, ten idzie pieszo, ów powozem dąży, tamten dźwiga ciężar na plecach, inny znów pcha go w taczkach przed sobą, toczą się, popychają, mówią, krzyczą, wołają, gwar i tartas, całe miasto brzęczy jak ul. Obok pszczół kręcą się także tu i owdzie trutnie, z założonemi rękami, obdarci i ozdobnie ubrani, rozglądają się na wszystkie strony, czy im miód sam do ust nie pocieknie. Ale te brzydkie stworzenia nikną w tłumie pracowitych.

Takiem się wydaje każde wielkie miasto i takim jest też Wiedeń, stolica monarchii austriackiej i siedziba cesarza. Pięknych kościołów, pałaców, gmachów i ogrodów jest tu bardzo wiele, i ani się nie porywam, żeby wam je choć w krótkości opisać, bo sam ich jeszcze dobrze nie widziałem, i musiałbym na opis choć pół libry papieru obrócić. Po nad wszystkiemi gmachami góruje wspaniała i prześliczna wieża katedralnego kościoła św. Szczepana; mierzy ona 442 stóp od ziemi aż do szczytu krzyża, czyli około 74 sążni i jest jednym z najwyższych gmachów na całym świecie. Znaczną ozdobę Wiednia stanowi także potężna rzeka *Dunaj*, nad którym Wiedeń jest zbudowany. Początki tego miasta sięgają dawnych czasów; przez długie lata musiało

się ono rozrastać, skoro dziś właściwe stare miasto niknie prawie obok rozległych i wspaniałych przedmieść, których jest 34, i około których 5 mil zrobić trzeba nimby się je obeszło. Liczba mieszkańców Wiednia wynosi 700,000. Dla Polaków Wiedeń tém jest pamiętny, że tutaj zwyciężył król Jan Sobieski ogromne wojska tureckie, obronił Wiedeń, a tém samém obronił i znaczną część Europy od nawały pogańskiej. Z dział, które w wojnie Turkom zabrano, ulany jest ogromny dzwon, który waży 354 centnarów i wisi we wieży św. Szczepana.

Wielka tu ilość fabryk i handel bardzo rozległy; łączą się koleje z rozmaitych stron, z rozmaitych też krajów przybywają rzemieślnicy i kupcy. Na wystawach i w magazynach ogromnych widziałem już takie rzeczy, których sobie przedtém ani nie wyobrażałem, osobliwe, kunsztowne, piękne i drogie. Znalazłszy tu kilku Polaków rzemieślników, trzymam się ich, z nimi chodzę i zwiedzam co godniejsze widzenia. Najwięcej przyglądam się temu, co mego rzemiosła się tyczy: stolarskiej robocie w domach i pałacach, przepyszny meblom, materyałowi używanemu do robót i ulepszonego narzędziom. W jednym składzie widziałem najosobliw z materyał drzewny, ze swoich i zagranicznych drzew, naturalny i bajcowany, w klocach, tarcicach, i cienkich jak opłatek fornerach. Było tam drzewo barwy żółtej, pocho-

dzące z Ameryki i zwane *cytrynowém*, a używane do fornerowania zbytowych mebli; był znany *machon* koloru ognistego, *heban*, czarny jak węgiel; drzewo *fernambukowe*, zwane u nas w trzaskach brzylią, a używane do farbowania, do fornerowania drobnych spręcików i na smyczki do skrzypców; drzewo *palisandrowe* koloru czerwono-szarego i fioletowego; drzewo *różowe*, koloru żółtawego, a z zapachem róż; ciemno czerwony *sandał*, używany u nas w proszku do zaprawiania politory na czerwono; drzewo *królewskie*, bardzo cenione dla swiej piękności, bo jest koloru brunatno-fioletowego z jasno-różowemi pręgami; drzewo *kampeszowe*, używane do farbowania na kolor niebieski i czarny i wiele, wiele innych. Zajęła mnie także fabryka mebli giętych, w której z wyparzanego drzewa wyrabiają krzesła, kanapki i t. p. Drzewo tu przyrządzone tak się wygina, że n. p. z jednego do dwóch cali grubego pręta robią razem poręcz i dwie tylne nogi u krzesła, z innego znów okrąg do siedzenia, które się trzcinką wyplata i t. p. Mebli takich bardzo wiele się rozchodzi, bo są zgrabne, lekkie i nadzwyczaj trwałe, a przytém wcale nie drogie.

Lecz gdzieżbym ja był w stanie opisać Wam wszystko, co tu można zobaczyć i czego się nauczyć! Co ważniejsze, to zapisuję w książeczce, tak jakieś mi to najdroższy ojciec polecił, więc gdy za wolą Bożą pówrócę, to przeglądając książeczkę,

będę Wam mógł niejedno opowiedzieć. Tu tylko tyle jeszcze napiszę, że dopiero teraz coraz jaśniej widzę, do czego to może doprowadzić praca i nauka. Gdy się przypatruję zarobnikom, rzemieślnikom, przemysłowcom, to dopiero się uczę, jak trzeba pracować i jak mało jeszcze u nas jest pracy w porównaniu z zachodnimi krajami.

Mój Boże! U nas oddają zwykle takich do rzemiosła, którzy się w szkole nie chcieli uczyć i nie okazywali chęci do pracy; a tutaj oddają do umyślnych szkół przemysłowych i handlowych tych młodzieńców, którzy mają być przyszłymi rękodzielnikami lub kupcami. Dlatego też, gdy ci młodzieńcy wezmą się potem do rękodziela lub handlu, prowadzą je roztropnie i pilnie, wynajdują ulepszenia w swym zawodzie i dochodzą do znacznych majątków. Mówiono mi tu o kilku takich, co mieli tylko dziesięć zdrowych palców, gdy swe rzemiosło rozpoczynali, a dzisiaj są krociovymi bogaczami. Praca w połączeniu z nauką przysporzyła im tyle dobytku, dlatego też szanują pracę i wysoko ją stawiają, jako jedno z dostojestw człowieka. U nas można jeszcze się spotkać z tak ograniczonymi ludźmi, którzy uważają pracę za nie-szczęście człowieka i pogardzają tymi, co pracą rąk swoich zarabiają na życie własne i rodziny. Jaki taki, przyszedłszy na stolarstwie, krawiectwie, uprawie roli lub na handlu do znaczniejszej gotowizny, puszy się już i chce się wydawać czémś

inném, niż jest w istocie, tak jak gdyby to pocziwy zarobek rolniczy, rzemieślniczy lub kupiecki hańbił godność człowieka i plamił jego sumienie. Gdy ten i ów dorobi się majątku, już przestaje się zajmować tą pocziwą pracą ręczną, która mu majątku przysporzyła, wstydzi się hebla, igły, czy łockia, bawi się w pana i myśli, że mu wolno gnuśnić w lenistwie, bo zarobiony majątek na wszystko wystarczy. Chciałbym ja takich próżniaków zaprowadzić do miast niemieckich; przekonaliby się, że tu krawiec, który swoim krociowym majątkiem mógłby dwunastu takich jak oni zakasować, siedzi w pracowni od rana do wieczora, bierze miarę i przykrawa suknie i wcale się tego nie wstydzi. Tak samo postępuje tu każdy rękodzielnik i kupiec, i nie ubliża to wcale ich godności, lecz owszem przysparza im szacunku u ludzi, bo uczciwa praca zasługuje na szacunek i podnosi godność człowieka. Widzę ja to na każdym kroku i teraz chlubię się, że jestem rzemieślnikiem, a nie próżniakiem i niedołęgą; coraz większą czuję ku Wam wdzięczność za to, żeście mnie do pracy przysposobili, i wołam z całego serca: „Cześć pracy i nauce!“

Tém piękném hasłem, które się stało przewodnikiem moich kroków i całego życia na przyszłość, kończę już ten list i całuję z synowską wdzięcznością Wasze ręce i nogi, moi najdrożsi Rodzice.

Kochający Was całym sercem syn JAN.

— Otóż to jest rozumny chłopiec! — zawołał z zapalem Niedzielski — Daj nam Boże takich jak najwięcej! A wam panie Tomaszu i pani Tomaszowa powinszować, że macie tak dobrego i rozsądnego syna.

— „*Bodaj się tacy na kamieniu rodzili!*“ — rzekł Górka, przytaczając swoim zwyczajem przysłowie.

— Mnie się szczególnie to podoba — odezwał się Zarębski — co Jaś pisze przy końcu listu o wielkiem znaczeniu i poszanowaniu pracy. Święta to jest prawda, która go w oczy uderzyła! O ileż bogatszym byłby nasz kraj, gdyby wszyscy chcieli pracować szczerze i gorliwie, nie tylko dlatego, ażeby z głodu nie zginąć, ale z szczerego rozmiłowania w pracy! W pracy leży szczęście i los każdego pojedynczego człowieka, w pracy leży też bogactwo całego narodu.

— Mógłbym ja o tém dużo opowiedzieć — przerwał kupiec — bo znałem takich, co nie mając nic więcej prócz dziesięciu zdrowych palców i dobrej głowy na karku, do znacznych przyszli dostatków!

— No, to opowiedzcie! — zawołał Górka.

— Prosimy! — dodali inni.

— Więc dobrze! — rzekł Niedzielski — Opowiem o pewnym przemysłowcu niemieckim, który się nazywał Henryk Krystyn Majer. Nie żyje on już, lecz nie długo przed śmiercią widziałem go

jeszcze sam w Hamburgu, gdym odbywał podróż kupiecką. Majer urodził się w małej mieścinie niemieckiej, gdzie ojciec jego był stolarzem. Wkrótce po urodzeniu się Henryka, przeniósł się stary Majer do Hamburga. Podróż ta utkwiała w pamięci młodego Majera; matka jego bowiem, nie wzięwszy ze sobą ani kawałka chleba, przewiązała torbę przez ramię syna, i poleciła mu, aby po drodze prosił w chłopskich chatach o posiłek. To polecenie matki, któremu łązy towarzyszyły, napełniło serce młodego chłopca tak rzewną boleścią, że zawróciwszy się w pół drogi do chaty, którą mu matka wskazała, szedł płacząc, dopóki nie napotkał starego pasterza, który mu dał kromkę chleba. Objawił już wtedy nieprzewyciężony wstręt do żebractwa, tak jakby przeczuwał w sobie wielką siłę do pracy, która jedynie z biedy może wydobyc.

Ojciec Henryka, człowiek dosyć w swoim zawodzie zdolny, miał początkowo jakie takie utrzymanie. Gdy jednak rodzina wzrastała a nadeszły niekorzystne dla handlu czasy, zapanowała straszliwa nędza w domu Majera. Mały Henryk zaprzął się do pracy od ósmego roku życia; pomagał ojcu przy wyrobie lasek i sprzedawał je potem pomniejszonym handlarzom. Gdy zaś ci handlarze coraz mniej za laski płacili, tak, że stary Majer nie mógł wyjść na swoje, zabrał się mały Henryk sam do handlu, i napełniwszy skrzynkę

laskami, wychodził z nią na miasto dla pozbycia swego wyrobu. Często się zdarzało, że matka, ojciec i reszta rodzeństwa z niecierpliwością czekali na malca, a raczej na uzbierane przezeń pieniądze, i obarczali go wyrzutami, jeżeli przyniósł za mało. Henryk ziąął nieraz okropnie, stojąc ze swoją skrzynką w pośród zimna na najludniejszych placach i ulicach, i wielu było takich, którzy nie z potrzeby, lecz z litości kupowali od niego laseczki.

Niebawem wybuchła wojna; nieprzyjaciel wpadł do miasta, i matka Majera musiała z trojgiem dzieci uciekać, zostawując ojca złożonego chorobą. W ciągu ucieczki o mało co nie utonął Henryk w nurtach rzeki Elby i z trudnością go tylko wyratowano. Biedna rodzina nie miała się gdzie przytulić, nareszcie osiadła w jakiejś wioszynie. Umieściwszy w dogodnym miejscu matkę i siostry, począł się młody Majer starać o zajęcie jakiegokolwiek. „A cóż ty umiesz?“ zapytał go włościanin, którego Majer prosił o robotę. Zapytanie to przejęło dreszczem młodego chłopca, bo właściwie niczego się dotąd nie był nauczył, ale czując zapał do pracy, odrzekł śmiało: „O, umiem wszystko!“ „Wszystko?“ — powtórzył z niedowierzaniem włościanin — a mógłbyś mi też łóżko pomalować machoniową farbą?“ „A jakże“ — zawołał Majer. „No, to dobrze, spróbuj“ — rzekł włościanin.

Majer, który nie miał ani wyobrażenia o jakimkolwiek malowaniu, zaczął najprzód od tego, że

wypytał się włościanina dokładnie, jakby sobie życzył mieć łóżko polakierowane, potem poszedł do miejscowego kramarza, i tego znowu tak zęcznie o to i owo wypytał, że już przecież nabiał co nieco wiadomości o przyrządzaniu farby i malowaniu, nareszcie udał się do aptekarza, i od tego tyle się umiał dowiedzieć, że mógł się na prawdę zabrać do roboty. Wrodzony spryt i pracowitość dokonali reszty; młody Majer pomalował łóżko tak dobrze, że włościanin zadowolony polecił go sąsiadom i wkrótce Majer mógł tyle zarobić, że zaopatrzył rodzinę w najniezbędniejsze środki do życia, a nawet mógł matce kupić kawy, którą bardzo lubiła. Największą zaś uciechę sprawiło jego poczciwemu sercu to, że mógł co nieco zaoszczędzonych pieniędzy posłać choremu ojcu.

Po powrocie do Hamburga rzucił się Majer z niepohamowanym zapałem do pracy; wydoskonalał się w stolarskim rzemiośle i pomagał ojcu przy wyrobie trzciniowych lasek. Pracował od 4 godziny rano do 12 w nocy, i handel szedł tak dobrze, że stary Majer mógł z zarobku obracać czasem kilka groszy na wino dla pokrzepienia sił nadwątłych. Pewnego razu, widząc, że dochody są coraz większe, zażądał Henryk od ojca miernego wynagrodzenia za swoją pracę, i oświadczył, że ma zamiar się ożenić. Ojciec zdziwiony i obruszony w pierwszej chwili niespodziewanym żądaniem, rzekł, że „takiego osła można mieć za darmo.“ Odmowa ta ubodła

młodego Majera; uniósł się także i opuścił warsztat ojcowski. Ufając własnym siłom, bo poznał już w biedzie, że człowiek, gdy ma szczerą chęć, może sam sobie dopomódz, poszedł Henryk na robotnika do fabryki, gdzie z *fiszbinu*, czyli z rogu wielorybiego wyrabiano laski i inne przedmioty. Lecz niezadługo fabryka została zamkniętą, więc Majer rozpoczął robotę na własną rękę. Narobiwszy dość lasek, wyruszył z niemi pieszo na jarmark do Lipska, i tam tak dobrze zbył swój towar, że mógł warsztat powiększyć. Było to w roku 1817. Majer prowadził zawsze bardzo porządnie rachunki, i z tych okazało się, że w r. 1817 wynosił cały jego majątek zaledwie dwieście talarów. Od tego czasu ciągle wzrastał ten majątek, a z majątkiem i warsztat rozszerzał się coraz bardziej. Oprócz wyrobu lasek prowadził zresztą Majer handel mahoniowém drzewem. W 18 lat później wszedł do spółki z Majerem zięć jego. Wtedy było już w warsztacie 166 robotników, gdy zaś Majer w roku 1848 t. j. po trzydziestu latach niezmordowanej pracy umarł, liczyła fabryka około 700 robotników a spuścizna pracowitego Majera wynosiła tysiąc razy więcej niż owe 200 talarów, któremi rozpoczął.

Wspominałem wam, że widział na własne oczy Majera. Był to człowiek łagodny i przyjacielski, dobry ojciec dla rodziny i ojciec dla swych robotników. W warsztacie założył był kasę dla chorych robotników i dla wdów i sierót po zmar-

łych. Do śmierci Majera ubierało się w tej kasie 120000 talarów, które były własnością robotników. Zachęcał on też nietylko do pracy lecz i do nauki, i sam starał się o to troskliwie, ażeby własne wiadomości naukowe pomnażać. Po zgonie tego człowieka zacnego i pracowitego, nieutulony żal ogarnął jego przyjaciół, którzy tém swoją wdzięczność i przyjaźń okazali, że mu wystawili piękny nagrobek.

Gdy Niedzielski skończył opowiadanie, zawołał Górka:

— Podoba mi się ten Majer! To był w istocie dzielny człowiek. Ufał swoim dłoniom, nie uciekał od pracy i wyszedł na pożytecznego męża. Ja zawsze powtarzam swoje: *„Przemysł i praca, ludzi zbogaca.”*

— Żaden chléb nie jest tak smaczny, jak zarobiony — rzekł Tomasz — Wielkie dziedzictwa mogą się przejeść, mogą rzucić na pastwę zmar-twień i ńędzy, lecz przyzwyczajenie do pracy nie zawiedzie; zawsze da sposobność zarobienia chleba, a jak taki chléb smakuje i jak jest zdrowym, tego próżniak nawet się nie domyśla.

— A nie ma już większego nieszczęścia jak to, gdy człowiek, zamiast się spuścić na pracę rąk swoich, liczy na traf szczęśliwy! — zawołał kupiec — Jakąż to straszną chorobą, jest np. stawianie na loteryę. Biedny wyrobnik odejmie od ust żonie i dzieciom i trwoni ostatni grosz na stawkę loteryj-

ną. Myśli biędny szaleniec, że los musi go obsypać złotem, i zaniedbuje pracę rąk własnych, która jest rzeczywistą kopalnią złota. Czem więcej postawi, tém bardziej żałuje straconych pieniędzy, stawia też coraz więcej i coraz częściej, ażeby odbić stratę, i ani się postrzeże jak wpada w przepaść nędzy. Głodzi siebie i rodzinę, marznie w nieopalonym zakącie, a przecież znajdzie grosz na loteryę; pracuje coraz niechętniej, coraz gorzej i coraz mniej, bo go zaślepia nadzieja bogactw, jakimi ma go obsypać loterya. Mija tydzień po tygodniu, rok po roku, cały zarobek pożarła loterya jak smok nienasycony i nic nie wróciła; robotnik schudł, wynędzniał, martwi się i z rozpaczy zagląda do kieliszka. I wtedy róbcie już nad nim krzyżyk! Schorowany, zginie gdzieś w ostatniej nędzy, puściwszy żonę i dzieci na żeby, zabierze z sobą do grobu pogardę ludzi i złorzeczenia dlatego tylko, że nie ufał pracy i nie przykładał rąk do niej, lecz myślał, iż go szczęśliwe numera uczynią bogaczem i dozwolą próżnować!

— Aj, tożbym ja powiedział kazanie takim, co zamiast pracować czekają, żeby im los rzucił worek dukatów! — zawołał żywo Górka — Nauczyłbym ja ich sztuki robienia złota, i tajemnicy, jak to można mieć zawsze dwa centy w kieszeni!

— No, jakażto recepta do robienia złota? — zapytał z uśmiechem Zarebski — może i nam wyjawicie ten sekret.

— Nie, wam téj recepty nie potrzeba — rzekł Górka — ale wszystkim próżniakom, rozrzutnikom, żarłokom i pijakom, graczom i loteryjnikom takbym powiedział:

Chcecie być bogaci i szczęśliwi, a marnujecie czas, siły i pieniądze. Widać z tego, że nie wiecie jakim to sposobem można robić złoto i mieć zawsze dwa centy w kieszeni. Chcecie się téj sztuki nauczyć? No, to posłuchajcie! Najprzód powinniście o tém pamiętać, że czas jest rzeczą bardzo drogą, i że ani jednej minuty nie godzi się zmarnować. Dziś jesteś zdrów i silny, a jutro możesz leżeć na marach, czyż więc nie należy ci z każdej chwili korzystać? Spójrzycie na zegar:

Dobry zegar, bo ostrzega,

Że czas szybko nam ubiega.

Minuta płynie za minutą, z minut tworzą się godziny, z godzin dnie, a z dni miesiące i lata.

Z nitki płótna się uprzedą,

Z minut, godzin lata będą.

Jeżeli, będąc zdrowym i młodym oddasz się brzydkiemu lenistwu, i z dnia na dzień będziesz odkładał pracę, cóż się stanie wtedy, gdy nadejdzie starość i towarzyszące jój choroby? Zastaną cię w biedzie, boś drogi czas młodości zmarnował, rzuca cię na barłóg nędzy, do której wiedzie lenistwo. Jęcząc na barłogu poznasz dopiero wielką wartość czasu, będziesz żałował zmarnowanej młodości, lecz już zapóźno.

„Kiedy czas uciekł, tyś się z nim policzył;
Wcześniej zrobić rachunek jabym tobie życzył.“

Pomyśl, że czas jest jako kuźnia, w której dość przestrono i wygodnie, aby kuć złoto na lata bezwładnej starości i wypoczynku. Pomyśl, że czas nigdy nie wraca; dobrze spędzony przysparza dobytku i błogosławieństwa — zmarnowany na hulatykach i próżniactwie, zabije cię na zdrowiu i na duszy.

„Nieraz czas trwonisz, kupiłbyś go potem,
Ale już przyjacielu nie opłacisz złotem.“

Pamiętaj powtórę, ażeby poczciwość i praca były twymi nieodstępными towarzyszami. Zapomnij raczej o żołądku, niż o pracy, trzymaj się przysłowia: „Co masz jutro zrobić, zrób dziś; co masz dziś zjeść, schowaj na jutro.“ Wstawaj do pracy o świcie i powtarzaj sobie:

„Kto spi długo, będzie zawsze sługą;
Kto wstaje zrana, wyjdzie na pana.“

Pracuj co dzień dopóty, dopóki siły starczą, i nie myśl, że zarobisz nad potrzebę, bo to co zostanie po opędzeniu potrzeb przyda się na rozszerzenie gospodarstwa czy warsztatu, na czas choroby i starości, nareszcie jako spuścizna dla dzieci, które kochasz.

„Pilnie pracuj, pilnij chatki,
Składaj zwolna grosz do szmatki.“

Przypatrz się, że i wiewiórka składa zapasy na zimę, trzymając się przysłowia: *Kto pracuje, ten ma*; pszczoły napełniają w lecie plastery miodem,

aby się miały czém w zimie wyżywić. *Pszczołka powiada, ten ma, kto składa.* Jeżeli więc zwierzęta pracują więcej, niż im na razie do wyżywienia potrzeba, jakżeby człowiek miał być od nich gorszy? *Kto za często odpoczywa, to kieszeni nie nadziewa.*

Myślisz, że grą, loteryą zdołasz uniknąć pracy i staniesz się bogaczem? O, mylisz się bardzo! Choćbyś i wygrał, osłepi cię złoto, zrobi cię coraz chciwszym, a nie znajdując rozrywki w pożytecznej pracy, będziesz grał coraz więcej i z wiatrem pójdzie wygrana.

*„Co zarobisz, to się trzyma,
A co wygrasz, fu! już niema!”*

Gracz, próżniak, marnotrawca nie czują szczęścia, nie mają snu spokojnego, nic im nie smakuje, uśmiech tylko rzadko pojawia się na ich ustach, zgryzoty sumienia chmurzą czoło i oczy. Nie wiedzą, że w pracy jest najskuteczniejsze lekarstwo przeciw smutkom i zgryzotom, że wróciłyby się nie tylko uśmiech i swoboda, lecz wróciłyby się i te straty, do których ich gra lub marnotrawstwo przywiodły. Weźcie się do pracy, a zobaczycie, że *„praca z ochotą, przerabia słomę w złoto.”*

A więc czas i poczciwa praca są dwoma sekretami do robienia złota, lecz jest jeszcze i trzeci sekret, który się nazywa: oszczędność. Za pomocą tego sekretu możesz mieć zawsze dwa centy w kieszeni, a wiesz jak? Wydawaj codzien o dwa centy

mniej, niż zarobisz. Czyniąc tak, zobaczysz wnet jak chuda kieszeń zacznie się wzdymać i nigdy na czczość żołądka nie będzie narzekać. Gdy ci się zachce tego i owego i zacznie kusić, aby wydać oszczędzone dwa centy, powiedz sobie: *Zgadź się gębo z mieszkciem!* i zapomnij o pokusie. Najłatwiej bowiem wydać grosz oszczędzony, lecz trudniej go zebrać. *„Lepiej szczenić gotowego, niż szukać nowego.“* Nauczysz się w ten sposób mierności w jadle, napoju i we wszystkich potrzebach, i będziesz szczęśliwy, bo tylko przy mierności może człowiek użyć szczęścia na tej ziemi. Nauczysz się także liczyć, i będziesz umiał rządzić się gospodarzyć, bo gospodarstwo bez rachunku, to tak jak wóz o trzech kołach: ledwie się wlecze i łatwo gdzie w rowie ugrzęźnie. *„Kto się z grosza nie liczy, to go bięda wyćwiczy.“* Rachuj zatem zarobek i wydatki, oszczędzaj co dzień choć dwa centy, pamiętaj o jutrze, a niczego ci nie zabraknie, będzie koło ciebie czysto i schludnie i powiedzą o tobie, żeś porządny. *„Kto o jutrze pamięta, znajdzie suknie od święta.“* Nie myśl jednak, że jak dużo naoszczędzasz, to ci już będzie wolno opuścić ręce, zapomnieć o pracy i rachunku, bo i największe dostatki roztrwania próżniactwo i bezrzęd.

*„Miej złota beczkę, lecz próżnuj mospanie,
Złoto uleci, a bięda zostanie.“*

Nie myśl także, że nie warto uganiać się za drobnym zarobkiem. Wszystkie bogactwa z drobnych groszy powstały, i u oszczędnego a liczącego się człowieka, grosz także jest w cenie. „Kto o grosz nie stoi, ten sam grosza nie wart“ mówi dawne przysłowie. *Ziarnko do ziarnka, będzie pełna miarka.*

— I otóż macie przepis jak robić złoto i mieć zawsze dwa centy w kieszeni! W krótkości tak brzmi ten przepis: Szanuj czas, pracuj poczciwie, oszczędzaj i licz, a będziesz majątny i szczęśliwy! Kto nie wierzy, niech spróbuje, niech choć trzy lata tego przepisu słucha, a sam się przekonana i zasmakuje w sposobie życia, który cechuje prawych ludzi. —

Całą tę naukę wypowiedział Górka z takim zapałem, że aż spotniał i zachrypnął. Tomasz, nauczyciel i kupiec dziwili się tylko jego pięknej wymowie i tej wielkiej ilości przysłów i wierszyków, któremi sypał jak z rękawa.

— Doprawdy, żeście złote słowa wyrzekli! — zawołał Niedzielski.

-- Lecz ja — odezwał się Zarębski — dodałbym do waszego przepisu jeszcze jedno słówko.

— A to jakie? — zapytał Górka ciekawie.

— Dodałbym słówko: „ucz się!“ bo nauka przy pracy może dopiero wynieść człowieka wysoko. Jeszcze dziś opowiedziałbym wam ciekawą powieść o jednym Polaku, którego nauka z pod

strzechy wywiodła i wielką sławą okryła, lecz wszyscy nie mamy czasu. Przyjdźcie więc do mnie w niedzielę, a przeczytamy sobie tę piękną powieść z książki.

Tomasz, Górka i kupiec chętnie na to przystali i rozeszli się dawszy Zarebskiemu przyrzeczenie, że go w niedzielę wieczorem odwiedzą.

Kłemenś Janicki

W Wiedniu na rynku był jakiś
 uczyli wypisać jakieś wzmianki
 pismo i tworzyć z nich się
 kancelary, starostowie i innych
 Ax się stał ośmielnym jak
 łachach i z nich jak w
 E) dobrze to się było
 Polska była wielka i
 nie w Krakowie siedział
 Nymant stary; pismo
 a lub prosił miał
 Wpewoń z Wiednia, Piotr
 zwinu, to pan wicki i
 patrzył na jego dostatek
 I dla kogoś on to
 nialny?
 A) ob godziwy jak
 Kuchnik i kozak

ROZDZIAŁ XVI.

Powieść, którą nauczyciel odczytał następnej niedzieli.

Klemens Janicki.

W Wiśniczu na zamku gości huk! Snać jakąś ucztę wyprawia jaśnie wielmożny Wojewoda, bo huczno i dworno zjechali się panowie senatory, kasztelany, starostowie i innych magnatów wiele! Aż się trzęsą wiśnickiego zamku mury, a i w czeladnich izbach ludno i rojno jak w mrowisku.

Ej dobrze to się było bawić w onych czasach! Polska była wielka, potężna i szczęśliwa; na tronie w Krakowie siedział król mądry i wspaniały, Zygmunt Stary; panowie opływali w dostatkach, a lud prosty miał chleba po uszy.

Wojewoda z Wiśnicza, Piotr Kmita po nazwisku, to pan wielki i możny; aż strach zbierał patrząc na jego dostatki i bogactwa wszelakie. I dla kogoż on to wyprawia ten bal suty i wspaniały?

Aj, od godziny już łamią sobie głowy i Grześ kuchcik i kozak Sołowij i pajuk Walenty.

— Wiem już na co to wszystko — rzece Grześ — to pewnie Arcybiskup przyjedzie ze Lwowa.

— Prędjéj pan kasztelan krakowski! — mruknie Sołowij.

A stary *pajuk*, po terażniejszymu lokaj, pokiwał głową i machnął ręką.

— Nic nie wiecie obadwaj — szepnie — nie dla arcybiskupa ani dla kasztelana ten bał w naszym dworze. Mnie się zdaje, że pan wojewoda spodziewa się dziś samego króla jegomości.

Aż też na to wysunął się z dworu pan Szczeczuga, dworzanin pana wojewody.

— Nad czém tam radzicie? — zapytał.

— Ot, panie — odpowie kozak — zgadujemy, dla kogo to pan wojewoda taką huczną wyprawia zabawę?

Pan Szczeczuga uśmiechnął się i wstrząsł głową.

— Nie zgadnie z was ani jeden — rzekł. — Pan Wojewoda i wszyscy tu zebrani panowie spodziewają się dziś sławnego gościa; Klemens Janicki ma dziś powrócić z włoskich krajów.

— Klemens Janicki, Klemens Janicki — mruknął pod nosem kozak Sołowij. — Jeździłem ja z panem dwa razy na sejm do Krakowa i poznałem wszystkich panów, ale żadnego Klemensa Janickiego nie widziałem.

— Bo Klemens Janicki nie pan żaden — powie Szczeczuga — lecz syn prostego chłopca ze wsi Januszy, co leży koło miasteczka Znina.

— Syn prostego chłopca! — krzyknął Grzesz zdziwiony.

— A człowiek wielce uczony — dodał pan Szczeczuga — układa takie cudne śpiewki po łacinie, że człeka chwyta za serce jakby śpiew słowika albo skowronka na wiosnę.

— A zkądże on się nauczył po łacinie? — zapytał kozak Sołowij.

Podparł się pan Szczeczuga i odwie się na to:

— Trzeba wam wiedzieć, że ten Klemens czyli Klimek Janicki paść bydło za młodu i raz siedział sobie przy drodze, kiedy w sutój kolasie nadjechał ksiądz arcybiskup z Gniezna. Podobał mu się na oko chłopczyzna, bo był ładny jak aniołek z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma. Ksiądz arcybiskup kazał stanąć kolasie i pytał chłopczyne co za jeden i jak się nazywa? — Dowiedziawszy się zaś, że ma ojca kmiecia we wsi, szle zaraz pajuka do starego Janickiego i rzeknie do niego: „Ej, człowieku, powierz mi twego syna, ja go wyprowadzę na człowieka“.

Ucieszył się wiecie Janicki jak każdy ojciec, co pragnie szczęścia swego dziecka; rad przystaje na wszystko, a ksiądz arcybiskup bierze z sobą chłopczyne i daje go zaraz do szkół w Krakowie. Zaczął się uczyć Klimek, wnet prześcignął w ro-

zumie najpierwszych, i niebawem zaczął już układać te cudowne śpiewki łacińskie, co to aż sam król je czyta i raduje się nimi niezmiernie. I już wtedy zaraz na wielką osobę wyszedł młody Klemens, ale wtém dotknęło go nieszczęście. Jego opiekun i dobrodziej ksiądz arcybiskup rozstał się z tym światem, a Klemens miał zostać bez pomocy na świecie, i zabierał się wracać napowrót do wieśniaczęj zagrody. Ale któż to w Polsce nie znajdzie pomocy i opieki, kto jeno na nią zasięguje? Zaledwie ksiądz arcybiskup oczy zamknął, a już kilku panów kłóci się z sobą, bo każdy chce na swój koszt brać Janickiego. Otrzymał nareszcie nasz pan wojewoda pierwszeństwo, i on nadal opiekował się Klemensem.

Tymczasem Klemens tak chciwie brał się do nauki, że już niebawem nie było mu się czego uczyć w kraju. Więc pan wojewoda nie żałując pieniędzy, wyprawił Klemensa do obcych krajów, szczególnie do Włoch, gdzie było wtedy najwięcej ludzi uczonych. Pojechał Janicki, ale po kilku latach i tam już uczeni zapominali przy nim języka, a już co do tych śpiewek, to mu nikt nie mógł sprostać. Dowiedziały się o nim zagraniczne kraje, dowiedział się sam ojciec święty w Rzymie, więc też kazał ze złota zrobić koronę, i w mieście Padwie ukoronować Klemensa Janickiego, jako najpierwszego na wszystkie kraje *poetę*, co układa śpiewki i pisze książki.

— Więc syna prostego chłopca polskiego kazał sam papież koronować! — zawołał Grzesz kuchcik.

— Tak, tak chłopcze — rzecze pan Szczeczuga. — Ukoronowany w Padwie, wraca do swęj ojczyzny milęj i dziś jeszcze ma przybyć do dworu. I dlatego to zebrali się panowie u naszego wojewody, aby tak sławnego człowieka powitać na swojej ziemi. —

Co tylko skończył Szczeczuga to opowiadanie, aż tu zadudniła kolasa i z hukiem i stukiem zajechała przed zamek.

— Otóż i on! — zawołał pan Szczeczuga.

Patrzą wszyscy, a toćto młode paniątko, takie ładne i układne, jakby nie widziało nigdy nic na oczy, jeno same pańskie pałace. I któżby to poznał, że to ten sam Klimek, co przed kilkunastu laty pasł bydło w Januszy koło Znina.

Staje kolasa przed gankiem, Klemens wysiada na ziemię, aż tu otwierają się drzwi pałacowe i najprzód sunie z otwartymi ramionami jaśnie wielmożny wojewoda, a za nim panów i pań co niemiarą. A wszyscy poważni i wspaniali, i wszyscy w złocie i aksamitach, pierwsi po królu senatory, wojewody i kasztelany.

Kłania się pokornie Janicki, a oni wszyscy wołają:

— Witaj nam ukoronowany, witaj Klemensie Janicki!

I witają go, ściskają, całują i prowadzą naprzód w pokoje i na pierwszym sadzają miejscu. I rozpoczęła się zaraz wesoła zabawa, zagrała muzyka od ucha i wino płynęło jak woda, a wszystko to na cześć naszego Klemensa. Jemu się aż lzy leją po ładnej twarzy, tak wszystkim czule dziękuje. Długo w noc ciągnęła się zabawa, a na całym zamku i w pańskich komnatach i czeladnich izbach o nikim mowa, tylko o naszym Janickim Klemensie.

Na drugi dzień ma na nowo zacząć się uczta, ale załedwo wstał z łóżka pan wojewoda, już Klemens Janicki staje przed jego obliczem.

— A cóż tam ci tak pilnego? — rzecze pan wojewoda.

— Przyszedłem prosić cię, jaśnie wielmożny panie, byś mi pozwolił odjechać na parę dni.

— Co, odjechać? — woła wojewoda zdziwiony, — czy ci się to nie podobało u mnie?

— O nie, miłościwy panie — odpowiada Klemens — miło mi tu siedzieć, ale dwanaście lat już nie byłem we wsi rodzinnej i nie widziałem rodziców starych. Przebacz więc wojewodo, że tak predko się oddalam, i pozwól mi odjechać dziś zaraz.

A na to wojewoda:

— Bóg świadkiem, że mi bardzo markotno puścić cię tak predko od siebie, ale trudno ci

odmówić, kiedy w tak pocziwój jedziesz myśli.
Zawszeć to ojciec i matka starsi od obcych ludzi.

Pozwolił tedy na wyjazd pan wojewoda i swoje kolasę dał mu do drogi. Wyszli panowie pożegnać Klemensa, a jeden pyta, gdzie mieszkają jego rodzice? Klemens, nie wstydząc się wcale swego chłopskiego pochodzenia, temi ślicznemi wierszami odpowiedział:

Za Znińskiem bagnem jest wieś przejezdna,
Co się Janusza na inię zowie;
Tamtędy niegdys polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna;
I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,
Orze pocziwie grunt pradziadowski!

Wyjechał tedy w wspaniałój kolasie i w sukniach bogatych do tój lubój wsi rodzinnej, gdzie tyle drogich sercu pozostało pamiątek. Jak drzewo w ziemię puszcza korzenie i choć zrąbane z wierzchu krzewi się zawsze pod spodem, tak i pamiątki z lat dziecinnych i z miejsc rodzinnych żyją a korzenia się w sercu człowieka, choćby z wierzchu Bóg wie jaka zaszła w nim zmiana.

Szybko toczy się pańska kolasa po drodze, ale dla Klemensa wszystko to za leniwo; onby na skrzydlach orlich rad przelecieć przez góry i lasy i stanąć w ojczystym domu i uściskać starych rodziców.

A cóż to widać tam w głębi między zielonemi sadami? Skąd ten dym niebieski pnie się

do góry? Ach, to już Janusza! Janusza, ta wieś ukochana. Klemensowi serce bije, że mało pierś nie pęknie; on już zna tu każdą ścieżkę, przypomina sobie każde drzewo, ba ledwie nie każdą trawkę zieloną.

A tam pode wsią stoi krzyż na wzgórzu, a pod krzyżem w cieniu jakaś siwa i zgarbiona siedzi staruszka. Zwróciła głowę ku gościńcowi i niby patrzy przed siebie, ale nic nie widzi. Słońce ognicie płonie na niebie, jasność dzienna otacza ziemię, ale nad biedną staruszką noc wiekuista. Od dwóch lat już zapadła jej na oczy ciemna zasłona i zakryła cały świat boży; ona ślepa nieboga. Wsparła głowę na krzyżu i siedzi smutna i nieporuszona, a wtém zbliża się do niej jakaś młoda kobiéta i rzeknie z dala:

— Ej, matko Janicka, cóż tu znowu tak siedzicie samotnie?

Ciemna staruszka westchnęła i zwróciła głowę.

— To ty Zośko? — rzekła — wyglądam mego Klimka, jak zawsze, jak co dzień!

— Cóż — odpowiedziała Zośka — kiedy wasz Klimek jak poszedł na te nauki, tak już nie wraca i nie wraca.

— Nie wraca — jęknęła staruszka — ach prawda! Jam sobie już oczy wypatrzyła, a stary ojciec legł w grobie i nie doczekał się jego powrotu. Ach, już podobno i ja pójdę za nim, a nie usłyszę więcej głosu jedyne go syna. Co dzień cho-

dzę pod ten krzyż i czekam czy nie nadejdzie, i czekam nadaremno.

Tu tak boleśnie jęknęła stara, że aż się serce krajało.

— Ej, nie płaczcie matko — mówi Zośka i łązy ociera z oczu — drugą noc już śni mi się wasz Klimek; ej, czy też on nie jest gdzie w drodze!

Staruszka krzyknęła, bo właśnie zaturkotało coś na gościńcu.

— Zośko, Zośko, czy to nie on?! — zawołała.

Spojrzała Zośka na gościnię i głową kiwa.

— Ej, gdzie tam, to jakaś kolasa wspaniała, wiezie jakiegoś wojewodę albo kasztelana. —

Tymczasem kolasa zbliża się a zbliża, aż nareszcie przystanąła, i młody pan w bogatych szatach wystawił głowę i zapytał:

— Czy wy z Januszy niewiasty?

Nie poznała twarzy i nie poznała głosu Zośka, ale serce ślepej matki zabiło jak młotem. Jak strzała zerwała się z pod krzyża i z całej piersi wykrzyknęła:

— Klimku, synu mój jedyny!

Wyskoczył młody pan z pysznej kolasy i plackiem rzuca się do nóg starej kobiecie i całuje jej kolana i jak dziecko zalewa się łzami.

— Matko moja! — woła — to ja, ja, twój Klimek!

I radość wielka i boleść sroga ścisnęły serce staruszki; mogła nareszcie przycisnąć syna

do serca, ale zarazem musiała mu powiedzieć, że ojciec i brat już nie żyją, a ona sama może go widzieć jeno sercem i duszą, ale nie oczyma.

Zapłakana z czułości Zośka pobiegła co tchu do wsi, i wnet ukazała się cała gromada, młodzi i starzy, baby i dzieci, wszyscy biegną przypatrywać się Klemensowi, co w takiej pysznej przyjechał karecie i miał suknie tak bogate. I przybyli na miejsce, a jeszcze stara matka trzyma syna w objęciach, a on klęczy u jej kolan.

I cóż za radość była we wsi całej! Klemens ścisnął się i całował ze wszystkimi znajomymi, a jak przedtém w bogatym dworze magnackim, tak teraz pod ubogimi strzechami przyjmował serdeczną gościnę.

Miesiące cały zabawił Klemens na wsi i jako dobry syn wystawił najprzód krzyż na grobie ojca i ciemną matkę sprowadził do dworu ładnego, i o wszelkie potrzebne postarał się dla niej wygody. Potém dopiero pojechał do Krakowa, gdzie młody król się zenił, a Klemens ułożył na tę uroczystość tak piękne wiersze łacińskie, że wszystkich niemi porywał za serca.

Ale niestety, nie długo miał się już cieszyć tym światem. Podobało się Bogu w kwiecie wieku powołać go do siebie. Zapadł nagle na ciężką chorobę Janicki, i na śmiertelne powalił się łożem. Nadarmo szła król własnych swoich doktorów; nie podźwignie się już biedny Klemens. Już opuściły

go siły, i śmierć okrutna przysunęła się do jego
łoża, a on tak się skarżył:

„Ginać tak prędko, a jakżem żądał
Ciebie, ojczyzno, wystawiać czule!

Twe stare dzieje, twe wielkie króle

I sławnych mężów tych, com oglądał.“

Nareszcie zamknął powieki i zacisnął usta.

— Ojczyzno moja kochana! — szepnął i sko-
nał na wieki.

I płacz i smutek wielki był w Krakowie. Pła-
kała Polska cała, a na pogrzeb wspaniały wyrunęło
wszystko co żyło w Krakowie.

Tak to żył i umarł Klemens Janicki, co z pod
słomianej wyszedł strzechy, a rozumem i pieśniami
swemi zasłynął na Polskę, ba na świat cały.
Umarło jego ciało, ale nie umrze nigdy pamięć i
cześć dla niego, a jego śpiewki cudne nie zaginą
nigdy, jak nigdy nie zaginie polska mowa i polska
sława!

Stara, ślepa matka przeżyła syna, ale do
samego końca taili jój ludzie jego śmierć przed-
wczesną. Biedna staruszka, rozstając się z świa-
tem, błogosławiła jeszcze nieobecnemu synowi,
który nie potrzebował już tego błogosławieństwa,
bo przed nią jeszcze stanął przed tronem Boga
Najwyższego.

ROZDZIAŁ XVII.

Odwiedziny w leśniczówce. Rozmowa o pszczołach i pszczelnictwie i innych ciekawych rzeczach.

Gdy Stefan z Marcysią do swęj nowęj siedziby w lesie wyjeżdżali, przyrzekli im nasi znajomi, że ich odwiedzą. Wypadało więc przyrzeczenia dotrzymać i wybrać się na leśniczówkę. Umówiono się na dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny; wszyscy nasi znajomi zeszli się w kościele na mszy porannej, i zaraz po mszy wyruszyli w drogę, rozumie się że pieszo, bo odległość była niewielka a dzień pogodny i niezbyt gorący. Przodem biegła rozradowana Teklusia, za nią szły w rozmowie Tomaszowa i siostra nauczyciela, a za niemi Tomasz, Górka, Zarębski i Niedzielski. Wesolaż to była podróż, a raczej przechadzka; krótką się wszystkim wydała, bo wśród przyjemnej upłynęła rozmowy.

Droga szła najprzód pomiędzy łąny, na których już przeważna część zboża leżała pożęta w półkopakach; tu i owdzie czekały jeszcze na sierp lub

kosę późne owsy, hreczki i groch, lecz wiele snopów było już do gumna zwiezionych, a pilny rolnik przygotowywał na świeżo rolę pod zimowy zasiew. Dalej wiodła drogą przez piękny, wielki bór szpilkowy, podszyty bujną leszczyną i brzeziną. Inne części tych wielkich lasów były dębowe i grabowe, a zajmowały obszar kilku tysięcy morgów. Znajomi nasi szli wśród przyjemnego chłodu leśnego, woni rozlicznych ziół, brzęczenia owadów i świegotu ptasząt. Teklusia zbiegła tu i owdzie z drogi, to aby uszczknąć jaki ładny kwiatek to znów dojrziałą ożyne lub spóźnioną poziomkę. Wtém odezwało się szczekanie psa, ulica leśna rozstąpiła się i ukazała piękny ogród i biały domek w pośród wieńca wielkich, cienistych lip. Była to leśniczówka.

Marcysia, odgoniwszy ujadającego psa, wybiegła na spotkanie miłych gości; tuż za nią wyszedł Stefan z ogrodu i przyjmowali naszych znajomych z serdecznością, na jaką ich tylko stać było. Po przywitaniach i chwile odpoczynku na ławeczkach pod cienistemi lipami, ruszyli wszyscy oglądać całe gospodarstwo Stefana. Marcysia, mała gosposia tego cichego zakątka, biegła przodem, wzięwszy Teklusię za rękę, pokazywała jéj i tłumaczyła wszystko z swobodnym uśmiechem na ustach. Zupełnie inaczej wyglądała nasza Marcysia! Runiane liczko ożywione było ciągłą wesołością, w oczach świeciło szczęście. I jakże nie miała być szczę-

śliwa, kiedy doczekała się nareszcie drogiego ojca i jako dobra córka mogła mu teraz słodzić przebyte cierpienia, starając się o porządek w domu i całym gospodarstwie.

I rzeczywiście, pomimo że tylko jedna dziewczka była do pomocy, w całym obejściu panował wzorowy ład i schludność. Mała obórka, gdzie prócz krowy, otrzymanej w darze od Górki, stała już i druga, którą zarząd dóbr dał Stefanowi na wypłatę, mieściła także dobrego skarbowego konika, mierzynka, którego Stefan używał objeżdżając las, czy to wierzchem, czy zaprząwszy go do małego wózka. Ogród był już przez dawnego leśniczego w dobrym stanie utrzymywany, więc i teraz znalazło się w nim kilkanaście drzew większych, obladowanych owocem, piękne grzędy warzywa, część zaś była uprawioną pod groch, który właśnie co zżęto, i pod kartofle. W jednym rogu ogrodu, pod cieniem rozłożystej lipy, w obwódce agrestowych i pożyczkowych krzaków, w miejscu otwartem ku wschodowi kryło się sześć pni pszczół, t. j. cztery zwykłe, okrągłe pnie i dwa piękne ule Dzierżona. Pszczoły uwijały się pracowicie na około, jedne przynosiły plon w pyłku i miodzie do ula, inne poń wylatywały. Małą tę pasiekę odziedziczył Stefan także po dawnym leśniczym, zrobiwszy z nim układ na spłatę. Gdy nasi znajomi zatrzymali się w tém miejscu, przypatrując się pracy pszczół, zapytał się Tomasz Stefana:

— A gdzie są te dwa nowe ule Dzierżona, które wam przed miesiącem zrobiłem?

— Są one w drugiej mojej pasiece — rzekł z uśmiechem Stefan.

— Jakto, więc macie jeszcze i drugą pasiekę? — zapytał Górka, rozglądając się na około.

— Mam, ale tu jej nie znajdziecie — odparł Stefan — jest prawie o pół godziny ztąd, w obejściu naszego leśnego, głębiej w lesie. Jest tam cztery nowe pnie, t. j. te dwa dzierżony, które Tomasz tak pięknie zrobił, i dwa zwykłe okrągłe. Gdyby nie to, że wiosna była dość słotna i chłodna, a odziedziczone po moim poprzedniku pszczoły bardzo przez zimę osłabione, to miałbym teraz już większą pasiekę. Tak tylko cztery roje wyleciało i to bardzo późno; nie będzie więc jak trzy tygodnie, gdym je osadził.

— A dlaczegoż osadziliście je tak daleko? — zapytał Tomasz.

— Bo chcę z pszczolami wedle przepisu ks. Dzierżona postępować, a do dzielenia rojów, łączenia kilku i wzmacniania wedle jego wskazówek, niezbędnie jest potrzebna podwójna pasieka. Zresztą nie jest to tak daleko; objeżdżając lasy, mogę do méj drugiej pasieki prawie codzień zaglądać; leśny jest przytém człowiek dobry i uważny, sam będzie dawał pozór, a nie chcę od niego téj przysługi za darmo, i owszem, tak się

z nim umówiłem, że się będziem dzielić uzyskanym woskiem i miodem.

— Ale zaczyna być coś parno w powietrzu — zauważył nauczyciel, ocierając chustką pot z czoła. — Kto wie, czy nie będzie burzy?

— Bardzo być może — rzekł Stefan — bo i między pszczołami widzę jakiś niepokój. Nie odbiegają daleko i spieszą się jakoś z robotą. A tkliwe są bardzo na deszcz i wszelką wilgoć, i długo przedtém ją poczują. Zresztą, gdy wrócimy do domu, zobaczymy co nam powie *barometr*.

— Któż to taki ten barometr? — zapytała Teklusia półgłosem Marcysi — czy jaki wasz krewny?

Dosłyszał zapytania Stefan i śmiejąc się rzekł:

— Nie, moje dziecię, barometr nie jest żadną żyjącą osobą, lecz instrumentem, który wskazuje zmianę powietrza. Wrócimy teraz do domu, więc wam pokażę mój barometr.

Gdy całe grono, oglądawszy, co było do oglądania, weszło do domu, dotrzymał Stefan przyrzeczenia i ukazał im barometr, wiszący w cieniu, w oknie, zwróconém ku północy. Była to dość gruba, przeszło 30 cali wysoka rurka szklanna, u góry zasklepiiona, u dołu zagięta i rozszerzona w kształt małego kieliszka, napełniona żywem srebrem czyli *rtęcią* i przytwierdzona do politurowanej deszczulki, na której w górnej połowie znajdowała się tabliczka z linijkami i napisami.

— Kula ziemiska — mówił Stefan pokazawszy barometr — oblana jest naokoło *atmosferą*, tj. powietrzem, którym oddychamy i bez którego żyć byśmy nie mogli. W tém powietrzu zbiera się i unosi para wodna z rzek, jezior i mórz, w niém tworzą się chmury, deszcze, grady i śniegi, ono podlega tym wszystkiem zmianom, od których częstokroć w jednej chwili zawisł los naszej pracy rolnéj i naszych plonów. Wysokość atmosfery przenosi 10 mil, tj. rozlewa się ona ponad powierzchnią ziemi przeszło 10 razy wyżej niż najwyższe góry. Lecz nie we wszystkich warstwach jest powietrze takie, jak to, którym oddychamy; owszem, jest ono coraz rzadsze ku górze, tak, że już na wysokości dwóch mil od powierzchni ziemi ma być tak rzadkie, iżby niém ani człowiek ani żadne zwierzę nie mogło odychać i musiałoby giąć. Już na wysokich górach można czuć że powietrze jest rzadkie. Słabszym ludziom puszcza się krew nosem i uszami, gdy wyjdą na bardzo wysokie szczyty; tegoż samego doświadczyli śmiałkowie, którzy się wzbijali w balonach zanadto wysoko ku górze. Natura ludzka wymaga już tego, ażeby ciało pozostawało pod ciśnieniem ogromnéj warstwy powietrza i nie czuje wcale tego ciśnienia, choć jest bardzo znaczne. Barometr służy właśnie do tego, ażeby miarę owego ciśnienia ukazywać; a jak się to dzieje, zaraz wam wytłumaczę, jeżeli zechcecie posłuchać.

Ponieważ opowiadanie Stefana zajęło wszystkich, gdyż nie mieli dobrego wyobrażenia o barometrze, więc oświadczyli się z chęcią dalszego słuchania. Jakoż pousiadali sobie wygodnie, a Stefan tak dalej rzecz prowadził:

Każde miejsce na ziemi jest czemś zapełnione. Jeżeli nie jest zapełnione takim przedmiotem, czyli ciałem, które widzieć możemy, jak np. góra, kamień, drzewo, dom, woda, zwierzę, człowiek i t. p., tedy napełnia go powietrze lub inne gazy, których wprawdzie nie widzimy, ale czuć, lub w inny sposób o ich obecności przekonać się możemy. Jeżeli ciało jakieś ustąpi z jednego miejsca, wtedy to miejsce zapełnia się zaraz innem ciałem; jeśli np. ruszymy kamień, to miejsce, które on zajmował zapełni się powietrzem, a z tego miejsca, na które kamień przeniesiemy, ustąpi ilość powietrza téj samej objętości co kamień. Tém samym prawem wciska się woda do rury w pompie, z której powietrze sztucznie wypompujemy. Widzimy ztąd, że w naturze nie ma nigdzie próżni, lecz że wszędzie znajdzie się jakieś ciało, czyto stałe, czy płynne, czy gazowe. A przecież w téj rurce barometrowej, ponad słupkiem żywego srebra, nie ma powietrza i jest sztucznie utworzona próżnia. Fabrykant wlał do rurki żywe srebro, wygotował go w niej, żeby wszystko powietrze wypędzić, a gdy potem rurkę obrócił do góry dnem, tak jak tu jest przytwierdzona, spa-

dło srebro tylko cokolwiek i nie wyciekło już z rurki. Dlaczegoż się to tak stało? Dlaczego rtęć nie wyciekła z rurki, a jeżeli pozostała, dlaczegoż nie wypełnia całej rurki aż do góry?

Otóż przyczyną tego jest ciśnienie powietrza i wysokość atmosfery. Z jednej strony musiała rtęć zająć miejsce powietrza, więc nie wyciekła z rurki, a tu znów ciśnienie atmosfery nie może zrównoważyć słupka rtęci wyższego nad 28 cali, więc rtęć tylko do tej wysokości w rurce podchodzi, pozostawiając resztę rurki prózną. Wyobraźcie sobie, iżbyśmy mieli ważki, i na jednej szalce postawili słupek powietrza tej grubości co ta rurka, ale przechodzący 10 mil wysokością, tobyśmy na drugiej szalce musieli postawić słupek rtęci mierzący 28 cali, ażeby nam języczek ważki pokazał, że ciężary się zrównały. Jak widzicie, rurka barometru jest u dołu otwarta; tutaj więc ciśnienie powietrza na rtęć i utrzymuje w rurce jej słupek. Gdybyśmy sklepienie rurki u góry przedziurawili, wywierciwszy dziurkę choćby tak ciekłą jak włos, w oka mgnieniu wypłynęłaby rtęć na ziemię, gdyż powietrze, wcisnąwszy się do rurki, cisnęłoby na słupek rtęci z góry i wypchnęłoby go. Gdybyśmy chcieli słupem wody zrównoważyć ciśnienie powietrza, tobyśmy musieli użyć rury, mającej więcej niż 32 stóp długości, gdyż woda jest przeszło 13 razy lżejsza od żywego srebra, więc powietrze jest w stanie udźwignąć słup wody 13 razy wyż-

szy od tego słupka rtęci, tj. słup dochodzący do 16 łokci. Jak więc widzicie, powietrze, choć samo przez się tak lekkie, wywiera przecież znaczne ciśnienie z tego powodu, że ziemską warstwę powietrza bardzo jest wysoka. Gdy to ciśnienie obliczymy na powierzchnię człowieka średniego wzrostu i tuszy, to się przekonamy, że każdy człowiek dźwiga na sobie ciężar powietrza wynoszący 350 cetnarów. Że tego ciężaru nie czuje, rzecz bardzo prosta, gdyż ciśnienie powietrza jest jednym z warunków życia; tak jest już od stworzenia świata, a gdyby było inaczej, to ludzie nie mogliby wcale żyć na ziemi: krew wytrysnęłaby ze skóry i niemogłaby się w ciele utrzymać, nie będąc pod tak znacznym naciskiem powietrza.

Z tego com wam tu powiedział zrozumiecie łatwo, że barometru można używać do mierzenia wysokości gór. Im wyżej bowiem wzniesiemy się ku górze, tém mniejszy słup powietrza mamy już nad sobą, tém bardziej też będzie opadać słupek rtęci w barometrze. Mając dokładną podziałkę obok barometrowej rurki, możemy z łatwością mierzyć owo opadanie rtęci i przekonać się tém samym, o ile jaka góra wyższą jest od drugiej. Jakimbo innym sposobem możnaby mierzyć wysokość góry? Czy sznurem? Wtedy mierzylibyśmy długość spadzistości góry, nie zaś jęj pionową wysokość. Czy z wierzchołka góry kopać studnię aż do jęj stóp, i potem zmierzyć głębokość studni?

Tego nie byliby w stanie ludzie dokonać. Zbadawszy zaś barometrem odległość atmosfery od jej krańców aż do wierzchołka góry, dowiadują się z łatwością jaka jest odległość wierzchołka aż do tego punktu ziemi, w którym się utrzymują wody oceanów i mórz, tj. do tej stałej i niezmiennej powierzchni, na której trzymają się w równowadze i gdzie też barometr w znaney mierze się trzyma.

Lecz zapytacie mnie teraz, jakimże sposobem można się z barometru dowiedzieć, czy nastąpi zmiana w powietrzu i jaka? Odpowiem wam na to, że barometr nie jest takim niezawodnym prorokiem deszczów i pogody, jakby się niejednemu zdawało, lecz że zawsze, kto dobrze nań uważa, może mieć pewną skazówkę o zmianach powietrza, mianowicie o tych, które są w związku z rozmaitem ciśnieniem powietrza. Otóż liczne doświadczenia pouczają, że gdy ma być trwała pogoda i susza, podnosi się u nas słupek rtęci w barometrze najwyżej, gdy zaś mają nastać wielkie deszcze i burza, spada najniżej. Pochodzi to ztąd, że u nas bywa zwykle trwała pogoda wtedy, gdy w wyższych mianowicie warstwach powietrza panują wiatry północne i północno-wschodnie, burze zaś i deszcze wtedy się zdarzają, gdy nadejdą wiatry południowe i południowo-zachodnie. Powietrze płynące od północy lub od północnego wschodu jest zimne, a więc gęstsze i cięższe, cała atmosfera staje się zatem w skutek nich cięższa i rtęć wba-

rometrze podchodzi do góry; ponieważ zaś te wiatry są suche i nie mają w sobie wilgoci, więc niebo jest pogodne, nie ma pary wodnej, któraby się w powietrzu skropliła, a przeto nie ma i deszczów. Zupełnie na odwrót dzieje się, gdy nadejdą wiatry od południa i południowego zachodu. Przybywając do nas z krajów gorących, są te wiatry bardzo rozgrzane i przynoszą z sobą bardzo wiele pary wodnej, którą przesiąkły, lecąc ponad rozgrzanymi oceanami. Ponieważ powietrze w tych wiatrach jest bardzo ciepłe, a zatem rzadsze i lżejsze, przeto ciśnienie całej atmosfery staje się mniejsze i słupek rtęci w barometrze opada; ponieważ zaś ma w sobie wiele pary wodnej, która się skrapla przybywszy w zimniejsze okolice i zetknąwszy się z zimniejszymi wiatrami, więc niebo się chmurzy i można się spodziewać rychłych deszczów i słońca. Otóż dlatego to jest barometr prorokiem zmian w powietrzu. A bodaj, czy i dzisiaj nie wyprorokuje nam burzy — dodał Stefan, przyglądając się barometrowi — bo bardzo spada i dochodzi już do tego punktu na podziałce, gdzie jest naznaczona burza. Dziś rano stał jeszcze wysoko, a teraz spada i spada bez ustanku.

— A to drugie, to termometr? — rzekł Górka, wskazując na wiszący po drugiej stronie okna instrument, podobny nieco do barometru. — Znam go, bo mi potrzebny w ogrodnictwie.

— Tak jest — odrzekł Stefan — to jest przyrząd służący do mierzenia ciepła w powietrzu i dlatego nazwany ciepłomierzem albo *termometrem*. Spojrzawszy nań, możesz zawsze wiedzieć jaką jest *temperatura*, czyli ciepło powietrza. Oto teraz na przykład — dodał Stefan spoglądając na termometr — widzę, że jest 20 stopni ciepła, co już jest znaczną na nasz klimat temperaturą, zwłaszcza, gdy ją wykazuje termometr, zawieszony tak w cieniu i nie wystawiony wprost na działanie promieni słonecznych.

— A w skutek czegożto termometr tak dokładnie oznacza ciepłotę? — zapytał ktoś z towarzystwa.

— Polega to na własności, która wszystkim ciałom jest wspólną, to jest na własności rozszerzania się ciał w ciepłe, a ściągania w zimnie. Diaczegóż np. kowal nabija na koła rozpalone obręcze? Dlatego, że obręcz rozpalona jest większa w skutek tego, że się w gorącu rozszerzyła; gdy zaś na kole ochłódnie, to nietylko dobrze się będzie trzymała, lecz i dzwona do sprych dobrze poprzyciąga. Stolarz, chcąc ściągnąć pęknięty blat, zakłada na poprzek pęknięcia stosowne kawałki rozpalonego żelaza, które chłodząc i kurcząc się bardzo mocno obie części blatu ku sobie przyciągają. Tak samo rozszerzają się płyny, a przy większej temperaturze zamieniają się w parę. Zmianie téj ulega także wiele ciał stałych, które przy większej

temperaturze przemieniają się w płyny, a potem nawet i w parę. Woda rozszerza się także pod wpływem mrozu. Każdemu wiadomo, że butelka napełniona wodą pęka, jeżeli ją na mróz wystawimy i woda wewnątrz zamarźnie. Stanie się to w skutek tej własności wody, że marznąc rozszerza się. Jużście słyszeli, że powietrze rozgrzane rozszerza się, jest rzadsze i lżejsze, gdy je zaś oziębimy, skurcza się, gęstnieje i staje się cięższe. Otóż żywe srebro czyli rtęć, którą tu w termometrze widzicie, podlega także temu ogólnemu prawu natury. Szklanna ta rurka termometrowa jest u góry zasklepioną, ma otwór zaledwo grubszy od włosa, a u dołu rozdęta jest w bańkę. Na tę zewsząd odsłoniętą bańkę, która jest całkiem napełniona rtęcią, wpływa z łatwością zimno lub ciepło atmosferyczne. Jeżeli więc działa na nią mróz, rtęć się kurczy i upada w rurce, spływając do bańki; jeśli zaś działa na nią gorąco, rtęć się rozszerza i podchodzi w rurce do góry, tak jak n. p. w tej chwili. Aby oznaczenie temperatury mogło być dokładne, urządza się termometr w ten sposób, iż najprzód zanurza się go w śnieg lub topiący się lud i wysokość słupka rtęci oznacza się jako punkt marznięcia, następnie zaś stawia się go we wrzącej wodzie i punkt, do którego się rtęć w rurce podniesie, oznacza się jako punkt wrzenia. Część rurki leżącą pomiędzy punktem marznięcia i punktem wrzenia dzieli się potem na 80 części,

i takie same cząstki oznacza się poniżej punktu marznięcia. Podziałka powyżej tego punktu oznacza stopnie ciepła, poniżej zaś stopnie zimna. Tych ostatnich, jeżeli używamy termometru rtęciowego, nie może być więcej nad 31, gdyż poniżej tego stopnia zamarza już rtęć i nie może być używaną do wykazywania niższych stopni zimna. Takim ośmdziesięciu-stopniowym termometrem jest mój; są jednak termometry stustopniowe, t. j. takie, u których podzielono na sto części rurkę pomiędzy punktami marznięcia i wrzenia; są wreszcie i inne, których rurka na więcej jeszcze stopni jest podzielona. —

Gdy Stefan przestał mówić, zwrócili wszyscy mimowoli uwagę na to, co się dzieje na dworze, gdyż poczęła się spełniać przepowiednia barometru. Na czystym poprzód niebie zebrały się niespodziewanie czarne chmury, zadął wicher gwałtowny, błyskawica przebiegła zygzakiem pomiędzy chmurami i odezwał się poważny głos grzmotów.

— A więc barometr prawdę przepowiedział — odezwał się Stefan spoglądając przez okno.

— Lecz przepowiedziały burzę i pszczoły — wtrącił Tomasz.

— Już to prawda, że te małe stworzeńka dziwnie są rozumne — rzekł Górka. — Podziwiać tylko trzeba wszechmoc Stworzyciela, że wlał w nie tyle pracowitości i sprytu...

Ledwie dokończył Górka téj uwagi, zagrzmiało tak silnie, że niemal wszyscy aż drgnęli. Równocześnie lunął dészcz obfity wielkimi kroplami.

— No, teraz będziemy mieć dość czasu na rozmowę — rzekł Stefan zamykając okno — bo na dwór nie można ani nosa wystawić. Dla mojego ogrodu bardzo pożądany jest ten dészcz, byle tylko nie był za gwałtowny. — Po chwilce dodał Stefan: Nasz Górka zaczął coś mówić, i grzmot mu przeszkodził.

— Nie miałem wiele do powiedzenia — odezwał się Górka — myślałem tylko nad tém, jak wiele sprytu okazują pszczoły. Czyście wy już i dawniej chodzili około pszczół? — dodał, zwracając się ku Stefanowi.

— Obznajomiłem się z pasiecznictwem — odparł zapytany — jeszcze za moich lat młodych, gdyż nieboszczyk ojciec mój miał znaczną pasiekę i bardzo się kochał w pszczołach.

— Kiedy więc tak — rzekł Górka — to opowiedzcie nam co o pszczołach. I tak nam dészcz iść nie pozwala, a wy wiecie nie jedno, boście się uczyli i widzieli dużo.

— To, co ja widziałem pośród pszczół, każdy mógł widzieć — rzekł Stefan — ale skoro taka wasza wola, to będę mówił.

Już w moich latach chłopięcych przypatrywałem się nieraz uważnie pszczołom, podziwiałem ich urządzenie i brałem sobie z nich przykład

pracowitości. Nawet teraz, choć już stary jestem, myślę sobie nieraz, że gdyby między ludźmi panował taki ład, taka zgodność i pracowitość jak w ulu, toby lepiej było na świecie, niż jest.

Każdemu wiadomo, że w ulu jest trojaki gatunek pszczół; najprzód jest królowa, t. j. samica, która składa jaja, potem są trutnie, t. j. samce mniejsze od królowej, nareszcie są mniejsze i cieńsze od trutniów pszczoły robocze, które przeważną część roju stanowią. Tymto pszczołkom roboczym zawdzięczamy miód i wosk. Słodycz znajdującą się w miodnych torebkach kwiatowych, napoiwszy się nią, przerabiają na miód we wolu, i wypuszczają go potem do komórek w plastrach; wosk wydzielają z siebie po spożyciu pokarmu, z pomiędzy obrączek dolnej części ciała. Gromadzą też kwiatowy pyłek bardzo skrzętnie, i znoszą maleńkimi grudeczkami na tylnych nóżkach, które są do tego bardzo składnie urządzone, gdyż mają na końcach jakgdyby małe koszyczki. Gdy pszczoła wleci w środek kwiatu, to pyłek kwiatowy czepia się włosków, którymi jest pokryta. Pyłek ten zmiata ona ze siebie starannie nóżkami, a zbiwszy go w grudki, wkłada je do koszyczków na tylnych nóżkach. Przeplądrowawszy 4 do 5 kwiatów, ma już pszczołka koszyczki napełnione i powraca z nimi do ula; a dźwiga czasem grudki pyłku tak wielkie, jak ziarnko pieprzu. W ciągu kwietnia i maja zbierają pszczoły pyłek w ten sposób od rana do

wieczora; w gorące dni letnie, kończą już tę robotę około 10 godziny przedpołudniem, gdyż później pyłek jest już zanadto suchy. Popołudniu wyszukują kwiatów kwitnących w cieniu. Tych pszczoł, które powracają bez pyłku kwiatowego na nóżkach, nie można pomawiać o lenistwo, gdyż one dźwigają w sobie miód z kwiatów wylizany. Robota rozpoczyna się już ze wschodem słońca; tylko leniwe trutnie wybierają się z ula dopiero koło południa, i nie przynoszą żadnego plonu, lecz starają się tylko o własne wyżywienie. Zapewne że to nie ładnie, lecz nie można za to na nich zwać całej winy, gdyż ich nóżki, ryjek i cała budowa nie jest tak dobrze do pracy przysposobiona, jak pszczoł roboczych. Nie mając wcale koszyczków, nie mają w czém znosić pyłku do ula.

Chcąc się przekonać, jak też prędko idzie praca pszczoł, liczyłem je nieraz powracające z plonem do ula, i przekonałem się, że przybywa ich około 100 w ciągu minuty, a zatem około 6000 w godzinie. Jeżeli zaś przyjmiemy, że ul mieści w sobie 18 do 20 tysięcy robotnic, to się przekonamy, że każda pszczoła wylata w ciągu dnia 4 do 5 razy na połów.

Lecz nie samo zbieranie jest zadaniem pszczoł. Robota w ulu, lepienie misterych plastrów, karmienie i pielęgnowanie czerwia, usługiwanie matce, odpędzanie nieprzyjaciół, zaciąganie warty przy oczku, przez które robotnice wlatują i wylatują,

zalepianie szczelin w ulu i t. p., to dalsza czynność o wiele ważniejsza i trudniejsza.

Każdy widział plaster miodu, lecz nie każdy może zastanawiać się nad tém, jak sztuczną jest jego budowa. Po obu stronach plastru, zwrócone ku sobie denkami, jak misterne szklaneczki mieszczą się obok siebie piękne, sześciokątne komórki, a każda napełniona po brzegi wonnym miodem i zalepiona wieczkiem z wosku, jeżeli plaster przeznaczony na żywność zimową. Plaster, mający 15 cali długości a 10 cali szerokości, liczy około 9000 komórek po jednej i również tyle po drugiej stronie. Lecz nie wszystkie komórki są przeznaczone na miód. W miernym ulu, liczącym do 50000 komórek, przeznaczają pszczoły około 30000 na magazyn miodu, resztę zaś na kolebki dla nowych pszczół. O to nowe pokolenie stara się królowa. Nie wylata ona z ula, nie zbiera miodu, karmi się tém co robotnice przyniosą, lecz za to od wiosny aż do jesieni zajęta jest znoszeniem jaj, których znosi do 40000 i wyżej. Przy tej czynności towarzyszy zawsze królowej pewna ilość robotnic, oczyszczając ją, głaszcząc i żywiąc. Na każdy rodzaj pszczół są oddzielne komórki; zwykle najmniejsze dla zalążków przyszłych robotnic, dla trutniów nieco powiększone, największe, baryłkowate na brzegu plastra dla przyszłych matek. Pierwszych jest oczywiście najwięcej, trutniowych kilkaset a ostatnich kilka lub kilkanaście. W 3

lub 4 dni po zniesieniu jajek wylęga się czerw, czyli białe, beznożne gąsieniczki, a robotnice karmią ich pszczelnym chlebem, tj. mieszaniną miodu i pyłku kwiatowego. Po 10 dniach przepoczwarzają się te gąsieniczki, co spostrzegłszy robotnice, zasklepiają ich komórki woskowymi wieczkami. Wieczka te są dwojakie: płaskie na komórkach przyszytych pszczoł roboczych, wypukłe zaś na komórkach trutniów, przezco też komórki trutniowe więszcej nabierają objętości. W takich więzieniach przebywają poczwarki przez dni 10 do 11, poczem wydobywają się z nich zupełnie już wykształcone pszczoły i biorą zaraz udział w czynnościach roju. Jeżeli nowa pszczoła z trudnością podnosi wieczko swego więzienia, pomagają jój w tém natychmiast niez mordowane robotnice. Ponieważ królowa składa najprzód jaja na pszczoły robocze, później na trutnie a najpóźniej na matki, więc też w téj kolei wylęga się nowe pokolenie. Dawne robotnice czyszczą natychmiast wylęgowe komórki, skoro z nich tylko nowe pszczoły wyleciały, i tym sposobem, szanując swą pracę, przygotowują je do ponownego użytku.

Przybytek świeżego pokolenia sprowadza oczywiście przepełnienie ula. Skoro się więc tylko nowa królowa wylęgnie, dając o tém znać właściwem piszczeniem, rozpoczyna się rojenie. W całym ulu panuje ruch nadzwyczajny, nareszcie stara królowa, przybrawszy sobie pewną część robotnic, wy-

latuje z niemi z ula jako rój, który ma nadal tworzyć odrębną osadę. Jeżeli ul jest silny, a kilka matek po kolei się wylegnie, natenczas wychodzi zeń w ciągu lata kilka nowych rojów. Młoda królowa wylatuje w towarzystwie trutniów wysoko w powietrze na rójkę, a potem wraca do ula, obejmuje rządy i już w 14 dni po swym wylegu zaczyna nieść jaja. Czasem, gdy pszczoły spostrzegą, że mogłoby się wylegnąć za dużo matek, natenczas wygryzają pozostałe w matczynych komórkach poczwarki. Lecz bez matki, czyli królowej, nic cały rój nie znaczy. Gdy więc matka zginie, a pszczoły nie mają jeszcze przygotowanych matczynych komórek i nie są w stanie innej matki sobie wypielęgnować, wtedy praca w ulu ustaje i cały rój ginie marnie. Poczciwe pszczoły nie chcą i nie umią widocznie pracować dla siebie samych, i tylko wtedy niezmordowane w pracy, gdy mają nowe potomstwo. Gdy niema dziątek, dla którychby z miłością pracowały, giną.

Skoro matka naniosła już jaj i trutni w ulu nie potrzeba dłużej, natenczas budzi się w pszczołach troska o zapasy zimowe, i objawia się w srogi, śmiertelny dla trutniów sposób. Nie chcąc dawać darmo spożywać pracowicie nabytych zasobów, mówią niejako robotnice do trutniów „fora ze dwora!“ i wyrzucają ich z ula i zakliwają jadłowitemi żądłami. Biedne trutnie muszą się poddać temu wyrokowi, bo nawet nie mają na swą obronę

zadeł, tak jak robotnice i królowa. W ciągu zimy wpadają pszczoły w otępienie, lecz nie zupełne, i spożywają nagromadzone zapasy miodu. Troskliwe a pracowite, czynią one tak wielkie zapasy, że i im starczy i człowiek znaczną część może też wyjąć na swój użytek.

— Ciekawym ja, kto to pierwszy zaczął się bawić pasiecznictwem? — zapytał Tomasz, gdy Stefan przestał mówić.

— Nie wiem — odparł leśniczy — kto był tym mędrce i dobrodziejem ludzi. Może Zarebski wie co o tém?

— Ja także nie wiem — odparł zagadniony nauczyciel — i nawet wątpię, czyby się dziś udało tego pierwszego wyszukać, gdyż chowem pszczół zajmują się ludzie już od niepamiętnych czasów. Przed kilkuset laty ziemie Polski i Rusi wydawały znacznie więcej miodu i wosku niż dzisiaj, gdyż rozległe podówczas lasy tych ziem roiły się pszczelnymi barciami, ludność była mniejszą, mniejszą też część ziemi uprawiała, więc na ugorach i polanach, okrytych bujnym kwieciem, mogły się miliony pszczół uganiać za pyłkiem kwiatów i ich słodyczą. Był też oddzielny cech wprawnych bartników, którzy mieli swe osobne prawa i wedle nich postępowali przy chowie i rozmnażaniu pszczół. Oni to żłobili po lasach w stojących drzewach barcie, gdzie roje same osiadały, i przy niewielkim tylko nadzorze człowieka, gromadziły dlań zapasy miodu i

wosku. Ustawy krajowe brały też w opiekę owe pszczelne gospodarstwo po lasach, nakładając na szkodników bardzo wysokie kary pieniężne. Kto barć z pszczołami odważył się porąbać, płacił więcej niż 50 złotych dzisiejszej monety tak poszkodowanemu jak i sądowi, co było na owe czasy sumą bardzo wielką. W wielu miejscach oddawali włościanie daniny klasztorom, plebaniom i urzędom w miodzie i wosku. Na Polesiu bywali wieśniacy, mający po 100 i 200 a nawet i po 500 barci, toż samo i na Podolu, w okolicach zwanych miodoborskimi, gdzie mieszkańcy mieli po większej części pasieki z bezdenków złożone. O całej Polsce i Rusi, a jeszcze więcej o Litwie można było powiedzieć, że to ziemie miodem płynące. Znaczną też ilość miodu sycono na napój, który stawał się tym cenniejszy, im dłużej stał w lochu. Miód, który pszczoły zbierały z kwiecia lip, zwany żąd *lipcem*, bywał najbardziej ceniony. Syconym lipcem słygnęły okolice Kowna na Litwie; żąd rozwożono go w odległe strony. Wosk wywożono z Polski tysiącami cetnarów na Szląsk i do Prus; w niemależ też ilości zakupywali go kupcy Gdańscy. W ogóle szło go wiele na okręty zagraniczne, zawijające do portów morza Bałtyckiego; tą drogą dostawali go także Holendrzy, którzy się zajmowali bieleniem wosku. Dziś została już tylko w starych pismach pamięć o tym rozległym gospodarstwie pszczelnym naszych praocjów. Niezmierne puszcze przerzedziły

się, czyniąc miejsce nowym osadom, wycięto i wykarczowano niemało pod rolę dla mnożącej się ludności. Zwierzynie ujmował człowiek coraz bardziej miejsca, ujmował go też i pszczoła. Zresztą tracił miód coraz bardziej na wartości, gdy taniał cukier, który w końcu nauczono się wyrabiać z niepozornych buraków. Wosk zastąpiły także inne wyroby, a w ostatnich czasach pojawił się w handlu wosk ziemny, wykopywany w miejscach, obfitujących w naftę. Niejeden ujrzał większą korzyść w innych gałęziach gospodarstwa i porzucił pasiecznictwo, potrzeba lepszego gospodarowania w przetrzebionych lasach zagroziła drogę bartnikom i starodawnemu bartnictwu — i ztąd poszło, że sztuka chowu pszczół coraz bardziej upadała i dziś jakgdyby na nowo dźwigać się dopiero zaczyna. A przecież każdy mi przyzna, że mimo niższości wartości miodu i wosku, dobry pasiecznik zawsze mieć może znaczny zysk z chowu pszczół i przyjdzie do niego mniejszym nakładem pracy i trosk niż każdy inny przemysłowiec.

— A więc dawnymi czasy — odezwał się Tomasz — hodowano u nas jakoby dwa gatunki pszczół: dzikie po lasach i leśnych barciach, a swojskie po pasiekach i sztucznych ulach.

— Tak jest — rzekł Zareński — pszczoły, gniezdzące się po lasach były poniekąd dzikie, lecz człowiek panował przecież nad niemi, bo dał im sztuczne barcie w drzewach, i wiedząc tym

sposobem, w których drzewach się gnieźdzą, podbierał im miód w należyтым czasie. Takież same dzikie pszczoły gnieźdzą się u nas i dziś jeszcze w większych lasach, wybierając sobie na mieszkanie stare, dziuplaste drzewa. Umie te dzikie barcie wyszukiwać niedźwiedz, wielce żarłoczny na miód. Znalazłszy barć, rozłupuje drzewo potężnemi łapami i wylizuje nagromadzone zapasy miodu. Czytałem w jednéj książce, że i w rozległych borach północnéj Ameryki gnieźdzą się w znacznej ilości dzikie pszczoły, przesiedlone tam z Europy dopiero po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Wyrobili się też i tam szczególnego rodzaju bartnicy, którzy polują na miód i wosk dzikich barci. Bartnik taki, ogorzały, w kapeluszu o wielkich kryszkach, bierze co nieco pożywienia i wybiera się w las, wzięwszy miseczkę, szklaneczkę, nieco miodu, trochę miałkłej siarki czyli tak zwanego kwiatu siarczanego i topór. Gdy wyjdzie na jaką otwartą polanę w pośród lasów, wlewa cokolwiek patoki na miseczkę i stawia ją na ziemi. Niebawem poczują miód brzęczące naokoło pszczoły i zlatują się do miseczki. Gdy ich kilka usiądzie, wtedy nasz bartnik nakrywa je szklaneczką i tak długo trzyma w tém szklannem więzieniu, dopóki się nie nasyca. Potém uchyla szklaneczkę, a gdy pszczoła wylazi z pod niej, posypuje ją z lekka siarczanym kwiatem. Nasycona pszczoła ulata i zmierza wprost do swego mieszkania, więc bartnik śledzi jój lot

i w tém jego największa sztuka. Długoletniem wyszukiwaniem barci tak ci ludzie wprawili sobie wzrok, że widzą jeszcze w znacznej odległości wypuszczoną pszczołę, rozróżniają ją od innych pszczół i much i są w stanie zapamiętać sobie kierunek, w którym pszczoła odleciała. Naznaczenie kierunku, w którym pszczoła odleciała, jest bardzo ważną rzeczą, gdyż wiadomo, że pszczoła nasyciona zmierza najprostszą drogą do ula, więc trzymając się tego kierunku można dojść do barci. W ten sposób postępuje bartnik z każdą uwięzioną pszczółką, z których często kilka w jednym i tym samym kierunku odlatuje, a potem, schowawszy miseczkę i szklaneczkę do torby, idzie wskazaną drogą na pewne po sutą zdobycz. Jeźliby nawet zoczył cokolwiek od wytkniętego kierunku, to naprowadzi go na właściwy trop rozgłosne i gniewne brzęczenie barci, której szuka. Przyczyną tego brzęczenia jest owa siarka, którą biedne pszczółki były posypane. Przybywszy z takim cuchnącym darem do ula, wprawiają one w zdumienie i gniew towarzyszki; cały rój zaczyna brzęczeć niesłychanie i sam się zdradza. Czujny bartnik zbliża się, roznieca ogień pod drzewem, odpędza dymem pszczoły, wyciąga topór, a wyrąbawszy otwór w barci wydobywa z niej złociste plastry miodu. Gdy nie ma na razie czasu lub naczynia na miód, tedy zaznacza sobie tylko miejsce i pozostawia zdobycz na stosowniejszą porę.

— Przepraszam, że wam przerwę — zawołał w tój chwili Stefan — lecz rozgadaliśmy się na piękne, a tu jak widzę Marcysia się już niecierpliwi, bo nam objad wystygnie. Zechciejcie sobie przypomnieć o żołądku i spożyjmy co Bóg dał.

Na to wezwanie przerwali nasi znajomi rozmowę, i spostrzegli, że już mijało południe, a żołądek domagał się istotnie należącój mu się strawy. Powstali więc z miejsc i zasiedli do stołu. W ciągu rozmowy ustał też i deszcz nawalny. Resztki czarnych chmur umykały spiesznie po niebie, rosząc już tylko z lekka, i promienie słońca, jak gdyby wykąpanego w strugach nawalnicy, zaczęły się znowu z poza nich przedzierać.

ROZDZIAŁ XVIII.

Przechadzka po lesie. Dzikie zwierzęta i stary Maksym.

Po obfitym dęszczu odświeżyło się bardzo powietrze i las, napełniony orzeźwiającą wonią aż zapraszał do przechadzki. Nasi znajomi zgodzili się więc skwapliwie na wniosek gospodarza, ażeby się przejść do chaty leśnego, przy której znajdowała się druga część pasieki Stefanowej. Nauczyciel zaintonował jakąś pieśń ładną a ochoczą, inni mu zawtórowali, i tak przy pieśni szło całe grono to leśnymi drożynami to na przełaj, trzymając się kroków Stefana, który ze strzelbą na ramieniu szedł przodem jako przewodnik. Spiew przeplatano żywą rozmową, a czasem i pustym śmiechem, gdy kto nieostrożnie o bujne gałęzie zawadził, strąsając na siebie i na drugich liczne krople dęszczu, które jeszcze wisały na liściach.

Nie uszli jeszcze daleko, gdy wtém zatrzymał się Stefan, chwycił za dubeltówkę, wymierzył ku wierzchołkom drzew i strzelił. Mała Teklusiś aż krzyknęła z przestachu, gałęzie zaszeleściały,

i prawie pod nogi naszych znajomych upadła zabita wiewiórka.

Kobiety poczęły żałować tak pięknego zwierzątka i czyniły Stefanowi wyrzuty, iż je zabił.

— I ja żałuję — odparł Stefan — ale cóż, kiedy tego lata zanadto dużo się ich namnożyło i zaczynają mi robić szkodę w sadzie. Nie dość im na orzechach i żołądźiach i bukwi; poczęły się zakradać do moich jabłek i gruszek, więc muszę się bronić. Zresztą pod tę porę zakrada się także wiewiórka do gniazd ptasich i wypija jaja, więc muszę bronić i ptasząt, które mi są w lesie bardzo pożyteczne. Pamiętam jeszcze z moich lat młodych, jakie spustoszenie sprawiły raz wiewiórki w sadzie mego ojca. Były to wiewiórki maści burawo-czarnej, pod spodem białe, z więcej kiściastemi i szerszemi ogonami niż u tej czerwonej. Mieszkaliśmy głębiej w górach, gdzie czarne wiewiórki są dość pospolite. Otóż pewnego lata, rozmnożywszy się w znacznej ilości i nie znalazłszy zapewne w górskich lasach dostatecznego pożywienia, rzuciły się te wiewiórki na sady w owej wsi górskiej, gdzieśmy przemieszkiwali. Byłóżto czemu się przypatrywać! Na jednej gruszy mogłeś czasem 6 do 8 sztuk narachować; latały po dachach, po strychach, po oknach, zaczepiały indyki i były w ogóle mniej bojaźliwe niż zwykle. Jakie zniszczenie sprawiły wtedy w drzewach owocowych, możecie sobie wyobrazić! Do tego wam dodam, że wiewiórki mają

ten zły zwyczaj, iż nadpoczynają po kilka owoców razem i tak do połowy nadgryzione zostawiają lub na ziemię strącają. Zgrabniutki i zwinne uwijały się tu i tam, i nieraz widziałem, jak jedne z drzewa owoce rzucały, a drugie zbierały je po ziemi. Nie pomogło strzelanie, gdyż ciągle ich z lasu przybywało. Trwało tak do późnej jesieni; gdy nadeszła zima zaczęły się przeredzać, a na wiosnę nie było już ani jednej w ogrodzie. ---

O tej przeprawie z wiewiórkami opowiadał Stefan uszywszy już w dalszą drogę z całym towarzystwem. Najbardziej zajęła ona nauczyciela, który rzekł:

— Czytałem w ja wprawdzie, że w polach i ogrodach północnej Ameryki sprawiają czasem szare wiewiórki wielkie spustoszenia, lecz aby się to i u nas tafiało, pierwszy raz słyszę. Zapewne to rzadkie bardzo wypadki.

— Ja tylko ten raz pamiętam — odparł Stefan — o innych podobnych wypadkach nawet nie słyszałem, myślę więc, że bardzo rzadko muszą się wydarzać.

— Ja zaś — odezwał się Zarębski — widziałem raz znaczne spustoszenie w polu, które sprawiły chomiki.

— Cóż to za chomiki? — zapytał Tomasz — chyba myszy polne, bo te nieraz rolnikowi dokuczają.

— Myszy swoją drogą nie mało czasem narobią szkody, gdy się rozmnożą — rzekł nauczy-

ciel — lecz chomiki to nie myszy, choć może do szczura co nie co podobne.

— No, to ja nie widziałem chomików — zauważył Tomasz.

— Nie dziwię się temu — rzekł Zarębski — gdyż w takich okolicach jak nasza, czém dalej ku góróm, jest chomik bardzo rzadkim gościem. Często za to pojawia się na równinach i to w wyższych okolicach; u nas jest ich najwięcej w Rzeszowskim, Przemyskim i Tarnopolskim. Tam go też widziałem. Zowią go także skrzczeniem albo pieskiem ziemnym. Ma on ciało krępe, grube i skupione, mierzy ośm do dziewięciu cali, do czego dodać trzeba dwucalowy ogon; z wierzchu płowy, po bokach rudawy, spodem czarny jak aksamit; z obu stron od głowy ku piersiom ma trzy białawe plamy; głowę ma wielką z czarnymi oczkami i małemi okrągławemi uszkami. Lecz najciekawszą i najszkodliwszą rzeczą u ziemnego pieska są jego torebki przyzuchwowe, t. j. do trzech cali długie, wewnątrz pyska po obu stronach głowy i około zębów trzonowych znajdujące się schowki, w których może 4 do 6 łutów ziarna pomieścić. Otóż w tych torebkach znosi chomik ziarno do swojej nory, a wybiera sobie nie lada jaki poślad, lecz ziarno czelne i ważne. Jeżeli więc dużo chomików w takiej okolicy się rozmnoży, to szkoda może być bardzo znaczna, a znajdowano już po ćwierci, a nawet po półkorca i więcej pięknego ziarna w ja-

mach starych chomików. Ale bo też i owym jamom warto się przypatrzeć! Piesek ziemny zna się na budowaniu i lubi wygodki. Kopie jamę na 3 do 6 stóp głęboką i robi do niej dwa wchody: jeden prostopadły, w którym się kryje, gdy jest przestraszony, drugi pochyły, którym zazwyczaj wychodzi na żer. Sama nora składa się najprzód z wygodnej, miękką trawą ładnie wyścielonej sypialni, i ze śpichlerza składającego się z jednej a czasem i kilka połączonych z sobą komór. Do tego to śpichlerza znosi ów złodziej polny nakradzione ziarno. A nie potrzeba nawet chomikom tak wielkiego zapasu, jaki robią pod zimę, gdyż przesypiają znaczną część zimowej pory, jak wiele innych podobnych zwierzątek. Są tklive na zimno i ostrożne; gdy już mają mrozy zawitać, zatyka chomik nory do swego mieszkania i otwiera je zupełnie dopiero przy końcu marca, wyczyszcza swe izby i urządza je na lato. Gdy jednak i w zimie dnia łagodne nastaną, wygląda z nory ciekawy chomik, aby zobaczyć, co się też dzieje na świecie.

Chomiki żywią się głównie zbożem, lecz lubią też bardzo mięso, w skutek czego tępią myszy, jaszczurki, gady, owady i robaki. Żyją samotnie, żerują zwykle nocą, są bardzo złe i zjadłe. Kilka lat temu, było ich w pewnej okolicy dość dużo; wyrządzały znaczne szkody i często je spotykałem. Dziwiłem się wtedy śmiałości tych zwierzątek. Skakały do nóg ludziom, chodzącym

po polu, broniąc się mruzczały i rzucały się z taką wściekłością, że w całej okolicy było tylko kilka psów tak odważnych, które się ośmieliły łapać stare chomiki. Mnożą się one dwa razy do roku, a chomica miewa 4 do 13 a nawet 16 młodych. W niektórych krajach tak się wpieleszyły, iż bywa ich dosyć z roku na rok; bardzo znaczne też wyrządzają tam spustoszenia. Trafia się to w niektórych okolicach Niemiec, jak n. p. w Saksonii lub w Turyngii, gdzie rok w rok zabijają po kilkadziesiąt tysięcy chomików. Do tępienia używają tam trutki, albo je łowią w paście, lub polewane garnki, zakopane w ziemię, albo je zalewają w norach wodą, albo też co najlepiej, wykopują je w czasie snu razem z nakradzioném ziarnem. Z zabitych ściągają skórę, która daje lekkie futerko, używane do podbijania sukien...

— O, sarna! sarna! — zawołała w tój chwili mała Teklusia, wskazując palcem w głąb lasu.

Oglądnęli się wszyscy i ujrzeni w istocie piękną sarnę z dwojgiem małych centkowanych sarniąt. W zgrabnych, posuwistych skokach sadziły one przez krzaki i niebawem zniknęły w zaroślach.

— Piękne to i miłutkie zwierzę — zawołał Górka, patrząc wraz z innymi — a przecież gdy ujrzę sarnę, to mnie złość porywa.

— A to czemu? — zapytał Stefan.

— Bo mi się przypomina jedna ułaskawiona sarna, którą miałem czas dłuższy. Wychowałem ją był sobie od małości, dając jej ssać kozę, a potem karmiąc owsem, jęczmieniem, chlebem, owocami, kartoflami i t. p. Była bardzo miła i tak czysta, że nie chciała jeść chleba, gdy go człowiek lub pies nadkusił, nie brała nawet jabłka, gdy było nieczystym nożem rozcięte. Znała mnie, chodziła za mną jak pies, bardzo ją też lubilem; aż tu pewnego razu...

— Ha, ha! już się domyślam, co wam zrobiła — zawołał Stefan, śmiejąc się — Wpadła do ogrodu i ukradkiem...

— Oj, co wpadła, to wpadła! — powtórzył Górka na wpół z uśmiechem a na wpół z żalem — i jak mi zaczęła gospodarować po szkółce najpiękniejszych szczeptów, tak w przeciągu kilku godzin prawie wszystkie poobgryzała i zniszczyła. Jakem to zobaczył, tak najprzód chciałem ubić ze złości sarnę, a potem zapłakałem z żalu, i ponieważ to nie pierwsza już była szkoda, darowałem niewdzięczną i nieposłuszną wychowankę daleko od mego ogrodu.

— Więc was gniew zbiera, gdy sarnę zobaczycie — rzekł Stefan — a mnie znowu jakiś żal i smutek.

— A to czemu? — zapytał teraz ze swęj strony Górka.

— Także miałem jedną przygodę z sarną — rzekł Stefan — ale taką, że mnie prawie do łez rozrzewniła. Szedłem sobie jak teraz przez las ze strzelbą na ramieniu. Wtém wypada z zarośli sarna z dorosłym już sarniątkiem. Zmierzyłem do stariej, lecz kapsła spaliła na panewce; naciągam więc kurek od drugiej lufki, strzelam i ranię sarniątko. Rana była ciężka, gdyż sarniątko zwolniło biegu, wlokło się coraz słabiej, a uszedłszy z jakieś ośmdziesiąt kroków, stanęło. Zatrzymałem się w miejscu, chcąc się przypatrzeć czy padnie, czy też dalej pójdzie, gdy wtém ukazała się znowu stara sarna; wróciła do jęczącego sarniątka, i zaczęła je do dalszej ucieczki, popychając to głową to przednimi nogami. Udało się jej nareszcie wpędzić ranione biedactwo do pobliskich zarośli. Przyznam się, iż mi się przykro zrobiło na widok takiego macierzyńskiego przywiązania i troskliwości w zwierzęciu. Ciekawy jednak co się dalej stanie, przywołałem psa i poszedłem za tropem w zarośla. Trwało to chwilę nim znalazłem sarniątko; leżało ono już nie żywe, lecz jakież było moje zdziwienie, gdym nad niem ujrzał znowu wierną i przywiązaną matkę. Spojrzała na mnie smutnym wzrokiem, jak gdyby mi chciała zrobić gorzką wymówkę za śmierć swego dzieciątka a potem, nie uciekając wcale, lecz idąc powoli i oglądając się bez ustanku, odeszła w głąb lasu. Rozumię się, iż ani mi na myśl nie przyszło, że-

by do niej strzelać, gdyż mocno wzruszyło mnie jój przywiązanie i smutek.

— Jużto prawda — przerwał nauczyciel — że miłość macierzyńska u zwierząt jest czasem zadziwiająca. Pan Bóg wlał to uczucie przywiązania w bezrozumne stworzenia jak gdyby na to, ażeby pokazać człowiekowi, o ile więcej on, obdarzony rozumem i duszą nieśmiertelną, powinien kochać swe dzieci i dbać o staranne ich wychowanie. Ci, co po gorących krajach podróżowali, opowiadają cuda o przywiązaniu małą do swoich młodych: jak je piastują, kołyszają, karmią i pielęgnują, jak w razie niebezpieczeństwa chronią je troskliwie i uprowadzają przed nieprzyjacielem.

Ale na cóż nam odnosić się do zamorskich małą! Wszakże i nasze zwierzęta dają dość dowodów miłości macierzyńskiej. Nawet u niepokąznego nietoperza można się z nią spotkać. Nietoperzyca ma zwykle jedno lub dwoje młodych co roku. Gdy pod wieczór wyleci ze swój kryjówki, natenczas bierze ze sobą młode, które się jój przyczepia do piersi i razem z nióm lata, szukając pożywienia. Przywiązanie macierzyńskie nie dozwala jój młodego samotnie w kryjówce pozostawiać, ażeby mu się co złego nie przytrafiło. Gdyby i ludzie zawsze tak dbali o dzieci, nie przytrafiałyby się smutne wypadki, o jakich czasem słyszymy, że dzieci pozostawione same sobie w do-

mu, albo się pokaleczyły, albo przez nieostrożność stały się powodem pożaru.

Mały jeź ściele swym młodym wygodne legowisko, chodzi około nich troskliwie i użera się nieraz zajadle z ziemnym pieskiem, który się lubi do młodych jeźąt zakradać. Nawet najdrapieżniejsze zwierzęta miłują swe potomstwo i bronią go z narażeniem własnego życia. Ot np. nasz niedźwiedź, tak srogi i drapieżny, a przecież umie kochać swe młode, i każdy myśliwy wie o tém, że jeżeli kto nie chce się narażić na śmierć oczywiście, a przynajmniej na wielkie niebezpieczeństwo, niech nie strzela do młodych niedźwiedziąt, gdy idą z matką, bo stara rzuca się wtedy jak wściekła na myśliwego. Wiem o kilku takich wypadkach, gdzie myśliwego prawie cudem tylko uratowano. Czytałem też opis pewnego miłośnika zwierząt, który chował w klatce niedźwiedzicę z młodem, i mógł patrzeć się co dzień na jej troskliwość macierzyńską. W dwóch pierwszych tygodniach po urodzeniu się młodych, leżała niedźwiedzica bez ustanku koło nich i nie chciała się ani ruszyć do jadła. Ledwie można ją było nakłonić, żeby się trochę wody napiła, i tę musiano jej podsuwać aż tam gdzie leżała. Chcąc chronić dwoje swych młodych od zimna, składała nad nimi łapy niby daszek, a wsunawszy między nie pysk grzała oddechem. Złożone łapy, ciepły oddech i długie kudłate futro dostarczały też niedźwiedzietom dostate-

cznej ilości ciepła. Jeżeli był wiatr na dworze, to się zawsze tak kładła, ażeby młode swem ciałem od wiatru zasłonić; gdy się przewracała, to z wielką ostrożnością, ażeby małych nie przygnieść. Gdy się cudze osoby przybliżały to była niespokojną; na widok psów pryskała, mruzczała i jerzyła kudły. Tak pilnowała młodych do dwóch miesięcy, tj. do chwili, gdy już same zaczęły łązić. Była więc dobrą matką. —

— Ja także słyszałem coś podobnego o niedźwiedziach — rzekł Stefan — Opowiadał mi o nich pewien mieszkaniec gór uralskich, gdym był na Syberyi. Zapalony myśliwy, przypatrywał on się nieraz niedźwiedziom, których jest dość w owych górach. Otóż mówił, że niedźwiedzica chodzi przez całe lato ze swemi młodem, a w jesieni porzuca młodą samiczkę, i tylko samczyka zostawia przy sobie. Gdy w lutym znowu ma młode, tedy ów jednoroczny samczyk ma obowiązek dopomagać matce w pilnowaniu i pielęgnowaniu małych. Chodzi on razem z niemi i z matką, przenosi młode przez potoki, moczary i w ogóle trudne do przebycia miejsca, pomaga w wyszukiwaniu żywności dla nich, jest jednem słowem ich *piastunem*. Jednoroczne niedźwiedzięta nazywają też piastunami. Raz (mówił mi ów znajomy z Uralu) przechodziła niedźwiedzica z młodem i piastunem przez moczary. Piastun przeniósł najprzód jedno przez moczary, a potem wrócił po drugie. Leez czy to, że już

był zmęczony, czy miał jaką urazę do drugiego, niósł je niechętnie a potem rzucił w pośród moczaru. Widząc to niedźwiedzica zaczęła groźnie ryczeć, więc piastun podniósł znowu młode i doniósł je na drugi brzeg. Wtedy zbliżyła się do niego stara i łapami go dobrze przetrzepała, karząc go widocznie za lenistwo czy niechęć do rodzeństwa. Mówią, że tylko jedna odmiana niedźwiedzi ma takich piastunów; przynajmniej od naszych myśliwych nie słyszałem o tém.

— A więc i w tém jest skazówka dla ludzi — rzekł Zarebski. — Jeżeli starsi bracia i siostry w rodzinie mało dbają o młodsze rodzeństwo i nie pomagają matce w pielęgnowaniu tegoż, dobrzeby im było przypomnieć, że niedźwiedziąta młode są lepsze od nich, i że wstydzić by się powinny tego, iż miłość braterska serc ich nie napełnia.

Kupiec, który przez cały czas przysłuchiwał się tylko uważnie powyższej rozmowie, rzekł:

— I ja czytałem co nieco w opisie pewnej podróży o przywiązaniu zwierząt do swych młodych. To, co powiem, tyczy się także niedźwiedzi, ale zupełnie odmiennych niż nasze, t. j. wielkich niedźwiedzi białych, które żyją na wybrzeżach mórz lodowatych północnych. Pewien okręt angielski, wysłany na te morza, zamarzył. Załoga okrętu była właśnie zajęta wytapianiem tłuszczu z ułowionego wieloryba, gdy wtém zbliżyła się niedźwiedzica z dwojgiem dorastających już młodych,

a zwabiona zapachem topiącego się tłuszczu, wpadła na ogień, i porwała spory kawał mięsa, którego wszystko troje zaraz chciwie pożarły. Widząc to majtkowie, poczęli rzucać kawałki mięsa z okrętu. Niedźwiedzica brała je i zanosiła młodym, zostawiając dla siebie tylko małą cząstkę. Gdy ostatni kawałek zabrała, strzelili majtkowie do niedźwiedziat i zabili je, a matkę ranili. Spostrzegłszy to niedźwiedzica, zaczęła tak żałośnie ryczeć, że aż wzięli się majtkom żal zrobiło. Załedwie sama mogła się wlec w skutek postrzelenia, lecz przecież dowlekleła się do młodych, rozdzierała mięso i kładła przed nimi. Widząc, że się nie ruszają i nie chcą jeść, próbowała postawić je na nogi i wydawała przytém rozdzierające ryki. Odeszła cokolwiek i znowu powróciła i lizła rany zabitych, a gdy i to nie przywracało im życia, podniosła głowę, zwróciła zwrok ku okrętowi i ryczała, jak gdyby chcąc wyrazić swoją boleść i rozpacz. Majtkowie zlitowali się i dobili ją świeżemi strzałami. Padła, i wydając ostatnie tchnienia, lizła jeszcze rany niedźwiedziat.

Dziwną też rzecz czytałem o *kaślaniu*, czyli wydrze morskiej, która do naszej wydry jest nieco podobna. Żyje ona na północnych wybrzeżach Ameryki i daje drogocenne futro. Samica nosi swoje młode w pysku, gdy jest jeszcze małeńkie; śpiąc trzyma je między przednimi łapami i nigdy się z niem nie rozstaje, nawet gdyby była w niebez-

pieczeństwie o własną skórę. Gdy jęj kto zabierze młode to skomli jak pies i biegnie za tym, co je zabrał. Pewien myśliwy wziął był młode kilku takim wydrom i ukrył się z niemi opodal w śniegu. Z żałośnym krzykiem przybiegły do niego stare, chcąc je odebrać. Myśliwy uniósł jednak młode, a gdy po ośmiu dniach znowu na to samo miejsce powrócił, znalazł tam jeszcze jedną ze starych wyder. Smutna i na pół żywa pozwoliła się ona spokojnie zabić, a myśliwy spostrzegł z zadziwieniem że była wychudła jak szkielet.

Te powieści o białym niedźwiedziu i morskiej wydrze, zajęły najbardziej naszych znajomych. Podziwiano mądrość Stwórcy który takim uczuciem obdarzył zwierzęta, a gorszono się tymi nieludzkimi chłopcami, co to lubią bez powodu pastwić się nad zwierzętami, wynajdując dla nich najsroższe męczarnie.

— Takich chłopców — mówił Tomasz — surowo karać należy, bo gdy się do srogości przyuczają na zwierzętach, to później nie będą mieć serca i dla ludzi. Wprawdzie człowiek, potrzebujący mięsa zwierząt do swego wyżywienia, musi niektóre zabijać, lecz zmusza go do tego potrzeba własnego utrzymania. Ale kto męczy zwierzęta bez celu, tak sobie, dla igraszki i nie ma ucha na ich jęki żałosne, i znajduje przyjemność w widoku, gdy się wiją z boleści, temu warto ochotę do zabawy takiej wypędzić leszczynowym prętem...

— *Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło!* — dodał Górka.

Na tém przysłowiu urwała się rozmowa, gdyż całe towarzystwo stanęło właśnie przed chatą leśnego. Była to chata nie wielka, a otoczona całą wysokim, chruścianym płotem. We wrotach stał staruszek zgarbiony, pomarszczony, z siwemi włosami i brodą białą jak mléko. Był to leśny imieniem Maksym.

— Jak się macie Maksymie! — zawołał Stefan, zbliżając się do starego.

— Ot, dzięki panu Bogu, trzyma się jeszcze skóra starych kości — odparł Maksym z łagodnym uśmiechem.

— Prowadzę wam gości, mój stary — rzekł Stefan.

— *Gość w dom, Bóg w dom!* odpowiedział Maksym z pokłonem i usunąwszy się na bok przepuścił naszych znajomych przez wrota.

Przyjęcie leśnego było bardzo gościnne; dla pokrzepienia gości zastawił na stole chléb, masło i piękny wonny plaster miodu, którego miał dosyć z kilku pni, postawionych wraz z ulami Stefana w przytykającej do obejścia małej, ogrodzonej pasiece. Żona staruszka (bo było ich tylko dwoje) zachęcała do jedzenia i przepraszała, że nie mają lepszych przysmaków.

Cała ta, ukryta w pośród borów chata, wyglądała już z zewnątrz jak zaczarowana, lecz je-

szcze dziwniejszą okazała się, gdy nasi znajomi zaczęli się w około rozglądać. Po małym podwórku chodził kruk ulaskawiony, a udając kaszel, szczekanie psa i gadając rozmaite rzeczy, bawił się bardzo figlarnie z niewielkim, rudawym kundlem. W dobrej zgodzie z niemi żyła wielka, dobrze wyżywiona kotka, która teraz zadarłszy ogon lasiła się do gości i na około nich chodziła.

Wszystko to zajęło tak naszych znajomych że pożywiwszy się, wyszli na podwórko, ażeby się z krukem zaznajomić i wynieśli mu kawałek mięsa, które gospodyni miała dlań w pogotowiu. Kruk jadł mięso i był taki grzeczny że mówił im „dobrywieczór“ i „dzieńdobry,“ udawał kaszel Maksyma i Maksymowej, i tysiączne wyprawiał figle. Teklusia nie posiadała się z radości i nie mogła się wydziwić rozumowi kruka.

— Dawno już macie tego ptaka? — zapytał kupiec Maksyma.

Sam już nie pamiętam — odparł zapytany — ale zawsze więcej niż 15 lat. Bardzo to mądry, przebiegły i niezmiernie ostrożny ptak, ma jednak swoje złe nałogi, zwyczajnie jak kruk. Cały dzień przemyśla tylko nad tém, aby coś złapać, ukraść i schować.

— Niedarmo też przysłowie mówi o dobrym złodzieju, że „kradnie jak kruk“ — wtrącił Górka z uśmiechem.

A kruk, jakgdyby rozumiał co o nim mówią

i chcąc potwierdzić ich słowa, chwycił dzióbem zlekką pierścionek na palcu kupca, który mu mięso podawał, i próbował czy się nie da zdjąć.

A, patrzcie na złodzieja! — zawołał wesoło Niedzielski — już się zabiera do złota.

Ba, gdyby mógł — odezwał się Maksym — toby zaraz wziął i zaniósł gdzie do dziupła w drzewie. Zrobił on raz pięknego figla! Kilka lat temu odpoczywał tu u mnie arendarz, wracający z miasteczka. Nie chciał on wierzyć, że kruk zabiera srebrne i złote rzeczy i pokazał mu nowego cwancygiera. Kruk wziął go chciwie i schował do wola jak do sakiewki. Arendarz myślał, że to żarty, śmiał się i czekał co z tego będzie. Nareszcie znudziło mu się, zaczął za krukami uganiać, chcąc mu zdobyć odebrać, ale kruk nie oddał, a nie mogąc uciec i schować pieniędzy, połknął. Zapłacił mu więc arendarz cwancygiera za naukę.

Uśmieli się wszyscy z téj przygody i dalej bawili się krukami, gdy w tém odezwał się w górze dzwonek i ze zrębu chaty z pod strzechy, zleciał na ziemię wielki, piękny puhać z dzwonkiem na szyi.

Kobiety przelekkły się tego zjawiska, myśląc że to jakie czary, lecz Maksym zawołał na puhać, który doń zaraz przybiegł i brał z jego ręki pożywienie, a potem się z nim bawił, biegał jak pies za rzucanemi trzaseczkami i przynosił je, a wyrabiał przytem najpocieszniesze miny. Był to

ptak wielki i piękny, głowę miał większą niż u kota, oczy wielkie, pomarańczowe i błyszczące jak dwie szpinki, na głowie dwa wysokie, żółtawo stryszkowane kosmyki piór, dziób krótki, czarny, hakowaty, nogi upierzone aż po ostre i mocno zakrzywione pazury, upierzenie sute barwy czarno-żółtej z czarnymi płomykami, spodem jaśniejsze z ciemnymi prążkami.

— A to zabawny dziwoląg! — zawołał kupiec.

— Zkądżeście wzięli tego puhacza? — zapytał Górka.

— Dostałem go z gniazda w niedalekich ztąd skałach — rzekł Maksym. — Był jeszcze w puszkiach gdy go przyniosłem; karmiłem go myszami, srokami, wronami, wykarmiłem i ułaskawiłem. Jest on wyratowany od śmierci, bo stare puhacze strzelam gdzie nadybię, a strzelam nie dlatego żebym się ich bał, lecz że są wielkimi szkodnikami. Taki wielki puhacz jest silny, dużo pożera, a w dzikości bardzo krwi chciwy i drapieżny. Poluje w nocy na zające i małe sarnięta, łapie kuropatwy, jarzabki i inne ptactwo bije chciwie na drób, jeśli się gdzie z nim pod noc spotka. Wszystkie inne sowy i sówki są bardzo przyteczne, i źle robi ten, co je tępi, gdyż je raczej ochraniać potrzeba. Tępią one niezmierną ilość polnych myszy i oddają tém wielką usługę rolnikowi. Ten żarłok tylko na myszkach nie poprzestaje — dodał Maksym grożąc palcem puhaczowi — lecz że teraz

dobrze jest wychowany i dostaje potroszę pożywienia w domu, więc odwykł cokolwiek od nocnych rabunków. Czasem nawet to mnie wyręcza w służbie leśnego — rzekł Maksym po chwili z łagodnym uśmiechem.

— A to jakim sposobem? — zapytał żywo Niedzielski.

— Lata on sobie koło domu — opowiadał Maksym — a nieraz pod noc zapuszcza się w głąb lasu, rozumie się, że zawsze z tym dzwoneczkiem, który mu około szyi obwiązałem. Otóż raz trafiło się, że z sąsiedniej wsi wybrał się pewien gospodarz (nie powiem już który) nocą do lasu, aby nabrać, czyli po prostu mówiąc nakraść drzewa. Ja wprawdzie chodzę po lesie i dniem i nocą i pilnuję jak mogę, lecz gdzieby tam ludzkie oko zdolne było wyśledzić każdego szkodnika, zwłaszcza w nocy. Jakoż i o tym złodzieju byłbym nic nie wiedział, gdyby nie mój puhacz. Wyleciawszy w las, a słysząc jakiś ruch koło sągów, poleciał w tę stronę. Złodziej nie wiedział nic o nim, więc jak usłyszał dzwonek, jakgdyby w czasie podniesienia w kościele i ujrzał przytem ogromne sówsko, przeląkł się niezmiernie; włosy mu na głowie z przestachu stanęły, porzucił wszystko i uciekł. Z przerażenia rozchorował się śmiertelnie i dopiero po kilku tygodniach wrócił do zdrowia, a teraz się już nigdy do cudzych lasów po drzewo nie wybiera.

— Ba, mógł się przestraszyć — rzekła Tomaszowa — bo sowy to podobno śmierć przepowiadają — choć ja temu nie wierzę.

— Moja pani — rzekł stary leśny, kiwając głową z pobłażaniem — Bóg jeden naznacza termin śmierci i nie potrzebuje hukania sów ani krakania wron i kruków, ażeby człowieka do siebie przywołać. I mnie o tém mówiono, gdym był mały, i ja w to za młodu wierzyłem, ale mnie długie życie nauczyło, że to jest zabobon brzydkie i szkodliwy, wymyślany i rozszerzany tylko przez takich ludzi, co mając nie czyste sumienie, obawiają się stanąć przed obliczem Boga. Kto kocha Boga i cnotę, ten musi kochać i cały świat boży i wszystkie stworzenia, które z ręki bożej wyszły. Taki człowiek nie będzie sobie tłumaczył nienawistnie głosu ptaków, i nie będzie się ich obawiał, gdyż on każdej chwili gotów jest zdać rachunek z życia swego przed Stwórcą. Ileżbym to ja razy musiał być umrzeć, gdyby mi każda wrona śmierć była wyróżyla! Co dzień tu hukają i kraczą nademną, a przecież trzyma mnie jeszcze pan Bóg na téj ziemi. Gdy on mnie zawoła, wtedy pożegnam słońko i las mój i moje ptaki, i pójdę przed tron Jego.

Po tych pięknych słowach starego Maksyma cisza zapanowała w całym gronie. Każdy patrzył z poszanowaniem na staruszkę, który należał już więcej do nieba niż do ziemi, i dlatego jasno sprawy ziemskie sądził.

Lecz Stefan ciekawy był jeszcze oglądać swoje ule, przerwał więc milczenie, i na jego wezwanie skierowali wszyscy kroki ku pasiece. Czekala tu naszych znajomych świeża niespodzianka. Maksym świsnął, a na to hasło z budki, będącej wejściem do podziemnej nory, wybiegła para borsuków.

— A toż co znowu! — zawołał kupiec — czy także wasze wychowanki?

— Tak jest mój panie! — odparł Maksym — są to borsuki, które wychowałem od małego, dlatego się domu trzymają i znają mnie jak psy. Widziałeś pan borsucze futerka na torbach, których myśliwi używają. Otóż to futro z takich jak to bestyjek, lecz tych — dodał Maksym głaszcząc borsuki — nie dałbym zabić, gdyż mnie kochają.

— Dużo tu borsuków w waszych lasach? — zapytał Zarębski.

— Trafiają się lecz nie bardzo często. Chcąc je zresztą łowić, trzeba mieć dobre i odważne jamniki, bo to biedactwo zakopuje się głęboko w ziemię i cały dzień w norze przesypia a pod noc dopiero na żér wychodzi. Żywi się korzeniami, bukwią i innymi owocami, łowi myszy, żaby, węże i żmije, których ukąszenie, tak jak i jeżowi wcale mu nie szkodzi, zabięra się czasem i do młodych zajączków. Wietrzy także z daleka padlinę i znosi ją kawałkami do swęj nory. W jesieni tyje bardzo, częśc zimy przesypia, lecz gdy czas łagodniejszy to wychodzi za żerem. Nory borsuków bardzo

są zmyślne. Do każdej prowadzi kilka wchodów, tak, że gdy jamniki nie wszystkich pilnują, łatwo im uciec. Napadnięty przez nie, wywraca się na grzbiet i broni się zajadłe zębami i pazurami. W norze wykopuje sypialnię i miękko ją wyściela, prócz tego osobną jamkę na zapasy żywności i osobną na odchody. Te moje borsuczęta także sobie swoją norę wygrzebały; nie wiele im pomagałem i daję czasem wiązkę siana na pościółkę, którą sobie same do nory zawlekają. Wychodzą czasem poza pasiekę, lecz wracają. Wieczór, przy świetle księżycy igrają bardzo wesoło; szczeją jak małe pieski, mruczą, gonią się i tysiączne gzy wyprawiają,

— I te wszystkie zwierzęta żyją u was zgodnie? — zapytał kupiec.

— Wszystko w zgodzie — odparł Maksym — i dla czegożby się miały kłócić lub napadać? Wszystkim dobrze, o wszystkie dbam zarówno. Tylko w dzikości napadają na siebie zwierzęta, czyto z głodu czy we własnej obronie. Lecz tu, gdy głodne, to jeść dostaną. Na cóż ich zresztą wychowałem i ułaskawiłem? Na to, żeby nabrały lepszych obyczajów i zgodny wiodły żywot. Nie dał nam pan Bóg dzieci, a przecie do czegoś musi się człowiek przywiązać. Polubiłem więc te zwierzętka i lubię wszystkie, czy to na wolności, czy oswojone. Żyjąc od kilkadziesiątu lat w tym lesie, znam sposób życia wszystkich prawie tych zwie-

rzą, które tu ze mną żyją. Wiem, gdzie przebywają, czém się żywią, jak się gnieźdzą, rozumię ich głosy, sam je wabię, a może też i one mnie rozumieją. Spiew każdego ptaszka poznam, tak jakby do mnie mówił dawny znajomy.

— I zkadże wyście przyszli do téj nauki? — zapytał Zarebski.

— Mój panie, — rzekł stary leśny — kto pokocha ten świat boży, ten w nim wiele takich rzeczy zobaczy, jakich kto inny nie ujrzy, wiele, bardzo wiele nauczy się i zrozumie.

— Zaiste — rzekł nauczyciel, zwracając się do całego grona — chata tego staruszka i żwiérzeta, które w niej mieszkanie znalazły, to dziwnie piękny przykład dla ludzi, aby żyli między sobą w zgodzie i miłości. Ale to między ludźmi złości, nienawiści, procesów i bójek! Każdy człowiek nie gorzej przecież wychowany, niż którekolwiek z tych zwierząt, a przecież się nieraz zapomina i w grzech popada. Wieśniak siermiężny zazdrości nieraz bliźniemu, który chodzi w czarnym surducie, brat nie ufa czasem bratu, gdy mają się dzielić ojcowską spuścizną, tutaj rozdziela nienawiść dwóch ludzi dlatego, że inną wyznają religię, że każdy inaczej pana Boga chwali. Kiedyż to przyjdzie do tego, że każdy człowiek uzna w drugim swego bliźniego i tak go pokocha jak Chrystus nakazał?

— Niech ludzie zwracają duszę ku Bogu i oświecają nauką swój umysł, a będzie im lepiej — rzekł stary leśny.

Wszyscy uznali prawdę tych słów, Górka szepnął: „*Gdzie zgoda, tam Pan Bóg mieszka!*” i rozpoczęła się żywa rozmowa o potrzebie nauki i poprawy obyczajów między ludźmi.

Tymczasem słońce zniżać się już ku zachodowi, a Stefan przypomniał, że czas wracać do domu. Nasi znajomi podziękowali więc Maksymowi i jego żonie za gościnę, pożegnali ich serdecznie i ruszyli z powrotem. Jakie tam były rozmowy po drodze, trudnoby było powtórzyć; każdy był zadowolony z odwiedzin w lesie i każdy przypominał coś ciekawego. Gdy mijali leśniczówkę, nie wstępowali już do środka, lecz przy wrotach żegnali Stefana i Marcysię, dziękując za mile i pożytecznie spędzone chwile.

— Ale, jeszcze coś, mój Stefanie — rzekł Górka gdy sobie ręce podali — byłbym zapomniiał, a to przecież mój główny interes.

— No, cóż takiego? zapytał Stefan.

— Nasza rada gminna uchwaliła — rzekł Górka — ażeby drogi poobsadzać drzewkami. Chcąc dać dobry przykład i zaprowadzić piękny zwyczaj obsadzania dróg drzewami owocowymi, daję ja trzysta ładnych, cztero- i pięcioletnich szczepków. Ale to bardzo mało; trzeba nam znacznie więcej, a wicie, że gmina uboga. Nie chodzi tu o szczepki

owocowe, bo możeby i źle było rozpoczynać od samych drzew owocowych, lecz trzeba nam będzie młodych drzew dzikich, lip, brzozek, brzośców i innych. Otóż nasza rada udała się z prośbą do waszego skarbu, ażeby coś dzikich drzewek na ten cel ofiarował. Pewnie się was o to pytać będą; dorzucicie więc przychylnie słówko i pamiętajcie, że *„dwakroć ten daje, kto rychło daje, a trzykroć, kto ochotnie.“*

— Dobrze, dobrze, będę pamiętał — rzekł Stefan — i ochoty mnie nie zabraknie, aby chodzić koło tego, lecz obiecywać z góry nic nie mogę, bo to nie odemnie zależy.

— Nie trzeba obietnic — zawołał Górka. — *Kto złote góry obiecuje i ołowianych nie da.* Tylko przypominajcie, a myślę, że skarb nam nie odmówi. Choćby nie wiele, a dajcie, my wszystko ochotnie przyjmujemy, pamiętni na przysłowie: *„Lepszy rydz niż nic!“*

Na tém skończyli rozmowę nasi przyjaciele i jeszcze raz uścisnęli się na pożegnanie. „Z Bogiem!“ „Dobréj nocy!“ odezwały się wykrzyki z obu stron. Miejscy goście ruszyli ku domowi i niebawem zniknęli na zakręcie leśnej drożyny.

ROZDZIAŁ XIX.

O niektórych osobliwościach obcych krajów.

W ciągu rozmowy przy powrocie z leśniczówki wygadał się Niedzielski, że ma w domu książkę, w której są opisane przygody podróżników z drapieżnymi zwierzętami, a między innymi ciekawe polowanie na lwa. Nie potrzebował tego dwa razy powtarzać; Górka, Tomasz i nauczyciel pochycili skwapliwie tę wiadomość i zaprosili się do niego na najbliższą niedzielę, ażeby opis owego polowania przeczytać.

Jakoż stawili się w niedzielę zaraz po nie-
szporach. Niedzielski wydobyl książkę, i podał ją nauczycielowi. Opisy przygód podróżnych były w niej skreślone przez pewnego europejskiego kolonistę, osiadłego w kraju, leżącym na południowym krańcu Afryki, t. j. nieopodal „przylądku dobrej nadziei.“ Zarębski otworzył książkę i tak czytał:

— „Lew, który mi już był porwał kilka owiec z pastwiska, rzucił się pewnej nocy na mego wierzchowca i zagryzł go bardzo zuchwale, nie

dalej jakna sto kroków, od naszego pomieszkania. Rozgniewało mnie to niesłuchanie; ponieważ zaś wiedziałem, że jeśli lew zaraz swój zdobyczy nie uniesie, to czeka ukryty w pobliżu, ażeby ją zabrać w stósowniejszej porze, więc postanowiłem go wyszukać i srogo się na nim zemścić za biédnego wierzchowca. Wysłałem natychmiast posłańca do sąsiadów okolicznych, zapraszając ich na polowanie i to bezzwłocznie. Nie minęła godzina, stawiło się kilku ochotników konno i dobrze uzbrojonych, na umówioném miejscu. Prócz tego było jeszcze przy mnie ze dwunastu miejscowych ludzi z plemienia Hotentotów, którzy ten kraj zamieszkują. Nie miałem ich w prawdzie za bardzo odważnych, jednakże mogli się przydać.

Przedewszystkiem należało lwa wytropić. Jakoż z miejsca, na którem leżał koń zagryziony, puściło się kilku hotentotów przez trawy, żwir i zarośla, i w istocie wytropili go w nieprzebitéj gęstwinie krzewów i drzew o ćwierć mili od folwarku. Teraz chodziło o to, ażeby lwa wyruszyć z legowiska i wspólnemi siłami na niego uderzyć. Najlepiéj jest w tym celu tak długo psami go niepokoić, dopóki się nie ruszy i nie wyjdzie na otwarte pole. Puściliśmy też psy, lecz lew mało się tém troszczył i nie wychodził z gęstwiny. Widząc to, rozdzieliliśmy się na trzy oddziały, i objeżdżaliśmy legowisko strzelając do zorośli, lecz wszystko nadaremnie. Na téj próznéj strzelaninie ubiegło

parę godzin; trzech też z moich sąsiadów, rodem ze Szkocyi, zniecierpliwiło się tém, i oświadczyli, że skoro lew do nich nie wychodzi, to oni pójdą do lwa. Przyłączyło się do nich trzech hotentotów, którzy wybornie strzelali, i poszli.

Lew był istotnie w gęstwinie; o jakich 15 do 20 kroków leżał pod wielkiem drzewem, a myśliwi widzieli chwilami iskrzący jego wzrok z pomiędzy liści. Postawiono więc hotentotów na stanowisku z bronią w pogotowiu, a odważni szkoci posunęli się naprzód. Lecz niestety pomylili się; zamiast do lwa, podeszli ku wielkiemu głązowi, który ich uwiódł swą czerwoną barwą, podobną do maści lwa. Jeszcze się nie zdołali odwrócić, i naprawić pomyłkę, gdy wtém lew, który istotnie leżał nieopodal, skoczył z miejsca jak strzała i ryknął straszliwie. Hotentoci stchórzyli; zamiast strzelić, uciekli na łeb na szyję, pozostawiając Szkotów z wystrzeloną bronią. I ci zamierzili się schronić, lecz lew stanął jednym skokiem przy nich i potężném uderzeniem łapy powalił najbliższego na ziemię. Dreszcz przeszedł nam po kościach; na powalonym człowieku stał lew, spoglądał na nas z dumą i przeświadczeniem o swęj sile, i był w tej chwili rzeczywiście wspaniałym królem zwierząt. Staliśmy bezradni o 50 kroków od niego, lecz nie było można strzelać, bo mogliśmy trafić obalonego, lub którego z tych, co ku nam uciekali. Wszystko to trwało tylko chwilę.

Szcęściem dla nas, lew, popatrzywszy przez kilka sekund, postanowił widocznie dalej się z nami nie zapuszczać, gdyż odwrócił się powoli i spokojnie, odrzucił przed siebie ujadające psy jak szczury, i spokojnym krokiem wrócił przez gęstwinę ku góróm.

Pierwszą rzeczą było teraz dać pomoc powalonemu Szkotowi. Na szczęście nie był on zbyt mocno uszkodzony; miał parę zioberek złamanych i ranę powstałą z zadrapnięcia. Opatrzywszy go więc puściliśmy się natychmiast za lwem. Niebawem spotkaliśmy się z nim; stał nad brzegiem strumienia, psy naszcekiwały w około niego, lecz nie podchodziły bliżej, bo nasz nieprzyjaciel ryczał przeraźliwie i bił bezustannie ogonem, co było oznaką bardzo złego humoru. Hotentoci zaszli mądrogę od gór i usadowili się w załomie skały, z kąd mogli lwa bardzo dobrze śledzić. Drugi oddział stanął po przeciwnej stronie doliny. Tym sposobem dostał się lew pomiędzy dwa ognie i miał odcięty odwrót. Rozpoczęliśmy strzelać i niebawem padł nasz groźny nieprzyjaciel, przeszyty kilka kulami. Był to lew zupełnie wyrosnięty, liczący 5 do 6 lat; od nosa aż do końca ogona mierzył dwa sążnie.

Po jakimś czasie pojawił się znowu w naszej okolicy lew. Tym razem wyszedłem sam, tylko w towarzystwie jednego hotentota. Była może 9 godzina wieczorem, gdy od drugiego brzegu po-

toka, doszedł nas ryk lwa. Stałem o jakie sto kroków od rzeki; chwyciłem sztuciec, a przykleknąwszy i zwróciwszy oczy ku wodzie byłem gotowy do strzału. Już mi się czas wydawał za długi, gdy w tém prosto przedemną z ponad samego brzegu doszło mnie długie, chrapliwe westchnienie i parawlich oczu, jak żarzące węgle, błysnęła w ciemnościach nocy. Na ten widok skrzepła mi niemal krew w żyłach i pot wielkimi kroplami wystąpił na czoło. Wyciągnąłem z pochwy nóż myśliwski i zatknąłem w ziemię, chcąc go mieć na wszelki wypadek pod ręką. Lew schodził ku wodzie. W cichości poleciłem duszę Bogu i już całkiem spokojny położyłem palec na cynglu. Usłyszałem pierwszy plusk w potoku i potem nic — cisza. Czy stanął, czy pełza ku mnie? Zadając sobie to pytanie, starałem się przebić okiem ciemności nocy, lecz nadaremnie. W tém zdało mi się, że słyszę go bardzo blisko od lewego boku. Tak jest, był to lew. Gdym się zwrócił, stanął; byliśmy od siebie może na pięć kroków; jednym skokiem mógł mnie dosięgnąć. Zmierzyłem na chybi trafi, bo w ciemności nie mogłem dojrzeć nawet końca lufy, pociśnąłem, strzeliłem. Przy błysku strzału mignęła mi się tylko przed oczami wielka, czarna postać zwierzęcia. Równocześnie rozdarł powietrze straszliwy ryk. Dzięki Bogu! lew był trafiony. Jęcząc przeraźliwie powłókł się ku potokowi i słyszałem jak się tarzał w mule nadbrzeżnym. Po chwili

wszystko ucichło. Będąc pewny, że lew jest śmiertelnie raniony i dogorywa, wróciłem do domu.

Całą noc prawie nie zmrzyłem oka. Rychło świt, przybyliśmy nad potok, szukamy lwa, niema. Pozostała tylko znaczna kałuża krwi i drzazga z pieszczela. Nie można było szukać go za śladami krwi, gdyż gubiły się w potoku; lecz przybyli w znaczniejszej ilości hotentoci postanowili wytropić go w sąsiednich zaroślach. Nie upłynęło i pół godziny odezwały się strzały i ryk. Rozjuszony lew wypadł i mimo bólu strzaskanéj łapy z taką gwałtownością rzucił się na napastników, że ci, będąc na koniach, tylko szybką ucieczką przerażonych koni zdołali się uratować. Wtedy zsiadłem z konia i z kilku pieszo przybyłymi hotentotami postanowiłem uderzyć na lwa, który tymczasem schronił się na powrót do gęstwiny. Jeden z mych towarzyszy posunął się naprzód i zaczął się; my pozostali w odwodzie. Za długo jednak kazał nam lew czekać; zniecierpliwiło to tego zucha, co poszedł naprzód, więc rzucił kamieniem między krzaki, gdzie leżał nasz nieprzyjaciel. W téjże chwili rozstąpiły się gałęzie i wypadł lew; skoczył raz, lecz w chwili gdy do drugiego skoku się sposobił, nasz zuch wypalił i trafił lwa powyżej prawego oka, tak, że padł. Jużemy byli pewni że nie żyje, wtem potworny zwierz spał się jak koń stający dęba i całym cielskiem rzucił się na zabójcę. Chwila była okropna; lecz nasz zuch wy dobył w okamgnieniu

nóż myśliwski, i téjże chwili, gdy lew padał na niego, wraził mu go w serce aż po rękojeść. Tym razem był już zwierz niewątpliwie zabity. Okrzykiem zwycięstwa powitaliśmy odważnego hotentota, a gdyśmy lwa oglądnęli, przekonaliśmy się, że kula wcale mu czaszki nie zgruchotała, lecz owszem spłaszczyła się na niej. Zamiast kuli, wydobyliśmy blaszkę, tak cieńką jak dziesięć kartek papieru.

A to straszny zwierz! — zawołał Górka, gdy Zarębski przestał czytać — dobrze, że go u nas nie ma. Ale mieszkańcom Afryki nie mało on szkód wyrządzi.

Lew żyje nietylko w Afryce — rzekł Zarębski — przebywa także w cieplejszych krajach Azji, a dawniej znajdował się także i w Grecyi. Już to w ogóle w dawniejszych czasach był o wiele liczniejszy niż teraz, gdyż go znacznie wytępiono. Przed tysiącem kilkuset laty, sprowadzali cesarze Rzymscy znaczną ilość żywych lwów i wyprawiali z nimi igrzyska w wielkich zabudowanych cyrkach, w obliczu tysięcy ciekawych. Jeden z tych cesarzów wyprowadził naraz 400 lwów, inny zgromadził ich aż 600. Można sobie więc wyobrazić, jaka mnogość tych zwierząt przebywała podówczas w Afryce, zkąd je sprowadzano. A ile to ludzi musiało ginąć przy łowieniu! Czasem skazanych na śmierć dawano także w okrutny sposób lwom na pożarcie. Wiecie np. z historii świętej, że tak rzucono Da-

niela między lwy, lecz za wolą Boga wyszedł z pomiędzy nich cały.

— Mnie się zdaje — odezwał się Tomasz — że teraz w ogóle mniej się trafia dzikich i drapieżnych zwierząt niż dawniej. Jeszcze ja od starszych ludzi słyszałem o wilkach, jak napadały tu i owdzie całemi stadami, o dzikach i niedźwiedziach, które nie były wcale rzadkiemi. Bywali wprawni myśliwi, co u nas za nosy wilcze dość pieniędzy przez rok w urzędzie zbierali. Teraz mniej jakoś tego wszystkiego. Wszakci dawniej bywały w lasach polskich wielkie żubry, których teraz podobno już tylko niewiele w puszczy białowieskiej się pojawia; bywały i łosie z rosochatemi rogami, będące już dziś rzadkością na Litwie; bywały i bobry także dziś bardzo rzadkie w cichych ostępach lesistych nad rzekami, a w naszych dobrach górskich pojawiał się krwiożerczy ryś, którego teraz mało kto już zna. Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają, i tak się zdaje, jak gdyby także zwierzęta się zmieniały. Jedne ustępują miejsca drugim.

— I nic w tém dziwnego! — rzekł Niedzielski. — Ród ludzki zozrasta się coraz bardziej, wycina puszcze leśne, spuszcza jeziora, osusza bagna i wypiera coraz bardziej dzikie zwierzęta z najskrytszych swych legowisk. Któż znał dawniej koleje żelazne, tyle murowanych gościńców i bitych dróg, które dziś kraj w różnych kierunkach prze-

ryznają? Przemysł wzrasta, handel wzrasta, i ten hałas wzmagającej się cywilizacji ludzkiej płoszy dzikie zwierzęta. Nie tak łatwo już dziś człowiekowi wyżywić się i utrzymać, jak przed tysiącami lat, tém bardziej, że potrzeby ludzkie się wzmożły i nie dadzą się już dziś lada czém zaspokoić. Do pracy stworzony człowiek rozwija coraz większe siły; na szczyty gór, w wnętrzości ziemi, w otchłanie morskie spuszcza się za zyskiem. A gdzie mu nie starczą ręce i zwykłe narzędzia, to wynajduje sztuczne maszyny, które tysiącokrotnie siłę rąk jego potęgują. Łoskot i tartas pracy zalega te miejsca, gdzie dawniej w niedostępnych kryjówkach, w pośród niczem nie zamąconej ciszy legły się najdziksze i najpłochliwsze zwierzęta.

— To prawda, że czasy bardzo się zmieniają — rzekł Górka kiwając głową — i tak wszystko naprzód leci, że trudno uścignąć.

— Złe też robią ci — wtrącił nauczyciel — co mniemają, że wystarczy im tak wszystko robić jak ich ojcowie i dziadkowie robili i tyle wiedzieć, co oni wiedzieli. Kto dziś nie postępuje, ten się cofa. Ci, co naprzód idą, nie będą czekać na niego; przejdą po nim, podepczą go, zostawiają w zapomnieniu i biedzie. A niestety, dużo jeszcze u nas jest takich, co myślą, że mogą pozostać w dawniej ciemnocie, że ani im ani ich dzieciom nie potrzeba nauki ani tej znajomości świata, która uczy, gdzie można co zarobić, jak stać się

użytecznym krajowi. Żle ci ludzie życzą swoim dzieciom, bo je z góry skazują na pogardę i pośmiewisko tych, którzy przez naukę i postęp dążą do lepszego poznania Boga i do lepszego bytu na ziemi.

— Mój Boże! — zawołał kupiec — chyba ślepy nie zobaczy jak się cywilizacja między ludźmi wznaga i jak postępuje. Niezmordowana praca połączona z oszczędnościami pracy dawniejszych pokoleń, tj. w połączeniu z majątkiem czyli *kapitałem*, prawdziwych cudów dziś dokazuje. Ot weźmy np. koleje żelazne! Wprawdzie dawno już myśleli ludzie nad tém, aby wynaleźć jakieś samoruchy, którychby można do spiesznej podróży używać, ale do roku 1829 zawodziły wszystkie nadzieje. Dopiero w tym roku odbyły się próby z wybudowanymi przez różnych majstrów parowozami i okazało się że lokomotywa, którą wybudował Anglik Stefenson wraz z synem jest w stanie za pomocą pary wodnej szybko i mocno ciągnąć wozy po żelaznych szynach. Jakoż dopiero od r. 1829 rozpoczęto tu i owdzie na próbę budować koleje żelazne, a do dzisiaj przypatrzcie się co zdołała wytworzyć niezmordowana praca ludzka w połączeniu z kapitałem. Trudno temu dać wiarę, a przecież tak jest rzeczywiście, że sieć dróg żelaznych na obu półkulach ziemi wynosi dziś przeszło 18,000 mil, tj. tyle, że gdyby je w jednym pasie na około ziemi położono, toby można niemi prze-

szło trzy razy ziemię w koło objechać. A wiecie, ile wybudowanie tych kolei kosztowało? Niesłychaną sumę, wynoszącą przeszło 22,000 milionów złotych wal. austr! I na to wszystko nie potrzebowali ludzie więcej niż 40 lat!

Jedną z najnowszych a oraz i najdłuższych dróg żelaznych, jest droga przecinająca w poprzek całą Amerykę północną i łącząca ze sobą miasta Nowy Jork na wschodniem i San Francisco na zachodniem wybrzeżu. Długość jej wynosi 716 mil, i choć lokomotywa bardzo szybko biegnie, potrzeba jej 7 dób do przebycia całej drogi. Budowę tej olbrzymiej kolei rozpoczęli Amerykanie od obu jej końców, i mieli do zwalzenia niezmiernie trudności. Najprzód natura stawiała wiele przeszkód: trzeba było przetrzebić odwieczne puszcze, w których jeszcze noga ludzka nie powstała, a potem trzeba się było wspiąć na wysokie, skaliste góry i kolej przez nie przetrzeć. Jakoż wybiegają tam wagony kolejowe na wysokość przeszło 8000 stóp, a że tu już śniegi leżą i śnieżne lawiny spadają, więc pokryto całą tę część drogi mocnymi, spadzistymi dachami, po których śnieg się przesuwają i spada w przepaście. Zresztą, gdzie się nie można było wdrzeć, tam przekopywano podziemne korytarze czyli tunele, gdzie przepaść stawiała przeszkodę, tam przez nią rzucono mosty śmiały. Jeden n. p. z takich mostów, zbudowany w całości z drzewa i na liczne piętra

podzielony, ma 63 łokci wysokości, a długość jego wynosi 356 łokci.

Inną ważną przeszkodą były gromady dzikich krajowców, którzy się w puszczech tamtejszych błakają. Opierając się wszelkimi siłami cywilizacyi i jej potężnym budowom, wyrządzali oni rozliczne szkody budującym kolej. To napadali ich zbrojnie, to zrywali szyny, to podpalali. Pewnego razu zapalili las obok kolei, w chwili, kiedy miał pociąg przejeżdżać. Gdy lokomotywa nadbiegła, nie było jej czasu powstrzymać, a niebezpieczeństwo było wielkie, bo pociąg mieścił w sobie znaczny transport prochu. Cóż więc zrobił maszynista? Oto dorzucił ognia pod kociół, podwoił się pary, z niesłychaną szybkością puścił się w otchłań płomieni i tym sposobem uratował siebie i cały pociąg.

Zakończenie tej olbrzymiej pracy obchodzili Amerykanie z wielką uroczystością. Deputowani ze wszystkich prowincyi, i najwyższych władz rządowych zjechali się, ażeby uczcić tę chwilę. W istocie mieli czego się cieszyć, bo kolej ta wielkie ma znaczenie dla całego światowego handlu. Łączy ona dwa oceany t. j. ocean Atlantycki z oceanem Spokojnym, i od tego ostatniego nazwano ją też koleją oceanu Spokojnego. Chcąc dzisiaj ziemię objechać do koła, nie potrzeba trzy lata się poniewierać, jak ongi towarzyszom Magiellana; wystarczyłoby na to 75 dni ciągłej po-

dróży. I tak: z Paryża do Nowego Jorku za pomocą kolei żelaznych i parostatków można się dostać za dni dziesięć; z Nowego Jorku koleją oceanu Spokojnego jedzie się dni siedm do San Francisko; ztamtąd podróż przez ocean Spokojny na parowych statkach do Chin trwa dni dwadzieścia, z Chin do kanału Suez dni trzydzieści dwa, a ztamtąd morzem śródziemném i kolejami na powrót do Paryża dni sześć — i ot macie wszystkiego razem dni 75!

Lecz są jeszcze inne koleje świadczące o wielkiej pracy, przemyślności i nauce ludzkiej. Szczególniej podziemne kurytarze, czyli *tunele*, któremi czy to piesi przechodzą, czy pociągi się przesuwiają, zadziwiają sztucznością i ogromem swęj budowy. W stołeczném mieście Anglii n. p., w Londynie, służy przechodniom zamiast mostu, wielki tunel idący z jednéj części miasta do drugiéj popod ogromną rzekę, Tamizę, po której wielkie okręty z morza aż pod miasto przyływają. Kilka razy przedzierała się tu woda do tunelu, gdy go kopano, lecz wytrwałość ludzka przewyciężyła gwałtowność wody. Rozpoczynana i wstrzymywana, trwała robota przez lat szesnaście, aż nareszcie dogrzebano do drugiego brzegu rzeki. Jak kret zapuścił się człowiek we wnętrzości ziemi, popod łożysko szerokiej rzeki i postawił na swojém. Sztuka budowania tunelów doszła do tego, że nareszcie w ostatnich latach porwano się na

śmiałą rzecz, t. j. przewiercenie dla pociągów kolejowych całej góry w łańcuchu najwyższych gór Europejskich, t. j. w Alpach. Dwa narody, Francuski i Włoski, które rozgradza jeden łańcuch Alp, a w pośród niego potężna góra Cenis, porozumiały się w tej sprawie. Zabrano się do roboty, 10 lat pracowano i przewiercono górę na wylot. Jestto tunel niesłychanej dotąd długości, gdyż ciągnie się przeszło półtorej mili (40.000 stóp) pod ziemią. Pociąg kolejowy potrzebuje pół godziny, aby go przebyć, pieszy musiałby iść półczwarty godziny. Niesłychaną także jest głębokość, w jakiej się ów przekop znajduje. Ponad tunelem wznosi się jeszcze góra do przeszło 5.400 stóp wysokości, tunel więc zarył się we wnętrzu ziemi tak głęboko, jak się dotąd najgłębsze kopalnie nie zaryły. Ponieważ zaś wewnątrz ziemi coraz cieplej jest, im głębiej się w nią zapuszczamy, przeto też w owym tunele panuje bezustanne naturalne ciepło, wynoszące 21 stopni wedle ośmdziesięciu stopniowego termometru (Reomiura).

Wyobraźmy sobie teraz, ilu tu ludziom tak wielkie roboty dostarczają pracy i zarobku! Ile to rzemieślników znajduje utrzymanie, ilu fabrykom dają one bezustanne zajęcie. Pomyślmy sobie tylko jak wielką ilość samego żelaza spotrzebowali ludzie, odkąd zaczęto budować żelazne koleje. Obliczają, że gdyby zebrano szyny wszystkich kolei i kładziono jedną za drugą, toby się utworzyła linia dłuższa

niż oddalenie księżycy od ziemi! A każda z tych szyn przechodziła przez ręce ludzkie, na każdą z nich grzebała ręka ludzka rudę żelazną z ziemi, i przetapiała w piecach na czyste żelazo, każdą z nich kuto i wyciągano we fabrykach.

Podobnie jak z kolejami, dzieje się także z innymi budowaniami i przedsiębiorstwami; coraz większe trudności pokonywa praca w połączeniu z kapitałem, za jej wpływem przychodzą do skutku rzeczy, o jakich się dawniej ludziom ani śniło. Ktoby naprzykład pomyślał, że wągła ręka ludzka zdolną będzie rozdzielić dwie części świata i dwa morza połączyć ze sobą? A przecież i taką rzecz wykonano ostatnimi laty. Przekopano ląd łączący Afrykę z Azją, tj. tak zwane międzymorze Suez, połączono morze Czerwone z morzem Śródziemnym, i otworzono nową drogę handlową okrętom pomiędzy wielkimi portami Europy a Indiami i Ameryką.

— Jużto przyznać trzeba — odezwał się Tomasz — że rozum ludzki rozwija się nadzwyczajnie. Ciekawe to i wielkie prace, o których nam rozprowadacie, ale nie potrzeba się nawet na nie oglądać, aby spostrzedz, że z każdym miesiącem, z każdym dniem niemal postępuje świat na drodze przemysłu i handlu. Ileżto rzeczy wyrabiają za bardzo tanie pieniądze we fabrykach, które dawniej mozolnie trzeba było sobie w domu sporządzać. Widzę ja to i w mojem rzemiośle. Zamówi-

łem np. niektóre narzędzia przez Jasia. Przysłał mi je, a jakie dobre, zręczne i piękne! Widać, że te koleje i telegrafy, przyczyniają się bardzo do postępu. Odległe narody wymieniają między sobą łatwo i prędko swoje płody, udzielają też sobie swoich doświadczeń, pomysłów i wyrobów, i dlatego każda gałąź przemysłu rozwija się i udoskonala jak na drożdżach!

— Ot, teraz trafiliście w samą rdzeń! — zawołał Niedzielski — Tak jest, wzajemne udzielanie się rozlicznych narodów, szybka wymiana płodów, wyrobów i myśli pomiędzy niemi, jest najpotężniejszą dźwignią dzisiejszej cywilizacji. Poznali się na tém ludzie i dlatego starają się wszelkimi siłami jeszcze bardziej tę wymianę popierać. W tym celu już od lat dwudziestu urządzają wielkie światowe wystawy płodów i wyrobów wszystkich niemal narodów, zamieszkujących kulę ziemską. Na wystawie takiej, za małą opłatą, może każdy widzieć, przypatrywać się i porównywać różne przedmioty między sobą, a szczególnie te, które go najbardziej zajmują. Zrozumiecie łatwo, jaka to wielka nauka dla rolnika np. jeśli na wystawie zobaczy i porówna rozliczne odmiany zboża, bydła, narzędzi rolniczych i t. p.; dla stolarza, jeśli ma sposobność przypatrzeć się najrozliczniejszym sprzętom, rodzajom drzewa, narzędziom. Przyrównawszy do okazów na wystawie swoje płody i wyroby, każdy łatwo pozna, czy ma się czem

chwalić czy nie, czy mógłby lepiej robić, gdyby szczerzej rąk przykładął; pozna w czém chybia, w czém powinien zmienić swój sposób pracowania, jak bardzo pomnożyłby swe zyski, gdyby pracę łączył z większą usilnością i postępował za wskazówkami nauki. Już i u nas urządzają gdzieniegdzie takie wystawy, a pożyteczność ich trafia coraz bardziej do przekonania rolników i rzemieślników. Ależ wystawy nasze nie mogą się wniczém równać z owymi olbrzymimi wystawami całego świata, jakie dotychczas urządzano w Londynie, Paryżu i innych wielkich stolicach.

Pierwsza wielka wystawa odbyła się w Londynie w r. 1851. W celu pomieszczenia przedmiotów, które z różnych stron świata przybywały, wystawiono olbrzymi budynek, zajmujący około 15 morgów obszaru, a do 60 stóp wysoki. Lecz jak sądzicie, jak długo budowano ten pałac? — zapytał kupiec.

— No, pewnie kilka lat — odrzekł Górka.

Gdzietam! — zawołał Niedzielski — zaczęto go budować z końcem września 1850 roku, a z początkiem lutego roku następnego był już gotowy. Cała budowa nie trwała więc nawet i pięciu miesięcy! Nie myślcie jednak, iżby to był gmach z ciosu wymurowany; i owszem kamienia w nim prawie nie ma, lecz same żelazo i szkło. Na fundamentach z cegieł i cementu postawiono przeszło 3200 słupów z lanego żelaza, powiązано je żela-

znemi prętami i dano żelazne wiązanie dachu, a wszystko to pokryto grubemi szklanemi tafłami, których musiało być dosyć, bo ważyły około 8.000 cetnarów. Na niektóre tylko belki i ramy do okien użyto drzewa. Tym sposobem wystawiono w niepełna pięciu miesiącach coś w rodzaju olbrzymiej cieplarni (oranżeryi), w której się pomieściły wygodnie i stuletnie wiązy, rosnące na miejscu, obraném na zabudowanie. Lecz nie żałowano pieniędzy i rąk. Przez owe pięć miesięcy pracowało nad pałacem 5.000 robotników, t. j. 2.000 na samém miejscu budowy, podczas gdy reszta przygotowywała we fabrykach składowe części budynku. A sowiec opłacało się to wszystko, gdyż ciekawi przybywali tysiącami z najodleglejszych krajów, aby się przypatrzeć niezmiernym bogactwom przemysłu i handlu całego świata, i podziwiać potęgę ludzkiej pracy.

Za przykładem Londynu poszło wiele innych miast, szczególnie Paryż. W samym Londynie wybudowano do drugiej wystawy w roku 1862 jeszcze większy pałac, a największy, bo przeszło 25 morgów obszaru zajmujący pałac kryształowy wybudowano w Paryżu na wystawę, która się tam odbyła w r. 1867 przy niesłychanym natłoku podróźnych. Otóż wystawy takie wpływają dopiero w potężny sposób na rozwój nauk, rękodziel, przemysłu fabrycznego, pobudzają do świeżych i pożytecznych wynalazków i ożywiają handel. —

Niedzielski przestał mówić i wszyscy czterej się zadumali, rozważając nad tém, do czego to doprowadza praca i nauka ludzka. Nareszcie przerwał milczenie nauczyciel, mówiąc:

— Daleko nam jeszcze do téj potęgi w przemyśle i handlu, lecz da Bóg, i my przecież do tego dojdziemy. Niechno tylko każdy przykładą się za młodu do nauki i zamiężuje pracę, a i my będziemy mieli się czém popisać. Są narody, które niżej od nas stoją w cywilizacyi; i u nas dziś przecież więcej postępu, niż dawniej. Z każdym rokiem choć o krok naprzód się posuwamy; dbajmy tylko o to, żeby się nie zatrzymać, ale raźnie iść naprzód. Stanie się to niezawodnie, gdy przyjdziemy do tego przekonania, że praca koło roli, rękodziela i handel są równie zacnymi zajęciami jak każde inne, i że do nich równie potrzebną jest nauka, jak do sprawowania urzędu, do zawodu duchownego i innych. Nie szczędźmy rąk i głowy, a nietylko staniemy obok tych narodów, co dziś wysoko stoją, lecz je nawet prześcigniemy. —

Na tych uwagach nauczyciela skończyła się rozmowa. Przyjaciele nasi rozeszli się z ugruntowaniem na świeżo przekonaniem, że dobro i pomyślność całego narodu zależy od każdego pojedynczego, od jego pracowitości, nauki i roztropnego pomnażania majątku.

ROZDZIAŁ XX.

**Czwarty list Jasia i wspomnienie o księciu
Józefie Poniatowskim.**

Listy Jasia podobały się bardzo w gronie naszych znajomych; weszło więc w zwyczaj, że gdy tylko list od Jasia nadszedł, zbierali się wszyscy, czytano je wspólnie a potem rozmawiano o tém, co w sobie zawierały. Trudnoby było wszystkie te listy tutaj wydrukować, bo poczciwy Jaś, nie chcąc rodziców milczeniem niepokoić, pisywał dość często, i listów zbierała się już cała paczka; lecz jeden z listów, który już w jesieni nadszedł, tyle znowu ciekawych rzeczy w sobie mieścił, że się go tu powtarza. List ten, czytany w gronie naszych znajomych, (między którymi był nawet przypadkowo Stefan wraz z Marcysią), brzmiał jak następuje:

Najdrożsi Rodzice!

Coraz więcej zwiedzam świata i coraz bardziej kształcę się i nabieram doświadczenia. Wiecie już, że przed pięcioma tygodniami opuściłem Wiedeń. Donosiłem Wam o tém, a później wysłałem także króciutki liścik z drogi. Dziś, mając czasu podo-

statkiem, chciałbym Wam napisać obszerniej o sobie i choć trochę o tém wszystkiém, co tu widzę i słyszę.

Wybierając się z Wiednia w dalszą podróż rozmyślałem nad tem, czy mam iść pieszo tak jak z Krakowa do Wiednia, czy też jechać koleją. Idąc pieszo, poznaje się więcej kraj, ludzi i ich zwyczaje, to prawda; lecz ja wędruję na to, ażeby się jak najwięcej w moim rzemiośle nauczyć, a téj nauki mogą mi dziś dostarczyć już tylko wielkie miasta, wielkie warsztaty i fabryki, gdziebym mógł ujrzyć coś takiego, czegom jeszcze nie widział i nauczyć się wyrabiania rzeczy mi nie znanych i nowych sposobów roboty. Nauczyłem się zresztą już we Wiedniu, jaką cenę ma czas, że czas to pieniądz; uznawszy więc, że niepotrzebnie dużo czasu bym zmarnował na wędrowkę pieszo, i że rozsądniej będzie, gdy zaoszczędzoną gotówką opłacę miejsce w wagonie kolejowym, ruszyłem koleją. Wziąłem bilet do Pragi i tu się najprzód zatrzymałem.

Rozumię się, że wszędzie gdzie się zatrzymuję oglądam przedewszystkiém wyroby, składy i fabryki, które się tyczą mego rzemiosła. Lecz nie sposób iżbym wam to wszystko w liście opisywał. Miejsce na to jest w mojej podróźnej książeczce, którą już prawie całą zapisałem. W niej to opisuję dokładnie wszystkie rzeczy, tyczące się różnych gałęzi stolarstwa, a po części i tokarstwa; tam

wymieniam dokładnie rozmiary rzeczy widzianych, jakość materiału, sposób roboty i t. p., a gdzie tylko mogę, to dodaję, choćby koszlawy rysunek. Muszę Wam bowiem powiedzieć, że we Wiedniu przykładałem się bardzo pilnie do rysunku, i już dziś mogę sobie bardzo łatwo każdą ważniejszą rzecz wyrysować. Patrząc się na nasze piękne rzemiosło za granicą, przyszedłem do tego przekonania, że rysunek jest dla stolarza prawą ręką, i dlatego nie przestaję się w nim ćwiczyć. Otóż w mojej podróźnej książeczce zapisuję i rysuję wszystko, co się tyczy mego zawodu, i pewnie sprawię Ci nią najdroższy ojcze dużo pociechy gdy mi Bóg do was zdrowo powrócić pozwoli. Będziemy się wtedy zastanawiać nad rzeczami które w niej są spisane a ty najdroższy Ojcze, wsparty długoletniem doświadczeniem w naszym zawodzie i znajomością naszych stosunków, najlepiej zdołasz ich ocenić.

A więc będę w tym liście pisać tylko o tém, co was wszystkich zarówno może zająć, skoro mi donosicie, że listy moje (choć nie wiem, czém sobie na to zasłużyły) odczytuje zwykle całe grono znajomych.

Praga, stolica królestwa Czeskiego, bardzo mi się podobała. Jestto miasto wielkie, liczące przeszło 130 tysięcy mieszkańców, i ma na sobie wiele cech starożytności. Jak w naszym Krakowie tak i tu są jeszcze stare, piękne bramy miejskie, a wieże

licznych bo przeszło 60 kościołów sterczą ponad miastem. Wiele piękności dodaje miastu płynąca przez nie rzeka Mołdawa, czyli Wołtawa, do której wrzucono niegdyś Sgo Jana Nepomucena. Gdym patrzył na miasto, na jego poczernione od starości domy i na Wołtawę, przypomniał mi się nieraz Kraków i nasza Wisła. Tem żywsze było jeszcze to przypomnienie, gdym przeszedł po ogromnym kamiennym moście przez Wołtawę i gdym się wy dostał na Hradczyn. Jestto wysoka, gęsto zabudowana góra, a na jój szczycie sterczy wspaniałe gród królewski. Widok z téj góry na miasto i na rzekę jest tak piękny, że aż żal z niej schodzić. Jak na Wawelu Krakowskim, tak i tu obok zamku mieści się pyszna katedra, zapełniona drogiemi dla Czechów pamiątkami narodowemi; jak w naszej katedrze tak i tu królowie, książęta i znakomici mężowie Czech mają wspaniałe grobowce i osobne kaplice, a jak w katedrze krakowskiej złożone są zwłoki świętego Stanisława, tak tu spoczywają prochy św. Jana Nepomucena w pięknym i kosztownym grobowcu. I dla Polaków mają te pamiątki znaczenie, boć przecież między Polską a Czechami częste bywały stosunki; to się czubili, to się kochali, ale zawsze byli i są sobie bliscy, bo pochodzą z jednego wielkiego plemienia Słowian. Miały nawet Czechy i Polska wspólnych panujących, a to raz za Bolesława Chrobrego, który był Czechów podbił, a potem za króla Wacława,

który od r. 1300 przez lat pięć Czechami i Polakami rządził. Żeśmy sobie pokrewnemi szczepami to łatwo poznać po mowie czeskiej. Nigdy ja się jój nie uczył, a przecież po krótkim pobycie w Pradze mogłem już mówiących Czechów co nieco zrozumieć.

W Pradze bawiłem 14 dni i wiele w tym czasie skorzystałem. Ztąd puściłem się na północny zachód do Saksonii i do stołecznego miasta tego kraju, t. j. do Drezna. Połowę drogi przebyłem koleją żelazną, drugą połowę na statku parowym, który tu krąży po wielkiej rzecie Elbie, czyli Łabie, i dowozi aż do samego Drezna, które leży nad Elbą. Podróż na statku parowym jest bardzo przyjemna. Para poruszająca ukryte w bębnoch koła, posuwa statek szybko i jednostajnie; my atoli nie potrzebowaliśmy wiele pomocy pary, gdyż płynąc ku Dreznu, płynęliśmy z prądem wody i mieliśmy w niej pomoc a nie zawadę. Na statku są takie klasy jak na kolei; ci co najwięcej płacą, najlepiej są umieszczeni; mają na wypadek burz i słoty pokoiki czyli tak zwane kajuty w głębi statku. Po największej części przebywają jednak podróżni na pokładzie, czyli na wierzchu statku, który jest galeryjką otoczony, i nakryty w pierwszej klasie płóciennym namiotem, chroniących podróżnych od słońca. Ja jechałem drugą klasą razem z pakunkami, a było mi równie dobrze jak i tym, co pierwsze miejsce zajęli, gdyż czas był bardzo

przyjemny i wszyscy siedzieli i chodzili po pokładzie, pojąc się prześlicznym widokiem wybrzeżów Elby. Płynęliśmy zrazu pośród skał stromych i wysokich lasów, a tu i owdzie przez piękne doliny; potem rozstępowały się wielkie góry, niknęły, i płynęliśmy dalej pośród wzgórz, winnic, miłych osad, schludnych domów i dworków wesołych.

Saksonia jest krajem pięknym i żyznym, w którym mieszka lud przemyślny, porządny i zamożny. Świadczą o tym dobrze uprawne pola, piękne ogrody i winnice, i każdy zakątek ziemi troskliwie spożytkowany.

I Drezno jest miastem bardzo ładnym, czystym i miłym; posiada wiele pięknych pałaców, gmachów, kościołów i ogrodów i mieści w sobie przeszło 100.000 mieszkańców. W zamku królewskim, który można zwiedzać, a zwłaszcza w tak zwanym „zielonym sklepie“ znajdują się wielkie skarby i różne ciekawe osobliwości. Można się tu napatrzeć ogromnej ilości kosztownych wyrobów ze złota, srebra, drogich kamieni, kryształu, bursztynu itp. Jest w nich nie tylko wiele bogactwa, lecz także wiele sztuki, szczególnie rzeźbiarskiej. W innym gmachu, tak zwanym „Cwingerze“, jest sławny zbiór broni, rysztunków i rozmaitych historycznych pamiątek od najdawniejszych czasów, a w innym oddziale gmachu zbiór prześlicznych obrazów. Takich malowideł jak tutaj nie widziałem jeszcze i już nigdy widzieć nie będę. W licznych

pokojach, salach i kurytarzach wisi tutaj przeszło 2300 obrazów, a niemal przed każdym z nich trzeba stać długo i długo mu się przyglądać, tyle jest w nich piękności. Szczególniej jeden obraz, malowany przez sławnego malarza włoskiego Rafaela, a przedstawiający Matkę Boską z Chrystusem na ręku tyle ma w sobie uroku i taka bije z niego świętość, że każdy stoi przed nim jak oczarowany i podziwia potęgę Boga, który pozwolił człowiekowi dojść do takiej sztuki, że pędzlem i farbą odtwarza na płótnie jakoby żywe postacie i wlewa w nie ten urok boski, którym żadem żywy człowiek jaśnieć nie jest godzien. Jak te obrazy są cenione przez ludzi, którzy się znają na nich i umią dopatrzeć w nich bożą iskrę piękności, dość wam powieścić, że za ten obraz Matki Boskiej Rafaela zapłacił król August III. dwadzieścia tysięcy dukatów! Za malowidło sypnął tyle złota co za sporą wieś i nie żałował tego, bo gdy człowiek patrzy w to malowidło, to staje się lepszym, łagodniejszym i duszę do Boga z modlitwą podnosi, a któż tę siłę złotem opłacić jest w stanie?

W tych wszystkich zbiorach, o których Wam tu piszę, są również takie rzeczy, które budzą miłe wspomnienia w sercu każdego Polaka. Między kosztownościami „zielonego sklepu“ można się tu i owdzie spotkać to z wyobrażeniem orła polskiego, ułożonem z dyamencików, to z jakim innem swoim godłem lub wyobrażeniem. W zbiorze zbroi

jest zbroja Sobieskiego, króla Augusta II. i innych, jest pukiel włosów wielkiego wodza naszego Tadeusza Kościuszki i tym podobne pamiątki. Nie dziwcie się, że to wszystko znachodzi się w niemieckim mieście, gdyż Saksonia była także w stosunkach z Polską przez dwóch królów polskich, tj. przez Augusta II i III. Zkąd się to wzięło, to wam najdokładniej pan Zarebski wytłumaczy, bo wie o tém lepiej odemnie.

Powtórzę wam tu jeszcze, co nam opowiadał dozorca galeryi obrazów. Gdy przywieziono do Dreżna sławne malowidło Rafaela, zapragnął je król August III jak najprędzej oglądać. Wypakowano więc obraz i wniesiono do sali tronowej, gdzie król już czekał. Chodziło o to, ażeby obraz postawić w takim miejscu, gdzieby był najlepiej oświetlony; i gdy się pokazało, że najlepszym miejscem byłoby to właśnie, gdzie stał tron królewski, powstało pewne zakłopotanie. Spostrzegłszy to król, powstał z tronu, odsunął go własną ręką i mówiąc: „Miejsce dla wielkiego Rafaela!“ kazał obraz na opróżnionych stopniach tronowych ustawić. Jest w tém najlepszy dowód, że nietylko wysokie urodzenie i znaczne bogactwa są drogą do najwyższego uznania; talent i praca zdobywają dla siebie także najwyższy szacunek i jedyną człowiekowi sławę, która trwa przez wieki. Potężny król czuł się mniej godnym od ubogiego malarza, którego wielkim i silnym uczyniła praca i natchnienie z nieba.

Po dziesięciodniowym pobycie w Dreźnie wyjechałem dalej na zachód, do Lipska, gdzie się obecnie znajduję. Nie odznacza się to miasto starożytnością, ani tak pięknymi budynkami i zbiorami jak Praga i Drezno, lecz jest za to jednym z najhandlowniejszych miast w Niemczech i z tego względu pobyt w nim jest dla mnie bardzo pożyteczny. Tutaj to odbywają się owe sławne jarmarki, na które i od nas kupcy jeżdżą i gdzie handlarze odległych krajów zawierają między sobą umowy na znaczne ilości towaru. Znalazłem i tutaj rodaków i wszedłem z nimi w stosunki, lecz są to głównie „zecery“ tj. ci co składają czcionki w drukarniach. Zdziwicie się zapewne, skąd się tu biorą ludzie téj właśnie gałęzi rękodzielniczej. Otóż trzeba wam wiedzieć, że nie masz może miasta, w któremby tak bardzo był rozwinięty przemysł drukarski i handel książkami, jak w Lipsku. Jak mi mówiono, jest tu obecnie 50 drukarni, a około 100 mniejszych i większych księgarń. Choć to nie należy do mojego zawodu, przecież wiedziony ciekawością zwiędziłem z jednym z nowych znajomych największą tutejszą drukarnię. Jestto w istocie zakład bardzo rozległy i wzbudzający podziwienie. Jak we wszystkich większych fabrykach, tak i tu zastępuje para największą część siły rąk ludzkich. Parowe maszyny obracają kołami 22 pospiesznych pras drukarskich i oddają jeszcze inne usługi w rozmaitych oddziałach tego zakładu. Nie kończy się tu

bowiem na samém składaniu czcionek i drukowaniu. Wszystkie inne potrzeby, połączone z wydawaniem książek i gazet z obrazkami, nutami i t. p., załatwia sobie sam zakład. Rzną tu więc obrazki na drzewie, aby je potem z klocków na papierze odbijać, rytują na stali w tymże samym celu, odłaczają rysunki z płyt kamiennych, na których je rysownik igłą lub tłustą krędką wykonał, odlewają sobie nowe zapasy czcionek najrozmaitszego kształtu i wielkości i t. p. Są to wszystko prace, wymagające rozlicznych wiadomości i niemałej wprawy. Wychodzi też ztąd mnóstwo książek małych i wielkich, z obrazkami i bez obrazków i we wszystkich prawie znanych językach. Wydrukowano także niemało rozmaitych książek polskich, i dlatego można tu zawsze napotkać Polaków między zecerami.

W dzisiejszych czasach, gdzie każdy dąży do tego, aby nabyć jaknajwiększej nauki i jaknajobszerniejszemi wiadomościami wspierać swoją pracę, rozszerzanie nauki za pomocą druku ma niesłychanie wielkie znaczenie. Gdyby nam dziś kto jakim cudem odebrał wynalazek drukowania, wstrzymał by się cały postęp, i cofnęłaby się cała ludzkość do takiej ciemnoty, jaka panowała między narodami wówczas, gdy sztuki drukowania nie znano, i gdy tylko mozolnie przepisywane księgi w rękach niewielu uczonych i księży się znajdowały. Człowiek może myśli swoje objawiać słowem i pi-

smem. Gdyby nie było druku, toby wielkie często-
kroć i dla całego rodu ludzkiego zbawienne myśli
uczonych mężów przebrzmiewały tylko w słowach,
lub butwiały gdzie w jednym odpisie. Tymczasem
druk roznosi je po wszystkich krańcach świata;
tysiące ludzi zagłębia się w tych myślach, aż na-
reszcie, jak ziarno na urodzajną glebę, padnie
gdzieś książka na innego człowieka rozumnego,
który z wielkiej myśli inną jeszcze większą wy-
snuje, lub wyprowadzi z niej jaki wynalazek po-
żyteczny i stanie się dobroczyńcą całego rodzaju
ludzkiego. Jakoż wynalazkowi druku zawdzięcza
głównie swój postęp nasza cywilizacya.

Znają się na tém dobrze Niemcy; wiedzą, że
czytanie dobrych książek przynosi człowiekowi
bardzo wiele pożytku i zaraz takie książki rozchwy-
tują. Dlatego też kwitnie handel księgarski i dru-
karski przemysł. Żal mi napełnia serce, gdy sobie
pomyślę, jaka to w tém różnica między Czechami
i Niemcami a nami. Słyszałem w Czechach a tu
mi mówią to samo, że rzadko trafi się wieśniak,
któryby nie umiał czytać, któryby nie kupował lub
nie pożyczał książek pożytecznych, pomnażających
jego wiadomości w sprawach gospodarskich i da-
jących mu ciekawe opisy świata. Gdym się o tém
dowiedział, a wreszcie sam naocznie przekonał,
przestało mi być tajno, zkad się bierze między
ludem tutejszym taki dobrobyt. Wprawdzie jeden
i drugi wyda co roku parę złotych na książki i

gazety, lecz nabyty rozum stokrotnie ten wydatek powraca. Każdy, zajmując się w święta i wolne chwile czytaniem, wie jak to mówią: „co w trawie piszczy“, i nie tylko że się nie da oszustom w pole wywieźć lub wystawić się na pośmiewisko, lecz owszem sam się dobrze obliczy, wie co gdzie sprzedać, a co gdzie jak kupić, patrzy swęj korzyści i dobrze na tém wychodzi. Rozchodzą się też książki w Niemczech w niezmiernęj ilości. Gdy książka dobra i pożyteczna, to sprzedają jęj 30 i 40 tysięcy odbić, a po paru latach już znowu świeży robią nakład. Mówcie o tém ludziom, a może da Bóg, że i u nas tak będzie.

Miałbym Wam jeszcze najdrożsi Rodzice, o wielu rzeczach napisać, lecz list i tak długi, a ręka spracowana nie może już pióra utrzymać. O sobie mógłbym tylko to dodać, że zdrow, że się przy pracy rozrastam i sił nabieram, i że obcując z Niemcami całkiem już dobrze mówię i czytam po niemiecku. Nie myślcie jednak, żebym się już przez to stał Niemcem. Mimo wszystkich cudów, które tu oglądam, mimo nauki, której tu nabieram, narazcie mimo przychylności, której doznaję — nieraz zatęsknię serdecznie do ojczyzny i do Was! Nie dalej jak wczoraj łzy mi się mimowolnie puściły, gdy myślał dłużej o drogiej ojczyźnie. Jest tu w Lipsku grobowiec księcia Józefa Poniatowskiego, walecznego wodza wojsk polskich, który po przegranej bitwie pod Lipskiem wskoczył do

płynącej tu rzeki Elstry i utonął. Towarzysz broni Poniatowskiego, jenerał Roźniecki, wyszedłszy z niewoli nieprzyjacielskiej postawił ten pomnik i kazał na nim wyryć następujący napis:

Tu w nurtach Elstery:

Józef książę Poniatowski

(wódz wojsk polskich, marszałek państwa francuskiego,

zasłaniając odwrót wielkiego wojska francuskiego, gdy ostatni schodził z pobojowiska, trzema śmiertelnymi razami dotknięty, życie sławie i ojczyźnie poświęcone w dniu 19. października roku 1813 zakończył. Żył lat 52.

Tę skromną pamiątkę, łzami swemi skropioną Polak współrodakowi, żołnierzu wodzowi:

Aleksander Roźniecki położył.

Otóż wczoraj wieczorem odpoczywałem pod drzewami, ocinającemi ten grobowiec i myślałem o ojczyźnie i o tém, ilu to ona walecznych żołnierzy wydała i jak często wojenną sławą się okrywała, i pomyślałem potem, że teraz przyszła kolej na rękodzielników polskich, ażeby oni okryli ojczyznę sławą pracy i wiedzy w dziedzinie przemysłu. Każdy rękodzielnik polski powinien dążyć do tego; ja przyrzekłem sobie przy grobie mężnego wodza, że ile sił starczy, będę nad tém pracował. Wiem, że pochwalicie ten zamiar Waszemu Jasiowi, który na zakończenie tego listu ręce i nogi Wasze po-

tysiąc razy całuje i wszystkim znajomym serdeczne pozdrowienie przesyła.

JASĆ.

Jak zwykle tak i teraz po przeczytaniu listu Jasiowego, wszczęła się żywa rozmowa między zgromadzonymi. Mówiono o tém i owém, lecz w tém Górka przypomniał, że Jaś odwołuje się w liście do nauczyciela, aby wytłumaczył, z kąd się wzięły stosunki między Sasami i Polakami, i żeby ze swjej strony opowiedział coś o księciu Józefie Poniatowskim.

— A, prawda! powiedział Tomasz — winien nam to jeszcze nasz Zarebski i nie zechce odmówić.

— Prosimy, prosimy! — rzekli inni zwracając się do nauczyciela. Więc Zarebski widząc ochotę do słuchania, tak zaczął mówić:

— Wiecie o tém, że w Polsce panował najprzód królewski ród Piastów. Później, gdy ostatni z tego rodu Kazimierz Wielki nie pozostawił syna, a wnuczka jego Jadwiga wyszła za Władysława Jagiełłę, zasiadł na tronie polskim tenże książę Litewski i dał początek nowemu królewskiemu rodowi. Ród ten panował przez 186 lat. Po Władysławie Jagielle wstąpił na tron Władysław III., a nazwany Warneńczykiem od tego, że zginął pod Warną w bitwie z Turkami. Rządy przeszły na brata jego Kazimierza Jagiellończyka,

który panował lat 48. Po zgonie tego króla panowali po kolei trzej jego synowie: Jan Albert czyli Olbracht, Aleksander i Zygmunt I., pierwsi dwaj po lat kilka, ostatni przez 42 lata. Zygmunt I. pozostawił syna, Zygmunta Augusta, który po nim objął rządy. Za jego panowania, lat temu trzysta, przyszło do skutku ostateczne połączenie się, czyli tak zwana „unja“ Polski z Litwą, a połączone te narody były państwem możnem i i kwitnącem. Lecz Zygmunt August umarł bezpotomnie i na nim wygasł królewski ród Jagiellonów w r. 1572.

Od tego czasu rządził Polską królowie elekcyjni, czyli obieralni tj. tacy, których sobie naród z pomiędzy obcych książąt, czy z pomiędzy własnych wybierał. Królów takich aż do chwili upadku Polski było jedynastu, a mianowicie: Henryk Walezy, z królewskiego rodu francuskiego, który po pięciomiesięcznym panowaniu umknął z Polski; Stefan Batory, książę Siedmiogrodzki, a później król potężny i postrach nieprzyjaciół Polski; Zygmunt III., Władysław IV. i Jan Kazimierz, którzy pochodzili z rodu królewskiego Szwedzkiego; Michał Wiśniowiecki i Jan Sobieski obrani z pomiędzy polaków; nareszcie August II., krótką chwilę Stanisław Leszczyński, a potem syn Augusta II. August III., również jak ojciec książę Saski. Ostatnim królem Polski był Stanisław Poniatowski; pochodził on z możnej rodziny polskiej, lecz był

więcej za przyczynieniem się nieprzyjaźnej Polakom cesarzowy rosyjskiej, niżli wolną wolą narodu na tron wyniesiony. Jego też uległość obcym mocarstwom sąsiednim przyczyniła się znacznie do tego, że Polska została w r. 1795 ostatecznie na trzy części rozebraną i do trzech sąsiednich mocarstw przyłączoną.

Musiąłem wam o tém wszystkiém napomknąć, ażebyście sami widzieli, z kąd się wzięła styczność między Sasami a Polakami. Książę saski obrany był królem Polski, a że Saksonii przeto nie porzucał, więc często były między temi krajami stosunki, i na dworze królewskim spotykali się Sasi z Polakami, a nawet rodziny jednych i drugich łączyły się między sobą. Nie dziw też, że dziś niejedna polska pamiątka mieści się w królewskim pałacu w Dreźnie, tém bardziej, że obaj Sasi 66 lat w Polsce panowali i mieli dość czasu przewieść niejedną rzecz z Polski do swych pałaców drezdeńskich. Również między Szwecyą i Polską były częste stosunki z powodu, że książęta krwi szwedzkiej na tronie polskim zasiadali. Nie mało nawet biedy sprowadziły na Polskę, gdyż Szwedzi wydali byli wojnę Polakom i pustoszyli ziemie nasze, pomiędzy innemi i z téj przyczyny, że król Jan Kazimierz mianował się królem Szwedzkim, jako z krwi tamtejszego rodu królewskiego pochodzący.

Wiele złego poszło z tąd, że obcy książęta, ubiegając się o tron w Polsce, wichrzyli w narodzie, macili jego pokój, podżegali jednych na drugich, i obiecywali złote góry, ażeby sobie tylko zjednać stronników. Nieład zakradał się w rządzie i w ludności, poczęto zaniedbywać sprawy dotyczące się dobra, pomysłności i potęgi ojczyzny, aż doszło do tego, że sąsiedzi zdołali potężne niegdyś państwo między siebie rozebrać. Wprawdzie ku końcowi odżyła we wielu Polakach gorąca miłość ojczyzny i dawne męstwo, usiłowali bronić siłą całości i niepodległości Polski, lecz było już zapóźno. Do takich, szczerze kraj miłujących Polaków, należeli: sławny wódz Tadeusz Kościuszko, szewc Jan Kiłiński, książę Józef Poniatowski, synowiec ostatniego króla i wielu innych. O Tadeuszu Kościuszcze słyszeliście zapewne niejedno; walczył on w Ameryce za drogą mu wolność, walczył upornie i w obronie własnej ojczyzny, padł za nią ranny w bitwie pod Maciejowicami, cierpiał za nią w niewoli rossyjskiej, zmarł nareszcie na obcej ziemi, w Szwajcaryi. Odznaczał się zarówno miłością ojczyzny i męstwem jak i dobrocią serca, o czém liczne krążą powieści.

Pod wodzą Kościuszki walczył także o całość Polski książę Józef Poniatowski, o którego pomniku pocziwy Jaś nam donosi. A gdy obrona stała się już niemożliwą, gdy wojska rossyjskie zajęły Warszawę i ostatni rozbiór został dokonany,

odpasał szablę i osiadł w swych dobrach pod Warszawą. Lecz nie zbyt długo używał spokoju, gdyż w kilka lat potem rozpoczęły się wielkie wojny w całej Europie, w których wiele zwycięstw odniosła Francya pod przewodnictwem największego w owym czasie wojownika, cesarza francuzkiego Napoleona. W tym cesarzu i we wojskach francuskich pokładali także nadzieję Polacy; wielu więc zaciągało się do jego szeregów i razem z Francuzami brali udział w bitwach. Napoleon nie ziścił nadziei Polaków, lecz przecież przyczynił się do tego, że w r. 1807 utworzono z małej części ziem polskich i z Warszawy osobne księstwo, pod nazwą księstwa Warszawskiego. Wtedy to przypasał znowu szablę książę Józef Poniatowski w nadziei, że będzie się mógł nią przysłużyć ojczyźnie. Oddano mu naczelne dowództwo nad wojskiem księstwa, i jako wódz wystąpił on niebawem z pomocą Napoleonowi, gdy świeża wojna wybuchła. Uniesiony zwycięstwami cesarz Francuzów myślał wtedy, że cały świat zawojuje i uporawszy się z innymi nieprzyjaciołmi, wybrał się w r. 1812 na Rosyę. Polacy szli mu w pomoc i z początku sprzyjało we wszystkiem szczęście téj wyprawie. Niezmierne wojska Napoleona, zwyciężając wszędzie nieprzyjaciół posunęły się aż pod Moskwę, i już zdawało się, że Francuzi są panami krajów rosyjskich, gdy wtém nadeszły wczesnie trzaskące mrozy, żywności zaczęło braknąć dla olbrzymich wojsk, i

głód a mróz przerzedzały Napoleońską armię, której nieprzyjaciel zaczął teraz na wszystkich bokach dopiekać.

Z klęską Napoleona rozwiały się nadzieje Polaków i upadło księstwo Warszawskie. Resztki wojska polskiego pomaszerowały z księciem Józefem Poniatowskim do Niemiec, gdzie Napoleon zbierał swoje siły, aby stawić czoło nieprzyjaciółom. Niebawem przyszło do walki; d. 16 października 1813 zawarł zacięty bój pod Lipskiem. Liczba wojsk nieprzyjacielskich, złożonych z Niemców, Rosyan i innych, przeważała liczbę wojsk francuzkich i polskich, a przecież obie strony dotrzymywały sobie placu, nawet Francuzi i Polacy byli z początku górą. Książę Józef tak walecznie w boju przewodził, że na drugi dzień obdarzył go cesarz najwyższą godnością wojskową, tj. mianował go marszałkiem Francyi. Do trzech dni przeciągnął się bój. Gdy jednak Napoleon ujrzał, że nieprzyjaciółom przybywają posiłki, a z jego wojsk bardzo znaczna liczba ubyla, postanowił w nocy z 18 na 19 października cofnąć się z całą armią. Księciu Józefowi z resztkami wojska polskiego przypadło zasłaniać odwrót i odpierać idącego w pogoń nieprzyjaciela. Waleczny wódz podjął z nieustraszoną odwagą to zadanie, choć łatwo mógł przewidzieć, że przyjdzie głową nałożyć. Tak długo jak mógł stawiał dzielny opór nieprzyjacielowi, a ujrawszy zachodzące mu z tyłu wojska nieprzyjacielskie,

rzekł do otaczających go oficerów: „Panowie! lepiej jest zginąć jak przystoi!“ Po tych słowach rzucił się z garstką kirysyerów polskich na nieprzyjaciela i odparł go na chwilę. Wtém pada strzał i kula karabinowa trafia księcia w lewe ramię. Oficerowie usiłowali skłonić go, ażeby zdał na kogo innego dowództwo i pozwolił ranę opatrzyć, tém bardziej, że już dniem przedtém dwa-króć był raniony. Mężny wódz rzekł im nato:

— Bóg mi powierzył honor Polaków, jemu samemu go oddam! — Widząc zaś, że wieść o jego ranie przeraziła żołnierzy, wystąpił przed szeregi i zawołał:

— Nic to dzieci! Naprzód!

Lecz opór był nadaremny. I największe męstwo nie zdołało pokonać przemocy. Siły nieprzyjacielskie cisnęły się ze wszech stron. Wtedy książę, widząc, że wszystko w walce ustępuje, zebrał jeszcze garstkę swoich kirysyerów i przebił się z niemi przez zastępy nieprzyjacielskie. Nowy postrzał ugodził go w krzyże, żołnierze nieprzyjacielscy ścigali go; nasz wódz zdołał jeszcze dopaść do rzeki Elstery i rzucił się w jej nurty. Miał może jeszcze nadzieję przebyć rzekę wpław, lecz siły go opuściły — utonął....

W pięć dni później wydobył rybak z wody zwłoki nieodżałowanego wodza. Poznano je, sprowadzono do Lipska, wystawiono z należną takiemu bohaterowi czcią w kościele i z honorami wojsko-

wemi złożono do grobu d. 26 października. Godziło się jednakże oddać drogie ciało téj ziemi, którą wódz nieustraszony tak bardzo kochał i za którą zginął. A więc w r. 1817 sprowadzono je do Krakowa i złożono w podziemnej krypcie w katedrze, gdzie spoczywa w czarnym, marmurowym grobowcu, obok prochów Sobieskiego i Kościuszki. Nie potrzebuję wam dodawać, że śmierć księcia Józefa Poniatowskiego okryła całą Polskę ciężkim żalem.

— O! bardzo go żałowano — odrzekł Stefan — Mój ojciec, który służył pod księciem Józefem, wspominał go i żałował do ostatniej chwili życia. A Marcysia... No, Marcysiu — rzekł Stefan, zwracając się do córki — może nam powiesz ten piękny wiersz o pogrzebie księcia Józefa. Wszak go umiesz na pamięć?

Zagadnięta w ten sposób Marcysia spuściła oczy i zarumieniła się jak wisznia. Wstydziła się nieboraczka wygłaszać wiersz w tak licznym gronie. Ale gdy Górka i inni zaczęli się dopominać i ośmielać ją, więc ona drżącym nieco lecz donośnym głosem następujący wiersz wygłosiła:

POGRZEB

księcia Józefa Poniatowskiego.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swój sprawie, nieodstępna znaków,

Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud postrzegł, jak wzdęte wiatrami
Białe z czerwonym proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:

„Nasi wracają!”

Nie długa radość! Każdy pyta chciwie:

Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,

Co nam tak długo przewodził szczęśliwie

Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,

Których był kiedyś duszą i ozdobą;

Okryte orły, zbroja wojowników

Czarną żałobą!

Już go nie widać w pośród hufców dzielnych!

Gdzie jest? czy słyszysz żal wszystkich głęboki?

Patrzaj, złożone na marach śmiertelnych

Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju

Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi;

Ciagną go wierni towarzysze boju

Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny

Z schyloną głową, czarną niosąc zbroje.

Idź, koniu, smutnie! Już pan twój bezpieczny,

Zamknął dni swoje.

Patrz, przed świątynią, przy światłach gasnących
 Porywa młodzież z wozu ciężar drogi
 I wnosi, w pośród grzmotów dział bijących,
 W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
 Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
 Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,
 Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
 Wielkie ofiary, pracy bez nagrody,
 I zamiast słodkich nadziei ziszczenia,
 Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze; już jesteś szczęśliwy!
 Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
 Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
 Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
 Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów.
 Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
 Wieniec wawrzynów.

Wyrują na nim, jak w ostatniej toni,
 Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
 Runąłeś z koniem i orężem w dłoni
 W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;
 Ten napis twarde zachowają glazy:

„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi

I żył bez skazy.“

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,

Zaostrzy oręż o krawędź téj tarczy,

Pewien, że przezto nabywszy twój cnoty,

Tysiącom starczy!

Podczas gdy Marcysia deklamowała, wszyscy obecni smutnie pozwieszali głowy, a w oczach kobiet łzy nawet błysnęły. Długą chwilę panowało milczenie, które dopiero przerwał nauczyciel, w te odezwawszy się słowa:

— Ślicznie tu żal narodu wyrażony jest w tych wierszach. Księcia Józefa żalowano nie tylko jako walecznego żołnierza, lecz także jako dobrego człowieka. Jest to wspólne wszystkim wielkim mężom, że mają serca tkliwe dla nieszczęścia bliźnich, że w każdym ich kroku przebija się szlachetność duszy. Srogi wśród bitwy wojownik, staje się w czasie pokoju łagodnym ojcem, wyrozumiałym na błędy ludzi i cierpienia bliźnich. Wiadomo i o księciu Józefie, że był najlepszym dla włościan w swoich dobrach, i chętnie spieszył z pomocą, gdzie jej tylko było potrzeba. Mam w domu książkę, w której się mieści powiastka, opisująca jeden z licznych jego dobrych uczynków. Każdy w niej może poznać zacne serce walecznego wodza.

— Więc nam przeczytacie tę powieść przyszłej niedzieli — odezwał się Górka.

— Z chęcią! — rzekł Zarębski.

— A więc dobrze! do przyszłej niedzieli — zawołał Niedzielski powstając. — Lecz na dziś już dosyć, bo pora spóźniona.

Na to hasło powstali wszyscy z miejsca, a żegnając gospodarstwo przyrzekli sobie, że za tydzień zejną się u nauczyciela, ażeby posłuchać przyrzeczonej powieści.

Miły Tomek z Jabłonny.

Jan licząc kółkami i opadając poczyniły, jakie wędrownie wydatowały się do ciepłszych krajów; tuż pola ogłębione z kłosem kryły w sobie przy-
 xafego rolni nadzieję; deszcz zimny padał niekiedy, a jeśli trafił się dzień pogodny i ciepły, za dobro-
 dziasstwo natury był uważany. Każdy robił przy-
 gotowanie na zimę, napełniał piwnice i spizaryki, obfajel, obfajel mieszkanie swoje, zwoził i sku-
 pował drzewo, ażeby mu śród i mrozy nie dokni-
 cziły. W jednej tylko chacie w Jabłonny nie ro-
 biono tych przygotowań; mieszkała w niej wdowa z synkiem o-miobocim.

Majątkowata była chota i uboga, nie miała żadnego dobytku, żadnych dawek krewych. No-
 dala się w Kaliskiem, w miodnym wieku strasza rodziców. Służyła w jednej wiosce u ucziwego gospodarza, podobna się parobkowi z drugiej chaty

ROZDZIAŁ XXI.

Powieść, którą Zarębski przeczytał następnego tygodnia.

Mały Tomek z Jabłonny.

Już liście żółknąć i opadać poczynwały, ptaki wędrowne wybierały się do cieplejszych krajów; już pola ogołoczone z kłosów kryły w sobie przyszłego roku nadzieję; dęszcz zimny padał niekiedy, a jeśli trafił się dzień pogodny i ciepły, za dobrodziejstwo natury był uważany. Każdy robił przygotowanie na zimę, napelniał piwnice i spiżarki, oblepiał, obtykał mieszkanie swoje, zwoził i skupował drzewo, ażeby mu głód i mrozy nie dokuczyły. W jednej tylko chacie w Jabłonny nie robiono tych przygotowań; mieszkała w niej wdowa z synkiem ośmioletnim.

Małgorzata była chorą i ubogą, nie miała żadnego dobytku, żadnych nawet krewnych. Rodziła się w Kalisiem; w młodym wieku straciła rodziców. Służąc w jednej wiosce u uczciwego gospodarza, podobała się parobkowi z drugiej chaty

i poszła za niego. Żyli z sobą szczęśliwie, pracowali oboje i dobrze im się wiodło; urodził im się syn i powiększył ich szczęście. Lecz później poszedł mąż do wojska, nie mogła go Małgorzata wstrzymać od tego. W sekrecie przed nią przystał do żołnierzy i już w hułańskim ubiorze stanął jój przed oczyma. Tak mu było do twarzy w kaszkiecie i w mundurze, tyle rozprawiał, jak to on w krótkim czasie zostanie kapralem, nareszcie oficerem i z jakimi orderami wróci, że Małgorzacie serce się roześmiało i na czas jakiś łzy ronić przestała. Ale pułk cały opuścił wkrótce okolice Kalisza i udał się do Warszawy. Małgorzata nie mogła rozdzielić się z mężem, poszła za nim z synem swoim Tomkiem. Niedługo mąż bawił w tém mieście; rozkazano mu iść wraz z innymi do Prus. Janek, odważny jak każdy prawdziwy Polak, idąc zawsze naprzód, nie kryjąc się za drugimi, zyskał pochwałę starszych w kilku utarczках; lecz w jednej, kulą w piersi ugodzony, na miejscu ducha wyzionął.

Małgorzata przez kilka miesięcy nie wiedziała o swoim nieszczęściu; została była w Warszawie. Z trudnością tyle zarobić mogła, żeby siebie i dziecko wyżywić. Co dzień prawie chodziła do bióra wojennego dowiadywać się, czy nie wiedzą czego o Janku Grzywaczu? Długi czas mówili jój, że żadnej nie mają wiadomości, nareszcie dnia jednego powiedzieli jój, że zabitym został! Padła biedna

Małgorzata bez zmysłów, skoro usłyszała te słowa; ledwo jęj się docucić można było! Dobroczyenne jakieś panie, zobaczywszy stan jęj, kazały ją zanieść wraz z dzieckiem do szpitalu. Tam, lubo w natłoku chorych, rannych i nieszczęśliwych wszelkiego rodzaju, doznała wielkiego starania. Tomka umieszczono między sierotami na czas jęj słabości, i Małgorzata, pomimo ciężkiej choroby, pomimo cięższej jeszcze rozpacz, wyszła wkrótce z niebezpieczeństwa. W kilka tygodni wróciły jęj się cokolwiek siły, ale zdawało się, że ze zdrowiem przybywało jęj żalu. Wyszła ze szpitalu, żeby drugim ustąpić miejsca, błogosławiąc miłosierne siostry, które się tak nią jak synkiem opiekowały.

Lubo tak nieszczęśliwa, Małgorzata ceniła życie. Gdyby umarła, cóżby się z jęj Tomkiem stało? Dla niego więc, więcej niż dla siebie, poszła szukać chleba. Jeszcze osłabiona, pracować wiele nie mogła. Przed swoją chorobą poznała się była z żoną żołnierza z tego samego pułku, w którym był jęj mąż; u niej znalazła przytułek. Ale ta żołnierka, sama biedna, żywić jej długo nie mogła. Małgorzata żyła w wielkiej nędzy i niedostatku, kiedy nareszcie pomyślnym trafem poznała się z kowalem z Jabłonny. Dobry ten człowiek zlitował się nad nią i namówił, żeby z nim pojechała.

— Na wsi wszystko łatwiej niż w mieście — rzekł do niej — wyrobię wam w jakiej chacie po-

mieszkanie, będziecie siedzieć komorą, lubicie pracować, umiecie praść, roboty wam nie zabraknie.

Małgorzata usłuchała poczciwego kowala, wsia-
dła z nim i z Tomkiem na jego wózek i niedługo
stała w Jabłonie. Była blisko téj wsi mała i
nędzna chata, ledwie ją widać było, tak wkleśła
w ziemię; jedne miała drzwi i jedno okienko, ko-
min niski z drzewa i z gliny, nie wyższy od sło-
mianego dachu. Dawniej mieszkał tam stary jeden
nędzarz, właśnie umarł przed kilkoma tygodniami,
i to jego mieszkanie, za wstawieniem się kowala
do ekonoma, dostało się Małgorzacie. Może pałac
najpyszniejszy tyle możnego nie ucieszy pana, ile
ta nędzna chatka biedną uszczęśliwiła wdowę.
Wiedziała, że przynajmniej gdzie spocząć będzie
miała, że nikt jój głowy nie zakłóci, a pozbawiona
od tak dawna własnego przytułku i spokojności,
ceniła je wysoko. Wszystko jój się wieść zaczęło,
uspokoiła się cokolwiek po stracie męża; roboty
miała dosyć, to w polu to w domu: letnią porą
żęła, w ogrodach robiła, Tomek wyglądał jak pą-
czek różany i prawdziwą jój był pociechą.

Trwała ta pomyślność lat kilka. Już i Tomek
nieraz parę groszy sobie zarobił. Zwinny, usłużny,
kochany był od wszystkich w całej Jabłonie.
Często posyłano go tu i owdzie, dawano mu roz-
maite małe roboty; on zawsze dobrze się sprawił.
Ale jednego roku na wiosnę Małgorzata się roz-
chorowała. Była przymuszona kilka niedziel leżeć

w łóżku, suche bole chodziły jęj po kościach, a gdy wstała tak miała pokurczone nogi, że z największą trudnością przejść potrafiła przez izbę. Nic już w polu ani w ogrodzie robić nie mogła, przedła tylko, i tak jęj całe lato zmarniało! Wiedziała z daleka jak w czerwcu szły kobiety grabić siano, jak później biegły śpiewając do żniwa, każda była zdrowa, mogła chodzić, ona tylko jedna musiała siedzieć na miejscu i stękać. Ale Małgorzata była bogobojna, wiedziała, że trzeba się zgadzać z wolą Stwórcy i wszystko przyjąć z ręki Jego. Znosiła więc cierpliwie tę nową przygodę i nie traciła nadziei.

Tymczasem Tomek ośm lat skończył, a przywiązany niezmiernie do matki, usługiwał jęj, rozweselał, zarabiał ile mógł. On co dzień rano zamiótł izbę, przyniósł w dzbanku wody ze studni, nazbierał trzasek, rozpałił ogień, odnosił gospodyniom to, co matka uprzedła, starał się o len świeży; śpiewał jęj różne pieśni i piosenki, a kiedy co od kogo dostał, z radością jęj oddawał. Wszyscy więc w Jabłannie Tomka kochali, bo był usłużny i dobry, a Tomek, korzystając z tego, często parę groszy zarobił.

W październiku łatwo się dają ptaszki w siadła łapać. Tomek wiedział o tém. W Jabłannie byli tacy, którzy małe ptaszki na sprzedaż do Warszawy wywozili. Tomek wystarał się o siatkę, nauczył się jak ją zastawiać, umyślił chwytać pta-

szki i wielki sobie z tego dochód obiecywał. Matka swoim przedzeniem, on swojemi usługami tyle zarobili, że przez lato głodu nie doznali; ale na zimę żadnego nie mieli funduszu. Już się zbliżała; wszyscy myśleli o zapasie drzewa, zboża, jarzyn, a Małgorzata i grosza na to wszystko nie miała! W Tomku aż serce drgało z radości, kiedy sobie pomyślał, że za swoje ptaszki może choć furkę drzewa kupi.

Wśród października zastawił więc wieczorem swoją siatkę. Nazajutrz, skoro zwyczajne usługi koło matki zrobił, pobiegł do tego miejsca. W drodze napotkał panią Wojciechowę, żonę wójta.

— Tomku! Tomku! — zawołała na niego — pójdz do mnie; mam dla ciebie robotę. Poukładasz mi pięknie jabłka na słomie, ale pierwej obetrzesz każde.

Tomkowi pilno było do ptaszków, ale pan wójtowa była bardzo dobrą i bogatą, mógł od niej co dla matki dostać, a to było Tomka najgorętsze życzenie. Poszedł więc z nią i zrobił co mu kazała; zabawił więcj niż godzinę. Wójtowa dała mu krajanke séra i dwa duże czerwone jabłka. Tomek schował sér do jednej kieszeni, a że w drugiej wielkie były dziury, włożył jabłka za sukmanke. Swieżością i okrągłością wyrównywały jego policzkom.

Podziękowawszy pani wójtowej, pobiegł co prędzej do ptaszków. Zdaleka ujrzał koło sieci

wielkie ich mnóstwo; zbliżył się po cichu, spuścił sieci, ale jeszcze niewprawy niezręcznie to zrobił. Poleciały w górę przeleknione ptaszki, złapały się tylko dwie czeczotki i czyżyk. Uradowany tym pierwszym połowem, Tomek odstawił sieć ostrożnie i wszystkie trzy dostał. Czeczotki włożył do kapelusza, a czyżyka wziął do ręki.

— O, kochany mój ptaszku — mówił do niego głaskając go i całując — jakie masz piękne i żółte piórka! Gdybym był bogaty, zarazbym ci kupił klatkę i chowałbym u siebie; takbyś dużo jadł! Ale ja biedny muszę cię sprzedać. A może cię zabiją i oskubią, ach, jak mi Ciebie żal mój biedny czyżyku! — Tu Tomkowi łzy się zakreśliły w oczach — Żeby nie dla matki, to ja bym cię zaraz puścił. Może i ty masz matkę? nie gniewaj się więc, że ja bardziej Kocham matkę od Ciebie.

Tomek mówił to wszystko do swego czyżyka wracając do domu drogą. Kiedy kończył ostatnie słowa, usłyszał za sobą stapanie koni i głos jakiś, który na niego zawołał:

— Chłopczyku, chłopczyku, co ty tam tak rozprawiasz?

Tomek się zląkł, obejrzał się i wypuścił czyżyka. Ptaszek w jednym momencie znikł z jego oczów, chłopiec chciał biec za nim, kiedy obróciwszy się lepiej spostrzegł pana prześlizniętej urody, bogato ubranego, na koniu i za nim kilku

innych, mniej wystrojonych. Tomek poznał zaraz, że to jakiś wielmożny, chciał się uklonić, zdjął kapelusz — a tak wyleciały i drugie dwa ptaszki! W najżywszej rozpacz, nie zważając na przytomność tylu panów, zaczął rzewnie płakać i narzekać. Ten sam pan, który na niego wołał, zapytał go się przyjemnym głosem: dlaczego tych ptaszków tak żałuje?

— Tak — odpowiedział Tomek łkając — nie mam żałować! kiedym za nie miał matce furkę drzewa kupić.

— To twoja matka musi być bardzo biedną?

— Zapewne, że biedna, a do tego i chora.

O, moje ptaszki! moje ptaszki!

— Żebyś ich tak bardzo nie żałował, to ja ci dam daleko więcej niżeli były warte.

To mówiąc bogato przybrany pan dobył dukata z kieszeni i wsunął go w rękę Tomka. Tomek podskoczył z radości, skłonił się nisko, obtarł oczy i zawołał:

— O, teraz jestem szczęśliwy! I ptaszków nie oskubią i matce pieniędzy zaniosę.

— Czy twoja matka tu mieszka? — zapytał go się jeszcze pan.

— Tu niedaleko, zaraz w tej chatce w bok.

— W tej lepiance, co to ją ledwie widać z ziemi?

— W tej samej. O, jak ona będzie szczęśliwa! Jużbym rad jak najprędzej być u niej!

— No, to idź i bywaj zdrów! może się jeszcze z sobą zobaczymy.

— O, dobrze! — zawołał Tomek, kłaniając się kapeluszem.

Wtém odjechał pan i z nim wszyscy inni, a chłopiec ruszył co sił miał do domu.

— Matko, matko! — zaczął na nią wołać jeszcze przed drzwiami — Dziś mi się powiodło! Dostałem od pani wójtowej séra i jabłek, a od jednego prześlicznego pana jakiś grosz żółty, jakiegom jeszcze nigdy nie widział.

Małgorzata zadziwiła się niezmiernie, gdy zobaczyła dukata. Zaczęła się wypytywać o całą przygodę. Jak jój Tomek wszystko opowiedział, zawołała z radością:

— Toś ty z samym księciem rozmawiał!

— Z księciem! — krzyknął Tomek — ach Boże! i któż to jest ten książę? —

— Cała Jabłonna i wiele innych włości — odpowiedziała Małgorzata — należy do zacnego, do kochanego pana. Nazywa on się książę Józef Poniatowski. Jeszczem była dziewczyną, kiedym już o jego dobroci, o jego cnotach słyszała. On prowadzi teraz Polaków wszystkich na wojnę, a sam wszędzie jest najpierwszy; nie zważa na kule, na pałasze, na ogień, a chociaż z królów polskich pochodzi, chociaż sam jak król jaki wygląda, chociaż jest poważany od samych nawet cesarzów, jednak mile rozmawia z najprostszym człowiekiem!

— O, prawda! — przerwał jój Tomek — on do mnie tak mówił grzecznie, jak czasem pan wójt nie zagada, a przecież on większy pan od pana wójta? A żebyście wiedzieli, jaki śliczny! Oczy ciemne, twarz miła, a wąs jaki! Czapkę miał trochę na bakier, i tak mu z tém pięknie było! Ale żem ja go dotąd nie widział?

— On tu nie mieszka — rzekła Małgorzata — czasem tylko przyjeżdża i nie długo zabawiwszy wraca. Co innego ma do roboty. On całym wojskiem polskim komenderuje, ma o czém myśleć! Oj, żeby mój Janek żył! pewnoby i jemu i nam dobrze było pod tak dobrym wodzem.

Jeszcze rozmawiali, kiedy zapukał ktoś do chatki. Tomek pobiegł otworzyć i zobaczył jednego z tych panów, którzy z księciem jechali. Wszedł, zaczął chwalić Małgorzacie syna, powiedział, że w rzeczy samój z samym księciem rozmawiał i bardzo mu się podobał. Wypytywał się biédnej kobiety o wszystkie szczegóły jój nieszczęścia. Małgorzata opowiadała mu wszystko śmiało i wysławiała dobroć księcia. Odszedł posłaniec, a wychodząc powiedział jój:

— Cieszcie się pocziwa koboieto; skończy się wasza nędza, tém rychlój jeszcze, że wasz mąż był żołnierzem.

W istocie tego samego dnia dowiedziała się Małgorzata, że obok jój chaty, jeszcze przed zimą, postawią umyślnie dla niój inną, nową, że książę

kazał jęj wyznaczyć kawał gruntu na ogród, krowę i sto złotych na zapomogę i na leki.

Stało się tak wszystko. Uszczęśliwiona Małgorzata, poradziwszy się biegłego lekarza, wkrótce wyzdrowiała. Jak drugi raz ksiązę do Jabłonny przyjechał, już mogła pójść do pałacu z synem, paść mu do nóg i podziękować za jego dobrodziejstwa. Zaczęła posyłać Tomka do szkoły, wpajała w niego te cnoty, których już tak szczęśliwe miał zarody, i dzień nie minął, żeby oboje gorąco nie prosili Boga o życie, pomyślność i zdrowie dla swego dobroczyńcy!

Nie wysłuchał Wszechmocny tych prósb wdzięczności; skryte On ma w sprawach swoich widoki! W parę lat po tym wypadku, właśnie w tym samym miesiącu października, zginął bohater! w nurtach Elstery znalazł koniec chlubnego życia!

Jeżeli Polska, cała Europa, wszyscy cnotliwi ludzie opłakali zgon Poniatowskiego, nie mniej był żalowanym w skromnej chacie Małgorzaty. Dotąd jeszcze wszyscy mieszkańcy Jabłonny ze łzami go wspominają. Te łzy ludu, równie jak głośne pochwały i pomniki z głazu prowadzą go do nieśmiertelności! Bo ten tylko prawdziwie wielki, tego imię potrwa na wieki, którego czyny roznosi sława, a pamięć wieśniak w chacie błogosławi.

ROZDZIAŁ XXII.

Wypadek Jasia przy pożarze. Jego listy i wiadomości o stowarzyszeniach.

W domostwie pana Tomasza zapanował smutek, Pani Tomaszowa płakała, a Tomasz, zmartwiony niesłychanie, wyszedł, ażeby się zaradzić przyjaciół. Powodem smutku był następujący list Jasia, napisany ręką drżącą i niepewną:

Najdrożsi Rodzice!

„Piszę do Was te kilka słów z Delitsch, miasta położonego o kilka mil od Lipska. Skutkiem „nieszczęśliwego, a nieprzewidzianego wypadku „jestem chory i leżę w łóżku. Lekarz mówi, że „niezadługo będę mógł dalszą podróż odbywać, i „mam w Bogu nadzieję, że to niebawem nastąpi. „Gdy przyjdę zupełnie do zdrowia, opiszę wam „wszystko dokładnie, a teraz ściskam was najserdeczniej i całuję.

Kochający Wasz syn

JASIA,

Co się mogło stać Jasiowi? Nigdy nie zapadał na żadne choroby, zawsze był zdrow jak ryba. Daremnie wpadali na różne domysły państwo Tomaszowie; list był krótki i niedokładny, a czém więcej chcieli go sobie wyjaśnić, tém większy ogarniał ich niepokój. Widząc tak wielkie zmartwienie rodziców, podał Zarębski radę, ażeby do Jasia zatelegrafować i żądać natychmiast odpowiedzi. Na szczęście była na miejscu telegraficzna stacya, więc nauczyciel napisał natychmiast depeszę, którą bezzwłocznie telegrafem do Jasia wysłano. Depesza składała się z następujących 20 słów:

„Jan Rawicz. Delitsch.

„Jesteśmy bardzo niespokojni. Jaki wypadek? Czy choroba ciężka? Czy masz opiekę? Gotów jestem pojechać. Odpowiedź zapłacona.“

Tomasz.

Ponieważ Tomasz, jak już widać z telegramu, złożył pieniądze w urzędzie telegraficznym na opłacenie odpowiedzi od Jasia, więc też mimo 140-milowej odległości, przysłała jeszcze tego samego dnia odpowiedź. Zawierała w sobie następujące słowa:

„Bądźcie spokojni. Nie ma nic niebezpiecznego. Oparzenie pleców w skutek pożaru. Coraz lepiej. Opieka najtroskliwsza. Bliżej listownie“.

Jaś.

Ten telegram uspokoił cokolwiek Tomaszów, a przyjaciele odwiedli od zamierzonego wyjazdu stroskanego ojca, który chciał koniecznie ściągnąć się z ostatniego, a pojechać pielęgnować chorego syna. Postanowiono czekać jeszcze przyrzeczonego w telegramie listu. Jakoż czekano nań niecierpliwie z dnia na dzień, z godziny na godzinę, lecz doczekano się go dopiero w dniach dziesięciu. List był już pisany pewniejszą ręką i zawierał co następuje:

Najukochańsi Rodzice!

Wybaczcie mi, żem się stał przyczyną Waszego niepokoju; wybaczcie również, żem zaraz po wysłaniu telegramu nie napisał, lecz chciałem pisać obszerniej i dać już pewne wiadomości o swoim zdrowiu, a ból i gorączka nie pozwalały mi na to. Dziś, chwała Bogu, wszystko już minęło i mogę Wam szczegółowo opisać całe zdarzenie.

Przybyłem do Delitsch, ażeby się przypatrzeć z bliska spółkom i stowarzyszeniom rękodzielniczym, które tu już oddawna istnieją. W trzy dni po moim przyjeździe, niedaleko od warsztatu, w którym stanąłem, wszczął się pożar. Było to około godziny 2giej po północy. Od świecy płonącej, czy od zepsutej lampy, którą przez nieostrożność zostawiono w pokoju, gdzie nie było nikogo, wybuchł ogień ze środka i z niesłychaną

szybkością ogarnął cały dom, należący do pewnej fabryki, w którym mieszkali przeważnie sami robotnicy. Na domiar nieszczęścia znajdował się także w tym domu sklep, zaopatrzony w znaczną ilość nafty i innych palnych materiałów. To podnieciło pożar tak, że choć straż ogniowa przybyła bezzwłocznie na miejsce, nie mogła już budynku uratować, lecz zwróciła całą bacność na to, ażeby się ogień na sąsiednie zabudowania nie rozszerzył. Oczywiście, że gdy tylko dano znać, że się pali, ja także wraz z innymi pospieszyłem na miejsce pożaru. W pośpiechu zdołałem się tylko do połowy ubrać. Było mi z tém bardzo dobrze, gdy stanął do sikawki, do której trzeba było dobrze ręk przykładać, ale w dalszym ciągu na złe mi to wyszło.

Jużto dlatego, że pożar wybuchł całkiem niespodziewanie i gwałtownie, w chwili, gdy ludzie w najgłębszym śnie byli pogrążeni, jużto, że dom przez wiele rodzin robotniczych zamieszkały, panowało przy ratunku wielkie zamieszanie. Mieszkańcy na pół nadzy wybiegali z mieszkań, ratując życie i co najkosztowniejszego z ciężko zapracowanego mienia. Dach cynkowy trzymał się jeszcze cało na budynku, lecz z wewnątrz wydobywały się zewsząd płomienie. Z piętra (gdyż dom był jedno-piętrowy) zrzucano pościel i sprzęty, po drabinach spuszczały się czémprędzej ludzie, gdyż schody objęte już były płomieniami. Daremnie

straż ogniowa za pomocą węzów u sikawek wprowadzała do środka silne prądy wody; pożar szerzył się coraz bardziej i ze wszystkich już okien buchały płomienie, albo wydobywały się gęste kłęby dymu. Wtém obok sikawki, przy której pracowałem, rozległ się przerażający krzyk kobiety: „Moje dziecko, moje dziecko!“ Krzyk ten wydała żona jednego z robotników, którego pod tę porę nie było wcale w mieście. Na pół ubrana, z rozburzonymi włosami, załamując ręce powtórzyła okrzyk i wskazała na jedno z okien pierwszego piętra. Mróz przeszedł mi po kościach, oglądnąłem się w około: nikt się nie rusza, a straż, zajęta czém inném, ani zważa na wołającą. Spojrzałem na okno i widzę drabinę doń przystawioną. W jedném więc okamgnieniu rzuciłem się na drabinę i byłem już u okna. Czarne kłęby dymu zaparły mi oddech; myślałem, że zlecę, lecz w téj chwili skierowano ku oknu prąd wody, który mnie orzeźwił. Wskoczyłem do środka, przebiegłem schylony pierwszy pokój, wpadam do drugiego i szukam. W kącie, na łóżeczku, spała jeszcze czy była omdlona trzyletnia dziecina, piękna jak aniołek. Każda chwila była drogą, bo nad głowami trzeszczało, a z pod podłogi wydobywały się już płomienie. Zatoczyłem się znowu od dymu krztuszącego, lecz nie straciłem przytomności. Porywam dziecię w ramiona i biegnę. Gdym wrócił do pierwszego pokoju spadło mi coś na kark i na plecy.

Byłbym może upadł od bólu i zawrotu głowy, lecz myśl, że mam dziecko uratować matce, wydobyla ze mnie sił ostatek. Chcę się rzucić w okno, którym wszedłem, lecz go nie widzę przez kłęby dymu. Już duszę poleciłem Bogu, gdy wtém ponowny prąd wody wpadł przez okno i rozpedził warstwę dymu. Rzucam się więc i stoję z dzieckiem na drabinie. Pośród tłumy zebranego na dole, rozległ się okrzyk radości. To mnie znowu pokrzepiło. Objąwszy silnie jedną ręką dziecko, które w przerażeniu zarzuciło mi rączęta na szyję, zeszedłem na dół, lecz zaledwie oddałem dziecko uradowanej matce, upadłem na ziemię bez zmysłów.

Co się ze mną potem działo, nie wiem. Gdym przyszedł do przytomności, ucułem wielki ból i znalazłem się na łóżku w obcém mi pomieszkaniu. Dopiero teraz dowiedziałem się, co to na mnie spadło, gdym uciekał z dzieckiem z pośród płomieni. Była to płyta topiącego się cynku; wypadła mi wielką ranę na karku i na plecach od prawego boku.

Widząc mnie tak ranego i bez zmysłów, zanieśli mnie krewni matki, której dziecko uratowałem, do domu swego i otoczyli najtroskliwszą opieką. Ten list jeszcze piszę z ich pomieszkania, gdyż nie chcą mnie puścić i nie pozwalają wyjść na ulicę, pomimo tego, iż czuję się już prawie zupełnie zdrowym. Przy troskliwém piele-

guowaniu, staranném okładaniu i czyszczeniu rany, za poradą zręcznego lekarza, który mnie co dzień odwiedzał, są już plecy prawie zabliźnione i czuję się tylko nieco osłabionym. Wczoraj doznałem tyle prawdziwój radości, że mi połowa zdrowia wróciła. Sam burmistrz na czele kilku członków rady miejskiej przyszedł mi wyrazić podziękowanie „za czyn (jak się wyraził) szlachetny i odważny“. Toż samo złożyła mi dziękczynienia deputacya robotników z fabryki, w którój się paliło. Do łez wzruszyła mnie ta ich dobroć! Mój Boże! Za czyn wielkiój odwagi poczytują mi oni spełnienie obowiązku chrześcijańskiego, usługę oddaną rozpaczającój matce, którą może każdy byłby oddał, gdyby mu to było przyszło na myśl. Mówiąc o mnie, nazywają mnie „odważnym Polakiem“. Cieszy mnie to, jeżeli jest w tém jaka zasługa, że ją wiążą z nazwą Polaka.

I oto jest cały przebieg rzeczy, którą Was niepotrzebnie stroskałem. Darujcie mi to jeszcze raz i kochajcie waszego syna tak, jak on Was kocha i z całego serca ściska i ręce Wasze całuje.

J A Ś.

Zbytecznie tu wspominać o tém, że poczciwi Tomaszowie spłakali się po przeczytaniu tego listu. Jacyż bowiem rodzice wstrzymałby się zdolali od łez, otrzymawszy takie wiadomości od

swego dziecka? Były to łyzy współczucia dla tych cierpień, które Jaś przeżył, lecz oraz łyzy radości i dumy rodzicielskiej, że wychowali syna, który tak pięknie cnoty chrześcijańskie pojmuje i pełni, i taką chlubą nazwę Polaka okrywa. Wszyscy znajomi odczytywali z żywym współczuciem list Jasia, chwalili jego piękny postępek i błogosławili go.

Po upływie dni czternastu nadszedł znowu następujący list od Jasia:

Najukochańsi Rodzice!

Nigdy jeszcze nie byłem tak zdrow, swobodny i wesół jak teraz. Poznaje, że pan Bóg dla tego zesłał cierpienia na ziemię, ażeby dać uczuć człowiekowi całą słodycz zdrowia. Serdeczne też dzięki składam Stwórcy za wyzdrowienie i za to, że mi dozwolił stać się bliźniemu pożytecznym.

Lecz wyobraźcie sobie, moi Najdrożsi, co chcieli zrobić poczciwi Niemcy! Wiedząc, że jestem ubogim rękodzielnikiem, że podróżuję zarabiając na podróż i tylko niewielką pomoc od Was mogę otrzymać, zebrali w swych stowarzyszeniach sumę 100 talarów i chcieli mi to ofiarować jako dar za pomoc przy pożarze. Gdym się o tém dowiedział, zrobiło mi się tak przykro, że chciałem już z Delitsch uciekać. Ochłonawszy jednak z pierwszego wrażenia, tak się odezwałem do tych, którzy mi przysłali ów pieniężny dar wręczyć:

„Moi towarzysze! Rozczuliliście mnie do łez, gdyście mi dziękowali od serca za udzieloną pomoc; dziś, gdyście przyszli płacić mi za nią, sprawiacie mi niewymowną przykrość. Wspomnienie wypadku, w którym z woli nieba wziąłem udział, napełnia mnie słodkim uczuciem zadowolenia, pozostanie w mém sercu piękną pamiątką aż do chwili zgonu. Czyż sądzicie, że tak drogą pamiątkę oddam wam za pieniądze? Nie, nigdy! Gdybym przyjął ten dar, wspomnienie moje przestałoby już być tak czyste i słodkie, jak jest teraz. Nie miałbym już prawa pielęgnować go w głębi serca. Czy sądzicie może, że jestem tak ubogi, iż mi potrzeba jałmużny? Nie! Patrzcie się, te dziecięce palców są zupełnie zdrowe i zdołam nimi napełnić zapadniętą kieskę podrózną. Jeżeli więc chcecie mi objawić waszą szczerą życzliwość, przyjaźń i szacunek, to nastęrczcie mi jaką pracę, a z przyjemnością będę z wami pracować i zarobię sobie na życie i na dalszą podróż.“

Niemcy chcieli mi tam jeszcze coś tłumaczyć, ale w końcu zabrali swoje talary, przeprosili mnie i w istocie nastęrczyli robotę, z której jestem bardzo zadowolony, bo nietylko mogę pokazać co umię, ale także spory mieć przy niej zarobek. Pracuję już od tygodnia, i aż mi lżej, bom sobie wyrzuciał, że darmo jém chléb moich opiekunów. Im się zdawało, zem jeszcze chory, ale to tylko z wdzięczności i zbytecznej troskliwości. Nie

słuchałem dłuższych namów, podziękowałem im pięknie za wszystko co dla mnie zrobili, i przeniosłem się do warsztatu.

Opisując pożar w przeszłym liście, nie doniosłem Wam o jednej rzeczy, która mi się bardzo podobała, tj. o tutejszej straży ogniowej. U nas po wsiach, a nawet po miastach, najczęściej i nie wiedzą, co to jest straż ogniowa — tutaj zaś uważają na to bardzo, i dlatego rzadko tylko sprawia pożar większe zniszczenia. We większych miastach są i u nas straże ogniowe, ale odmienne od tutejszej. U nas są to jak gdyby wojskowe oddziały silnych ludzi, których gmina opłaca, i którzy za to na pierwszą wieść o ogniu powinni się stawić na miejscu z sikawkami, sznurami, drabinkami, hakami i toporami, gasić pożar i zapobiegać dalszemu szerzeniu się tegoż. Tutaj ma się rzecz inaczej; tu straż ogniowa nie składa się z najętych pachołków, lecz z samychże obywateli miasta. Oczywiście, że należą do niej głównie młodzi, zdrowi i silni, lecz bez różnicy zatrudnienia i stanowiska majątkowego. Należec do straży jest poniekąd zaszczytem, o który się ubiegają. Każdy z członków straży ma hełm blaszany, stósowny ubiór i narzędzia, do których jest włożony, i którymi ma przy obronie pracować. Wszystkie te przyrządy są zawsze pod ręką. Gdy się tylko odezwie dzwon pożarowy, czyto w dzień czy w nocy, członek straży ogniowej porzuca zajęcia najpil-

niejsze lub zrywa się ze snu i spieszy co tchu na miejsce pożaru, ażeby spełnić swój obowiązek. Od czasu do czasu zbiera się cały korpus straży i odbywa próby, przy których członkowie wprawiają się do łażenia i spinania się po rusztowaniach, do używania swych narzędzi i t. p.

Sądzę, że jestto jeden z najpiękniejszych obowiązków obywatela, ażeby w razie takiego nieszczęścia jak pożar spieszył współobywatelom na pomoc. Zdaje mi się więc, że takie straże ogniowe, złożone z samychże członków gminy, z samych obywateli bez różnicy stanu, o wiele są stósowniejsze, niż straże, złożone z najętych pachołków, którzy nie z miłości bliźniego i poczucia obywatelskich obowiązków, lecz za zapłatę zajmują się obroną w razie pożarów. Zresztą utrzymywanie licznej, czujnej i dobrze wyćwiczonej straży wymaga znacznych kosztów, które nie każdej gminie są dostępne. W gminach mniejszych tylko straż ogniowa obywatelska może dać rękojmię dobrej obrony w razie niebezpieczeństwa. Co trafi mojego sąsiada, to się i mnie może przydarzyć. Czyż nie jest więc słusznie ażeby wszyscy byli gotowi do wspólnej obrony, ażeby ta obrona była przynajmniej obowiązkiem najzdrowszych i najsilniejszych? Tam, gdzie nie ma wojska, bronią wspólnych siedzib wszyscy członkowie gminy, gdy ich nieprzyjaciel napadnie. Rozhukany żywioł jest także nieprzyja-

ciem i to takim, który nie zna litości, i przeciw niemu powinni się też wszyscy wzajemnie wspomagać i wspólny mu stawić opór. I u nas powinoby przyjść do tego. Nie trafiałyby się wówczas tak jak dziś pożary, które pochłaniają całe wsie i miasteczka, pozbawiając w jednej chwili ciężko zapracowanego mienia setki i tysiące rodzin. Wiem, że i w naszej okolicy trafiło się nieraz, iż ludzie przypatrywali się spokojnie, gdy pożar pochłaniał budynki sąsiada i im samym zagrażał. Szczególniej wtedy nie chcą się wcale zabierać do ratunku, gdy pożar wyniknął od uderzenia piorunu, upatrując w tém jakoby wolę Boga, której się nie można sprzeciwić. Cóż to za ciemny i grzeszny przesąd! Jakie szkodliwe i dzikie pomijanie obywatelskich obowiązków, brak ludzkiego uczucia i sumienia! Nigdy nie będziemy szczęśliwym i potężnym narodem, jeżeli dozwolimy, żeby tak zgubne przesady ciągle się jeszcze między nami krzewiły.

Już Wam podobno wspomniałem w przeszłym liście, że są tu między rękodzielnikami różne spółki i stowarzyszenia. Zajęły mię one bardzo, a przypatrując się z bliska ich działaniu, nabyłem przekonania, że zespolenie sił pojedynczych daje wielką potęgę zadaniom przemysłu i handlu. Syn dawniejszego burmistrza tutejszego, nazwiskiem Szulce, który pracował długo nad swoim wykształceniem i z wielką wytrwałością przemysłował

nad polepszeniem losu rękodzielników w swój ojczyźnie, dał pierwszy popęd do zawiązywania tych spółek i stowarzyszeń, udzielając rad i przepisów zgłaszającym się do niego z różnych miast rzemieślnikom. Jeszcze w r. 1848 rozpoczął od tego, że namówił szewców tutejszych, ażeby się połączyli w stowarzyszenie celem hurtownego zakupu skóry. Pierwsze próby okazały się tak pożytecznymi, że niebawem w całych Niemczech rozpoczęto zawiązywać podobne stowarzyszenia. Mówiono mi, że dziś jest w Niemczech około 3000 stowarzyszeń, z których połowa zajmuje się rozszerzaniem oświaty, druga zaś połowa ma na celu rozwój przemysłu i handlu.

Jak wzajemna obrona i ratunek w obywatelskich strażach ogniowych, tak tu wzajemna pomoc w pracy jest główną podstawą. „Jeżeli sam czemu podołać nie możesz — mówił Szulce — to złącz się z innymi, którzy tego samego, co i ty pragną. Wiele drobnych sił w zespoleniu staną się jedną wielką potęgą.“ O ile potrzeby rękodzielników są rozmaite, o tyle dają one powód do zawiązywania rozmaitych stowarzyszeń. Wymienię wam tu najważniejsze.

1. Stowarzyszenia czyli kasy zaliczkowe, tj. stowarzyszenia dostarczające rękodzielnikowi za poręczeniem innych rękodzielników na mały procent pieniędzy, których potrzebuje na zakupno materiału, narzędzi itp. Członkowie stowa-

rzyszenia wnoszą do wspólnej kasy drobną część swego zarobku, która pozostaje im jako oszczędność po opędzeniu potrzeb życia. Z tych drobnych części tworzą się znaczne kapitały, i te kapitały właśnie służą do udzielania oprocentowanych pożyczek. Procent opłacony przez pożyczających staje się korzyścią członków stowarzyszenia. W uczciwy sposób korzystają więc stowarzyszeni, a korzystają też i ci, którzy zaciągają pożyczki, bo mając je na słuszny procent, unikają lichwiarzy i oszustów. Tak więc wzajemną pomoc przynoszą sobie rękodzielnicy, z których każdy z osobna nie ma znaczniejszego majątku, lecz wszyscy razem wielkimi rozrządzają kapitałami. Zresztą każdy z członków nawyka do sumiennosci i akuratności, które są pierwszą podstawą wszelkiego przemysłu i handlu. Szulce przeglądają rachunki 498 takich stowarzyszeń i przekonał się, że brało w nich udział 169.595 rękodzielników, którzy złożyli około 5 milionów talarów, i tyle mieli wiary, że zdołali od ludzi zamożnych dopożyczyć jeszcze w ciągu roku przeszło 17 milionów, a rozpożyczając te pieniądze przeważnie na trzymiesięczny termin, udzieliły drobnych pożyczek w ciągu roku tyle, że suma ich dochodziła do niesłychanej liczby $67\frac{1}{2}$ miliona talarów! Jakąż to przysługę oddano tém przemysłowi krajowemu! Już biędnych rękodzielników ochroniono

od lichwy i nędzy, dając im tani kapitał i sposobność do pracy!

2. Stowarzyszenia do zakupna surowych materiałów. Łączą się tu rzemieślnicy wspólnego rzemiosła w celu hurtownego zakupywania wspólnymi siłami potrzebnych im materiałów surowych, maszyn i drogich narzędzi. Rzemieślnicy jednego rzemiosła łączą się także w tak zwane Stowarzyszenia magazynowe, tj. wtedy, gdy sprzedają we wspólnych magazynach wyroby członków, które ci sporządzili w swych własnych warsztatach — albo w tak zwane Stowarzyszenia produkcyjne, tj. wtedy, gdy nie tylko sprzedają ale i sporządzają wyroby we wspólnych warsztatach i na wspólny rachunek.

3. Stowarzyszenia spożywczy. Są to takie stowarzyszenia, w których członkowie łączą się dla wspólnego, hurtownego zakupywania przedmiotów, służących im do zaspokajania codziennych potrzeb życia. Stowarzyszeni, kupując np. w większych ilościach mąkę, krupę, masło, mydło, świece, naftę, cukier, kawę i t. p., mogą te przedmioty pomiędzy swych członków taniej rozprzedawać niż kupiec, który na sprzedaży szuka zysku i z zysku tego żyje wraz z rodziną.

4. Kasy dla chorych, czyli stowarzyszenia bratniej pomocy, które mają na celu: udzielać w razie potrzeby stowarzyszonym pomocy lekarskiej i lekarstw. Takie to stowarzyszenie tu-

tejszych rękodzielników opłaciło także lekarza i lekarstwa w czasie mojej choroby, poczytując to za swój obowiązek dlatego, że dotknięty pożarem ojciec dziecięcia, które wyratowałem, był członkiem owego stowarzyszenia.

Wiercie mi, że obok wielkich fabrycznych warsztatów, drobni rękodzielnicy mogą się dźwigać i rozwijać swój przemysł tylko za pomocą stowarzyszeń. Widzę ja to tutaj na żywych ludziach. Nie ma u nich wielkich dostatków, lecz nie ma i biedy, jest mierna zamożność i grosz oszczędzony na wypadek nieszczęścia. Czy myślicie, że robotnicy, którzy stracili swój dobytek w pożarze, poszli w świat o żebraczym kiju? Gdzie tam! Naza jutrz zaraz znaleźli silną pomoc u stowarzyszeń, do których należeli. Żałowali straconego mienia, lecz nie doznali ani na chwilę nędzy. A nie potrzeba było do tego składek i upakarzającej jałmużny. Dano im tylko natychmiastową sposobność do dalszej pracy, udzielono materiału i narzędzi, pożyczono na opędzenie pierwszych potrzeb rodziny — i oto wczorajszy pogorzelec mógł już dziś stać znowu przy warsztacie i odrabiać to, co mu wczoraj wydarł nieubłagany pożar.

Lecz dość już na dzisiaj. Po dziesięciu lub 14 dniach wybiorę się ztąd w dalszą podróż, i chciałbym dojechać do Berlina. Będę wam mógł znowu o ciekawych donosić rzeczach. Teraz zaś

żegnam Was od serca, całując ręce i nogi Wasze, najdrożsi Rodzice.

Kochający Wasz syn

JAS.

Gdy nauczyciel skończył czytać list powyższy, odezwał się Górka ze zwykłą sobie wesołością:

— Otóż pocziwy Jaś potwierdza przysłowie, które ja często powtarzam, że „*gromada, to wielki człowiek.*“ Jeden i drugi z tych tam Niemców nie wiele więcej ma nad dziesięć zdrowych palców, a przecież wszyscy razem składają znaczne sumy. Tylko kupcom muszą być nie w smak te tam stowarzyszenia spożywaczy! — dodał, zwracając się ku Niedzielskiemu.

— Dlaczego by było nie w smak! — zawołał żywo Niedzielski. — Uczciwym i zdolnym kupcom, nie może to przynieść żadnego uszczerbku, dlatego, że ci znajdują mimo stowarzyszeń zawsze dostateczną liczbę kupujących. A zresztą stowarzyszenia mogą się zajmować hurtowném nabywaniem najniezbędniejszych tylko artykułów handlu, kupiec zaś nietylko z tego żyje, a owszem najwięcej ma zysku na przedmiotach zbędniejszych i zbytkowych. Czyż myślicie nakoniec, że stowarzyszenie samo obejdzie się bez kupca? Jeżeli ma dobrze grosza

członków używać, to musi się zaradzić, a nawet przyjąć kupca do wspólnego handlu. Kupiectwo bowiem nie jest rzeczą tak łatwą, żeby je sobie każdy mógł z palca wyssać! Potrzeba do tego także nauki, zręczności i doświadczenia, aby wiedzieć gdzie czego szukać, jak gdzie za co płacić, po czemu, w jakiej porze? Potrzeba się znać na towarach i umieć rozpoznawać świeży od zleżałego i zepsutego, prawdziwy od fałszowanego. Jeżeli więc towarzystwo tém wszystkiém dobrze się chce zajmować, to się także bez kupca nie obejdzie. Wtedy jest tylko ta różnica, że kupiec nie obraca własnym groszem, lecz majątkiem stowarzyszenia, jednakże za swoją pracę i troskliwość znajdzie też i wynagrodzenie od stowarzyszonych, a zatem nie zginie jako kupiec, lecz owszem żyć będzie z kupieckiej nauki i doświadczenia.

Daj Boże!... Niech będzie jak najwięcej pożytecznych stowarzyszeń! Dlaczego zacni rzemieślnicy nie mają mieć jak najwięcej pożytku ze swęj pracy? Wszak już i u nas są stowarzyszenia rękodzielników i nietylko w samych Niemczech one się rozwijają. Jest ich też bardzo wiele, a może i więcej, w Anglii, Francji, Włoszech i innych krajach. Ot, niedawno temu czytałem bardzo ciekawę rzecz o pewném stowarzyszeniu spożywaczy w jedném z miast angielskich. W mieście tém jest wiele tkaczy. Otóż w r. 1843 zeszło się dwunastu biednych robotników tkackich i poczęli się nara-

dzać, jakimby tu sposobem polepszyć nędzny swój los. Rada w radę postanowili składać co tydzień po 8 centów i pieniędzmi, które się z tego uzbiera, założyć wspólny handelek lub rozpocząć jakie przemysłowe przedsiębiorstwo. Podobało się to niektórym innym, liczba założycieli pomnażała się, i z końcem roku 1844 było ich już 28, a kapitałik złożony wynosił 280 zł. Jakoż najęli mały sklepik i zakupili w większej ilości artykuły niezbędne do domowego użytku, jak żywność, mydło, świece i t. p. Każdy z nich był obowiązany potrzeby swoje zaopatrywać w tym sklepie i bez wyjątku płacić gotówką. Ceny nie były niższe od zwykłych sklepowych. Każdy z członków stowarzyszenia dostawał przy zakupnie znaczek mosiężny, na którym wybita była kwota, którą zapłacił. Po zrobieniu obrachunku okazał się naturalnie zysk dość znaczny. Otóż z zysku tego opędzono koszt utrzymania sklepiku, a potem zwykły procent od tych małych kwot, które składano tygodniowo. Ponad to wszystko pozostał jeszcze zysk czysty, który rozliczono pomiędzy członków w stosunku do tego po ile który w ciągu roku towarów w sklepiku zakupił. Ten zysk można sobie było kazać wypłacić, lecz prawie wszyscy robotnicy zostawili go na własność w kasie stowarzyszenia, i dlatego to tak skromne zrazu stowarzyszenie w nadzwyczajny sposób się rozwinęło.

Co powiecie na to, że do pięciu lat liczyło to stowarzyszenie 600 członków, majątku około 30.000 zł. w. a., a zysku rocznego około 9.000 złotych w. a.! Nic to jednak w porównaniu do tego co się okazało po latach dwudziestu. Członków stowarzyszenia było teraz 4747, majątek obliczono na 621.000 zł., a zysku rocznego przeszło 227 tysięcy zł. w. a.! Prócz tego mieli stowarzyszeni wspólny młyn parowy i wspólną przedzielnię, a nadto wystawili wiele domków dla robotników. I wszystko to urosło z czego? Oto z tych 8 centów tygodniowo, które składali pierwsi założyciele stowarzyszenia! Rozmnożyło je na miliony wzajemne popieranie się w oszczędności i wytrwałość, bez której nic nie będzie.

— „*Grosz oszczędzony przerabia się w miliony!*“ — zawołał swym zwyczajem Górka.

— Lecz przecież o jedném ważném stowarzyszeniu nie wspomnieliście dotąd wcale — odezwał się Zarebski do kupca. — A przecież opisanie pożaru i straży ogniowej powinno je nam być przypomnieć.

— Czy myślicie o towarzystwach ogniowych? — zapytał kupiec.

— Tak jest — rzekł nauczyciel — miałem na myśli Krakowskie towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od ognia, które przecież należy do rzędu najpożyteczniejszych.

— Zapewne! — zawołał Niedzielski — Jakżebym ja mógł o tém towarzystwie zapominać, kiedy jestem przecież jego agentem. Są klęski nieprzewidziane, których człowiek nie jest w stanie odwrócić i przeciw którym powinien się zabezpieczać. To daje powód do zawiązywania rozmaitych towarzystw ubezpieczeń. I tak np. pożar. Prawda to, że gdzie jest dobra straż ogniowa, tam niebezpieczeństwo jest mniejsze. Lecz któż zdoła przewidzieć, czy mu i mimo dobrej straży całe mienie nie spłonie? Widzieliśmy to i w liście Jasia, że choć straż była dobra, nie zdołała położyć tamy gwałtownemu pożarowi. Każdy właściciel powinien zatem swoje budynki od ognia ubezpieczać. Dzieje się to w ten sposób, że podaje wartość budynku, i od téj wartości opłaca corocznie pewną niewielką kwotę towarzystwu. Gdyby budynki nieszczęściem spłonęły, towarzystwo wypłaca mu zabezpieczoną sumę ich wartości. W krakowskiem towarzystwie opiera się to ubezpieczenie także na wzajemności. Jeżeli zatem większa liczba ludzi zabezpiecza swe budynki, to wypadająca na każdego opłata roczna staje się coraz mniejszą, bo choć się przez to podnosi suma wydatków na wynagrodzenie szkód pożarowych, nie podnosi się jednak w tym stosunku, jak dochód z opłat, które uiszcza znaczniejsza ilość członków towarzystwa. Gdyby wszyscy mieszkańcy się ubezpieczali, wtedy przypadająca na każdego opłata byłaby bardzo małą.

Na téj saméj zasadzie wzajemności ubezpieczają rolnicy w krakowskiém towarzystwie plony swe od gradobicia, które czasem majątnego gospodarza w jednéj chwili do nędzy przywodzi, lub od pożaru, gdy już plon zwieziono szczęśliwie do stodoł. Osobno też może każdy ubezpieczać swe życie. Jest to bardzo ważne dla tych, którzy nie posiadając odziedziczonego majątku, z pracy rąk żyją. W ciągu życia, nimby się zdołali dorobić majątku, może ich śmierć zabrać; zostawiają wtedy żonę i dzieci bez utrzymania. Jeśli zaś zabezpieczą swe życie na jakąś większą sumę, i uiszczają corocznie stosowną do ich wieku i ubezpieczonej sumy opłatę, natenczas, w razie ich śmierci, choćby ona i w kilka dni po ubezpieczeniu nastąpiła, wypłaca towarzystwo pozostałej rodzinie sumę, na którą nieboszczyk życie swe zabezpieczył. O ileż spokojniejszą jest chwila śmierci człowieka, jeśli wie, że rodziny swéj w nędzy nie zostawi! Rozumié się, że chorych wcale do stowarzyszenia nie przyjmują, i że starzy znacznie większe opłaty mają uiszczać niż młodzi. Opłaty te ustanawia się na podstawie długolétnich obliczeń, które wykazują, w jakim wieku ludzi najmniej a w jakim najwięcej śmierć zabiera. Podobnie można zabezpieczać posagi córkom, gdy przyjdą do lat właściwych i w ogóle znaczniejsze sumy dzieciom, gdy dożyją do naznaczonego przy ubezpieczeniu terminu.

— Przy tém wszystkiém jest podobno najważniejszy i najtrudniejszy rachunek — odezwał się Zarębski.

— A cóż się może ostać bez rachunku! — zawołał kupiec. — I rolnictwo i przemysł i handel muszą być na rachunku oparte, gdyż inaczej nie będzie w nich ładu. Powiedział nam już kiedyś Górka, że „kto się z grosza nie liczy, tego bięda wyćwicy!“ — i wielką prawdę powiedział. I rolnik i rękodzielnik i kupiec powinien dobrze się obliczyć, jaką ma z swój pracy korzyść, i do téj korzyści stosować swe wydatki. Jeżeli żyje na oślep, wydaje na to, co mu się zdaje potrzebne, a nie ciekawy jakie ma istotne dochody — piérwój czy później popadnie w kłopoty, i dopiero bięda nauczy go rozumu.

— Jużto wy kupcy, to najwięcej musicie rachować, ażeby się dowiedzieć o własnych zyskach i dochodach — rzekł Tomasz.

— Może być, że kupiec najwięcej musi pilnować rachunku, mniej zaś rękodzielnik i rolnik — odezwał się Niedzielski — ale też i nasi rękodzielnicy i rolnicy często bez wszelkich żyją rachunków.

— A wiecie dlaczego? — rzekł z uśmiechem Górka — Bo się tego za młodu nie uczyli i nie umieją sobie potém dać rady.

— Oj, to prawda, że prowadzenia rachunków trzeba się nauczyć — rzekł kupiec — ale nie jest

to ani zbyt trudne ani uciążliwe. Jak macie ochotę przekonać się, to chodźcie ze mną — dodał, patrząc na zegarek. — Właśnie muszę pójść do domu, ażeby przyprowadzić do porządku rachunki z całego tygodnia. Zawsze mi to zostaje na sobotę wieczór, albo na niedzielę, bo kiedy indziej nie mam czasu. Chodźcie więc ze mną, a pokażę wam moje rachunkowe książki.

Trzej nasi znajomi przystali z chęcią na wezwanie kupca i zabrawszy się poszli do niego, ażeby przeglądnać, jak on też prowadzi rachunki?

ROZDZIAŁ XXIII.

Jak kupiec prowadził swój handel i książki handlowe, i co się przydarzyło Górcie.

Niedzielski był człowiekiem rozsądnym i obrotnym; w krótkim więc czasie zdołał sobie wyrobić dobre imię i pozyskał mieszkańców dla swojego handlu. Do niego przysyłano po towary z okolicznych dworów, do niego też garnęli się i mniej zamożni. Szlachta i mieszczenie, księża i oficyaliści, rzemieślnicy i gospodarze wiejscy zachodzili do jego sklepu, a on zawsze wszystkich jak najgrzeczniej przyjmował, spełniał akuratnie dane polecenia i dostarczał towarów o ile mógł najlepszych. Prócz tego był Niedzielski ajentem Krakowskiego towarzystwa ubezpieczeń od ognia, gradu i na życie i każdy, kto się chciał ubezpieczyć, mógł to przez niego uczynić.

Jak więc widzimy, szedł Niedzielskiemu handel wcale dobrze, on jednakże nie poprzestawał na tém, lecz starał się jeszcze bardziej rozszerzyć swoje czynności i szukał uczciwego zysku wszędzie

gdzie się tylko mógł nadarzyć. Wiedząc, że nie każdemu jest łatwo dawać gotówkę na towary, chętnie brał za nie rozmaite płody, któremi znowu dalszy handel prowadził. Tym sposobem robił dogodność kupującym, a na towarach podwójnie zyskiwał: raz na tych, które brał zamiast pieniędzy, bo choć dawał za nie słuszną cenę, przecież umiał je gdzie indziej po jeszcze lepszej pozbyć, powtóre na tych, któremi (oczywiście z zyskiem) płacił za przyjęte płody. I tak brał chętnie masło, piérze, miód, wosk zamiast pieniędzy i prowadził handel temi artykułami, wysyłając je do wielkich składów do Lwowa lub do Krakowa, a gdy ich więcéj nazbierał, nawet za granicę kraju. Jeszcze chętniej utrzymywał stosunki takie, gdzie mógł swoje artykuły bezpośrednio tym pozbywać, którzy ich zaraz do swego przedsiębiorstwa potrzebowali, a nie byli tak jak i on pośredniczącymi kupcami. I tak, aby pozbywać zbierane masło, utrzymywał stały stosunek z wielką traktyernią we Lwowie, której także i zwierzynę z okolicznych lasów sprzedawał, gdy mu się trafiło. Że zaś w każdej rzeczy, do której się wziął, umiał postępować roztropnie i na każdym kroku odznaczał się słownością i sumiennością, przeto mógł się spodziewać, że mu Pan Bóg pobłogosławi, i że się dorobi majątku z swéj pracy.

Najważniejsze z ksiązek rachunkowych, w których Niedzielski wszystko troskliwie zapisywał, i

które naszym znajomym pokazywał i objaśniał, były następujące:

1. *Księga zapisków podręcznych* czyli *brulion*. Była to książka wązka i długa, w której kupiec zapisywał natychmiast w sklepie, pod ręką, co się tyczyło jego handlu i z której dopiero raz w tygodniu do innych ksiąg wpisywał to, co do nich należało. Każdy kupiec i przemysłowiec powinien dbać o to, ażeby w najważniejszych księgach było wszystko zapisane czysto i porządnie, nie może więc tego skutecznie zaraz w natłoku interesów. Ponieważ zaś źle by na tém wyszedł, gdyby się spuszczał na samą pamięć, więc musi prowadzić podręczny brulion. Małym przemysłowcom, którzy w ciągu dnia nie wiele spraw załatwiają, wystarcza do tego zamiast książki, poprostu tabliczka na ścianie, na której sobie bieg spraw w ciągu dnia lub tygodnia zapisują. Księga zapisków podręcznych, którą Niedzielski stworzył, tak wyglądała na jednej ze stronic:

Miesiąc	Dzień		Str. księgi głównej lub dz. kasy	w. a		
				zł.	c.	
Wrzesień	27	Sprzedano Majerowi Bu- berowi, kramarzowi:				
		22 fnt. kawy po 88 ct. 17. 60				
		85 „ cukru „ 32 „ 27. 20				
		10 „ migdałów po 70 ct. . . . 7. —	3	51	80	
		Tomaszowi Rawiczowi za szafę z szufladami	2	48	.	
		Dzienna sprzedaż sklepowa	14	21	38	
		28	14	28	76	
		29	Ks. „Janowi” Korczyńskiemu posyłam na żądanie: 12 butel. wina po 80 ct. 9. 60 1 fnt. herbaty „ 3. 50, 3. 50	3	13	10
			Dzienna sprzedaż sklepowa	14	47	24
		30	Płace podatek zarobkowy za II. półrocze	14	15	.
		Dzienna sprzedaż sklepowa	14	26	15	
Paździer- nik	1	Płace miesięczne: Subjektowi 20. — Parobkowi 5. —	10	25	.	
		Kwartalny czynsz za sklep	10	50	.	
		„ „ „ za pomiesz- szkanie	11	45	.	
		Daję na potrzeby domowe na 1 tydzień	11	15	.	
		Od p. Pawła Malinowskie- go za wybrane towary	6	16	65	
		Dzienna sprzedaż sklepowa	14	36	84	
		2	Posyłam Millerowi do Wie- dnia na rachunek przy- słanych towarów . . .	1	100	.
			i t. d.			

2. *Dziennik kasowy.* Do téj książki wpisuje się albo zaraz, albo też przepisuje się z brulionu wszystkie dochody i wydatki gotówką. Są tu obok siebie dwie rubryki; nad jedną z nich wypisane jest *winien*, a nad drugą *ma*, a to dlatego, że kasę poczytuje się jakoby człowieka, który pieniądze przyjmuje i wydaje, a mówi o tém za pomocą książki. Co się więc do kasy wrzuciło, to ona winna oddać, i dlatego zapisuje się do książki w rubryce pod napisem *winien*, co się zaś z kasy wzięło na wydatki, to należy zapisać w rubryce pod napisem *ma*, gdyż to ma od nas kasa do ządania. Inaczéj mówiąc: pod napisem *winien*, zapisuje się przychód, pod napisem *ma*, wydatek kasy.

Zkońcem każdego dnia, tygodnia czy miesiąca ma być rachunek w dzienniku kasowym zamknięty, tj. zlicza się wszystkie pozycye przychodu i wydatków i zapisuje się ich sumę. Jeżeli jest nadwyżka w przychodzie, to kwota odpowiednia powinna się znaleźć w kasie; jeżeli jest nadwyżka w wydatkach, to powinna być należycie wykazaną i zaciągniętą. Po miesięczném zamknięciu rachunków przenosi się czyto nadwyżkę czy niedobór na rachunek następującego miesiąca. Najlepiéj to zrozumieamy, zaglądnąwszy do następującego wyciągu z dziennika kasowego, który prowadził starannie nasz Niedzielski:

Miesiąc	Dzień		Str. księgi głównej	Winien		Ma	
				zł.	c.	zł.	c.
		Z przeniesienia		548	32	416	67
Wrzesień	25	Od Wgo. Al. Bukowskiego na rachunek wybranych towarów . . .	5	80	.	.	.
	"	Dzienna sprzedaż sklepowa . . .		25	90	.	.
	26	Dzienna sprzedaż sklepowa . . .		9	69	.	.
	27	Rawiczowi za szafę	2	.	.	48	.
	"	Dzienna sprzedaż sklepowa . . .		21	38	.	.
	28	Dzienna sprzedaż sklepowa . . .		28	76	.	.
	29	Dzienna sprzedaż sklepowa . . .		47	24	.	.
	30	Podatek zarobkowy za II. półrocze .	10	.	.	15	.
		Dzienna sprzedaż		26	15	.	.
		W kasie				317	77
				797	44	797	44
Paździer- nik	1	Nadwyżka przychodu z Września		317	77	.	.
	"	Płace miesięczne subjekta i parobka	10	.	.	25	.
	"	Czynsz za sklep	10	.	.	50	.
	"	" " pomieszkowanie . . .	11	.	.	45	.
	"	Na potrzeby domowe	11	.	.	15	.
	"	Od p. P. Malinowskiego za towary	6	16	65	.	.
	"	Dzienna sprzedaż sklepowa	36	84	.	.
	2	Millerowi do Wiednia . . .	1	.	.	100	.
		i t. d.					

3. *Księga główna.* W tej księdze prowadzi się osobny rachunek dla każdego, któremu handel jest co dłużny, lub który jest dłużnikiem handlu. Zestawia się tutaj różne pozycye, to z brulionu, to z dziennika kasy, to nareszcie z innych ksiąg, w których oddzielnie prowadzi się wykaz przysyłanych i wysyłanych towarów. Każdy z wierzycieli lub dłużników handlu ma tu zazwyczaj swoją oddzielną stronicę, albo przynajmniej część téjże, a przy końcu znajduje się spis, wedle którego łatwo wynaleźć każdy pojedynczy rachunek. Stronicę rachunku zaciąga się przy przepisywaniu tak do brulionu jak i do księgi kasowej w rubrykę, która tam osobno do tego jest przeznaczona. W rachunkach pojedynczych księgi głównej zaciągamy kwoty, które kupiec ma do żądania w rubryce pod napisem „winien“, gdyż w istocie winien je ten, czyj jest rachunek, długi zaś handlu w rubryce pod napisem „ma“, gdyż ma te kwoty w istocie do żądania od kupca. I tu najlepszą skazówką będzie następujący wyciąg z księgi głównej Niedzielskiego:

1869

Stronica 1

Miesiąc	Dzień		Str. brulionu lub dz. kasy	Winien		Ma	
				zł.	c.	zł.	c.
		Herman Miller, handel hurtowny w Wiedniu.					
Styczeń	1	Jego należytość n mnie z końc. r. 1868				52	70
Marzec	12	Mój rachunek za 75 fnt. wosku po 1. 20	B. 5	90			
Marzec	30	Jego rachunek za przysłane towary	B. 6		321	45	
Lipiec	1	Posyłam gotówką	D. 9	150			
Paździer- nik	2	Posyłam gotówką	D. 14	100			

1869

Stronica 2

Miesiąc	Dzień		Str. brulionu lub dz. kasy	Winien		Ma	
				zł.	c.	zł.	c.
		Tomasz Rawicz, stolarz w miejscu.					
Lipiec	15	Rachunek jego za sprzęty do sklepu	B. 23		85	50	
Sierpień	31	Rachunek mój za wybrane towary	B. 26	28	80		
Wrzesień	27	Rachunek jego za szafę z szufladami	B. 28		48		
"	27	Płacę gotówką	D. 14	48			

Miesiąc	Dzień	Ks. Jan Korczyński z Zalesia	Str. bru- lionu lub dz. kasy	Winien		Ma	
				zł.	c.	zł.	c.
Czerwiec	22	Za wybrane towary	B. 21	36	45		
Sierpień	1	Otrzymuję gotówką	D. 12			20	
Wrzesień	29	Za wybrane towary	B. 28	13	10		
Traktyernia „pod Słoniem,” we Lwowie.							
Sierpień	20	Za 50 fnt masła po 52 ct. . . .	B. 25	26			
Wrzesień	2	Przysłano gotówką	B. 27			20	
Mojżesz Buber kramarz w Dąbrowej.							
Wrzesień	15	Za 55 fnt. piérza po 60 ct. . . .	B. 27			33	
"	27	Mój rachunek za wybrane towary i t. d.	B. 28	51	80		

Pokazawszy powyższe książki naszym znajomym i objaśniwszy je, tak dalej mówił Niedzielski:

— Jeżeli porządnego przedsiębiorcy zapyta kto: ile masz majątku? Co i u kogo masz do żądania? Wiele jesteś winien i komu? — to powinien na te pytania łatwo i prędko odpowiedzieć. Będzie to mógł uczynić, jeśli porządnie książki swe prowadzi; w przeciwnym razie nie zdoła zdać sprawy innym i sobie, i będzie żyć na oślep. Porządny przedsiębiorca powinien także umieć dać odpowiedź na pytanie: czy w ciągu tego roku majątek twój się pomnożył czy uszczuplił? Chcąc wiedzieć o tém, musi w istocie z końcem każdego roku spisywać dokładny *inwentarz* swego przedsiębiorstwa. Do inwentarza tego wciąga najprzód wartość tego co ma i co mu są dłużni, i to stanowi tak zwany *stan czynny* jego majątku; potem zaś zestawia to wszystko, co jest komu dłużen, i to jest *stan bierny* jego majątku. Do stanu czynnego należą np. zapas towarów czy wyrobów, urządzenie sklepu czy warsztatu, narzędzia i naczynia, dom (jeżeli jest własny), urządzenie domu i t. p. Każdy szczegół powinien tu być sumiennie zapisany i oszacowany. Gdyby przedsiębiorca szacował sobie przedmioty będące jego własnością wyżej, niżby mu za nie zapłacili w razie sprzedaży, oszukiwałby sam siebie i tych, którzyby jego spisowi inwentarza zaufali. Nietylko nie powinien swój własności przeceniać, lecz owszem ma o tém

pamiętać, że wiele przedmiotów zużywa się z czasem i po upływie roku mniejszą będą miały wartość od téj, którą się im daje przy spisaniu inwentarza. W tym celu odpisuje się w inwentarzu z góry pewne kwoty jako utratę wartości i wyraża się takowe w procentach. I tak np. jeżeli dom szacowany był w inwentarzu zeszłorocznym na 6400 zł. w. a., to do inwentarza następnego trzeba zapisać tę sumę, lecz od niej odciągnąć zaraz 5 procent, tj. 320 zł. w. a. jako procent zużycia w ciągu roku. Rozumię się, że jeżeli w ciągu roku, prócz niezbędnych naprawek, przedsiębrano jakieś znaczniejsze reparacye, przebudowania i t. p., należy następnie dodać wartość tych reparacyi do szacunku domu, lub go na nowo oszacować. W ten sposób postępuje się także przy ruchomościach, z tą tylko różnicą, że się mniejszy lub znaczniejszy procent odtrąca, wedle tego, czy są mniej lub więcej na zużycie narażone. I tak np. przy urządzeniu domowem jak sprzęty, bielizna i t. p., również przy narzędziach warsztatowych odciąga się 10% jako całoroczny ubytek wartości przez zużycie.

Spisawszy dokładnie stan czynny i stan bierny majątku, robi się z nich ogólne zestawienie, czyli tak zwany *bilans*, który nam dopiero przedstawia dokładny obraz tego, co posiadamy. Czyniąc tak od roku do roku, możemy przekonać się, czy się dorabiamy majątku, czy go tracimy i to w jakim

stopniu. Nic innego nie udzieli nam téj wiadomości. Czy to rolnik, czy przemysłowiec, czy kupiec, każdy musi sobie spisać inwentarz, chcąc wiedzieć o ile postąpił lub cofnął się. Nie każdy bowiem jest bogatym, który ma w skrzyni talary, nie każdy ubogim, który nie posiada gotówki. Trzeba dopiero zrobić inwentarze ich majątków, aby ich porównać. I owszem, częstokroć ten, który nie składa gotówki, lecz każdy zysk wkłada na powrót w przedsiębiorstwo, czyto użyźniając rolę, czy sprawiając ulepszone narzędzia, które ułatwiają i przyspieszają pracę, prędzej się dorabia majątku, niżeli ten, który każdy zyskany grosz składa do skrzyni. Pieniądze, które leżą, są *kapitałem martwym* i nie rozmnożą się przez leżenie; pieniądze zaś obrócone roztropnie na rozszerzenie i ulepszenie przedsiębiorstwa, stokrotną przynieść mogą korzyść. Bardzo często u nas o tém zapominają, szczególnie rolnicy; zdaje im się, że rola zawsze im będzie dawała to co daje, bez wszelkiego znacznieszego ulepszenia, i że będą mogli uprawiać ją zawsze tak, jak przed stu laty uprawiano. Chętnie też zamykają grosz w skrzyni, nie obracając nic na polepszenie gospodarstwa; zapominają, że rola coraz bardziej traci na wartości, że przy starych narzędziach praca staje się coraz droższą. Łudzą się, że robią majątek, bo widzą trochę oszczędzonej gotówki, a nie widzą, że rola z każdym rokiem jałowsza, coraz mniej im będzie nieść przy-

chodu. Trzebaby im posłać rachmistrza! Niechno spisze inwentarz ich majątku i wszystko należycie oszacuje, a przekonają się ze smutkiem, że mimo gotówki albo nic nie zyskali, albo nawet stracili, i że byliby znaczne odnieśli korzyści, gdyby byli część zysków wkładali zawsze napowrót w gospodarstwo, a nie wzięli ich w skrzyni jako kapitał martwy.

— Są tacy i między naszymi rzemieślnikami — odezwał się Tomasz kiwając smutno głową — a jeszcze więcej takich, którzy zysków ani do skrzyni nie chowają, ani w przedsiębiorstwo nie włożą, lecz odrazu roztrwonią. . . .

Górka nie brał udziału w tej rozmowie, lecz wbrew swemu zwyczajowi siedział zamyślony i pośepny i często pocierał ręką po głowie, jak gdyby go bolała pod naciskiem trapiących myśli.

— Dużo pokazaliście nam ze swoich spraw handlowych — rzekł po chwili milczenia Zarebski do kupca — lecz ja przecież chciałbym jeszcze coś widzieć?

— Cóż takiego? — zapytał z ciekawością Niedzielski.

— Chciałbym coś zobaczyć z waszych listów, czyli *korespondencyi* kupieckiej — rzekł nauczyciel — Gdyż słyszałem, iż wy kupcy, macie jakiś swój odrębny sposób pisania.

Uśmiechnął się Niedzielski na tę uwagę nauczyciela i rzekł:

— Twierdzenie ludzi jest przesadne; nie mamy żadnego odrębnego języka, lecz owszem staramy się pisać poprawnie, bez błędów. Jeżeli zaś który z kupców używa w swych listach dużo cudzoziemskich wyrazów, to czyni to całkiem niepotrzebnie i zasługuje na naganę, że kazi piękną ojczystą mowę. Całą tajemnicą kupieckich listów jest to, że winny być krótkie, dobitne, a jasne. Kupiec musi dużo listów pisać, a nie ma na to dość czasu, jest więc zniewolony pisać w liście tylko to, co niezbędnie napisać potrzeba, i czego interes wymaga, a pomijać wszelkie sprawy poboczne i upiększenia. Oto niektóre moje listy kupieckie — dodał Niedzielski wręczając Zarębskiemu kilka odpisów — dadzą one wam najlepsze wyobrażenie o sposobie prowadzenia handlowej korespondencji.

Pomiędzy listami, które Zarębski przeglądał, były następujące:

1. List uwiadamiający o otwarciu handlu, który wraz z cennikiem towarów rozesłał Niedzielski wszystkim znaczniejszym osobom w mieście i okolicy.

... dnia 20 czerwca 1869.

Wielmożny Panie!

Mam zaszczyt uwiadomić W. Pana, iż na dniu dzisiejszym otworzyłem handel korzenny, który

zaopatrzyłem także w najważniejsze artykuły handlu bławatnego i galanteryjnego.

Mając związki z domami handlowymi w kraju i za granicą, otrzymuję towary w takiej ilości i tak doborowe, że jestem w stanie zaspokoić bezwzględnie wszelkie żądania, i to licząc towary po najumiarkowańszej cenie, jak się W. Pan z załączonego cennika przekonać raczysz.

Ofiarując rzetelne usługi i prosząc o liczne zamówienia, kreślę wyrazy należnego szacunku.

Karol Niedzielski,
właściciel handlu.

2. List z zamówieniem towarów.

Do P. Wojciecha Kamińskiego,
we Lwowie.

. dnia 18. lipca 1869.

W liście z dnia 10 lipca b. r. byłeś Pan łaskaw donieść mi, że utrzymujesz główny skład cukru Tłumackiego i załączyłeś cennik tegoż.

Dziękując Panu za pamięć, upraszam Go, abys mi zechciał przysłać kolejną do Przemyśla, lub upatrzonym furmanem 1 cetnar cukru rafinowanego po 31 zł. i 1½ cetnara cukru melasowego po 27 zł., razem w wartości 71 zł. 50 ct. w. a. Co do wyboru sposobu przesyłki polegam zupełnie na Panu, spodziewając się, że obierzesz jak najtańszy.

Kwotę wywymienioną uiszczę w trzy miesiące od chwili odebrania towaru; tymczasem zachciej Pan zapisać ją na mój rachunek.

Z szacunkiem

K. Niedzielski.

3. Odpowiedź na list powyższy.

Lwów dnia 22. lipca 1869.

Czyniąc zadość wezwaniu z dnia 18. lipca b. r. posłałiśmy Panu przez woźnicę Wawrzyńca Guzika beczkę cukru, wyszczególnionego w załączonej fakturze, a przypadającą zaś należność 71 zł. 50 ct. zapisaliśmy na rachunek Pański z terminem uiszczenia na dniu 25. października b. r.

Wyborem sposobu przesłania powinieneś Pan być zadowolony, gdyż pomieniony furman, znany ze swęj prawości, przyjął towar po niskiej cenie 2 zł w. a. od cetnara, a to z powodu, że przywiozłszy żelazo do Lwowa, powraca obecnie próżno do domu.

Z szacunkiem

W. Kamiński.

4. List z upomnieniem się o należność.

Wielmożny Panie!

W załączeniu przesyłam rachunek za towary, których W. Panu handel mój przed trzema mie-

siącami dostarczył. Należytość za nie przypadającą w kwocie 53 zł. 46 ct. w. a. raczysz mi W. Pan nadesłać, ponieważ mam w tej chwili znaczne kwoty płacić i zniewolony jestem ściągać zaległości od szanownych naszych kupujących.

Zechciej mi W. Pan wybaczyć natarczywość i racz mnie nadal zaszczycać swemi rozkazami.

Z należnym poważaniem

K. Niedzielski.

5. List, zawiązujący stosunki handlowe.

Do handlu hurtownego pp. J. Szmita i H. Webera.

w Krakowie.

. . . . d. 13 sierpnia 1869.

Z handlowych ogłoszeń Panów dowiedziałem się, że otrzymujecie znaczne transporta herbaty karawanowej. Ponieważ potrzebowałbym właśnie większej ilości herbaty, a dobre imię Waszego handlu daje mi rękojmię dobroci towaru, przeto zapytuję się: 1. na jakich warunkach moglibyście mi panowie herbatę przysyłać; 2. czy nie zechcielibyście przyjmować odemnie w zamian wosk i miód, które w znaczniejszych ilościach w znanej z pasiek okolicy tutejszej skupuję?

Oczekując odpowiedzi odwrotną pocztą,
zostaję z uszanowaniem

K. Niedzielski.

6. Odpowiedź na list powyższy.

Do P. Karola Niedzielskiego

w

Kraków d. 16 sierpnia 1869.

W odpowiedzi na list Pański z d. 13 b. m. donosimy, że mamy właśnie na składzie świeży transport herbaty karawanowej po cenach wymienionych w naszym cenniku. W razie znaczniejszego zamówienia udzielimy Panu z przyjemnością trzymiesięcznego kredytu, lub opuścimy 3 od sta jeżeli Pan należytość natychmiast uiszcisz. Z przykrością jednak musimy oznajmić, że wosku i miodu nie możemy w zamian przyjmować, gdyż nie wchodzi one w skład naszego handlu, zajmującego się wyłącznie towarami kolonialnymi.

Spodziewając się rychłego zamówienia

zostajemy z szacunkiem

J. Szmit i H. Weber.

Odczytywanie powyższych listów przerwał bardzo niemiły wypadek. Górka, który przez cały czas pobytu u Niedzielskiego był małomowny i ponury, zaczął się nagle mienić na twarzy, to bladł, to czerwieniał, aż wreszcie upadł bez zmysłów na ziemię. Zatrwożeni tym wypadkiem znajomi nasi

rzucili się ku niemu. Zarebski w jednej chwili porzucił na nim odzież i rozwiązał chustkę na szyi, a potem rzekł:

— Bierzmy go co prędzej na świeże powietrze!

W oka mgnieniu wyniesiono omdlałego i położono na wznak pod studnią. Nauczyciel, zręczny i przytomny w każdym ruchu, skropił mu twarz zimną wodą, a widząc, że Górka oczu nie otwiera, zawołał zwracając się ku Niedzielskiemu:

— Octu! czempredźej!

Niedzielski poskoczył jak młody chłopiec i w jednej chwili znalazła się w ręku nauczyciela flaszka wybornego octu winnego, którym tenże nacierał omdlałemu skronie, piersi i szyję. Po chwili odetchnął biędny Górka głęboko i otworzył oczy. Dano mu napić się wody, do której pocziwy kupiec wycisnął całą cytrynę i dodał nieco cukru. Orzeźwiło go to; podniósł się i stanął o własnych siłach ale nie bez trudności. Pomimo, że omdlenie przeszło, uważał się na ociężałość w głowie i mdłości. Zarebskiemu nie podobało się to; skinął na kupca, ażeby poszedł po lekarza, a sam z Tomaszem odprowadzili Górkę do domu i namówili go, ażeby się położył do łóżka.

Gdy przyszedł lekarz, pochwalił wszystkie środki, których Zarebski użył przy ratowaniu zemdłonego, zapisał jakieś uspakajające lekarstwo i nakazał Górcę bardzo spokojnie się zachowywać,

ażeby się podobne omdlenie nie powtórzyło. Górka mimo późnego wieku był jeszcze bardzo zażywny i krwisty, przytém budowy krepéj, podsadkowatéj, o krótkiéj szyi. Lekarz obawiał się więc, ażeby nie przyszła *apopleksya*, czyli to, co niektórzy znają pod nazwą *szlak*.

Zapewniwszy się o dobrej opiece nad przyjacielem, czém się natychmiast zajęła Tomaszowa, wrócili Tomaszowie wraz z nauczycielem do siebie.

— Ale jak widzę — mówiła Tomaszowa po drodze — to pan Zarebski zna się także na ratowaniu ludzi w chorobach.

— Ot tak, nie wiele — odparł nauczyciel — Jestto wiadomość każdemu potrzebna, zwłaszcza w chwilach, gdy nie ma lekarza pod ręką. Przypatrywałem ja się czasem takim sposobem ratowania w nagłych wypadkach, a przytém mam małą książeczkę, napisaną o tém przez pewnego starego, doświadczonego lekarza, i ztąd jest cała moja mądrość.

— Ciekawa bym była téj książeczki! — zawołała Tomaszowa — bo ja także niejednej chorobie się napatrzyła i nie chwaląc się, udało mi się czasem w nagłym wypadku poradzić.

— Najchętniej wam przyniosę moją książeczkę — rzekł Zarebski — lecz naprzód już mówię, że są tam tylko sposoby proste jak ratować w nagłych wypadkach, ale nie jak leczyć. Chcąc leczyć człowieka, trzeba mieć bardzo wiele głębokiéj

nauki i doświadczenia. Lekarze tracą na tém połowę swego życia, a przecież i im nie zawsze się udaje wydrzeć człowieka z rąk śmierci. Leczenie naszych znahorów i lekarzy wiejskich, to tylko nieczne oszukaństwo, łapka na łatwowiernych i zabobonnych. Mojém zdaniem, gdzie się pojawi choroba, tam powinien być zaraz i lekarz, a wszelkie partaczenie prędzej szkodzi niż pomaga.

— To pewne, że bez lekarza nic — potwierdziła Tomaszowa — ale za to gdy niema lekarza, a wypadek nagły, to trzeba choć tyle umieć, aby zaradzić natychmiast, dopóki lekarz nie przybędzie, tak, jak wyście to dziś z Górką zrobili. Otóż na takie wypadki chciałabym się nauczyć czego z waszej książeczki.

— Więc przyniosę wam ją niezawodnie — zapewnił powtórnie nauczyciel.

Tak mówiąc stanęli przed drzwiami domu. Tomasz widząc, że nauczyciel do drzwi nie wchodzi, ciągnął go z sobą i zapraszał, lecz Zarebski oznajmił, że sobie musi odmówić téj przyjemności, gdyż go czeka jeszcze w domu robota dla szkoły. Jakoż pożegnał oboje Tomaszów i myśląc o przykrym wypadku z Górką, szedł wolnym krokiem ku domowi.

ROZDZIAŁ XXIV.

Książeczka nauczyciela, zawierająca przepisy zachowania zdrowia i ratunku w nagłych wypadkach.

Nie masz większego skarbu ziemskiego nad zdrowie. Zdrów, o tém nie pamięta i mało sobie ten skarb ceni; lecz spytaj chorego, a on ci powie, że oddałby wszystko co ma, ażeby być zdrowym. Na cóż bowiem przydadzą się majątek, zaszczyty i godności, gdy nie ma zdrowia, aby ich używać? A przecież zbyt wielu jest takich, którzy sobie zdrowie lekceważą i nie szukają pomocy, gdy ich choroba nawidzi. Łażą, nie zasiągając rady u lekarza, jak długo ich nogi dźwigają; dopiero, gdy ich choroba rzuci na łożę boleści, wołają w niebogłosość: ratunku! — lecz wtedy bywa już zwykle zapóźno!

A cóż powiedzieć o tych, którzy szukają pomocy u ciemnych znahorów i bab lekarek? Najcenniejszy skarb swój oddają w ręce zabobonnych i niesumiennych szalbierzy, którzy zamiast powrócić im zdrowie, sprowadzają na nich coraz cięższe

choroby, a nieraz i śmierć przedwczesną. Czyliż to cudowna budowa ciała ludzkiego jest tak łatwą do zbadania, ażeby lada stara baba, bez wszelkiej nauki, mogła poznać przyczynę niemocy i wynaleźć na nią stósowne lekarstwo? Długich lat potrzeba na to, dużo chorych potrzeba mieć przed oczyma, dużo ksiąg przeczytać i wiele nauk zgłębić, ażeby poznać wewnętrzny skład ciała ludzkiego, umieć poszukać gdzie jaka choroba ma swoje siedlisko i jaki lek może ją usunąć. Skoro więc zachorujesz, nie szukaj bab i znahorów, lecz idź do lekarza, który się na to uczył, aby umieć leczyć; on jeden może ci udzielić rozsądnej rady i pomocy, on jeden przywróci cię do zdrowia, jeżeli Bóg nie postanowił, mimo wszelkiego ratunku, powołać cię do siebie.

Przedewszystkiém powinieneś dbać o to, ażebyś samochcąc nie dawał powodu do chorób, lecz przeciwnie, rozsądném postępowaniem chronił się od nich.

Zachowaj *mierność w jedle i napoju*, bo obżarstwo i opilstwo jest nietylko grzechem, lecz także powodem rozlicznych chorób. Potrawy proste, niezbyt tłuste i niezbyt korzenne, nie surowe, lecz należycie ugotowane, są najzdrowszym pokarmem. Strzeż się miedzianych naczyń niepobielaných, gdyż kwasy, które w nich ugotujesz, staną się trucizną, a to dlatego, że część miedzi rozpuści się w kwasach potraw, jak np. kapusty, i utworzy się w połą-

czeniu z niemi trujący grynszpan. Strzeż się także pleśni na chlebie i wszelkiem jedle, cuchnącego mięsa i ryb, wody zepsutej i zgniłej.

Jédz, gdy jesteś głodny, lecz przestań jeść, gdy głód zaspokoisz i nie opychaj się nad miarę. Gdy nie masz chęci do jadła, gdy ci w ustach wysycha i czujesz w nich gorycz, gdy język masz białawą powłoką obłożony, nie bierz się do jedzenia. Lepiej dzień i [dwa przepościć, niż nabawić się choroby. Pamiętaj o tém, że człowiek nie na to żyje aby jadł, lecz na to jé, aby żył. Pamiętaj również, że tylko ten z głodu umiera, kto mimo głodu nie ma co do jedzenia; lecz kto nie jé dlatego, że chęci do jadła nie czuje, pewnie głodową śmiercią nie umrze, bo gdy ciało pożywienia zapragnie, to się i chęć do jadła obudzi.

Napojów sztucznych nie potrzebujesz szukać, gdyż napojem najzdrowszym, który ci sam pan Bóg wskazał, jest woda. Strzeż się tylko, aby jéj nie pić, gdy jesteś bardzo zgrzany i spocony. Jeśli używasz innych napojów, jak np. piwa, wina lub wódki, to używaj ich nadzwyczaj miernie i wystrzegaj się jako największego złego: pijaństwa. Nic tak nie poniża godności człowieka, jak opilstwo; pijany człowiek nie godzien nazwy człowieka, staje się bydłciem. Pijaństwo zabija duszę i jest matką rozlicznych zbrodni; pijaństwo pochłania w krótkim czasie ciężko zapracowane mienie

i wiedzie do nędzy; pijaństwo daje powód do wielu ciężkich chorób i ułomności.

Wódka działa w ciele jak trucizna; zamiast uśmierzać pragnienie, podnieca chęć do picia, zkąd też pijak nawyka do coraz częstszego używania gorzalki. Kto pije wiele wódki, ten traci smak, powonienie, pamięć; wzrok jego i słuch tępieją, rozum słabnie. Pijakowi płacze się język, bełkocze niezrozumiale, ręce jego drżą, nareszcie dostaje albo dychawicy i suchot, albo wodnej puchliny, trądu, liszajów, zapalenia mózgu, obłąkania i umiera przedwcześnie nagłą śmiercią.

Zachowaj czystość we wszystkich rzeczach i czynnościach, bo niechlujstwo daje powód do różnych chorób. Najprostsze potrawy powinny być czysto urządzone, garnki, miski i wszelkie naczynie czysto utrzymane; około nabiału chodź czysto, a będzie i lepszy i zdrowszy. Do utrzymania czystości nie potrzeba majątku; i najuboższy człowiek może zachować około siebie i w całym swym otoczeniu największą czystość, jeżeli nie jest niechlujnym i leniwym. Izba powinna być zawsze czysto wymięciona i od czasu do czasu na świeżo wybielona. Niechaj po kątach nie walają się odpadki jadła, które gnijąc zanieczyszczają powietrze szkodliwymi wyziewami, i do których ściąga się obrzydliwe robactwo, myszy i t. p. Staraj się zawsze utrzymać w izbach czyste powietrze, zwłaszcza w takich, gdzie się gotuje lub gdzie sypia po kil-

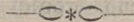
koro ludzi. W razie chorób nagminnych, jak ospa, cholera i inne, najłatwiej one zakradają się tam, gdzie panuje niechlujstwo, zaducha i szkodliwe wyziewy. Ileż to razy po wsiach niedbały gospodarz cierpi gnojówkę tuż pod samym progiem, a niechlujnej gospodyni nawet się z sieni wyjść nie chce, ażeby wylać pomyje. Jeżeli takich ludzi zaraza najpierwej dotknie, lub od nich się rozszerzy, niechaj się nikt nie dziwi, bo zaraza idzie w ślad za niechlujstwem. Lepiej doznać chłodu, okna i drzwi otwierać, a wpuszczać świeże powietrze, niż żyć, pracować i sypiać w zadusze i wilgoci. Człowiek jest stworzeniem bożem i w życiu tych samych praw słuchać mu trzeba, co innym stworzeniom; potrzeba mu powietrza i światła jak roślinie, jak wszelakiemu stworzeniu.

Czystość około ciała jest równie potrzebna, jak czystość w mieszkaniu. Lepszą jest suknią połatana a czysta, niż cała, a brudem cuchnąca. Myj się i czesz co dzień, nietylko ażeby być miłszym dla innych, lecz także ażeby utrzymać zdrowie. Kąp się od czasu do czasu, ażeby całe ciało utrzymać w czystości i świeżości. Kąpiel, a zwłaszcza rzeczna w lecie, krzepi siły, a odświeżając skórę i utrzymując ją w czystości, przyczynia się bardzo wiele do utrzymania zdrowia. Strzeż się tylko, ażeby nie wchodzić do zimnej kąpieli, gdy jesteś mocno zmęczony i zgrzany; należy się pierwiej ochłodzić i odpocząć; także nie życzę ci

kąpać się zaraz po jedzeniu, bo możesz się nabawić choroby.

Ileż to obrzydliwości sprawia niechlujny człowiek! Nie można z nim obcować, bo cuchnie brudem i wszy się od niego rozłazą, a na brudnej skórze tworzą się zaraźliwe krosty, czyli świerzb, który jest tylko wynikiem niechlujstwa. Rozważ, na ile strat naraża go brak czystości; zdrowie jego cierpi na tém, a cierpi także jego sława i mienie. Staje się pośmiewiskiem ludzi, którzy z nim niechętnie wchodzą w interesa. Niechlujstwo zatem pozbawia go często dobrego zarobku, a zawsze zdrowia. Nieczystość ciała staje się w końcu nieraz powodem nieczystości duszy, wiedzie do skażenia i upadku moralnego.

Chwała Bogu! z postępem oświaty szerzy się coraz bardziej schludność po naszych chatach i w naszym odzieniu. Coraz mniej już owych kurnych chat, gdzie człowiek, nie z biedy, lecz z lenistwa i niechlujności, sypiał na cuchnącym barłogu, pośród brudu, zaduchy i dymu, pospołu z domowemi zwierzętami i ich gnojem. Coraz lepszy byt i oświata wyprowadzają człowieka z tego stanu zwierzęcego, w którym tak bardzo godność jego była poniżoną.



Oto są w krótkości przepisy, jak masz postępować, ażebyś unikał chorób i zachował czerstwość zdrowia aż do późnej starości. Gdy jednak Bóg zeszele na ciebie chorobę, nie poddawaj się jej, lecz szukaj ratunku u lekarza, o ile możności jak najspieszniej. Jeśli choroba jest jeszcze w zarodzie, łatwiej ją stłumić niż wtedy, gdy już całe twe ciało ogarnie. Czasem jednak nie ma lekarza na miejscu, a gwałtowna choroba lub przypadkowe uszkodzenie zdrowia wymagają natychmiastowego ratunku. Powiem ci więc, jak masz sobie w niektórych takich razach poczynać, dopóki lekarz nie przybędzie.

Jeżeli wyciągną z wody człowieka, który *utonął* i nie okazuje żadnych śladów życia, masz go ratować w sposób następujący:

Najprzód połóżysz go twarzą ku ziemi, jeśli można na sienniku, kocu lub innej podkładce i to tak, ażeby głowa była nieco niżej niż reszta ciała, przezco z łatwością będzie mogła spłynąć woda, zatykająca kanał oddechowy. Potem wydobędziesz z ust utonionego pianę, piasek i t. p., za pomocą palca lub pióra, a porozpinasz na nim natychmiast całą odzież. Teraz będziesz się starał ażeby pobudzić go do oddechania. Do tego używa się różnych środków, a mianowicie: można mu dawać pod nos rzeczy mocno woniejące jak np. chrzan tarty, łechtąć garło piórem, trzeć piersi i twarz aż do gorąca i skrapiać je zimną wodą. Jeżeli

środkie te oddechania nie pobudzą, należy utonionego znowu położyć na brzuch, podsunąwszy mu pod piersi derkę na wałek zwiniętą, i tak leżącemu naciskać ręką silnie i jednostajnie plecy pomiędzy łopatkami. Następnie tacza się topielca w ten sposób, że się go obraca zwolna na bok i prawie na wznak, a potem nagle znowu na brzuch, powtarzając poprzednie uciskanie pleców. Trzeba to powtarzać wytrwale i często, około 15 razy na minutę, a przytém wspierać głowę, od czasu do czasu skrapiać twarz i piersi zimną wodą i nacierać członki kawałkiem sukna silnie i bezustannie, poczynając od pleców i postępując ku górze. Jeżeli i to nie pomaga, należy utonionego położyć na wznak, podparłszy mu głowę i plecy, wyciągnąć mu język z ust i wyciągnięty przytrzymywać, następnie brać ręce jego i ciągnąć je zwolna ku górze aż do głowy, w tém położeniu trzymać je chwilę, a potem znowu prowadzić je na dół i przyciskać do boków piersi. Czynność tę należy także powtarzać z dziesięć razy na minutę.

Jeżeli w utonionym jest jeszcze iskra życia i prędko ratunek ją pobudzi, natenczas pojawi się najprzód lekkie drganie w powiekach, na twarzy i na szyi, słabe zaczerwienienie się ust, większa gibkość członków, rozgrzanie się skóry w dołku sercowym i pod pachami, nieznaczne poruszenie

piersiami i zaledwie czuć się dające uderzenia serca.

Gdy spostrzeżesz te oznaki, natenczas dokładaj tém większej usilności, ażeby uratować życie człowiekowi. Największém teraz staraniem powinno być ogrzanie ciała i pobudzenie krążenia krwi, jużto przez nacieranie, jużto przez przykładanie kamionek z wodą gorącą, owijanie w koce i t. p. Wszystko to należy czynić rozważnie a nie zbyt porywczo. Na otwartém polu w lecie dobrze jest obsypywać ciało utonionego rozgrzanym od słońca piaskiem. Gdy chory będzie już mógł co przełknąć, trzeba mu dawać od czasu do czasu po łyżeczce wody ciepłej z winem lub wódką. Wszystko to możesz robić, lecz przytém starać się o pospieszne sprowadzenie lekarza. Czasem chory, przyszedłszy do życia, oddech ma ciężki i krew bije mu mocno do głowy. W takim razie może być potrzebne puszczanie krwi, pijawki, lub inne środki, których tylko lekarz stósownie może użyć.

Ratunek tu opisany może czasem trwać długo, nim się topielca do życia przywróci; a gdyby nawet i do dziesięciu godzin nie było widać oznak życia, trzeba go jeszcze czém ciepłym okryć i czuwać nad nim, i dopiero wtedy go grzebać, gdy się już okażą oznaki zepsucia, tj, zielone plamy na dolnej części brzucha.

Szybkiego ratunku wymagają także zaccadzeni.

Nieraz się zdarza, że ludzie, chcąc sobie więcej ciepła w izbie przysporzyć, zatykają przedwcześnie rury od pieców. Nieszczęsny to błąd, gdyż ciepła w ten sposób więcej nie przybędzie, a trujący czad z węgla, napełniając powietrze w pokoju, może ich szkodliwie zaczadzić, a nawet życia pozbawić.

W razie zaczadzenia czyli zagorzenia ma chory trudny oddech, doznaje mocnego bólu i zawrotu głowy, mdłości, wymiotów, chęci do spania i odurzenia. Gdy zaczadzenie jest silniejsze, wtedy traci przytomność, twarz ma nabrzmiąłą, siną, oczy i żyły na głowie krwią nabiegłe, i w takim stanie umiera, jeśli mu nie pospieszysz z ratunkiem.

Zaczadzenia trafiają się zwykle w nocy, gdyż ludzie w śnie pogrążeni nie czując czadu i jego szkodliwych wpływów, nie mogą odrazu zapobiedz złemu, wpuszczając świeże powietrze przez okna. Jeśli więc znajdziesz z rana, w pokoju ogrzanym, osoby nieprzytomne i silnie chrapiące, możesz być pewnym, że zagorzały.

Pierwszą rzeczą, którą tu uczynić potrzeba, jest jak najprędzej wyniesienie zagorzałego na świeże powietrze. Jeśli jest ubrany, należy go rozebrać i położyć w chłodnym miejscu tak, aby głowa i piersi były nieco w górę podniesione. Potem, stanąwszy na stołku obok chorego, zlewaj mu głowę zimną wodą z wysokości kilku stóp, wylewając co kilka minut grubym prądem jedną

do dwóch kwart. Jeśli potrzeba pobudzić oddech i krążenie krwi, to należy go w podobny sposób tacać i pociągać za ręce jak utopionego. Gdy odzyska przytomność, kładź go do łóżka zawsze z głową w górę wzniesioną i obwijaj ogrzanymi szmatami. Staraj się także pobudzić go do wymiotów, czy to łechtając w gardle piórkiem, czy też zadając proszki na wymioty. Po wymiotach dawaj mu do picia wodę z sokiem cytrynowym lub octem, i głowę okładaj ciągle chustami, maczanymi w zimnej wodzie z lodu.

Zmarzniętych, którzy nie okazują śladu życia, ratuj w sposób następujący:

Najprzód przenieś zmarzniętego na miejsce nieogrzanego, lecz zaciszne, pod dachem, wolne od przewiewów (np. do stodoły). Przy przenoszeniu postępuj ostrożnie, ażeby nie uszkodzić części najbardziej przemarzniętych. Porozcinawszy na nim odzież i zdjąwszy ją ostrożnie, połóż tu zmarzniętego na półłokciowej warstwie śniegu i okryj go również śniegiem na około, tak, aby tylko nad nosem i ustami pozostał otwór. Śnieg ten przyniataj do ciała, a jeśli topnieje, syp na miejsce stopniałego świeży. W tém położeniu utrzymuj zmarzniętego dopóty, dopóki członki jego nie nabiorą gibkości, a ciało nie zacznie się wyraźnie ocieplać. Gdyby nie było śniegu, należy go okładać płachtami, maczanymi w zimnej wodzie z lodem.

Skoro już członki odzyskają gibkość, rozcieraj je z lekka śniegiem albo chustami w zimnej wodzie maczanemi, gdy zaś ciało zacznie się rozgrzewać, osusz je i połów zmarzniętego w izbie chłodnej do pościeli nieogrzanéj. Jeśli nie zacznie oddychać, masz go przewracać i poruszać rękami jego tak, jak przy ratowaniu topielca. Skoro chory zacznie już oddychać i przełykać, wtedy możesz izbę cokolwiek ogrzać i dać mu się napić bardzo ostrożnie ciepłego piwa lub odwaru z kwiatu bżowego. Przytém należy owijać flanelą członki już odtajałe a bolesne, te zaś, w których jeszcze czucie nie wróciło, okładać śniegiem lub mokremi płachtami. W razie gorączki lub nieprzytomności chorego, kładź mu zimne okłady na głowę.

W czasie wielkich mrozów, gdy jesteś w drodze, błąkasz się nocą podczas zawieruchy i tp., uważaj, ażebyś ciągle był w ruchu i nie poddawał się drzemocie, która człowieka wtenczas napada, bo możesz zasnąć na wieki. Złe jest także pić wódkę przed wyjściem na mróz, gdyż jeszcze łatwiej odbiera przytomność i w zgubny sen pogrąża. Gdy tylko niektóre części ciała, jak nos, uszy i tp. odmroziysz, tak, iż się staną białe, nieczułe i twarde, okładaj je zaraz śniegiem i nacieraj ostrożnie, żeby odmrożonéj części nie uszkodzić. Całkiem zmarznięci przychodzą dopiero po kilku dniach do życia; trzeba więc ich ratować i czuwać nad nimi,

choćby nawet było wiadomo, że już upłynęło kilka dni od ich zamarznięcia.

Niektórzy ludzie podiegają zemdleniu, a to w skutek zbyt ciężkiej odzieży, niemiłych wrażeń, pobytu w miejscu gorącym, w ciżbie i t. Człowiek mdlejący traci nagle siły, blednie, staje się zimnym i pada bez przytomności. I takiego więc ratuj, a to w ten sposób: Najprzód porozpi- naj na nim wszystko, cokolwiek ciało ściska, wynieś go na świeże powietrze, połóż na wznak, nie pod- kładaj nic pod głowę, twarz skrop zimną wodą, a skronie, piersi i szyję nacieraj octem i dawaj mu ocet mocny do wążania.

W podobny sposób ratuj także chorego, który został tknięty apopleksją. Apopleksję, czyli tak zwany *szlag* albo *udar* poznasz po tém, że chory nie jest bledy i zimny jak w zemdleniu, lecz owszem czerwony i mocno chrapie, jakgdyby w śnie głębokim. Takiego chorego nie kładź równo na wznak, lecz owszem podnieś mu grzbiet i głowę, albo posadź w krześle z poręczami w pokoju chłodnym, z głową odsłoniętą, a nogami dobrze okry- temi. Głowę okładaj chustami maczanymi w wodzie zimnej, śniegiem albo lodem tłuczonym w pęche- rzu. Do picia daj mu wody z kwasem cytrynowym lub octem, przytém jaki środek przeczyszczający, np. sól gorzką. W razie czerwoności i nabrzmienia w twarzy, tudzież ciągłej niespokojności, może cy-

ruлик puścić krew z ręki choremu, dopóki lekarz nie przybędzie.

Mocne skaleczenie albo potłuczenie wymaga także prędkiego i roztropnego ratunku.

U skaleczonego trzeba przedewszystkiém starać się zatamować krwotok, i to jak najspieszniej, zwłaszcza gdy jest silny. W tym celu należy do rany przyciskać hubkę niesaletrowaną, albo ją okładać, zmieniając bezustannie, szmatami maczanemi w zimnej wodzie z octem. Tam, gdzie jest apteka, można się postarać o środek najpewniejszy, tj. rozpuszczoną we wodzie sól, nazywającą się *półtorachloranem żelaza*. Szmaty, maczane w roztworze tej soli i przykładane do rany, tamują krwotok najłepiej.

Jeżeli krew tryska silnym strumieniem, co oznacza, że uszkodzoną jest główna żyła, tętnica, wtenczas nie pomoże tamowanie krwi za pomocą okładów, lecz trzeba tętnicę w samej ranie lub tuż obok niej mocno wielkim palcem przycisnąć i dopóty ją bez przerwy uciskać, dopóki nie przybędzie lekarz. Gdyby to dłużej trwało, mogą się różne osoby prędko zmieniać, i przyciskać po kolei tętnicę choremu, który w czasie tego ma się jak najspokojniej zachować, leżąc na wznak z podniesioną nieco górną połową tułowia. Nie ma to żartu z takim skaleczeniem, bo ze strugą krwi może dość prędko i życie z rannego wypłynąć.

W razie potłuczenia dawaj także na części potłuczone okłady ze szmat maczanych w wodzie jak najzimniejszej. Używając zaraz w pierwszej chwili wódki z mydłem, z kamforą lub tym podobnych ostrych rzeczy, możesz zaszkodzić, zamiast pomódz. Czas na te smarowania będzie stósowny dopiero wtedy, gdy z części potłuczonej ustąpi gorąco i dotkliwy ból.

Oprócz znacznego zranienia, połamania kości lub potłuczenia, człowiek spadający z wysokości wpada często w odurzenie i traci przytomność jak zemdlony lub rażony apopleksją. Jeżeli wtedy jest błądy i zimny, masz z nim postępować jak z zemdlalym; gdy zaś jest nabrzmiały w twarzy, czerwony i chrapliwie oddycha, ratuj go jak tkniętego apopleksją.

Powiem ci jeszcze, jak masz ratować poparzonych i popieczonych.

Różne są stopnie oparzenia. W pierwszym stopniu sparzona część ciała czerwieni się, jest nieco nabrzmiała i paląca. W drugim stopniu czerwoność i nabrzwienie są znaczne, ból bardzo dolegliwy i powstają pęcherze, napełnione czystym płynem. W stopniu trzecim czerwoność wpada w kolor ciemny, ból jest pukający, pęcherze znacznej wielkości napełniają się płynem njeprzezroczystym, i prędzej lub później następuje bolesne ropienie sparzonej powierzchni ciała. W czwartym stopniu, przechodzi już sparzenie w prawdziwe spa-

lenie, a wtedy tworzy się mniej lub więcej głęboko w ciało zachodzący strup martwy koloru brunatnego, podczas gdy graniczące z nim części ciała są czerwone i bolesne.

Na wszystkie stopnie sparzenia jest w pierwszej chwili zimno najprzyjemniejszym i najskuteczniejszym lekarstwem. Masz więc sparzoną część ciała zanurzać w wodzie zimnej, albo ją okładać lodem, śniegiem, płatami w zimnej wodzie maczanymi, gliną z wodą, ziemią świeżą i tym podobnymi środkami chłodzącymi, zmieniając je natychmiast, jak tylko się na sparzonem miejscu rozgrzeją. W pierwszym i drugim stopniu sparzenia można także zamiast zimna użyć gorąca, a mianowicie wody tak gorącej, jak tylko znieść można. Pamiętaj przytém, że pęcherzyków napełnionych przezroczystym płynem nie należy przekłówać, ani odcinać skóreczki tych, które popękały, bo to i ból powiększa i utrudnia gojenie.

W trzecim stopniu oparzenia, gdy cała popieczona część ciała zamieni się w bardzo bolesną i ropiącą ranę, szkodliwe są już dalsze zimne okładania, a przytém zwiększają ból. Teraz trzeba używać tylko środków, któreby chroniły od przystępu powietrza i przyczyniały się do gojenia rany. Środkami takimi są: masło świeżutkie niesolone, maść z żółtka i oliwy świeżej, a szczególnie świeży olej lniany, skłócony dobrze z wodą wapienną, tj. z wodą, którą nalano na dobrze wypalone wapno,

rozmięszano i pozostawiono na wapnie przez czas dłuższy, a następnie przez bibułę odcedzono. Olej lniany, zmieszany z taką wodą, daje płynną, białą maść, w której się macza szmatki lub skubanka i na ranę przykładą. Gdyby chory, dla wielkich boleści w ranie nie dał sobie szmatek przykładąć, można maść piórkiem smarować. Na takie ropiace oparzelizny używają także czasem mąki żytniej, sypiąc ją grubemi warstwami na ranę.

W czwartym stopniu spazera trzeba strup okładać rozmiękczone mi kataplazmami z siemienia lnianego, kaszy jęczmiennój i t. p.

Przy wielkich bardzo oparzeniach i spaleniach nie obejdzie się bez prędkiój pomocy lekarza.

Jeżeli po spazeniu, a zwłaszcza obszerniej-szém, nastąpi gorączka, wtedy chory ma ile możności wstrzymać się od jedzenia, a chłodzić się kwaskowatemi napojami, jak np. barszcz, sok ogórkowy, maślanka i t. p.

Oto są najważniejsze wypadki, w których możesz i powinieneś nieszczęśliwym nieść natychmiastową pomoc, zachowując całą przytomność umysłu i biorąc się do rzeczy odważnie, roztropnie i zręcznie. Dalszy przebieg ratunku pozostaw lekarzowi, po którego, gdzie tylko się da, natychmiast trzeba posyłać. Powtarzam ci, że ciało i życie ludzkie tyle mają tajemnic, że długo trzeba je badać i wiele się uczyć, ażeby umieć udzielić w każdój chorobie pewnej i stosownej pomocy.

ROZDZIAŁ XXV.

Śmierć Górki i jego zapis.

W parę dni po opisanym wypadku u Niedzielskiego, przyszedł Górka prawie zupełnie do zdrowia i oddał się swym zwykłym zajęciom. Właśnie zajmowano się zasadzaniem drzewek przy drogach wiodących z miasteczka, a całą robotą kierował Górka i był w swoim żywiole. Pomimo spóźnionej jesieni sprzyjała pogoda owój pracy, wcale zresztą nie małej, gdyż oprócz trzystu szczepów, które na ten cel ofiarował Górka, zarząd okolicznych dóbr za wstawieniem się Stefana, darował miastu znaczną ilość rozmaitych drzewek leśnych, które teraz zasadzano razem z szczepami owocowemi, jedne drugimi przeplatając. Górka był ciągle na nogach, to w domu i w swoim sadzie, to przy robotnikach, i zdawało mu się, że nigdy nie był zdrowszym i rzeświejszym. Wprawdzie lekarz, spotkawszy się z nim w mieście, przestrzegął go, żeby się zbyt nie męczył i starych sił swoich nie térał, ale Górka odpowiedział z uśmiechem:

— Daj Boże, ażeby każdy był taki zdrów i krzepki jak ja! A zresztą, jak Bóg chce, tak się stanie i śmierci nie unikniemy. Dobrze to Rusin mówi: „*kruty, werty, a treba umerty*“.

Zajęty tą pracą, wstąpił Górka pewnego poranku do nauczyciela, niosąc małą skrzyneczkę pod pachą. Ujrawszy go Zarebski, wyciągnął ku niemu ręce i zawołał:

— Cóż to naszego kochanego Górkę tak wczesnie do mnie sprowadza?

— Trwoga przed złodziejami — odparł Górka na pół żartem.

— Wolne żarty! — zawołał Zarebski — Jacyż to złodzieje wam grożą? Nie słyszałem już dawno w naszym mieście o kradzieżach i rozbojach.

— Nie, mój drogi nauczycielu, nie żartuję ja wcale — rzekł Górka, stawiając skrzyneczkę na stole — Powiem wam w krótkich słowach o co chodzi. Wiecie, że temi dniami jestem bezustannie zajęty obsadzaniem dróg. Dotychczas sprzyjała nam pogoda, lecz dziś, jak widzicie, zmienił się wiatr, pociąga od północy i zaczyna dęszczyk rosić. Niezawodnie zaciągnie się na długą słotę, która by nam robotę przerywała, gdybyśmy się raźnie nie uwinęli. Dziś więc postanowiłem wszystkich sił użyć, ażeby rzecz skończyć. Odemnie z domu wszystko co żyje idzie wraz ze mną na cały dzień do drzewek. Tak więc dom zostanie pusty, bez nadzoru, i dlatego nie chciałbym w nim zostawić

tój skrzyneczki. Lepsze ona przechowanie będzie miała u was.

— Powiem wam szczerze, że to, zbyt uczona o-
strożność — odezwał się nauczyciel.

— Może i zbyt uczona — rzekł Górka — i
może bym tego nie robił, gdyby nie to.... Tu
przerwał Górka, a Zarebski zapytał:

— No, jakżeż to przyczyna, że jej nie możecie
powiedzieć?

— Śmieszna przyczyna — ciągnął dalej Gór-
ka — i słusznie śmiać się ze mnie będziecie, ale
przecież nie odmówicie mi przysługi. Oto śniło mi
się tej nocy, że mnie złodzieje napadli i okradli.
Wiem ci ją, że „sen mara a Bóg wiara“, i
kiedy indziej żadnej wagi nie przykładalbym do snu
takiego; ale dziś przypadkowo cały dom będzie
pusty, co się u mnie bardzo rzadko zdarza, więc
chcąc nie chcąc byłbym ciągle niespokojny i nie
miałbym wolnej głowy przy pracy. Czyż więc nie
chcecie dla mojego spokoju przyjąć tój skrzynec-
czki w przechowanie?

— Nie podzielam waszych obaw — rzekł Za-
rebski — lecz skoro idzie o wasz spokój, wszystko-
bym uczynił, a więc zrobię i to, czego żądacie.

— Dziękuję wam! — zawołał Górka i ści-
snąwszy rękę nauczycielowi zabrał się do odej-
ścia. Lecz nauczyciel wzięł w rękę skrzyneczkę
i zatrzymując go zapytał:

— Powiedzcież mi jednak, co jest w téj skrzynce?

— Ot, trochę oszczędności — rzekł Górka.

— W takim razie — rzekł nauczyciel zakłopotany — powinniśmy przerachować, ażebym wiedział, ile biore i ile mam oddać.

— Myślałem ja o tém, że was to będzie kłopotać — odezwał się Górka, — i dlatego, jak widzicie oddaje skrzyneczkę zamkniętą. Kluczyk od niej zostawiłem u poczciwego Tomasza.

— Kiedy tak, to dobrze — rzekł nauczyciel, oddychając swobodnie — A darujcie mi, że was zatrzymał, lecz z pieniędzmi jestem zawsze ostrożny. Pieniądze, to czasem rzecz szatańska; wiem, że i najlepszych przyjaciół nieraz już poróżniły.

Po tém wzajemném wytłumaczeniu pożegnał Górka Zarębskiego i każdy poszedł do swéj pracy: Górka do drzewek, Zarębski do szkoły.

Dzień był w istocie brzydki. Piękna pora jesienna żegnała już ziemię i przypominała, że niebawem nadejdzie smutna i ponura zima. Zimny wiatr północny dał coraz mocniej, niebo zaciągnęło się ciemnymi, posepnymi chmurami, deszcz to zaczynał rosić, to znowu ustawał. W ciągu całego dnia nie ukazał się ani jeden promień słońca, tak, że dzieciom w szkole było za ciemno, zwłaszcza, że małe okna nie przepuszczały do wnętrza izb szkolnych dostatecznej ilości światła.

Zarebski, zajęty cały dzień swoimi uczniami, nie myślał już ani o Górcie, ani o jego skrzyneczce, gdy wtém pod wieczór rozeszła się po mieście przerażająca wieść, że Górką został tknięty apopleksją. Ścisnęło się serce poczciwemu nauczycielowi; chwycił za czapkę i pobiegł czém prędzej do mieszkania Górkę.

Pogłoska była niestety prawdziwą! Górkę siny prawie i chrapiący leżał na łóżku, lekarz ratował go różnemi środkami, obok stali zasmuceni przyjaciele i siostrzeńcy i zdawali się czytać w oczach lekarza, czy zrobi jaką nadzieję życia, czy nie.

Tutaj dopiero dowiedział się nauczyciel o całym przebiegu tego okropnego wypadku. Niezmordowany Górkę postanowił był sobie skończyć tego dnia zakopywanie drzewek. Ponieważ zaś ludzi nie było do zbytku, sam się także zabrał do roboty. W ciągu pierwszej połowy dnia nic go to nie męczyło, bo był zaprawiony do pracy, lecz po południu ciężka robota dokuczwała już starym kościom. Rzęsisty pot wystąpił na czoło zacnego pracownika, ręce omdlewały, ale on, chcąc dać innym dobry przykład wytrwania, nie ustawał w pracy. Na domiar nieszczęścia rozgniewał się był na kogoś z robotników za nieostrożne złamanie szczepka. Zrzucił z siebie kapotę, wziął rydel z rąk robotnika i sam chciał kopać. Tyleż trzeba było, ażeby go zabić; wiatr zimny owionął spotniałe ciało, zachwiał się i upadł. Przestraszeni siostrzeńcy

przywieźli go czémprędzej do domu. Miał tyle przytomności, że zażądał księdza, wypowiadał się, przyjął najświętszy sakrament i wzięwszy ostatnie pomazanie, gotów był do ostatniej podróży. Środki lekarskie nic nie pomagały. Wkrótce stracił przytomność i już bezprzytomnym zastał go Zarębski. Daremnie schylił się nad nim i wołał go po imieniu; Górka już nie otwierał oczu. Zarębskiemu spłynęły gorące łzy po policzkach; uściśnął bezwładną rękę poczciwego starca i przycisnął ją do ust.

Téjże saméj nocy oznajmił lekarz rodzinie i przyjaciołom, że nie ma już żadnej nadziei; do następnego wieczora przestał żyć nasz Górka. Zginał jak żył, z rydlem w ręce, przy pracy.

Zbyteczném byłoby opisywać, jaki żal ogarła naszych przyjaciół po śmierci Górki. I nie tylko oni, bardzo wielu innych mieszkańców miasta postępowało ze łzami w oczach za trumną zmarłego, gdy go prowadzono na ostatni spoczynek. Teraz dopiero pokazało się, ile dobrego świadczył nieboszczyk i jak był w całym mieście lubiany, kiedy tyle serc rozrzewniało się nad jego grobem i w tylu oczach szczére łzy błyszczały.

— Marne to życie ludzkie! — mówił Tomasz do przyjaciół, gdy wracali z pogrzebu — Jedna chwila przecina długą nić żywota i stajesz przed tronem Najwyższego. Któżby to był powiedział, że nas Górka tak prędko i niespodziewanie porzuci?

Jakże krucha ta łódka, na której płyniemy do wieczności! Każdej chwili, na każdym kroku powinien człowiek pamiętać o tém, że go śmierć czeka. Życie jego powinno być tak bogobojne, iżby każdej chwili był gotów zdać z niego rachunek przed Bogiem. Nasz dobry Górka wiedział o tém i stoi tam z jasnym, pogodnym obliczem. Na sumieniu jego nie ciążyą niczyje krzywdy; nie złorzeczenia, lecz błogosławieństwa poszły za nim do nieba i wprowadzą go do niebieskiej chwały.

Gdy pierwszy żal minął, przypomniał sobie Zarebski zagadkową szkatułkę Górki i myślał o tém, czy nieboszczyk nie miał wtedy bogobojnego przeczucia śmierci, a nie kradzieży, gdy mu tę szkatułkę do przechowania oddawał. Lecz jakkolwiek bądź by rzecz się miała, należało sprawę wyjaśnić. Nauczyciel wziął zatem skrzyneczkę pod pachę, a zabrawszy jeszcze po drodze Niedzielskiego, udał się z nim razem do Tomasza.

Nie potrzeba tu było długich wyjaśnień, gdyż Tomasz wiedział o wszystkiém; zaraz na widok szkatułki odpiął mały kluczyk od pęka swych kluczów i podał go Zarebskiemu.

— Cóż mamy zrobić? — zapytał nauczyciel, trzymając kluczyk w ręce — czy otworzyć szkatułkę i zobaczyć, co się w niej znajduje, czy też tak jak jest oddać ją krewnym nieboszczyka?

— Ja myślę, że trzeba pierwój zobaczyć, co w niej jest — odezwał się Tomasz i rzucił pytającym wzrokiem na kupca.

— I ja tak sędzę — rzekł Niedzielski — Nieboszczyk widocznie więcej wam ufał niż swoim krewnym, skoro wam szkatułkę oddał do przechowania. Może w niej jest coś takiego, o czém nie chciał, ażeby jego krewni wiedzieli. Musicie ją otworzyć i przekonać się o wszystkim.

Uwagi te trafiły Zarębskiemu do przekonania; włożył kluczyk do zamku i otworzył szkatułkę. Wewnątrz, na samym wierzchu, leżał we czworo złożony arkusz papieru. Nie patrząc więc dalej wyjął nauczyciel ten papier, rozłożył go i czytał co następuje:

„W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“
 „Ja, Józef Górka, czując się zdrowym na umyśle, lecz będąc starym i nie wiedząc, kiedy mnie pan Bóg przed oblicze swoje powoła, wyrażam tu ostatnią wolę moją, jak ma być użyty mój cały grosz oszczędzony, który tu, w tej szkatułce razem z tém pismem jest zamknięty.

„Długoletnią i mozolną pracą dorobiłem się osmiu tysięcy złotych walutą austr., które tu w listach zastawnych się mieszczą, i całą tę sumę przeznaczam na szkołę miejscową. Choć sam nie uczony, czuję, że oświaty i nauki potrzeba moim rodakom, ażeby się stawali coraz zaciejsi, i ażeby im się coraz lepiej powodziło.

„Niechże odemnie przyjmą tę skromną pomoc i
 „nakazują swoim dzieciom, ażeby się przykładały
 „do nauki i pracy.

„Suma tu złożona ma być użytą najprzód na
 „naprawę, przebudowanie i rozszerzenie budynku
 „szkolnego, na sprawienie dobrych sprzętów i wsze-
 „lakich przyborów do nauki. Co się od tego zo-
 „stanie, złożone zostanie jako kapitał, a z pro-
 „centów od tego kapitału ma się przyjąć i opła-
 „cać trzeciego nauczyciela. Zaklinam w imię Boga
 „radę gminną, ażeby i z majątku gminnego do
 „rozszerzenia i polepszenia szkoły się przyczyniła.

„Na wykonawców téj mojej woli ostatniej
 „upraszam drogich moich przyjaciół: Tomasza Ra-
 „wicza, Franciszka Zarebskiego, Stefana Garłacza
 „i Stefana Niedzielskiego. Wiem, że oni tak su-
 „miennie i troskliwie złożoną tu sumą rozporzą-
 „dzą, jak gdybym ja sam rozrządzał. Oni też mają
 „się zająć przebudowaniem i ulepszeniem szkoły,
 „a gdy to skończą, złożą rachunki i resztę pie-
 „niędzy miejscowej władzy szkolnej, która dalej
 „majątkiem, wedle mojej woli, zarządzać będzie.
 „Proszę moich przyjaciół, ażeby zajęli się wszy-
 „stkiem co będzie potrzeba, ażeby w swoim imie-
 „niu wyrobili pozwolenie urzędu i rady gminnej i
 „nie zwlekali pracy, którą im przekazuję.

„Niechaj Bóg zlewa tysiączne łaski na was
 „i na całe miasto! Pamiętajcie, że macie wycho-
 „wywać coraz lepij przyszłe pokolenia, bo ojczy-

„zna potrzebuje wielu dobrych synów, ażeby za-
 „kwitnąć szczęściem i pomyślnością. To wam mówi
 „człowiek, co stoi nad grobem i radzi się tylko
 „swego serca i sumienia.

„Wszystko to spisałem własnoręcznie i własną
 ręką podpisuję.

Józef Górka.“

Łzy błyszczały w oczach naszych znajomych,
 gdy Zarebski skończył czytać. Zdawało im się,
 jak gdyby duch zacnego Górki stał przed nimi i
 przemawiał do nich. Jedną powodowani myślą
 podali sobie ręce na znak, że będą odtąd wszy-
 stkich sił dokładać, ażeby piękny zamiar niebo-
 szczyka został jak najprędzej spełniony.

— Lecz jak się weźmiemy do dzieła? Co naj-
 przód zrobimy? — zapytał Niedzielski.

— Najprzód uwiadomimy o tém władzę szkol-
 ną i gminę, — odparł Zarebski — w ciągu zimy
 będziemy zwozić materyał, a z wiosną zabierzemy
 się do budowy szkoły.

— Sądzicie zatem, że trzeba będzie całkiem
 nowy budynek wystawić? — zapytał Tomasz na-
 uczyciela.

— Jeżeli mamy co pożytecznego zrobić —
 odrzekł zapytany — jest to niezbędnie potrzebne.
 Dzisiejszy budynek jest na dwie klasy przestrony;
 lecz po dodaniu trzeciej, jest już za szczupły,

zresztą jest drewniany i stary. Izby w nim za niskie na taką liczbę dzieci jaka dziś chodzi; w zimie trudno je opalić, dziatwa skarży się na zimno, a gdy się okien nie otwiera, to szkodliwa tworzy się zaducha; w lecie panuje takie gorąco, że nie sposób trzy godziny z rzędu wytrzymać. Wąskie i niskie okna za mało dają światła, dzieci psują sobie oczy przy czytaniu i pisaniu. Chcąc te wszystkie wady usunąć, trzeba by dużo pieniędzy, a pytanie, czy warto? Ja myślę, że lepiej robić już rzecz na urząd i wymurować nowy budynek, któryby jeszcze dla dzieci naszych dzieci pozostał.

— I moja myśl jest taka — rzekł Niedzielski — tém bardziej, że trzeba nam dążyć do tego, ażeby już dobrą szkołę o czterech klasach urządzić.

— Lecz na to nam pieniędzy nie starczy — wtrącił ze smutkiem Tomasz.

— Zapewne, że nie starczy — odezwał się Zarebski — lecz przecież musimy liczyć na to, że i gmina ze swoich funduszów do tak pięknego dzieła się przyczyni. Godziłoby się, ażeby wszyscy członkowie gminy byli obojętni, gdy jeden szlachetny dobroczyńca tak wielki daje fundusz? A wszakże nauka dzieci jest świętym i wspólnym obowiązkiem wszystkich! Powinniśmy go spełnić, choćby nam przyszło nawet dopłacać do tych podatków, które już płacimy; nie możemy się dać zastąpić jednemu dobroczyńcy, lecz dopomagać wszelkimi siłami jego szlachetnemu dziełu.

— To prawda — rzekł Tomasz — i ja też gorąco za tém w Radzie gminnej będę przemawiał, ażeby wziąć się przy tej sposobności do zupełnego przeobrażenia szkoły, urządzić w niej cztery klasy i czterech mieć nauczycieli. Lecz my sami musimy sobie już przedtém dokładnie ułożyć, co i jak zrobimy z tym funduszem, którym nam zacny Górka rozrządzić kazał.

— Trzeba nam będzie dobrze się nad tém naradzić — rzekł Zarębski — i wezwać do narady Stefana. Zawezwiemy go na najbliższą niedzielę, a tymczasem myślny nad tém sami, coby było najlepszym.

Tomasz i Niedzielski przystali na wniosek nauczyciela i skończyli na tém przedwstępną naradę. Następnie wydobyto ze skrzyneczki porządnie złożoną i owiazaną paczkę listów zastawnych; kupiec przeliczył je i przekonano się, że była cała suma ośmiu tysięcy złotych wal. austr. Po przeliczeniu, włożyli nasi przyjaciele napowrót listy zastawne wraz z zapisem do skrzyneczki, i znowu kluczyk pozostał u Tomasza, a skrzyneczkę wziął ze sobą Zarębski do domu. Rozchodząc się, podali sobie jeszcze raz wszyscy trzej ręce i przyrzekli ponownie zająć się najzarliwiej tak piękną i pożyteczną sprawą.

Wiadomość o zapisie Górki na szkołę, gruchnęła wnet po całym mieście. Podawano ją sobie z ust do ust i sławiono piękny czyn zmarłego.

Nawet siostrzeńcy Górki nie wygadywali przeciw temu, i nie czuli się pokrzywdzeni, gdyż osobnym testamentem, który w domu znaleziono, zapisał im wuj do podziału cały dom wraz z pięknym ogrodem i gruntem. „Pieniędzy wam nie zapisuję — (dodał w testamencie), bo mając ziemię i zdrowe ręce, możecie się ich tak jak ja dorobić.“

Nasi znajomi rozpowiadali z umysłu całą rzecz, ażeby mieszkańców do udziału w pięknym czynie zachęcić, najwięcej zaś mówili o niej z członkami rady gminnej, i z rozmów tych nabrali przekonania, że rada będzie skłonną przyczynić się do należytego rozszerzenia szkoły i pomnożenia nauczycieli. Z dobrą też utuchą zeszli się na naradę najbliższej niedzieli do Tomasza, gdzie już także był Stefan.

Narady były długie i dość zawikłane, na co się zaś zgodzono, to nauczyciel spisywał zaraz w oddzielnych punktach. Po skończeniu narady punkta te, jeszcze raz głośno odczytane, brzmiały jak następuje:

1. „Z szlachetnego zapisu Górki w kwocie 8000 złr. w. a. przeznaczamy połowę na budynek szkolny; z procentów od drugiej połowy ma być opłaconym jeden, tj. trzeci nauczyciel.“
2. Budynek szkolny ma być nowy i murowany. Wystawi się go na gruncie szkolnym poza dzisiejszą szkołą, głębiej w ogrodzie, ażeby turkot wozów z ulicy nie przeszkadzał nauce i kurz

w izbach szkolnych nie osiadał. Przez część ogrodu będą prowadziły do szkoły szerokie i dobrze gruzem poubijane ścieżki.

3. W budynku nowym ma być cztery izby na klasy, jeden pokój na kancelaryę dla dyrektora i pomieszkanie dla tegoż. Ani kancelarya gminna, ani żaden inny urząd nie może się tam mieścić, gdyż szkoła powinna być przybytkiem tylko dla nauki przeznaczonym, a nauce nie powinien przeszkadzać gwar innych spraw i zajęć.

4. Izby mają być obszerne, tak, ażeby wszyscy uczniowie wygodnie się pomieścili i jeszcze dużo miejsca wolnego zostawało między nimi a nauczycielem. Wysokość ich powinna dochodzić 10 do 11 stóp. Każda izba ma mieć swój osobny wychód do sieni.

5. Okna w izbach szkolnych mają być wielkie, dość wysoko w ścianach i tak poumieszczane, ażeby światło padało uczniom od lewej ręki. Jeżeli okna w dwóch mają być ścianach izby, to tak je należy umieścić, iżby światło padało na uczniów od lewej ręki i od pleców.

6. Podłoga powinna być dębowa i przynajmniej na łokieć nad powierzchnią ziemi. Drzwi szerokie i podwójne.

7. Piece w izbach szkolnych mają być dobre, kamienne, lub kaflowe, z wewnątrz opalane, ażeby zły powietrze z izb mogło w czasie palenia uchodzić do komina.

7. Ławki mają być nie długie, wygodne i różnej wysokości, tak, ażeby je można dobierać do różnego wzrostu dziatwy szkolnej. Siedzenie i przedpiersie ma być w nich tak urządzone, ażeby dziecko nie potrzebowało się nachylać zbyt mocno przy nauce, bo sobie tém wzrok psuje i kość pacierzową wykrzywia.
8. Do nauki dzieci sprawi się wszystkie przybory szkolne, o których nauczyciele powiedzą, że są niezbędnie potrzebne.
9. Jeżeli do takiego wybudowania i urządzenia szkoły nie starczy wymieniona kwota 4000 zł. w. a., dopłaci resztę gmina. Z funduszków też gminy będzie opłacany na zawsze czwarty nauczyciel, który z powodu rozszerzenia szkoły jest niezbędnie potrzebny.“

Oprócz powyższych punktów, były tam jeszcze inne mniej ważne żądania i obliczenia. Wszystko to przedstawili nasi znajomi jako swój wniosek do władz szkolnych i do rady gminnej i po pewnym czasie, po dalszych jeszcze wyjaśnieniach i naradach, otrzymali odpowiedź, że władza szkolna na wszystko się zgadza, a gmina dopłaci do budynku i będzie z swych funduszków utrzymywać czwartego nauczyciela.

Teraz dopióro zabrali się przyjaciele nieboszczyka nie na żart do pracy. Każdy w swoim zakresie starał się, żeby wszystko było jak najlepiej. Zwożono materyał i gotowano się do budowy

zaraz z wiosną. Tomasz przyjął na siebie stolarzką robotę za cenę tak niską, za jaką żaden inny stolarz przyjąć nie chciał, a w dodatku zobowiązał się zrobić za darmo rzecz najważniejszą i najkosztowniejszą, tj. ławki.

— Niechże i ja nie będę ostatni! — mówił — i choć tym drobiazgiem przyczynię się do pięknego dzieła Górki.

Jakoż, przy takiej gotowości i chęci do ofiar, przy pomocy, jakiej ze wszystkich stron nasi znajomi doznawali, szła robota jak z płatka, i w istocie, zaraz z wiosną położono węgielny kamień pod nowy budynek szkolny.

Zakończenie.

W dwa lata niespełna po śmierci Górki, na dniu 1 września, odbywała się w naszym mieście wielka uroczystość. Poświęcano nowy, prześliczny budynek szkolny, a oraz rozpoczynano w nim naukę. Mnóstwo ludzi zgromadziło się na czystym dziedzińcu przed szkołą. Ksiądz proboszcz święcił nowy przybytek nauki, a pan inspektor szkolny, radni gminy, nauczyciele i przedniejsi mieszkańcy, wszyscy w świątecznych strojach towarzyszyli tej ceremonii. W klasach stały szeregami dzieci szkolne, przybrane w zieleń, w wieńce z kwiatów i najlepszą odzież.

Po ukończeniu uroczystego poświęcenia, w te słowa przemówił ksiądz proboszcz do zgromadzonych:

„Obchodzimy dzisiaj uroczystość wielkiej wagi dla całego miasta. Otwieramy nową szkołę, w której dzieci wasze mają się ćwiczyć w nauce religii świętej i wielu pożytecznych naukach świeckich. Chrystus Pan, przygarniając dziecięcki do siebie i nauczając je, dał nam wzniosły przykład i wska-

zał, iż jednym z najcelniejszych obowiązków człowieka jest wychowywanie młodego pokolenia. Człowiek, przejęty gruntownie od młodości zasadami wiary świętej i kształcący bezustannie swój umysł pożytecznymi naukami, staje się łagodnym i ludzkiem w postępowaniu, prawym we wszystkich uczynkach, roztropnym w kierowaniu swych kroków wśród trudnej pielgrzymki życia. Unika on grzechu, bo wie, że grzech obraża pana Boga i poniża godność ludzką; chętnie ćwiczy się w cnocie, bo wie, że czyn cnotliwy miłym jest Bogu i zaskarbia mu miłość i szacunek między ludźmi. Niechajże ten przybytek nauki będzie przybytkiem cnót wszelakiego rodzaju! Niechaj nauczyciele zasiewają tu w młodzieńczych sercach dzieciak ziarna miłości Boga i miłości bliźniego, tak, aby każde dziecko które ztąd wyjdzie a na męża wyrośnie, pędziło żywot prawdziwie chrześcijański, a gorzało miłością ku Bogu, rodzinie, narodowi i bliźnim. Gdzie człowiek jest dobry, tam i rodzina dobra, a gdzie rodziny bogobojne i cnotliwe, tam i cały naród szczęśliwy i pełen chwały. Otaczajmy więc naszą troskliwością to piękne dzieło, do którego cnotliwy mąż dobrym czynem położył podwaliny, starajmy się zawsze o dobre wychowanie dzieciak, a tak nam jak im i całemu narodowi będzie Bóg Wszechmocny błogosławił po wsze czasy.“

Po księdzu proboszczu wystąpił naprzód pan inspektor szkolny i tak przemówił:

„Złote słowa wypowiedział namaszczeniemi usty wielebny ksiądz proboszcz. Słyszeliśmy je, i pewnie przeniknęły one was tak głęboko, jak i mnie. Dla podniesienia wiary świętej i oświaty, dla chwały Boga i narodu wzniesliście ten przybytek nauki Kościół święty i szkoła podają sobie tu ręce, ażeby dziatwę waszą wychowywać na bogobojnych i rozumnych ludzi. Prawa wyswobodziły dziś człowieka i postawiły wszystkich na równi ze sobą. Jakiegokolwiek stanu jest człowiek, ma wypełniać ważne obowiązki obywatelskie, ma radzić o dobru gminy i pomysłności kraju. A jakże mógłby sprostać tym ważnym obowiązkom, gdyby nie nabywał coraz większej nauki, gdyby nie zdołał dokładnie poj-
mować i rozróżniać, co jest dla kraju dobre a co złe, co pożyteczne a co szkodliwe? Na każdym kroku, w sprawach własnych i narodowych, w życiu prywatnym i publicznym, potrzebną jest coraz większa oświata. Nie skąpcie więc grosza i wszelkich starań, tak jak ich dotychczas nie skąpiliście, ażeby dzieciom waszym dać sposobność do nabywania rozlicznych nauk, a tym samym przyczyniać się najskuteczniej do ich przyszłego szczęścia.“

„Ty zaś dziatwo szkolna! — dodał pan inspektor, zwracając się do uczniów i uczennic — bądź zawsze posłuszną, pilną i pracowitą, zachowaj w sercach gorącą wdzięczność dla tych dobrodziejów, którzy dla ciebie tak piękną szkołę utrzy-

mują, i dla nauczycieli, którzy nie szczędzą wszelkich starań i pracy, aby cię wyposażyć cnotami i naukami. Pamiętaj o tém na każdym kroku, że nauka będzie ci na całe życie potrzebną, i że ćwicząc się w cnotach i przykładając się do nauk, wypełniasz wolę Najwyższego.“

Przemówienia te poruszyły do łez zgromadzoną publiczność. Na wszystkich obliczach jaśniało radośne rozrzewnienie, serca wszystkich przejmowało to błogie uczucie, jakiego zawsze doznajemy na widok dzieła dobrego.

Pomiędzy zgromadzonymi znajdował się także młody, wysmukły mężczyzna, który błyszczącymi oczyma spoglądał bezustannie na przemawiających, i nie ukrywał łez, spływających mu obficie po jagodach. Był to nasz Jaś. Przed niewiele dniami wrócił był właśnie z wędrówki, zwiedziwszy jeszcze Berlin i Poznań i przebywszy półtora roku w Warszawie, gdzie bardzo wiele skorzystał. Serce jego przepełnione było najżywszą radością na widok téj uroczystości, w której brał udział. Przekonawszy się w obcych krajach, czém jest dla człowieka nauka, umiał on ocenić ważność założenia nowéj i dobrej szkoły i rzekł z głębokim westchnieniem:

— Chwała Ci Boże! I u nas będzie coraz lepiej!

TREŚĆ KSIĄŻKI

	Str.
ROZDZIAŁ I. Jaś idzie na wędrowkę	1
ROZDZIAŁ II. Rozmowa Górki z Tomaszem we warsztacie (O gatunkach drzewa i przyrządzaniu tegoż).	13
ROZDZIAŁ III. Pierwszy list Jasia. Opisanie Krakowa	30
ROZDZIAŁ IV. Zarębski, nauczyciel miejscowy, czyta żywot św. Wojciecha i opowiada o dawnych czasach	42
ROZDZIAŁ V. Rozmowa w ogrodzie Górki (O budowie, życiu roślin i ogrodnictwie).	63
ROZDZIAŁ VI, w którym jest wydrukowana pierwsza połowa ogrodniczo-sadowniczego katechizmu Górki, poprawionego przez nauczyciela	81
ROZDZIAŁ VII. Zarębski z Górką odbywają podróż. (Wiadomości o ziemiach dawniej Polski).	96
ROZDZIAŁ VIII, w którym jest wydrukowana druga połowa ogrodniczo-sadowniczego katechizmu Górki, poprawionego przez nauczyciela.	121
ROZDZIAŁ IX. Drugi list Jasia. (Opisanie Wieliczki. O koniku Zwierzynieckim i o Tatarach).	142
ROZDZIAŁ X. Powieść, którą nauczyciel odczytał następną niedzielę. Koleje życia.	160
ROZDZIAŁ XI. Wieczorna przechadzka (Niektóre wiadomości o budowie świata, porach roku, rozmiarach ziemi i ciał niebieskich).	171
ROZDZIAŁ XII. Powrót z niewoli. (Opisanie Kijowa i Lwowa. Krótkie wiadomości o rządzie i władzach krajowych).	194

ROZDZIAŁ XIII. O tém jak Stefan znalazł zatrudnienie i jak obchodzono imieniny Górki.	211
ROZDZIAŁ XIV. Przybywa kupiec ze Lwowa i otwiera sklep pod godłem Kazimierza Wielkiego	232
(O Kazimierzu Wielkim i jego czasach).	
ROZDZIAŁ XV. Trzeci list Jasia i jaka była rozmowa w skutek tego listu.	248
(Opisanie Wiednia. Potęga pracy. Przykłady pracowitości i oszczędności).	
ROZDZIAŁ XVI. Powieść, którą nauczyciel odczytał następnej niedzieli.	272
(Klemens Janicki).	
ROZDZIAŁ XVII. Odwiedziny w leśniczówce. Rozmowa o pszczołach i pszczelnictwie i innych ciekawych rzeczach.	283
ROZDZIAŁ XVIII. Przechadzka po lesie. Dzikie zwierzęta i stary Maksym	309
ROZDZIAŁ XIX. O niektórych osobliwościach obcych krajów	334
(Polowanie na lwa w Afryce. Wielka kolej oceanu spokojnego. Przebicie góry Cenis. Wystawy z całego świata).	
ROZDZIAŁ XX. Czwarty list Jasia i wspomnienie o Księżciu Józefie Poniatowskim	353
(Podróż przez Pragę i Drezno do Lipska).	
ROZDZIAŁ XXI. Powieść, którą Zarebski czytał następnego tygodnia	378
(Mały Tomek z Jabłonny).	
ROZDZIAŁ XXII. Wypadek Jasia przy pożarze. Jego listy i wiadomości o stowarzyszeniach.	390
ROZDZIAŁ XXIII. Jak kupiec prowadził swój handel i książki handlowe, i co się przydarzyło Górze	413
ROZDZIAŁ XXIV. Książeczka nauczyciela, zawierająca przepisy zachowania zdrowia i ratunku w nagłych wypadkach	434
ROZDZIAŁ XXV. Śmierć Górki i jego zapis	451
ZAKOŃCZENIE	467







772 931

1/4